

Ju HONISCH

Obsydianowe serce

II

Moje podziękowania:

Szczere uściski za pomoc przy zbieraniu informacji oraz za czytanie tekstu i opinie dla Aleksa, Alexy, Anke, Christine, Debory i Tanyi. Wyrazy wdzięczności cudownemu mistrzowi Brumowi za odkrycie wspaniałego nowego starego świata oraz Tanji i Holgerowi za odkrywczę podróżę po nim.

## Rozdział 56

Delacroix celował z pistoletu w drzwi, które z jego pozycji na sofie były lekko po skosie. Obaj oficerowie szybko zajęli pozycje po obu stronach wejścia, każdy z bronią. Byli gotowi do działania, cokolwiek by to miało znaczyć, i nie zdradzali swego podenerwowania.

Dobrzy ludzie, pomyślał Delacroix. Nieważne, co myśleli albo czuli - robili to, co do nich należało.

- Wejść! - krzyknął pułkownik.

Drzwi otworzyły się i niski, silnie zbudowany mężczyzna w średnim wieku zrobił krok, zaraz się jednak zatrzymał. Był dość niezwykle ubrany: nosił kraciaste spodnie do czarnego surduta i zielonej kamizelki.

- Wielki Boże, Delacroix! - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Tylko niech mnie pan nie zastrzeli. Obraziłbym się o to naprawdę poważnie. - Jego wymowa zdradzała, że jest Szkotem.

Delacroix opuścił broń.

- McMullen. - Obdarzył nowo przybyłego zmęczonym uśmiechem. - Jeszcze nigdy się tak nie cieszyłem na pański widok. Niech pan wejdzie.

Mężczyzna wszedł i upuścił wielką podróżną torbę. Mina mu trochę zrzędała, gdy uświadomił sobie, że za plecami ma dwóch uzbrojonych Bawarczyków. Zamarł sztywno wyprostowany, jakby kij połknął.

- Na co panowie czekają? - zapytał. - Na napad rabunkowy?

Delacroix wstał i schował broń pod surdut. Wyciągnął rękę.

- Witam, McMullen. Jest pan mile widzianym gościem. Nawet bardzo mile widzianym, i żeby odpowiedzieć na pana pytanie: oczekiwaliśmy Bractwa. Straciliśmy naszego „pomocniczego maga”. Tym samym oprócz pistoletów niewiele nam pozostało. - Roześmiał się złośliwie i dał znak dwóm Bawarczykom. - Moi panowie, oto nasz mistrz sztuk tajemnych. Mr McMullen, pozwoli pan, że przedstawię moich towarzyszy broni podczas tego zadania. Podporucznik Asko von Orven, a tu podporucznik Udolf von Gorency. Byli wyjątkowo pomocni, choć mają problemy z wiarą, że Bractwo Światła istnieje i jakie ma cele.

Delacroix gestem poprosił nowo przybyłego, by zajął miejsce. Ten usiadł i wyciągnął krótkie nogi.

- Cóż - powiedział. - Niech pan opowiada. Ma pan rękopis?

Delacroix uśmiechnął się smutno.

- Nie. Pański kolega, pan Muller, był w jego posiadaniu i miał mi go przekazać. Niestety, Muller został zamordowany przed moim przybyciem. Mój pociąg miał opóźnienie, a potem zaszło nieporozumienie. Gdy dotarłem do hotelu, Muller leżał z rozbitą głową, martwy. Żadnego rękopisu. Za to hotel zaczęła nawiedzać jakaś zjawa. Nasz nieżyjący już specjalista od magii zakładał, że te zdarzenia są powiązane i aby dotrzeć do rękopisu, należy pierwiej złapać tę istotę. Złapaliśmy ją. - Wskazał na skrzynkę. - Jest w środku.

Powiedziano nam, że to wiatrochod. Dość obrzydliwa kreatura.

Mag aż podskoczył na wzmiankę.

- Wiatrochod? Naprawdę istnieje? Jest pan pewien?

- Niczego już nie jesteśmy pewni, sir - zauważył sucho von Orven. - Nasz mag okazał się nieźrównoważonym na umyśle mordercą. Potwór może wwiercać się w ludzi, a ponadto napadł w bardzo drożny sposób na pewną młodą damę. Złapaliśmy tę bestię, ale rękopis nigdzie się nie pojawił, a teraz pułkownik Delacroix tłumaczy nam, że powinniśmy zwalczać ludzi wysłanych przez Kościół katolicki. Proszę, niech pan nie pyta, czy jesteśmy czegoś pewni. Może pan mógłby rzucić trochę światła na tę sprawę. Bylibyśmy za to wdzięczni.

Nagle zerwał się, stanął przed Udolfem, zastawiając mu drogę do skrzynki, i pomachał ręką przed twarzą przyjaciela.

- Zostaw to, Udolf! Znowu lunatykujesz.

Von Gorenczy cofnął się o krok i uśmiechnął krzywo, z lekka zawstydzony.

- Cholerna bestia. - Odwrócił się w stronę nowo przybyłego. - Może pan mógłby coś z tym zrobić, sir? Zdaje się, że ten potwór mnie przyciąga. Chyba może wpływać na moje myśli.

McMullen skinął głową.

- To potrafi większość feyonów. Choć to dość niezwykle, że wiatrochod potrafi wywierać wpływ pomimo zimnego żelaza. Jak go panowie złapali? Nie sądziłem, że to w ogóle możliwe. - Uniósł jednak rękę, powstrzymując mężczyznę przed wyjaśnieniami. - Chwileczkę. Najpierw powinniśmy zatroszczyć się o niebezpieczeństwa, szczegóły potem.

Obszedł stół, na którym leżała skrzynka, rysując palcem znaki w powietrzu. Wokół skrzynki pojawiła się jakby krystaliczna poświata, która szybko stała się niewidoczna.

Von Gorenczy odetchnął płytko i na miękkich kolanach opadł na fotel. Spojrzał zakłopotany na towarzyszy broni w nadziei, że nie zauważyli tej chwili słabości. Nikt nie skomentował jego zachowania.

Jedynie Szkot podszedł, wyławiając z kieszeni metalowy przedmiot.

- Pozwoli pan, podporuczniku? - I zanim szwoleżer miał szansę odpowiedzieć, mag przycisnął przedmiot do czoła Udolfa. Nic się nie wydarzyło.

McMullen schował artefakt.

- Jest pan bezpieczny, podporuczniku von Gorenczy. Wiatrochod pana nie tknął. Nie ma żadnych zmian w pańskiej aurze.

- Skąd pan to może wiedzieć? - zapytał zatroskany von Gorenczy, trochę nieszczęśliwy z powodu uwagi, jaka się na nim skupiła.

- Bo w przeciwnym wypadku zareagowałby pan prawdopodobnie bardzo gwałtownie. I byłoby to nieprzyjemne.

- I zapewne zaaplikowałby pan naszemu specjalście kilka ciosów - skomentował Delacroix z lekkim uśmiechem, po czym zwrócił się do maga: - Niech pan spróbuje ze mną. Chciałbym być pewien. Ta bestia raczyła we mnie wpełznąć.

- Wielki Boże! - wykrzyknął mały Szkot. - Jak udało się panu go przekonać, by opuścił ten wymarzony azyl?

- Pułkownik Delacroix wbił sobie w ramię sztylet z zimnego żelaza - wyjaśnił von Orven.

Mistrz pokiwał głową.

- Przykra sprawa. Ale to była jedyna możliwość. Młody człowieku - zwrócił się do Asko - niech pan będzie tak dobry i przytrzyma pułkownika, gdy będę go dotykał. Widzi pan - uśmiechnął się - widywałem już, jak Delacroix obijał Bogu ducha winnych ludzi tylko dlatego, że ma paskudne odruchy.

Von Orven bez słowa stanął za sofą i położył ręce na ramionach Delacroix. Prawe ramię trzymał dość mocno, lewego zaś dotykał tylko lekko, by w razie gdyby pułkownik wykonał gwałtowny ruch, powstrzymać go w porę. Delacroix przygotował się na ból, ale ten nie nadszedł. Metal pozostał zimny.

- Też żadnych zmian - skomentował mag. - Jak na razie wszystko w porządku, choć wygląda pan jak rozgotowany haggis. Jestem pewien, że w ogóle pan nie spał.

- Żaden z nas nie spał - odparł Delacroix. - Mamy za sobą dwie obfitujące w wydarzenia doby. - No i parę zagadek do wyjaśnienia.

Mimowolnie powrócił myślami do Corrisande, do jej delikatnego ciała, które z taką brutalnością obejmował, i do łez, które spływały po policzkach kobiety. Łatwa dziewczyna dobrze by wiedziała, gdzie kopnąć, by się uwolnić. Choć równie dobrze mogła to być gra, perfekcyjne przedstawienie jeune fille innocente. Delacroix odsunął od siebie te myśli. Nie pora na wspominki. Mag przyglądał mu się z zaniepokojoną miną. Po czym odwrócił się do pozostałych oficerów.

- Czy któryś z panów jest ranny? - Przyjrzał się Asko. - To dość wstrętny krwiał.

- To tylko siniak. Nic, czym warto by się przejmować. - Asko był wyraźnie zakłopotany. Teraz gdy przypominał sobie szczegóły, nie czuł się już tak pewnie. Jak to możliwe, że ta istota po prostu uniosła go i cisnęła przez całe pomieszczenie? Na myśl o dotyku potwora von Orven poczuł dreszcz.

- Trzeba się przygotować, skoro oczekują panowie magicznego ataku. Wolałbym, żeby każdy trochę się przespał. Na zmianę. Będę potrzebował panów pomocy, życzyłbym sobie zatem, aby byli panowie czujni i uważni. Poza tym chciałbym jeszcze usłyszeć dokładniej, co tu zaszło. - Spojrzał na Delacroix. - Pan powinien się przespać pierwszy, choć kilka godzin. Zabezpieczę magią pańskie drzwi i okna. - Podszedł do pułkownika i wskazał na jego ramię. - Nie mogę uleczyć pańskiej rany, ale przez najbliższe dwa dni nie powinna panu sprawiać kłopotów. Niech więc pan idzie spać. Obudzimy pana, gdy zajdzie potrzeba. Ma pan na sobie swój ochronny amulet? - Nie.

- A dlaczego nie? Dałem go panu na wypadek takich właśnie okoliczności. Wiem, wiem, przeszkadza panu. Ale powinien pan być rozsądny.

Von Orvena dziwiło niepomierne, w jaki sposób ten mały człowiek traktuje tak surowego pułkownika. Swobodne zachowanie świadczyło o długiej przyjaźni.

- Dałem go Cerise. Potrzebowała go.

- Och. Ona też tu jest? Cudownie. Musiało mnie sporo ominąć. Pewnie było wesoło i ciekawie - zauważył oschle mag. - Bez wątplenia działaliście w doskonałej harmonii.

Delacroix darował sobie odpowiedź.

- Idę spać - oznajmił. - Moi panowie, proszę opowiedzieć panu McMullenowi o wszystkim, co się stało. Później dodam resztę szczegółów. Jak się obudzę.

- Nie może być żadnej reszty szczegółów - zauważył von Orven z lodowatą uprzejmością - chyba że pan jeszcze coś przed nami przemilczał.

- A tu ma pan rację - Delacroix nie dał się sprowokować do kłótni. - Mogą panowie powiedzieć wszystko. Idę spać. - Wstał. - Niech mnie panowie obudzą za dwie godziny. Wtedy zmienię któregoś z panów. Zasłużyliśmy na trochę odpoczynku. Dobra robota, moi panowie. - Dotarł już do drzwi, ale zatrzymał się w progu i zwrócił do maga: - I jeszcze jedno. Zechciałby pan może sprawdzić, co to za krew pod drzwiami von Gorenczy'ego? Zdaje się, że kogoś zraniliśmy, ale nie wiemy kogo. Myślę, że to...

- Dobranoc - przerwał mu McMullen. - Kiedy wchodziłem, pod tym drzwiami nie było żadnej krwi. A poza tym pańscy przyjaciele mogą mi wszystko wyjaśnić.

Nie wszystko, pomyślał Delacroix. Nie wszystko. Nie wiedzą o rzucającej nożami księżniczce podziemia i jej możliwym uwikłaniu w tę sprawę. Delacroix opowie o tym McMullenowi, gdy będą sami. Jakoś nie potrafił zdradzić dziewczyny. Pułkownik miał skrupuły, do jakich zwykle się nie przyznawał.

Nie wiedział, co myśleć. Nie podobało mu się, że czuł się bezradny i niezdecydowany. Wezbrała w nim złość, gotująca się pod cienką warstwą opanowania.

Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

## Rozdział 57

Ojciec Emanuele był wściekły. I rozczarowany do głębi. Gdy wrócił do pokoju, brat Michael nadal leżał nieprzytomny. Padre potrząsał bratem, oblewał go wodą, ale żaden z tych sposobów nie dawał rezultatu. Chrześcijański mag był daleko stąd, na wpół w śpiączce, nieosiągalny.

Kapłan wiedział, czym była wywołana magią utrata świadomości. Będzie potrzebował mistrza sztuk tajemnych, by obudzić brata Michaela. Albo będzie musiał sięgnąć po bardziej radykalne metody. Pomóc mógł niemożliwy do zniesienia ból. Coś, co pozwoli ciału zareagować instynktownie.

Widywał już ludzi, których wybudzano takimi potwornymi sposobami. Ale wołałby nie uciekać się do drastycznych metod. Brat Michael był wartościowym członkiem Bractwa. Ojciec Emanuele nie chciał ryzykować jego życia.

Przez atak znalazł się w dość przykłej sytuacji. Stracił możliwość manipulacji wydarzeniami, nie mógł ich naginać do swej woli. Padre potrzebował mistrza sztuk tajemnych. Giuseppe stanowił nikłą pomoc. Jego ekstremalna nienawiść sprawiała, że myślał tylko o jednym - a przez to nie można było na nim polegać.

Poza tym Giuseppe zniknął. Prawdopodobnie był na trzecim piętrze i szukał tej dziewczyny. Jego głupkowaty upór był doprawdy godny pożałowania i niebezpieczny. Ojciec Emanuele nieustannie próbował mu wyjaśnić, że bezpośrednie wkraczanie do akcji nie było dobre w tym momencie. Oby młody mnich o tym pamiętał. Tyle tylko, że gdzie on był?

Ojciec Emanuele nie cierpiał przeszkód. Lubił, gdy plany gładko się spełniały. Zazwyczaj tak było. Ale nie tym razem. Kapłan stracił maga, a inkwizytor włączył się samopas. To osłabiało pozycję Bractwa. Grupa Delacroix miała nie tylko maga, ale składała się też z trzech zaprawionych w walce mężczyzn. Cóż, może uda mu się przeciągnąć obu Bawarczyków na stronę zakonu. Bawaria była katolicka. To znaczyło, że można ich przekonać. Będą się martwić o zbawienie duszy. Wierzyli w wyższość Kościoła katolickiego. Ale padre musi porozmawiać z oficerami na osobności. Nawracania Delacroix nie warto nawet rozważać. Ojciec Emanuele próbował tego, ale bez skutku, a ostra wymiana zdań na oczach jego ludzi, jeśli można by było tak to nazwać, nie przyniosłaby raczej upragnionych



rezultatów. Padre będzie musiał przeciągnąć na swoją stronę tylko Bawarczyków - jednego po drugim.

Szybko przejrzał dossier zaangażowanych w tę sprawę ludzi. Nie było dość czasu, by przeprowadzić szczegółowe analizy, ale monachijska filia Bractwa zrobiła, co mogła, by dostarczyć przynajmniej minimum informacji. Podporucznik von Orven był obiecujący. Absolutnie porządny, prostolinijny młody mężczyzna. Zawsze robił to, co właściwe, życiorys miał nieskazitelny, podobnie zresztą jak karierę. Żadnych potajemnych romansów, niczego, co by go naprawdę obciążało. Spełniał swój obowiązek, bo takie miał usposobienie, na dodatek nie lubił magii i wszystkiego, co nienaturalne. To można wykorzystać. Łatwo będzie przekonać Asko von Orvena i przeciągnąć go na swoją stronę. Doskonały materiał wyjściowy na przyszłego przyjaciela i pomocnika Bractwa.

Von Gorenczy okazał się bardziej problematyczny. Jego życie było pasmem spontanicznych potrzeb i życzeń. Nie należał do ludzi moralnych, ale przypuszczalnie nie był też zbyt podejrzany czy niegodziwy. Po prostu podchodził do życia z nonszalancją. Miał dużo romansów i Bóg wie, że z pewnością ciężko byłoby je nazwać skrytymi. Nie przechwalał się swoimi podbojami, ale nie wysiłał się też zbyt, by je ukrywać. Toczył pojedynki, które były sprzeczne z prawem, zarówno państwowym, jak i kościelnym. Nie przejmował się ani jednym, ani drugim. Bez wahania stawiał czoła każdemu niebezpieczeństwu, dopiero później zadawał pytania. Przekonanie go, by zmienił strony, będzie trudniejsze, ponieważ honor i lojalność były u szwoleżera silniejsze niż uczucia religijno - moralne. Być może szantaż okaże się skuteczny. Rozprawa sądowa zaszkodziłaby zarówno von Gorenczy'emu, jak i jego rodzinie.

Śpiewaczka prawdopodobnie także była katoliczką. Ojciec Emanuele nie wierzył jednak, że miała dość wpływów, by móc manipulować dalszym przebiegiem wydarzeń. Niestety, kobieta była sławna. Bardziej opłacało się angażować ludzi, za którymi nikt by nie tęsknił, gdyby coś poszło nie tak. Zawsze przecież istnieje możliwość, że ktoś nie będzie chciał współpracować i że trzeba go będzie powstrzymać, by nie wyjawiał rzeczy, które nie powinny wydostać się na światło dzienne.

Myśl o tym, by zostawić śpiewaczkę, tę babilońską dziwkę, w spokoju, budziła w ojcu Emanuele niechęć. Ryzyko było jednak

większe niż ewentualne korzyści. Trzeba postępować logicznie. Zapewne można by ją szantażować groźbą ujawnienia romansów, ale większość opinii publicznej nie byłaby zdziwiona, że ludzie sceny wiodą nieprzyzwoite życie. Konserwatywna publiczność mogłaby okazać niesmak, ale prawdopodobnie nie zaszkodziłoby to w żaden sposób karierze panny Denglot. Szkoda. Całkiem możliwe, że dawna kochanka Delacroix słyszała już trochę o Bractwie. Nie wiadomo jednak, co pułkownik jej opowiedział i jak mocno nabrała uprzedzeń.

Padre przyjrzał się swoim notatkom. Niezależnie od tego, jakie decyzje podejmie, najpierw musi znaleźć Giuseppe. Miał nadzieję, że braciszek nie wpędził ich w jeszcze większe kłopoty. Nigdy nie wiadomo, co zrobi ten szaleniec.

Ojciec Emanuele odłożył notatki i zamknął je w walizce. Na wyjaśnienie swoich wątpliwości będzie musiał trochę poczekać. Nawet na reakcję tutejszej filii Bractwa należało trochę poczekać. Schronienie Fraternitas Lucis znajdowało się na północno - wschodnich przedmieściach, w dzielnicy St. Anna, nazwanej tak od tamtejszego kościoła i klasztoru. Bliskość kościoła i pobożnych kobiet zapewniała bawarskiemu centrum Bractwa dobry kamuflaż. Nie wydawało się niczym więcej niż jedną z wielu kościelnych instytucji, zaś jeśli ktoś rozumiał znaczenie motta nad bramą: „Nam mysterium iam operatur iniquitatis”, miał powody, by je znać.

Kapłan wiedział jednakże, że w tej chwili przebywała tam tylko mała grupa braci, z których zaledwie jeden mógł się wykazać śladowym talentem magicznym. Do pięt nie dorastał bratu Michaelowi. Ale przy odrobinie szczęścia nawet tak słabe uzdolnienia wystarczą, by wybudzić nieprzytomnego maga z omdlenia. W tym celu należałoby jednak wysłać go do St. Anna. Ksiądz i dwóch mnichów w luksusowym hotelu i tak już przyciągali zbyt wiele zdziwionych spojrzeń, a choć hotel powoli się wyludniał, ojciec Emanuele nawet teraz wolał nie rzucać się w oczy.

Rozległo się pukanie. Kapłan wstał powoli, sprawdził swój ochronny amulet i ostrożnie otworzył drzwi, jednak nie na tyle szeroko, by można było zajrzeć do pokoju i zobaczyć leżącego w nim brata Michaela. Na korytarzu stał boy hotelowy. Wyglądał na bardzo zaniepokojonego.

- Wielebny - powiedział - pewna dama jest bardzo chora. Jej rodzice zażądali księdza.

Emanuele był księdzem. Musiał się liczyć z tym, że od czasu do czasu trzeba wypełnić duszpasterskie obowiązki. Tyle tylko, że akurat teraz zupełnie nie pasowało to do jego planów.

- Nie ma żadnego księdza, który byłby odpowiedzialny za tutejszą parafię?

- Wielebny, ta rodzina boi się, że może to trwać za długo. Dama jest bardzo chora.

Chłopak był wyraźnie zdenerwowany. Jego pozostałe obowiązki, jak noszenie bagaży i przekazywanie informacji, nie przygotowały go na takie sytuacje.

Ojciec Emanuele wyszedł i zamknął za sobą drzwi na klucz. Młodzieniec ruszył już korytarzem i był o kilka kroków przed nim.

- Proszę, wielebny! - zawołał. - Bardzo proszę, tędy. To na tym piętrze. Proszę iść za mną.

Słowa wymawiał z afektacją i trochę zbyt przemądrzale, jak na swój wiek.

- Już, mój synu - zapewnił go ksiądz Emanuele. - Idź przodem!

Chłopak skręcił korytarzem w prawo. Zza otwartych drzwi wyjrzał nerwowo jakiś mężczyzna. Miał około pięćdziesiątki, zaś niepokój na jego twarzy nakazywał przypuszczać, że chora musiała być jego krewną.

Od razu się przedstawił:

- Grotian. Nazywam się Grotian. Dziękuję, że od razu ksiądz przyszedł, wielebny. Jesteśmy strasznie zatroskani. To moja córka. Byliśmy na dole napić się herbaty i wtedy jeszcze wszystko było dobrze. Później chciała się przebrać do kolacji i poszła na górę, do pokoju. I już nie wróciła. Gdy nie przychodziła, moja żona postanowiła zobaczyć, co się dzieje, i znalazła ją leżącą bez życia. Bardzo się martwimy.

Wprowadził duchownego do pokoju. Młoda, piękna kobieta leżała na łóżku. Rozpięto jej suknię, by ułatwić oddychanie. Przy niej siedziała bogato ubrana dama w średnim wieku, zalana łzami, ściskając kurczowo w rękach różaniec.

- Wysłaliśmy po lekarza, ale moja żona koniecznie chciała... - ojciec dziewczyny nie dokończył zdania.

Padre spojrział na młodą kobietę. Jej piersi unosiły się i opadały, jednak oddech miała płytki i ciężki. Była niezwykle, niemal trupio blada.

Ksiądz dotknął jej czoła i pobłogosławił dziewczynę. Następnie zaczął wyciągać swoje akcesoria.

- Myślę, że umiera - skarżyła się matka. - Nie wiem, co robić. Ona umiera! Przecież wcale nie zostawiliśmy jej samej na długo. Co się mogło stać? - Chciała potrząsnąć dziewczyną, ale duchowny zaprotestował.

- Niech ją pani zostawi - powiedział. - Niech pani idzie do sąsiedniego pokoju i tam poczeka. Niech się pani modli. Zawołam panią.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Nie może mnie pan odesłać, wielbny! - oburzyła się. - Moje dziecko umiera. Nie mogę zostawić jej samej!

- Zaraz przyjdzie lekarz i ona z pewnością nie umrze - Grotian próbował uspokoić swoją żonę.

- I sama też nie będzie. Bóg jest z nią. Więc proszę, niech pani przejdzie teraz do sąsiedniego pokoju i modli się za córkę - nakazał ojciec Emanuele i odesłał wystraszonych rodziców pobożnym gestem.

Grotian pociągnął żonę za drzwi. Dziwne, pomyślał ojciec Emanuele, kobiety uważane są za słabszą płęć, ale zazwyczaj trudniej było nad nimi panować. Mężczyźni skłaniają się raczej ku temu, by natychmiast spełniać zachcianki dam.

Ostatnie namaszczenie. Ojciec Emanuele miał sporo doświadczenia. Jego szczególna rola w Kościele sprawiała, że udzielał tego sakramentu częściej niż inni. Nikogo jeszcze nigdy nie zaślubił i nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni kogoś ochrzcił. Ochrzcił Delacroix. Ale wtedy pułkownik był dziewięcio- albo dziesięcioletnim wyrostkiem. Padre nie potrafił sobie przypomnieć, dlaczego takie właśnie imię wybrał dzieciakowi. Wydawało się pasować. Ojciec Emanuele przyprowadził chłopaka do schroniska Bractwa, po tym jak jego mnisi szturmem zdobyli świątynię i uwolnili ludzką ofiarę. Chrzcielnicy Bractwa częściej używano dla dorosłych niż dla dzieci. To był raczej basen niż misa z wodą. Trzy razy całkowicie zanurzył małego Felipe i za każdym razem trzymał go dłużej w święconej wodzie, by się upewnić, że duchowe oczyszczenie

zmyje z wyrostka podłość i zło. Młodzieniec przeżył to z Bożą pomocą, zaś ojciec Emanuele pokładał w nim wielkie nadzieje.

A jednak chrzczenie nie należało do jego głównych zadań.

To raczej śmierć stanowiła obszar działań ojca Emanuele. Dlatego nie wierzył, że ta młoda kobieta umiera. Była omdlała i może trochę osłabiona, ale na jej ustach błąkał się osobliwy uśmiech, a twarz zrosił pot.

Kapłan sięgnął po swoje szkło powiększające i zbadał szyję nieprzytomnej. Były tam dwie dziurki, nie większe niż ugryzienia pcheł - i za takie by je bez wątpienia uznał każdy, kto nie posiadał specjalnej wiedzy. Dziewczyna została ugryziona. Wyssana. Nie do końca, ale znacząco. Ktokolwiek to zrobił, starał się zachować ostrożność. Rany były zaleczone, a ofiara wciąż żyła. Jeszcze.

Wampir. Ze wszystkich Si ich nienawidził najbardziej. Grzeszne, uwodzicielskie stworzenia, które żyły dzięki krwi innych i które zarażały ich lubieżną niegodziwością. Żyły tylko dla przyjemności, były jak żmije, nie tylko uwodziły, ale opanowywały też dusze. Należało je wytepić, były szkodnikami. Zatrwały ciało i umysł swoimi czarami. Napadały na ofiary i niepokoily je nieproszone, wypełniały zepsutą cielesną żądzą i pożądaniem, wysysały krew i życie z tych, których wybrały. Czasami wampiry zachowywały dość rozsądku, by nie zabijać ofiar i unikać podejrzeń. Jak w tym przypadku.

Lepiej, żeby dziewczyna umarła. Ale ona przeżyje, kapłan był tego pewien. Przeżyje i nie będzie umiała przypomnieć sobie napaści. Ale jej ciało zapamięta pełną żądzę rozkosz i będzie chciało wciąż na nowo zaznawać tego z innymi mężczyznami. Zło już zamieszkało w tej kobiecie. Była zepsuta, straciła niewinność.

Ukląkł przy posłaniu i pobłogosławił dziewczynę, by oczyścić jej duszę. Zaczął się przy tym zastanawiać, czy nie byłoby lepiej, gdyby umarła. Po ostatnim namaszczeniu młoda kobieta znajdowała się w stanie łaski. Nie było lepszego momentu, by opuścić świat i udać się do Boga. Teraz ta młoda owieczka była tylko ofiarą. Ale co z niej wyrośnie, jeśli będzie żyć?

Spojrzał na zamknięte drzwi, które dzieliły go od rodziców. To oni wezwali ratunek. A ojciec Emanuele potrafi uratować ich córkę. Dziewczyna nie może się bronić. Poduszka przyciśnięta do twarzy powinna wystarczyć. Powołaniem kapłana było uwalnianie ludzi od

wpływu tego, co nieczyste. Wolałby nie robić tego sam, ale to bez znaczenia. Ważne, że robił to w imię wyższych celów.

Jeśli zajdzie taka potrzeba, winą za śmierć dziewczyny obarczy się wampira. A jeżeli ojcu Emanuele uda się przekonać tych ludzi, prawdopodobnie pomogą mu w polowaniu na terenie całego hotelu. Potrzebował pomocy. A Bawaria była katolicka. Ludzie uwierzą i pójdą za kapłanem. Manipulowanie wzburzonym tłumem nie było trudne, jeśli władało się odpowiednią techniką, ojciec Emanuele zaś w manipulowaniu ludźmi osiągnął perfekcję.

Wziął poduszkę i jeszcze raz spojrzął na bladą twarz. Atrakcyjne dziewczę. Wampiry miały dobry gust. Młoda i naturalna, pączkująca piękność, dostatecznie dojrzała, by można było ją wypaczyć. Padre zastanawiał się, co jeszcze oprócz krwi ukradło dziewczynie to stworzenie. Prawą ręką nakreślił nad nieprzytomną znak krzyża, lewą zaś przycisnął poduszkę do jej twarzy. Nie broniła się.

I wtedy zapukano do drzwi. Ojciec Emanuele miał akurat tyle czasu, by cofnąć poduszkę. Oddech dziewczyny stał się teraz ciężki i świszczący.

Do pokoju zajrzał starszy mężczyzna.

- Przyszedł lekarz - oznajmił.

- To dobrze - odpowiedział ojciec Emanuele i uśmiechnął się pobożnie. - Powinniśmy się teraz modlić o powrót do zdrowia pańskiej córki. - Wstał i razem z Grotianem przeszedł do drugiego pokoju, podczas gdy matka została z lekarzem.

Ojciec Emanuele zawiódł. A może jednak nie. Kto wie? Niezbadane są ścieżki Pana.

## Rozdział 58

Gdy Cerise znów się obudziła, nastał już świt. Przez szczelinę w zasłonach wpadało rozproszone, szare światło. Ciemnowłosemu mężczyźnie obok zdawało się to nie przeszkadzać.

Czuła rękę na piersiach, ciepłą, delikatną, opiekuńczą. W następnej chwili Cerise uświadomiła sobie, jak głośno bije jej serce, jak pompuje krew, krew, którą mężczyzna kiedyś będzie chciał wypić.

- Torlyn - wyszeptała, delektując się tym, jak pieścił jej piersi.

- Tak, moja piękna?

Przesunęła palcami po jego włosach.

- Nie ugryzłeś mnie - wydusiła. Ta sprawa nie dawała jej spokoju. A jednak to też było częścią uroku tego kochanka.

- Nie, nie ugryzłem.

- Nie chcesz?

Usłyszała, jak jego oddech przyspiesza.

- Ależ tak, nawet bardzo. Ale nosisz ten wisiorek.

- Myślałam, że to cię nie może powstrzymać. - Nagle poczuła strach, że wampir ją okłamuje. Za jednym kłamstwem mogły kryć się następne.

- Nie przeszkadza mi cię ugryźć. Przeszkadza mi manipulować twoimi uczuciami i nie pozwolić, byś odczuwała ból. Zęby są znacznie grubsze od igieł. Nie mogąc chronić cię moją sztuką, zadałbym ci bardzo dużo bólu.

- Już raz mnie ugryzłeś. W pierwszej chwili bolało.

- Ale później się tym delektowałeś - to było stwierdzenie, nie pytanie. Jego uśmiech był dość dziwny.

- Tak - przyznała. - Później się tym delektowałam. Uniosła rękę do jego ust i pogłaskała je wierzchnią stroną nadgarstka. Mężczyzna z drżeniem wciągnął powietrze.

- Zrób to - zażądała Cerise. - Chcę wiedzieć, co robisz ludziom.

Chwycił jej przedramię i odsunął od swych warg.

- To głupie, Cerise. Będzie cię jedynie bolało, a nie chcę zadawać ci bólu. Nie kuś mnie. Nie jestem z kamienia.

- Zrób to - powtórzyła. - Chcę wiedzieć.

- Myślę, że lekceważysz rany, jakie to powoduje, najdroższa.

- Mówiłeś, że tu chodzi o odwagę, prawda?

- Tak, ale nie miałem na myśli zuchwałości. Nie chcę, abyś znów się mnie bała.

Puścił jej rękę i pogłaskał włosy. Minęło kilka chwil.

- Czy panowanie nad sobą, by mnie nie ugryźć, dużo cię kosztuje? - zapytała wreszcie Cerise. Musiała wiedzieć więcej, choć była przekonana, że czułaby się znacznie lepiej, gdyby nie urzeczywistniła tej kwestii, ubierając ją w słowa, lecz po prostu mogła ją ignorować. Tyle tylko, że tego, czym był Torlyn, nie dało się zignorować.

- Owszem, kosztuje mnie to trochę wysiłku - przyznał. - Polowałem jednak wczoraj. Nie jestem wygłodzony. W tej chwili czuję pociąg, nie apetyt.

Zadrżała. Myśl o tym, że mógłby ją postrzegać jedynie jako pożywienie, jako potrawę lub danie, nie należała do zbyt przyjemnych. Czy Cerise była dla Torlyna tylko naczyniem pełnym krwi?

- Teraz sprawiłem, że się boisz. - Pogłaskał ją po twarzy paznokciami.

- Troszkę - przyznała Cerise. Próbowwała nie myśleć o tym, kogo mógł ugryźć i co się stało z ofiarami, jego zdobyczą, jego posiłkiem. Powiedział, że nie zabija bez powodu. Miała nadzieję, że takie powody się nie pojawiły. - A jednak chcę wiedzieć.

Ponownie uniosła rękę do ust wampira, próbując nie zatopić się w głębi jego oczu.

- Mówiłeś, że mnie kochasz - ciągnęła - i myślę, że ja ciebie też. Nie chcę kochać cię ślepo. Chcę wiedzieć, kim jesteś i co robisz.

Znów chwycił jej ramię. Tym razem go nie odsunął.

- Jesteś pewna? - zapytał.

- Absolutnie - nie przyznała się, że kłamie.

Jego spojrzenie prześliznęło się z twarzy Cerise ku jej ręce. Pocałował opuszki palców kobiety, a później wewnątrz dłoni. Wyczuł puls. Odszukał jej spojrzenie. Jego oczy zdawały się jeszcze bardziej zagadkowe. Roześmiał się, a ona zobaczyła, że jego zęby, jego równe, białe zęby nagle zmieniły się, wydłużyły w niebezpiecznie wyglądające kły. Długie i spiczaste. Cerise przełknęła ślinę.

A potem krzyknęła.

Miała uczucie, jakby wbito jej w rękę nożyczki i rozrywano nimi ciało. Ból był nie do zniesienia.

Torlyn puścił ją, machając rękoma. Z sercem wypełnionym strachem odwróciła się od niego, próbując uwolnić. Nagle Cerise



uświadomiła sobie ze zgrozą, że nie leży obok ludzkiego mężczyzny. Leżała obok drapieżnika, który ją rozszarpie i wypije krew. Chciała uciekać, jednak strach spowolnił jej i tak niezborne ruchy i Cerise nie udało się opuścić łóżka.

Wampir złapał ją i zatrzymał w mocnym uścisku.

- Nie broń się - intensywność jego głosu sprawiała, że słowa brzmiały jak rozkaz. - Już po wszystkim. Wszystko dobrze. Nie bój się.

Próbowała się uwolnić, ale trzymał ją kurczowo, uniemożliwiając ucieczkę. Cerise wiedziała, jaki jest silny, ale nie przewidziała, jak bardzo okaże się wobec niego bezbronna. Niemal nie była w stanie oddychać. Próbowała cofnąć zranioną rękę. Krew spływała po jej przedramieniu.

- Daj - rozkazał i bez trudu złapał jej dłoń. - Nie broń się. Przestań. Nie walcz już. Jesteś bezpieczna. Proszę. Musisz mi zaufać.

Przyciągnął jej rękę do ust, a Cerise niemal znów zaczęła krzyczeć. Ale wampir nie ugryzł.

- Muszę zatrzymać krwawienie - wyjaśnił. - Zaplamisz łóżko.

Polizał jej nadgarstek i rany się zamknęły. Jego wargi przesunęły się po skórze, gdy lizał krew. Zęby drapały Cerise, ale jej nie zraniły.

- Przykro mi - powiedział wampir. - Uwierz, przykro mi. Ostrzegałem cię.

Powoli znów wracał jej oddech.

- Mon Dieu! - rzuciła, nieświadomie przechodząc na swój ulubiony język. Potem powoli wypuściła powietrze. - Wielki Boże!

Leżeli jakiś czas bez ruchu, ramiona mężczyzny więziły Cerise w żelaznym uścisku.

- Czujesz się już lepiej? - zapytał. Skinęła niepewnie głową.

- Jesteś zatrwającą mężczyzną, Torlyn - wyznała w końcu.

Jego uścisk stał się łagodniejszy.

- Wiem. - Pocałował ją. - Jestem też niebezpiecznym mężczyzną. Nie kuś mnie tak nigdy więcej.

Sięgnęła do zapięcia swego wisiora, nie mogła go jednak odpiąć. Za bardzo drżały jej ręce.

- Pomóż mi - poprosiła. Spojrzał na nią zaskoczony.

- Jesteś pewna?

- Całkiem pewna - znów kłamstwo. Nie była pewna, czy nie popełnia największego głupstwa w swoim życiu. Niemal mogła

usłyszeć w wyobraźni Delacroix, jak mówi, by dała sobie spokój i nie robiła z siebie kompletnej idiotki. Ale musiała to wiedzieć.

W pół sekundy odpiął jej wisiołek i odłożył za sobą na nocny stolik.

- Jeszcze jedno - powiedziała. - Przyrzeknij mi, że nigdy nie sprawisz, bym tego nie pamiętała. Przysięgnij!

- Na mój honor Si. Chcę, abyś nigdy nie zapomniała tej nocy.

Przetoczył ją na plecy i opuścił się na nią. Następnie chwycił jej nadgarstek i przytrzymał mocno obok jej głowy. Teraz Cerise nie była w stanie się poruszyć i walczyła z narastającym w niej lękiem. Znalazła się całkowicie we władzy wampira. Nie mogła już zmienić decyzji ani go powstrzymać przed zrobieniem tego, co zamierzał. Niedobrze. Nigdy nie powinna była na to pozwolić. Nogi mężczyzny szukały miejsca między jej nogami, rozchyliły je i choć Cerise знаła już jego ciało i było jej dobrze, gdy Torlyn w niej był, teraz czuła się bezbronna.

Jego uśmiech zmieniał się, w miarę jak wydłużały się zęby.

Pochylił głowę nad szyją Cerise. Jego oczy zabłyśły głodnym pożądaniem. Wyglądały inaczej, skupione, zapatrzone w cel i zachłanne.

Kobieta znów chciała krzyczeć z przerażenia. Serce skurczyło jej się ze strachu i zabiło głośno, jakby przeczuwało, że krew, którą pompuje, za chwilę będzie należeć do kogoś innego.

A potem strach zniknął. Cerise odwróciła głowę na bok, nadstawiając szyję i ułatwiając wampirowi dostęp do żył i tętnic. Torlyn pocałował jej gardło, jego usta delikatnie pieściły jej skórę i w końcu poczuła lekkie drapnięcie, słabiutki ból, gdy się wgryzł, i było to niesamowicie erotyczne doznanie. Puls Cerise przyspieszył z podniecenia. Czuła, że pragnie tego mężczyzny niepohamowanie, że tęskni, by ją zdobył, by mogła mu dać wszystko. Miała nadzieję, że to uczucie nigdy się nie skończy, że będzie trwało, że będzie jej przynosić coraz większe spełnienie, spełnienie, które sprawiało, że całe jej ciało pulsowało w dzikim oczekiwaniu i bezgranicznym pożądaniu.

Wampir pocałował jej szyję i zaleczył ranę. Cerise wydawało się, że czuje, jak Si opuszcza jej myśli.

Na jego ustach połyskiwały krople krwi. Jej krwi. Uśmiechnął się, odsłaniając długie zęby.

A potem puścił nadgarstki Cerise, przetoczył się na plecy, wciąż trzymając ją w ramionach, tak by leżała teraz na nim. Mogła uciec, gdyby chciała, co zdradzało, jak bardzo był pewien, że sprawił jej przyjemność, i jak bardzo ufał w jej odwagę.

Jakiś czas leżeli w bezruchu.

- To było niesamowite - odezwała się w końcu Cerise. - I bardzo niepokojące.

Roześmiał się, a jego zęby były znów proste, równe - i przede wszystkim małe. Pieścił Cerise, głaszcząc powoli jej plecy i za każdym razem sięgając coraz niżej, niżej, aż tam.

- Jesteś wyjątkowo smaczna - powiedział. - Dziękuję ci. Dosiadła go na jeźdźca i dotknęła swej szyi. Miejsce, gdzie ją ugryzł, było trochę wrażliwsze. Później sprawdziła swój nadgarstek. Dwa małe ukłucia komara na skórze tuż nad niebieską żyłą.

- Sprawiasz, by ludzie rozkoszowali się twoim ugryzieniem - stwierdziła. - Wszystkim sprawia to aż taką przyjemność?

Wampir wzruszył ramionami, a jego uśmiech stał się szerszy.

- Uważam, że skoro dają mi krew, to zasługują, by mieć w zamian trochę przyjemności, nie sądzisz? W przeciwieństwie do ciebie nie pamiętają jednak tego, co się stało. Po prostu budzą się nagle i czują lekkie odurzenie, nieznaczne zmęczenie i może trochę podniecenie.

- Nie walczą z tobą, lecz dobrowolnie dają ci to, co mają. Przed chwilą dałam ci w prezencie moje życie.

- Nie chcę twego życia, Cerise. - Łagodność jego głosu harmonizowała z delikatnością rąk, które przesuwały się właśnie po jej udach.

- Już to raz mówiłeś. A jednak moje życie spoczywa w twoich rękach. Jesteś jeszcze bardziej przerażający, niż myślałam, Torlynie.

- Prawdopodobnie jestem też niebezpieczniejszy, niż możesz sobie wyobrazić. Ale będę na ciebie dobrze uważał, moja piękna.

Spojrzała na jego nienaganne, regularne rysy. Tajemnicze oczy były półprzymknięte, długie, wygięte rzęsy rzucały cień na policzki. I miał arystokratyczny nos. Trudno było się oprzeć takiemu mężczyźnie.

Cerise pochyliła się, jakby zamierzała go pocałować, lecz później nagle przesunęła głowę w bok i z całej siły ugryzła go w ramię.

Krzyknął słabo, jakby wystraszony, nie bronił się jednak, ugryzła więc mocniej.

Gdy znów podniosła głowę, zauważyła, że poraniła mu skórę. Na ramieniu wampira widać było głębokie ślady po zębach, a nawet kilka kropli jasnej krwi.

Wyglądał na rozbawionego.

- Zakładam, że zasłużyłem sobie na to. - Spojrzał jej w twarz. - Masz krew na wargach, moja piękna. Dobrze ci z tym.

Oblizła usta.

- To było... - przerwała, jakby się nad czymś zastanawiając - absolutnie obrzydliwe.

Roześmiał się, Cerise zaś widziała, że jego zadrapania zdażyły się już zagoić. Po ugryzieniach, które dopiero co mu zadała, nie pozostał ślad.

- Nie każdy może być takim delikatesem jak ty, słodka. - Oblizął usta.

Poruszył się pod nią, szukając wygodniejszej pozycji. Znów był gotów. Wybitnie gotów, jak Cerise mogła stwierdzić.

Wiedziała, że kocha go ponad wszystko. Wzbudzał w niej obezwładniające uczucie rozkoszy, miłości i zrozumienia, że już nigdy nie chce być bez niego. Uświadomienie sobie głębi tych uczuć zaparło jej dech w piersiach.

- Natychmiast przestań! - rozkazała.

- Co? - zapytał niepewnie.

- Stosujesz czary!

- Nie. - Sięgnął do nocnego stolika i podał jej amulet. - Chroń się, moja piękna - powiedział, ona zaś przyjęła amulet i nałożyła na szyję.

Ale nie było żadnej różnicy. Kochała Torlyna z taką samą intensywnością jak wcześniej i wiedziała, że nigdy już nie będzie inaczej. Co on z nią zrobił?

Przyglądał się, ale z wyrazu jego twarzy trudno było coś wyczytać. Zdobył Cerise, podbił - dla siebie. Uświadomiła to sobie nagle. Powinna być wzburzona. Ale tylko pozwalała, by rzeczy się działy, jedna drobna uciecha po drugiej. Wstydziła się trochę, że tak po prostu porzuciła wolność; tę wolność, której do tej pory wytrwale broniła przed każdym, a przynajmniej przed każdym mężczyzną.

- To nie może być dobre - szepnęła. - Nie powinnam cię tak strasznie kochać.

- Chyba nie oczekujesz, że się z tobą zgodzę?
- Nie jestem niczyją zabawką!
- Szanuję i honoruję twoją wolną wolę. Jesteś wolna... i chętna...

W jej obecnej pozycji „nie” byłoby głupią odpowiedzią.

Cerise obudziło później pukanie do drzwi. Pokojówka. Była na tyle mądra, by nie wchodzić. Bałagan w salonie musiał jej zdradzić, że pani nie jest sama. Służąca wiedziała, jak powinna się zachować w takiej sytuacji. Zdarzało się wcześniej, że Cerise miała nocnych gości, i Madeleine, jej niezawodna pokojówka i towarzyszka podróży, nauczyła się już dawno, jak w ogóle nie dostrzegać tych panów. Najwspanialszą cechą Madeleine była spokojna tolerancja, której towarzyszyła małomówna natura. Nie była skłonna do plotek. Choć trochę starsza niż większość pokojówek, nie miała w sobie nic z moralizującej matrony. Ta predyspozycja w połączeniu z wielkim podziwem, jakim darzyła swoją panią, gwarantowała Madeleine stałą i dobrze płatną pracę.

Cerise spojrzała na mężczyznę u boku. Nie spał, może również z powodu pukania do drzwi. Na jego twarzy gościł uśmiech - zadowolenia, szczęścia. Mężczyzna zaspokojony.

Lepiej, żeby tak było. Miał nieopisanie dużo energii. Cerise czuła zmęczenie i choć Bóg wiedział, że miłosne noce nie były jej obce, jej ciało skarżyło się na brak snu i nadmiar fizycznego wysiłku. Nigdy jeszcze nie spędziła nocy z mężczyzną, który w ogóle się nie męczył.

Przetoczył się na bok i pocałował ją. To był czuły pocałunek, niezbyt namiętny.

- Zmęczona? - zapytał i odgarnął jej włosy z czoła.

- Tak - przyznała. - Zamęczyłeś mnie tym kochaniem. Czuję się, jakbym mogła spać przez tydzień. Ale, niestety, to niemożliwe. Mam próbę.

Pogłaskał jej włosy.

- Moja biedna Cerise. - Roześmiał się cicho. - Zupełnie rozbita przez nienasyconego kochanka. Musisz mnie czasem powstrzymywać. Moja fizyczna wytrzymałość znacznie przewyższa tę u ludzkich mężczyzn, u kobiet zresztą też. Po prostu zapominam, że potrzebujesz więcej snu i wypoczynku niż ja. Chcę cię kochać, a nie osłabić.

Roześmiała się.

- W takim przypadku niech Wasza Wielmożność raczy wziąć swą dostojną rękę z miejsca, w które znów zawędrowała. Powinniśmy wstać i coś zjeść. Potrzebuję śniadania.

Spojrzał na nią z poczuciem winy i cofnął rękę. Utrata jego dotyku była niemal bolesna.

Zsunął nogi z łóżka i wstał z gracją, po czym przeciągnął się jak kot.

- To była cudowna noc, najdroższa - powiedział, nie odwracając się ku niej. - Kocham każdą najmniejszą cząstkę ciebie, a naprawdę piękne w tym jest to, że wszystkie te cząstki osobiście już poznałem. Ale masz rację. Musisz jeść i pić, by oddać ciału to, co ci zabrałem i co ci jeszcze zabiorę.

Odwrócił się do niej i podniósł jak lalkę. W pokoju było zimno i stojąc nago, Cerise marzła.

- Mam cię ogrzać? - zapytał. Spuściła głowę.

- Nie, mon amour. Dobrze wiem, czym by się to skończyło, a naprawdę potrzebne mi śniadanie.

Podeszła do umywalki, wampir nalał do miski wody. Umyli się, niezręcznie unikając dotyku. Znów rozległo się pukanie.

- Co takiego? - zapytała Cerise.

- Mademoiselle, jeśli to pani odpowiada, mogłabym podać parę rzeczy, które znalazłam na podłodze w salonie - głos Madeleine brzmiał tak samo neutralnie jak zawsze.

- Chwileczkę - odparła Cerise.

Obejrzała się za swym nocnym gościem. Wtapiał się w cień przy szafce. Gdyby Cerise nie wiedziała, że powinien tam być, nawet by go nie zauważyła.

Nałożyła brokatowy szlafrok i lekko uchyliła drzwi. Gdy znów je zamknęła, trzymała porządnie złożone i świeżo wyprasowane męskie ubranie. Torlyn wziął je od niej.

- Twoja pokojówka to prawdziwy skarb - skomentował i zaczął się ubierać. Przyglądała mu się, sycąc wzrok widokiem jego ciała, jego piękna i elegancji, gdy już się ubrał. Nagle posmutniała. To był jedyny mężczyzna, z którym nigdy by się nie nudziła, ale nigdy go nie poślubi, nie będzie prowadziła normalnego małżeńskiego życia, nie będzie z nim miała dzieci. Do tej pory nigdy jej tego nie brakowało. Na pierwszym miejscu był śpiew. I to się nie zmieniło. Ale ten

człowiek zajął tyle miejsca w jej sercu i stał się zbyt ważny, by go ignorować. Zdawał się taki młody.

- Co znowu? - zapytał łagodnie.

- Och, nic. Zastanawiałam się tylko i... to nic ważnego. Stał przed nią i pogłaskał jej policzek gładką powierzchnią swych paznokci.

- Sprawilem ci ból? - najwyraźniej potrafił dokładnie wyczuć stan Cerise.

- Nie. Doprowadziłeś do tego, że cię kocham. To wspaniałe. Ale ja będę się starzeć, a ty pozostaniesz młody i pójdiesz dalej. Właśnie sobie to uświadomiłam.

Roześmiał się i wziął ją w ramiona.

- Spędziliśmy dopiero pierwszą wspólną noc. Będzie jeszcze wiele takich nocy. Ale to prawda, co powiedziałaś. Ból, który razem będziemy musieli znieść. Nie myśl o tym teraz. Chodźmy zjeść śniadanie.

Pocałował ją w czubek nosa.

- Co jadasz na śniadanie? - zainteresowała się Cerise.

- Na śniadanie jem... nic. Nie chcę odbierać ci jeszcze więcej krwi. Nie teraz, a jest już zbyt jasno, by wyruszyć na polowanie. Po prostu trochę poczekam. Mogę ruszyć na łowy wieczorem. Zaklęcia już nie ma.

- Och - powiedziała. - Vonderbruck pewnie je zdjął. Muszę się dowiedzieć, co wydarzyło się ostatniej nocy. Należę do tej grupy, wiesz?

- Wiem - rzekł, a Cerise obrzuciła go krótkim spojrzeniem.

- Wiesz o wiele za dużo - odparła niespokojnie. - A ja nie wiem prawie nic. Prawdopodobnie mógłbyś wyjaśnić wiele rzeczy, których ja... których my jeszcze nie wiemy.

- Pytaj - stwierdził spokojnie. - Jeśli będę mógł, odpowiem.

Przeszli do salonu. Cerise weszła pierwsza i zaciągnęła zasłony. W pokoju posprzątało. Stół zastawiony był dla dwóch osób, na wózku przy stole stała kawa, rogaliki, sok, południowe owoce i jajka na boczku.

Po Madeleine nie było ani śladu. Wróciła do swego alkierza.

- Boczek i jajka miały być dla ciebie. Madeleine uważa, że po męczącej nocy mężczyźni potrzebują porządnego posiłku.

- To miłe - stwierdził Torlyn i usiadł przy Cerise. Sięgnął po dzbanek i nalał jej kawy. - Chciałaś mnie o coś zapytać.

Przez chwilę milczała, próbując sensownie poukładać w głowie bezładne myśli.

- Weź trochę soku - zaproponował. - Na pewno dobrze ci zrobi.

Posłuchała.

- Chciałabym cię zapytać o kilka spraw, ale nie potrafię sobie tego logicznie poukładać. Przykro mi.

- Och - odpowiedział z lekkim uśmiechem. - Logika jest przeceniana, moja piękna. Nie oczekuję niczego szczególnego. Zaczynaj.

- To coś, co wczoraj złapaliśmy. Co to jest? Odchylił się nieco.

- Si, podobnie jak ja. Inna rasa, ale obaj pochodzimy z Na Daoine - maithe. Ludzie nazywają go różnie. Zazwyczaj żyje we własnym świecie, poza naszą rzeczywistością. W pewnych odstępach czasu może zmieniać poziomy, przybywać na ten świat i wyrządzać nieszczęścia. Macie koncepcję dobra i zła, tego, co moralne i niemoralne, choć to ostatnie podlega raczej najnowszej modzie. Nasza koncepcja jest inna. Kochamy i podtrzymujemy życie albo je niszczymy. To trudne do wyjaśnienia w waszym języku. On należy do niszczycieli.

- A co z tobą? Do kogo ty należysz? - pytanie popłynęło z jej ust, zanim zdążyła się zastanowić. Wampir, spuściwszy wzrok, milczał przez chwilę. Na jego twarzy odmalował się słaby uśmiech.

- Jestem neutralny - odezwał się nareszcie. - Cenię i chronię życie, kocham je i potrzebuję, ale częścią mej natury jest również to, że je zabieram. Próbuję się powstrzymywać. Od czasu do czasu to trudne. Wczoraj niemal zabiłem. W głodzie mnie poniosło. Ale dziewczyna przeżyje. Jest młoda i silna.

Tego Cerise nie chciała wiedzieć. Rogalik nagle zaczął smakować jak piasek. Wpatrywała się w talerz, a później znów podniosła wzrok.

- Zapytałaś - westchnął wampir. - To część mnie, podobnie jak miłość do ciebie. Muszę pić krew. Muszę być syty, gdy do ciebie przychodzę. Chyba to rozumiesz, prawda?

Nagle zrozumiała. Zawsze kiedy ten mężczyzna będzie ją odwiedzał, przyjdzie od innych kobiet, którym się naprzykrzał, które zdyskredytował, obezwładnił, a może nawet zamordował. Przełknęła ślinę. Nagle nie wiedziała, czy będzie w stanie to znieść.



Wampir spojrział na nią uważnie.

- Czy sprawia ci przykrość, że mnie kochasz? - zapytał. - Masz wybór. Mogę sprawić, byś zapomniała. To nie boli. Nie ciebie. Jeśli to zbyt bolesne...

Zastanowiła się. Nie będzie bolało? Utrata go będzie bolała, tak samo jak będzie bolało przypominanie sobie, czym był.

- Nie - powiedziała po chwili. - Może z moralnego punktu widzenia byłoby to właściwe. Ale nie chcę cię zapomnieć. Nigdy więcej. Nie będziemy już o tym mówić. Nie chcę nic wiedzieć o kobietach, które... którym... nie chcę nic wiedzieć o tym, gdzie się żywisz. - Przerwała. - Chcę ci zadać jeszcze inne pytania.

- Tak? - w jego głosie pobrzmiwała rezygnacja.

- Ta istota zaatakowała Miss Jarrencourt. Delacroix chciał, by wskazała im wcześniej, gdzie się ukaże, ale tak naprawdę pełniła rolę przynęty. Czego to coś od niej chciało?

- Parzyć się. Do tego niemal zawsze potrzeba dwojga. Sam nie potrafi stwarzać życia, nawet własnego rodzaju. On również potrzebuje do tego samicy. Ciało, w którym mogłoby dojrzewać potomstwo. Miss Jarrencourt idealnie się do tego nadaje. Jest w dostatecznym stopniu Si, by móc przyjąć jego nasienie, a jednocześnie na tyle człowiekiem, by nie mogła go zwalczać.

Cerise patrzyła na kochanka z otwartymi ustami.

- Czym ona jest?

- Och - mruknął ponuro. - Myślałem, że wiesz. W przeciwnym wypadku bym milczał. Dla mnie jest to tak jednoznaczne... Zapomniałem, że nie możesz tego poczuć.

Cerise zmusiła się, by upić jeszcze trochę kawy, zanim podjęła rozmowę. Kawa już wystygła, ale w tej chwili kobiecie było wszystko jedno.

- A więc jest taka jak ty? - zapytała jakby od niechcienia, przypomniawszy sobie, w jaki sposób Delacroix patrzył na wspomnianą damę. Czekala go niespodzianka.

Wampir wydawał się przygnębiony.

- Po pierwsze, nie wszystkie Si są takie jak ja. Istnieje wiele ras. Driady, nimfy, zjawiska spektralne, duchy powietrza, żywiołów... Jesteśmy znacznie bardziej zróżnicowani niż wy, ludzie, ale żyje nas bardzo niewiele. Miss Jarrencourt to człowiek. Setki lat temu jakiś Si musiał być jednym z jej przodków. Nie badając jej bliżej, nie potrafię

tego powiedzieć, ale sędzę, że nie ma żadnych nadnaturalnych talentów. Prawdopodobnie odczuwa tylko niekorzystne strony swojego pochodzenia. Przypuszczam, że nie mogła opuścić hotelu, dopóki czar był aktywny.

- To pewne. Zastanawiałam się, dlaczego została i dobrowolnie zgodziła się wziąć udział w polowaniu. Dopóki czar był aktywny, nie mogła się stąd ruszyć, a czar miał pozostać, dopóki ta istota nie zostanie złapana.

- Biedna dziewczyna - powiedział ze szczerym współczuciem wampir.

- Biedna dziewczyna? Spośród trzech mężczyzn dwóch biega za nią, jakby stracili rozum! Orven, ten drobnomieszczański głupek, wyzwał nawet z jej powodu Delacroix na pojedynek. Co nie znaczy, że by to przeżył. Udolf pewnie dlatego jeszcze za nią nie biega, bo wpadł w dekolt jej pokojówki i nie potrafi się z niego wydostać. A przy tym ta mała nawet nie jest piękną!

- Ależ oczywiście, że nie jest tak piękna jak ty, moja droga, nie masz żadnych powodów do zazdrości. Zostaw ją jednemu czy drugiemu oficerowi. Albo obu. Co to szkodzi? Ten dzielny podporucznik wkrótce zacząłby cię nudzić, a z Delacroix już skończyłaś. Miss Jarrencourt wycierpiała już wiele zła. Nie utrudniaj jej tego jeszcze bardziej. Ujawniłem przed tobą jej tajemnicę i mogłabyś ją zniszczyć. Ale mam nadzieję, że tego nie zrobisz. Miss Jarrencourt nie należy do takich jak ja. Jeśli zdradzisz sekret i sprawisz, że odrzuci ją społeczność ludzi, zniszczysz ją na zawsze.

- Chronisz ją! - Cerise znów poczuła narastającą zazdrość.

- Nie mogę jej chronić. To nie moje zadanie. Ale nie mogę też uwierzyć, że wystawisz ją na pożarcie z powodu jakiegoś „błędu” w linii genealogicznej, który sięga całe wieki wstecz. Wszyscy mamy swoje tajemnice. Ty też! Nie chciałabyś, żeby stały się powszechnie znane, i Miss Jarrencourt z pewnością też by tego nie chciała. Istnieją ludzie, którzy chcą nas zniszczyć tylko dlatego, że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Mam siłę i wiedzę, by tych ludzi zwalczać albo unikać. Corrisande stałaby się dla nich ofiarą.

Milczała przez chwilę.

- Masz na myśli Bractwo? - zapytała w końcu. Aż otworzył usta ze zdziwienia.

- Znasz ich?

- Delacroix mi o nich opowiedział. Przez jakiś czas do nich należał.

Zdała sobie sprawę, że właśnie bez zastanowienia wygadała tajemnicę Delacroix. Byłby wściekły, gdyby się o tym dowiedział.

- Delacroix należy do Bractwa? - głos grafa lekko się zmienił. Brzmiał jednocześnie podejrzliwie i niebezpiecznie.

- Ależ nie - zapewniła go Cerise. - Opuścił mnichów, mając czternaście lat. Brzydzi się nimi.

- Dobry człowiek. Myślę, że zaczynam lubić tego Delacroix. Nie wiedziałem nawet, że można opuścić Bractwo i przeżyć. W każdym razie po hotelu chodzą członkowie tego zakonu. Rękopis jest zbyt cennym łupem, by tacy głodni władzy fanatycy łatwo z niego zrezygnowali.

- O tym też już wiesz? - skrzywiła się Cerise ponuro. Wampir wiedział zbyt wiele. Prawdopodobnie nie doceniała jego roli w obecnych wydarzeniach.

- Tak. Wiem, co to za rękopis, i mam nadzieję, że wróci tam, skąd go wcześniej zabrano. Tam był przynajmniej w miarę bezpieczny. Kocham świat takim, jaki jest, i wcale nie chciałbym go zmieniać. - Uśmiechnął się krzywo.

- Wiesz, gdzie on jest?

- Nie dokładnie. Został ukryty przez trzy różne źródła magii. Każde z osobna próbuje bezpiecznie ukryć go przed pozostałymi dwoma. Tak długo, jak jedna ze stron będzie starała się go ukryć, zwój będzie niedostępny również dla innych.

- Skąd wiesz? - Cerise poczuła, jak jej zaufanie nagle topnieje.

Uśmiechnął się pokrępowo.

- Nie było mnie przy tym. Tylko mnie poinformowano. Nie mogę ci niczego zdradzić o tych ludziach, ale już wyjechali. Próbowali ukraść rękopis, ale im się to nie udało.

- Musisz opowiedzieć Delacroix to, co wiesz - poprosiła Cerise. - Może przyniosłoby to odpowiedzi na kilka jego pytań.

Spojrzał na nią udreńczonym wzrokiem.

- Nie wydaje mi się, by moje spotkanie z twoim pułkownikiem było szczególnie dobrym pomysłem. Obawiam się, że mógłby zareagować zbyt gwałtownie, a wtedy pewnie musiałbym go zabić.

Roześmiała się.

- Nie wydaje mi się, by tak łatwo można było go zabić. Wampir też się roześmiał.

- Chętnie przyznam, że jest dzielnym żołnierzem. Ale ze mną nie miałby szans.

Cerise spojrzała na tego szczupłego, uprzejmego mężczyznę i stwierdziła, że trudno w to uwierzyć. Zapewne jednak tak właśnie było i wampir wcale się nie przechwalał.

- Proszę, nie - poprosiła. - Różnimy się w niektórych sprawach, ale nie chciałabym, żeby Delacroix zginął, a już tym bardziej z twojej ręki.

Skinał głową.

Cerise odłożyła sztucce. Będzie musiała powiadomić Delacroix, czego się dowiedziała, jeszcze przed wyjściem z hotelu. Niezbyt cieszyła ją ta perspektywa.

- Jest tak wiele do powiedzenia, ale muszę się szykować na próbę. Przykro mi - zabrzmiało to, jakby Torlyna wypraszała. Ale nie miała wyboru. - Przyjdiesz wieczorem? - Chciała wyciągnąć do niego rękę, ale on klęczał już przy jej krześle i brał ją w ramiona.

- Przyjdę, gdy będę mógł, moja piękna. - Pocałował ją w szyję, trzymając mocno. Poczula jego zęby na skórze, ale jej nie zranił. - Wtedy będziesz mogła zadać mi więcej pytań, na które wolałabyś nie usłyszeć odpowiedzi.

Puścił ją i odwrócił się do wyjścia, nałożywszy okulary przeciwsłoneczne.

- Torlyn? - zatrzymała go, zanim otworzył drzwi. - Powinam o to zapytać już wczoraj, ale... byłam... rozkojarzona. Czy możesz... eee... mieć dzieci z ludzkimi kobietami?

- Jeśli tego chcę. - Uśmiechnął się. - Au revoir, moja piękna.

Drzwi się zamknęły. Cerise miała nadzieję, że nie chciał.

## Rozdział 59

Towarzysze nie budzili Delacroix i tak przespał pięć godzin zamiast dwóch. Zasnął niemal natychmiast, jego zmaltretowane ciało skorzystało z okazji do odpoczynku, gdy tylko ją dostało. Nauczył się tego w żołnierskim życiu. Podczas kampanii nigdy nie wiadomo, kiedy znów będzie można się wyspać. Korzystało się z każdej nadarzającej się okazji, nie trwoniąc czasu na rozmyślanie.

Dlatego Delacroix nie rozmyślał o polowaniu, o ataku ani o tym, jak wbił sobie nóż. Nie rozmyślał też o dziewczynie, jej błękitnych oczach i niespodziewanych łzach. A przynajmniej nie za długo.

Śnił. Jego sen był mroczny i straszny. Delacroix znajdował się w ciemnej kuli, a wokół niego wyrastały obsydianowo czarne stalagmity. Nie było słońca, ale ze wszystkich stron padało przedziwne światło. Trudno było określić kierunki, ponieważ pułkownik nie potrafił rozpoznać dołu i góry. Czuł jednak grunt pod nogami, a jego kroki definiowały ścieżkę poprzez czarną kolumnadę. Sześciokątne formy wyrastały obok i pięły się, niczym gotyckie łuki i arkady, piękne i lśniące.

Tym razem nie czuł strachu, ponieważ nie był więźniem. Był panem tego świata. Zaanektował go i zdobył. Świat z obsydianu należał do Delacroix, był jego nagrodą, jego królestwem, jego kosmosem. Pułkownik nigdy nie chciał posiadać kosmosu, ale teraz, gdy już należał do niego, czuł, że to dobre i właściwe. Przenikało go przeogromne poczucie władzy, zadowalające do głębi. Wydawało się, że czyni to pułkownika większym, silniejszym, potężniejszym i strasznie zachłannym. Żółtawe punkty połyskiwały na gładkich czarnych powierzchniach kamienia i Delacroix rozumiał, że są to odbicia jego zachłannych oczu, odwzajemniające jego spojrzenie.

Dotarł do serca świątyni. Tutaj znajdował się stół ofiarny. Delacroix rozpoznał niebieską suknię, jeszcze zanim zobaczył twarz ofiary. Ofiara, która należała do niego. Mógł z nią zrobić, na co tylko miał ochotę. Poczował, jak narasta w nim pożądanie i rozkosz, jak silnie i lubieżnie zareagowało jego ciało. Ofiara nie uciekała, po prostu leżała i czekała. Nie miała zresztą wyboru, cała była bowiem z białego marmuru. Ale Delacroix musiał jej tylko dotknąć, by obudzić w niej życie. Wtedy będzie mógł ją posiadać, zdobyć, wejść jak na nowe tereny wroga. Mógłby ukarać tę kobietę za delikatną bezradność i za

poczucie winy, które skrywał głęboko i z którym nie chciał mieć do czynienia.

Podszedł do ołtarza, uklęknął nad dziewczyną, unieruchamiając jej ciało między swymi nogami. Jego silne ręce dotknęły marmurowych piersi. Pod ich dotykiem ożyły. Delacroix czuł ciepło jej ciała, czuł jej oddech i delikatne krągłości. Z jej oczu płynęły łzy, kapały na ziemię, lecz zanim tam dotarły, były już doskonałymi perłami. Gdy uderzały o kamienną podłogę, brzmiało to jak dzwoneczki. Błękitne oczy dziewczyny spojrzały na Delacroix. Jej usta poruszyły się. Błagała: „Proszę, nie!”, a on przypomniał sobie, gdzie już słyszał tę prośbę.

Nagle trzymał nad nią palący sztylet. Musi ją zabić. To było konieczne. Nóż dotknął jej, wśliznął się w ciało, a dziewczyna zaczęła palić się jasnym płomieniem. Topiła się jak wosk. Odpływała wodnistymi strumieniami łez, a Delacroix klęczał na pustym stole ofiarnym i patrzył na płonący ocean stopionego ciała, który rozlewał się, opływając pułkownika i jego wyspę z czarnego kamienia coraz silniejszym nurtem. Fale huczały i Delacroix wiedział, że utopi się w niej. Woda była silniejsza niż kamień.

I wtedy się obudził. Był wczesny poranek. Pozwolono mu się wyspać. Potrzebował chwili, by się otrząsnąć. Błagalny głos i dźwięk dzwoneczków towarzyszących łzom dziewczyny odbijały się echem w jego pamięci.

Co za koszmar. Już od dość dawna Delacroix nie miał naprawdę złych snów. Od czasu jego strasznych doświadczeń jako dziecka niekiedy nawiedzały go koszmary najobrzydliwszego rodzaju. Często próbowały mu coś powiedzieć, czego ani nie pojmował, ani nie nauczył się interpretować. Rzadko rozumiał dziką symbolikę, głównie wtedy, gdy coś się wydarzało, albo wtedy, gdy zrozumienie tego nie było już ważne.

Nienawidził tych snów. Występował w nich zazwyczaj jako dzika, potworna bestia, jako brutalny i bezwzględny morderca. Nie uważał się za takiego. Nie zabijał bez powodu, a już na pewno nie podstępnie. Był żołnierzem, nie skrytobójcą.

Wstał i umył się, ciesząc się orzeźwiającą wodą na skórze. Było mu gorąco. Za każdym razem, kiedy przytrafiał mu się taki sen, jego ciało rozpalało się, jakby miał gorączkę, jakby wnętrzności trawił mu pożar. Ogolił się, ubrał i spojrzał na zegarek kieszonkowy. Najwyższy

czas, by wracać do pozostałych i przejąć wartę. Trzeba by jeszcze podjąć jakąś decyzję, co dalej. Potrzebowali rękopisu, a istota, którą złapali, posiadała do niego klucz. Tyle tylko, że jak porozumieć się z monstrem zamkniętym w skrzynce?

Delacroix wyszedł i zamknął pokój na klucz. Pewnie nie było to potrzebne, skoro drzwi chroniło zakłęcie, ale wolał się zabezpieczyć.

Zapukał do innego pokoju i krzyknął:

- To ja! Otwórzcie.

Minęła chwila, nim go wpuszczono. W progu Udolf celował mu w serce z pieprzówki.

- To rzeczywiście pan - powiedział i opuścił broń. Wyglądał na zmęczonego, był nieogolony, a jednodniowy zarost sprawiał, że jego twarz zdawała się ciemniejsza. Ustąpił i wpuścił Delacroix.

Pojemnik wciąż stał na stole, a wokół niego unosiła się niemal niezauważalna poświata. McMullen, który zdrzemnął się w fotelu, właśnie się obudził.

- Musiałem przysnąć. - Uśmiechnął się z poczuciem winy. - Mieliśmy spokojną noc. Wiatrochod został tam, gdzie jego miejsce, a żaden głodny władzy szaleniec nie próbował go wykraść. Dobrze pan spał?

Delacroix skinął głową.

- Dziękuję. Pozwolili mi panowie odpocząć. Dobrze mi to zrobiło. Chociaż... W każdym razie przejmę teraz wartę, a panowie mogą się przespać. - Spojrzał na obu podporuczników, którzy sprawiali wrażenie bardzo zmęczonych. Krwiak na twarzy Asko zabarwił się na fioletowo i zrobił się większy na tyle, że sięgał teraz oka.

Młodzi oficerowie nie protestowali, wstali i skierowali się do drzwi.

- Dobranoc - ziewnął von Gorenczy.

- Słodkich snów - życzył mu Delacroix z uśmiechem.

- O tak - odpowiedział szwoleżer. Chciał jeszcze coś dodać, ale najwyraźniej się rozmyślił. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Delacroix miał nadzieję, że von Gorenczy wykaże dość rozumu, by wykorzystać czas na wypoczynek, a nie na odwiedzin u pokojówki Miss Jarrencourt. Wielkiej nadziei jednak w tym nie pokładał.

Von Orven tylko skinął głową. Potrzebował snu. Miał w końcu tego dnia jeszcze coś do zrobienia - ze wszystkimi honorami przekonać Miss Jarrencourt do swych szlachetnych intencji.

Pułkownik wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

Obaj oficerowie wyszli z pokoju i zamknęli za sobą drzwi.

- Co panu leży na wątrobie? - zapytał McMullen. - Znam dobrze tę minę. Coś idzie niezgodnie z planem.

Delacroix sprawdził broń i usiadł w strategicznie najdogodniejszym miejscu, z którego widział zarówno drzwi, jak i wyjście na balkon. Wyciągnął swoje długie nogi.

- Zna mnie pan aż za dobrze - powiedział - by oczekiwać, że odpowiem.

- Jeszcze się doczekam, wcześniej czy później. Kim jest owa femme fatale? Czy to ta czarująca Miss Jarrencourt? Jeden z naszych młodzieńców zdaje się ją uwielbiać.

- O tak - skomentował oschle Delacroix - i nie ma pojęcia, w co się pakuje. Myślę, że powinienem panu o tym opowiedzieć. - Wciągnął głęboko powietrze, ale nic nie powiedział. Nie wiedział, od czego zacząć.

Milczenie się przeciągało.

- Aż tak źle? - zapytał po jakimś czasie McMullen. - Czyżby dotknęła lwiego serca twardego, zimnego Delacroix? Musi mi ją pan koniecznie przedstawić.

- Cóż - skrzywił się Delacroix. - Nieważne, co zrobiła z moim sercem, ale serce naszego mistrza magii przebiła w bardzo elegancki sposób. Już dawno nie widziałem kogoś, kto by tak dobrze rzucał nożem.

McMullen patrzył na niego zdumiony.

- Myślałem, że to pan go zabił.

- Nie. Nie mogłem się nawet ruszyć. Nasz mag przymierzał się akurat do tego, by powoli i z rozkoszą mnie zabić.

- Ale von Orven mówił...

- Von Orven nic nie wie, a gdybym mu to powiedział, i tak by nie uwierzył. Uważa ją za wzruszające, małe niewiniątko. Ja natomiast mam powody przypuszczać... ach, sam już nie wiem, w co wierzyć.

Powtórzył, najlepiej jak potrafił, jednostronną konwersację z Vonderbruckiem i opisał wydarzenia.



- Skonfrontował ją pan z zarzutami Vonderbrucka? Skonfrontował - no tak, w pewnym sensie. Delacroix nie wiedział jednak, jak ująć w słowa ten rodzaj konfrontacji. Dlatego z początku milczał.

- Ach - odezwał się McMullen - najwyraźniej nie załamała się i nie wypowiadała panu ze wszystkiego.

- Załamała się i płakała. Ale nic nie powiedziała.

- No coś takiego. - McMullen uśmiechnął się rozbawiony. - Czyżby była tak uparta, czy też pańskie inkwizytorskie metody tym razem zawiodły? Zawsze sądziłem, że umiałby pan wydobyć informacje nawet z kamienia.

Delacroix rzucił mu wściekłe spojrzenie. McMullen i on pracowali ze sobą od dawna. Od czasu wojny krymskiej brali razem udział w wielu zadaniach specjalnych i ich przyjaźń przez lata nabrała szczególnego charakteru. Tyle tylko, że mistrz sztuk tajemnych zawsze był tak przerażająco mądry. Jego bardzo wyczułone instynkty stanowiły część wykształcenia, jednak sposób, w jaki potrafił przejrzeć ludzi - w tym również Delacroix - niekiedy bezgranicznie irytował.

- Nawet ja znam granice przyzwoitości. Miss Jarrencourt miała za sobą ciężki dzień. Została w obrzydliwy sposób zaatakowana przez tę istotę, i mówię tu o gwałcie albo przynajmniej próbie gwałtu. Dwa razy została zamieniona w kamień. Sam niemal ją zasztyletowałem, a po śmierci Vonderbrucka też nie byłem wobec niej zbyt łagodny.

- Ojej. Czyżby dziki wojownik znów przeważył nad człowiekiem honoru? Skrzywdził ją pan?

Pytanie brzmiało neutralnie, ale Delacroix znów miał problemy, by na nie odpowiedzieć. Nie udało mu się ze szczegółami wyjaśnić McMullenowi, co się wydarzyło. Zapewne dlatego, że to się nigdy nie powinno było wydarzyć. Pod ciekawym spojrzeniem starszego towarzysza pułkownik wziął się w garść i odpowiedział z niemal kliniczną rezerwą:

- Fizycznie nie. Ma co najwyżej kilka siniaków na ramionach. - Ugryzł ją też w usta i tam Miss Jarrencourt też pewnie nosi teraz ślady walki. Ale o tym nie wspomniał, zacisnął jedynie zęby, co nadało jego twarzy wyraz, którego nawet przy najlepszych chęciach nie można by uznać za uśmiech.

McMullen uniósł wysoko brwi.

- Skoro nie zadał jej pan fizycznie bólu, to jak?

Delacroix milczał. Znów miał przed oczyma wspomnienie, jak Corrisande, płacząc, skuliła się i ukryła głowę w ramionach - jakby to pułkownik był potworem. Bała się, że ją uderzy. Nie połamał jej kości, ale złamał jej wolę i zranił dumę. Podniosła się z tego. Zraniona, ale niepokonana.

- Cóż - powiedział McMullen, gdy Delacroix nie odpowiedział. - Będę musiał jeszcze dzisiaj z nią porozmawiać. Chcę usłyszeć więcej o tym ataku. To znaczy tego potwora - dodał z kpiącym uśmiechem. - Muszę też porozmawiać z nią o jej nadzwyczajnym talencie. To zdumiewające.

- Niech pan będzie ostrożny. Wygląda na nieszkodliwą, ale jest niebezpieczna.

McMullen spojrział na niego w zamyśleniu. Potem na swoje ręce, zajęte nabijaniem fajki.

- Jeśli tak, to zdradziła dla pana swój kamuflaż. Ostatnie zdanie zraniło dumę Delacroix. Do tej pory nie patrzył na to w ten sposób. Nie czuł się z tym dobrze.

- Możliwe - odparł. - Ale może też łatwiej było zasztyletować Vonderbrucka, dopóki koncentrował się na mnie, zamiast czekać, aż będę martwy. Demonstracja mocy sprawiała mu tyle przyjemności, że w ogóle nie patrzył na pannę Jarrencourt.

- Zobaczymy. Mogę ją zmesmeryzować, a wtedy będzie musiała opowiedzieć mi wszystko, co chcemy wiedzieć. To jednak oznacza, że będę musiał znaleźć okazję, gdy nie będzie przy niej jej rozpalonego wielbiciela. Jako porządny młody człowiek, którym zresztą jest, z pewnością będzie chciał ją chronić, a to oznacza również, że musi ją pan do mnie przyprowadzić. Zrobi pan to?

Delacroix spojrział na niego ponuro.

- Skoro to konieczne - powiedział. - Nie możemy się bez tego obejść?

- Tylko pod warunkiem, że nie ma pan żadnych wątpliwości, że Miss Jarrencourt nie jest zamieszana w naszą sprawę. Ma pan pewność?

Delacroix opuścił głowę. Nie miał pewności. Wiedział tylko, że nie uprowadzi dziewczyny i nie zaciągnie do McMullena. I wcale nie dlatego, że myśl o takim uczynku wydawała mu się odpychająca. Pułkownik jednak obawiał się, że mistrz sztuk magicznych rzuci na

Miss Jarrencourt czar, którym sparaliżuje jej wolę i wyrwie z duszy bezbronnej i bezradnej Corrisande wszystkie odpowiedzi. Ów atak byłby straszliwszy niż ten, jakiego dopuścił się wobec niej Delacroix. To byłaby przemoc. Zauważył, że McMullen z napięciem mu się przygląda. Cholera. Mag okazał się stanowczo zbyt czujny i spostrzegawczy.

- Mamy inne problemy niż Miss Jarrencourt. Jest jeszcze Bractwo. Zdumiewające, że jeszcze nas nie zaatakowało.

- Nie mamy jeszcze tego, czego chcą mnisi - odparł McMullen. - Z pewnością wolą poczekać, aż znajdziemy rękopis. Muszę jednak przyznać, że w tej chwili nie wiem, w jaki sposób moglibyśmy go zdobyć. Czuję jego bliskość, ale jest nieosiągalny. Jeśli to wiatrochod go ukrył, to nie wiem, jak miałbym zmusić tę istotę, aby nam go wydała. Śmierć może zniosłaby czar, ale nawet tego nie jestem pewien, na dodatek nie wiem, jak można zabić takiego stwora. Zamknęli go panowie w skrzynce, ale dopóki w niej jest, nie możemy mu nic zrobić, a uwolnienie go z niej bez wątpienia byłoby błędem. Nie przypuszczam, by mój krąg magiczny utrzymał go bez tej skrzynki. Mówiąc szczerze, mamy problem.

- Może powinniśmy przepytać doktora Steinberga. Wspomniał, że zna się na tej dziedzinie. Możliwe jednak, że on też jest uwikłany w sprawę, chociaż od ostatnich odwiedzin go nie widziałem. Sposób, w jaki wymknął się Udolfowi, był zadziwiający. Pytałem w recepcji. Doktor Steinberg prowadzi praktykę niedaleko stąd i bywa wzywany, jeśli któryś z hotelowych gości potrzebuje pomocy medycznej. Przynajmniej ta część jego historii się zgadza.

- Ale nie ufa mu pan?

- Był zbyt przyjazny i nazbyt zainteresowany - zauważył zgryźliwie Delacroix.

- Sądziłem, że „przyjazny i zainteresowany” to podstawowe cechy lekarza - odparł na to McMullen. - Ale ufam pańskim instynktom. Skoro mówi pan, że coś z nim nie tak, to powinniśmy być ostrożni. Moglibyśmy skonsultować się z moją lożą, jednak moich kolegów i głodnych wiedzy braci trudno byłoby utrzymać na dystans, czy choćby nakazać im, co i jak mają robić.

Przerwało mu pukanie. Delacroix wycelował w drzwi i krzyknął:

- Wejść!

W progu stanęła Cerise Denglot. Miała na sobie fioletową suknię z czarnymi obszywkami i niesamowicie modny kapelusz z falującymi egzotycznymi piórami. Zamarła na widok pistoletu.

- Doprawdy, Delacroix - poskarżyła się. - Musisz przestać celować do mnie z broni za każdym razem, kiedy wchodzę do pokoju. To wygląda prawie tak, jakbyś to robił rozmyślnie. Dzień dobry, panie McMullen, jak miło pana widzieć.

- Dzień dobry, mademoiselle Denglot - odparł Szkot. - Wygląda pani jak zwykle olśniewająco.

Rzeczywiście tak wygląda, przyznał w duchu Delacroix. Wręcz promieniała. Wiedział, co to oznacza, i przyglądał jej się szyderczo. Mag właściwie to ujął, prawie. Tyle tylko, że bliższe prawdy niż „olśniewająco” byłoby „kusząco”. Wyglądała, jakby miała za sobą wybitnie przyjemną noc.

- Dziękuję. To bardzo miłe z pańskiej strony. Zajrzałam, aby szybko o czymś panów poinformować.

- No coś takiego - mruknął Delacroix.

- No coś takiego - powtórzyła Cerise i uśmiechnęła się słodko, z lekką tylko złośliwością. - Chodzi o rękopis. Jest magicznie ukrywany przez trzy różne źródła magii i nie można go odzyskać tak długo, jak przynajmniej jedno z tych źródeł będzie chciało go ukrywać.

Obaj mężczyźni wpatrywali się w nią przenikliwie.

- Skąd pani to wie, mademoiselle Denglot? - zapytał wreszcie McMullen.

Obdarzyła go zagadkowym uśmiechem.

- Mam swoje źródła...

- Założę się - odparł Delacroix. - A czy tym razem potrafisz sobie przypomnieć te źródła?

- Doskonale. I bardzo chętnie. A wręcz niezwykle chętnie.

- No to się cieszę. - Zerwał się na równe nogi i ruszył ku śpiewaczce.

- Moi drodzy młodzi przyjaciele! - McMullen starał się powstrzymać nadciągającą awanturę. - Proszę nie psuć mi tego jakże przyjemnego poranka! Mademoiselle Denglot, wie pani bardzo dobrze, że muszę poznać pani źródło. Jeśli nie zechce pani wskazać swego przyjaciela, to proszę przyprowadzić go następnym razem. Jeśli się pani nad tym zastanowi, zrozumie pani, jestem tego pewien, że nie mogę pani tego oszczędzić. Delacroix, może zechciałby pan znów

zająć miejsce i skierować broń w inną stronę. Chyba nie zamierza pan nikogo z nas zastrzelić, prawda?

- Nie wiadomo - skomentowała zjadliwie Cerise i obróciła się na pięcie, zaś jej szeroka suknia zafalowała i zaszeleściła. - Zajrzę znów po próbie. - Wyszła, zanim Delacroix zdążył ją dopaść. Próbował wybiec na korytarz i sprowadzić ją z powrotem, ale drzwi okazały się nagle jak z kamienia. Nie był w stanie ich otworzyć.

- Niech pan wraca na miejsce, przyjacielu - nakazał przyjaźnie mag - i wyjaśni mi, jakie znaczenie ma to, co się właśnie zdarzyło.

## Rozdział 60

Corrisande obudziła się z krzykiem, gdy poczuła szarpnięcie za ramiona. Realność nowego dnia uderzyła w nią z bolesną intensywnością i po krótkim, dezorientującym zamieszaniu w jednej chwili powróciło wszystko, czego dowiedziała się o sobie poprzedniego dnia - i co się wydarzyło. Przez sekundę myślała, że to znów atak Delacroix. Jej wzrok napotkał jednak Elizę, której rozzłoszczona twarz widniała o wiele za blisko. Przyzwoitka wciskała szczupłe, eleganckie palce w siniaki na ramionach Corrisande.

- Coś ty zrobiła! - wysyczała dama. - Podałaś mi truciznę! Mogłaś mnie zabić, ty głupia dziewczyno! - Jej szare oczy iskrzyły z wściekłości, zaś usta ściągnęły się w cienką linię.

- Puść mnie. Wszystko ci wyjaśnię - odpowiedziała Corrisande. - To boli. Jestem cała w siniakach.

- I dobrze, a ja byłam cała pełna proszków nasennych. Jak mogłaś! Wielki Boże! Jak w ogóle mogłaś!

- Przykro mi. Naprawdę bardzo mi przykro. Ale nie miałam wyboru. A teraz puść mnie wreszcie! Wbijasz palce dokładnie tam, gdzie mam siniaki.

- Siniaki? - zapytała Eliza. - Skąd je masz? Co takiego zrobiłaś?

- To długa historia. Która godzina?

- Już po dwunastej. Spałam ponad osiemnaście godzin!

- No pięknie - odparła oschle Corrisande - to by tłumaczyło, dlaczego jesteś tak strasznie ożywiona i wesoła.

Palce Elizy puściły ramiona i na moment zawisły nad twarzą dziewczyny. Corrisande była pewna, że jej domniemana ciotka zaraz ją spoliczkuje. Ale Eliza szybko się opanowała. Jej nienaganne manieri mogły sprostać każdemu wyzwaniu.

Corrisande przyjrzała się starszej damie. Ubrana i wyszykowana sprawiała wrażenie pobudzonej - i bardzo rozzłoszczonej. Ale nic jej nie dolegało. Nie wyglądała na schorowaną czy cierpiącą. Wręcz przeciwnie. Wydawała się znacznie bardziej rześka i silniejsza niż Corrisande i była zdecydowanie bardziej gotowa na nowy dzień.

- Wyglądasz okropnie - stwierdziła Mrs Parslow i dopiero teraz zauważyła, że jej podopieczna leżała w łóżku na wpół ubrana. - Dlaczego, na wszystkie świętości, nie jesteś w nocnej koszuli? Twoje włosy to ruina. Nie czesałaś ich wczoraj? Masz opuchnięte oczy i zadrapanie na wardze. To ostatnie - teraz w głosie przyzwoitki

zabrzmiały nuty szyderstwa - nadaje reszcie twego wyglądu pewnej pikanterii i tym bardziej staje się dla mnie interesujące. Kto to był?

- Zaraz ci wszystko wyjaśnię - obiecała Corrisande, próbując zyskać na czasie. - Pozwól mi się najpierw umyć i ubrać. Czuję się okropnie.

- To mnie naprawdę cieszy. Niektóre rzeczy same w sobie niosą już karę, a trucie przyjaciółki nie jest ani subtelne, ani zbyt szlachetne, moja droga Corrisande. Masz jeszcze całe popołudnie na to, by się ubrać. Ale teraz oczekuję odpowiedzi. Dlaczego mnie uśpiłaś?

Corrisande dawno powinna była obmyślić jakąś wymówkę. Tyle tylko, że po prostu nie miała na to czasu, a teraz w głowie poczuła zupełną pustkę. Normalnie potrafiła świetnie kłamać. Usprawiedliwienia i wiarygodne wyjaśnienia nawet najdziwniejszych zdarzeń przychodziły jej zwykle bez wysiłku. Niestety, nie dziś. Na dodatek Eliza nie dała jej chwili do namysłu.

- Wyduś to z siebie. Tylko nie myśl za długo, bo nie uwierzę w ani jedno słowo. Chcę prawdy!

Corrisande westchnęła.

- Podałam ci środek usypiający, bym mogła razem ze znanymi ci oficerami ścigać tę bestię. Nie miałam czasu ani ochoty, by to przedyskutować, bo wiedziałam, że będziemy się jedynie kłócić, jeśli spróbuję wytłumaczyć ci konieczność mojej obecności przy tej sprawie. Tylko byś mi przeszkadzała. Bez sprzeczek było to i tak dostatecznie straszne.

- Dostatecznie straszne? - powtórzyła Eliza lodowatym tonem. - A na czym to polegała „konieczność twojej obecności przy tej sprawie” i co to ma wspólnego z tym, jak dzisiaj wyglądasz?

Corrisande usiadła i zaczęła się rozbierać. Bynajmniej nie skłoniło to Elizy do opuszczenia pokoju. Całkowicie ignorowała dziewczynę. Najwyraźniej tak postanowiła.

- Gdy wczoraj wyszłaś do miasta, ta istota powróciła i zaatakowała mnie w obrzydliwy sposób. Fizycznie. Wsunęła mi macki pod ubranie i pięła się po moich nogach.

Zdziwiła się, że z taką łatwością potrafiła mówić o tym, co przeżyła. Jej relacja brzmiała tak rzeczowo, niemal chłodno. Odczucia Corrisande nie były jednak ani rzeczowe, ani chłodne. Brzydziło ją samo wspomnienie o wydarzeniach z poprzedniego dnia.

- Wielki Boże! - wykrzyknęła przerażona Eliza. - Czy to...? Co to...?

- Próbowało mnie... - Zhańbić. Corrisande chciała to wypowiedzieć równie pozbawionym emocji głosem jak wcześniej, ale jej się nie udało. Słowa utknęły jej w gardle. Nie mogła ich wypowiedzieć, przynajmniej nie przed Elizą; zresztą przed nikim. - To coś próbowało mnie... wykorzystać... próbowało mnie... uprowadzić... wziąć mnie do swego królestwa, by tam ze mną... Delacroix, to znaczy ci oficerowie ryzykowali życie, by mnie uratować. Jestem im coś winna.

- Nic nie jesteś im winna. Gdybyś mogła stąd wyjechać, w ogóle nie zostałabyś zaatakowana. Tylko mi nie mów, że oni nie mają z tym nic wspólnego!

Corrisande przeszła za parawan, by rozebrać się do końca i umyć. Ale również to nie skłoniło Elizy, by zostawiła ją samą.

- Nie bezpośrednio. Mieli w swoim zespole maga i to on może być odpowiedzialny za moje uwięzienie w hotelu. I jeszcze jedno, Elizo. Jeśli jeszcze raz w moim imieniu zlecisz morderstwo, znajdziesz w herbacie więcej niż trzy krople środka nasennego. Mówię śmiertelnie poważnie.

Corrisande zerknęła na twarz towarzyszki przez szczeliny w parawanie, zawiodła się jednak. Eliza tylko się uśmiechnęła.

- Nie groź mi. Zrobiłam to dla ciebie. Twój ojciec postąpiłby tak samo. Czasami jesteś po prostu zbyt miękka i uległa, by robić to, co konieczne. Nadzwyczajne sytuacje wymagają nadzwyczajnych środków.

Corrisande najchętniej wyskoczyłaby zza swej małej barykady, by nakrzyczeć towarzyszce w jej pełną samozadowolenia twarz. Była jednak całkowicie naga i za bardzo się wstydziła, by opuścić kryjówkę.

- Może jestem miękka i uległa, ale przynajmniej nie morduję bez wyrzutów sumienia.

To nie była prawda. Ostatniej nocy zabiła człowieka i sumienie jej nie dręczyło. Miała raczej poczucie straty, jakby straciła czystość. Człowiek, którego zamordowała, nie budził jej żalu, dużo bardziej żałowała, że była zmuszona do zabójstwa. Nigdy w życiu nie chciała czegoś takiego doświadczyć.



- I kogo ty tu obwiniasz o morderstwo? - wysyczała Eliza. - Nikogo nie zamordowałam. Napisałam list. To wszystko.

- I to wystarczyło. W każdym razie Delacroix przeżył i w dodatku wie o liście. Jedynie pogorszyłaś sytuację.

- Jeśli wie o liście, to trzeba go zmusić do milczenia. Twój ojciec w żadnym wypadku nie pozwoliłby żyć komuś z taką wiedzą i ja też do tego nie dopuszczę.

Corrisande poczuła chłód w sercu.

- Jeśli sprawisz, że temu człowiekowi spadnie chociaż włos z głowy, to przysięgam, że moja miękkość i uległość szybko się skończą. Zostaw go w spokoju. Delacroix to mój problem. Mój!

Eliza zmarszczyła markotnie nos.

- No, no. - Przyglądała suknię. - To zabrzmiało, jakby to był rzeczywiście twój problem. Czy to on napiętnował cię tym miłosnym znakiem na twoich ustach? Nie myśl, że jestem ograniczona, mój aniele. Wiem trochę. Byłam już zamężna. A więc jak to jest z tym Delacroix?

Corrisande milczała.

- Nijak - odpowiedziała po chwili. - Zostaw go w spokoju. Jeśli jeszcze raz spróbujesz go usunąć, stanie się tylko groźniejszy. Nie doceniasz go. Po pierwsze, nie jest sam, a po drugie... - przerwała, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie chce, żeby umarł? Nie mogłaby znieść myśli o tym, że ma jego krew na rękach? - Zostaw go w spokoju. Złapał już tego swojego potwora. Wkrótce ci oficerowie wyjadą i znów będziemy mogły wrócić do codzienności i kontynuować nasze plany. I zapomnimy o tym, co tu się zdarzyło.

Uświadomiła sobie jednak, że nigdy nie zapomni. Poprzedni dzień wypalił się w pamięci Corrisande i pozostanie tam na zawsze wraz z bólem, strachem i poniżeniem. Tego jednak dziewczyna nie mogła powiedzieć Elizie.

Patrzyła uporczywie w lustro nad toaletką, starając się ocenić swoją twarz z całkowitą bezstronnością kogoś obcego. Zmieniła się. Oczywiście podkrążone oczy i zaniedbany wygląd odgrywały w tym pewną rolę. Przede wszystkim jednak Corrisande nie znalazła tego słodkiego, niewinnego spojrzenia, które od tak dawna i z taką zręcznością pokazywała światu. W jej oczach czaiła się podejrzliwość ściganego, zaszczutego zwierzęcia. Rana na jej ustach była malutka i mogła rzucać się w oczy jedynie komuś o nazbyt nieufnej naturze.

Marie - Jeannette będzie mogła ją przypudrować i jeśli wtedy w ogóle jeszcze będzie widoczna, von Orven prawdopodobnie pomyśli, że to przez niego, i umrze ze wstydu.

Obejrzała swoje ramiona. W miejscach, gdzie wbiły się palce Delacroix, utworzyły się ciemnoniebieskie plamy. Jego łapy były jak broń. Nie wiedziała, czy umyślnie sprawił jej ból, czy też w swej gorzkiej wściekłości zaszedł dalej, niż zamierzał, ale nagle po policzkach Corrisande znów płynęły łzy, a ona stała nieporuszona przed lustrem, starając się odzyskać panowanie nad sobą. Eliza nie miała prawa niczego zauważyć.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i przetarła twarz mokrym ręczniczkiem. Ślady łez znikły. Z głębi pokoju znów usłyszała rozzłoszczony głos Elizy.

- Zapomnieć? Mówisz, że mam zapomnieć? Zanim zacznę zapominać, chętnie bym się najpierw dowiedziała, co się właściwie stało - mówiła urywanym, stanowczym tonem. - Nie jestem tak głupia, jak myślisz, dziecko. Co ten człowiek dla ciebie znaczy?

Co to za pytanie? Corrisande nie mogła na nie odpowiedzieć, nie wiedziała jak. Co on dla niej znaczył? Mężczyzna, który poprzedniego wieczoru wkroczył w jej życie i którego dotyk coś w niej obudził. Z początku.

- No dalej, wyduś to - nalegała Eliza. - Czy zachował się nietaktownie? Czy był natarczywy? Intymny? Czuły?

Intymny? Czuły? To w ogóle nie były właściwe słowa. Intymność i czułość nie mogły mieć nic wspólnego z tą brutalną napaścią. Chociaż Corrisande przecież tego nie wiedziała. Może namiętność zawsze była brutalna. Kiedyś zapyta o to Elizę. Ale nie dzisiaj. W żadnym razie nie dzisiaj.

- Pocałował mnie.

- Pocałował? Pozwoliłaś na to? - głos Elizy wyrażał raczej złość niż zdumienie.

- Uwierz mi, nie prosił mnie o przyzwolenie. Pomówmy o czymś innym. To nieważne.

Oczywiście, że to było ważne. To nie mogło nie być ważne.

- Czy to znaczy, że dotknął cię wbrew twojej woli? A może się do ciebie zaleca? Może chce cię poprosić o rękę?

- Nie. - Zatrzymała się w pół ruchu i spojrzała na ręczniczek. Potem uśmiechnęła się lekko. - Von Orven może mi się oświadczy.

Uśmiechnęła się szerzej, słysząc zaskoczone sapnięcie Elizy po drugiej stronie parawanu.

- Von Orven? Ten jasnowłosy młodzieniec? Dlaczego?

- Ponieważ go pocałowałam. To była jedyna możliwość, by wybudzić go z wywołanej magią śpiączki, jak mi powiedziano.

- A kto ci to powiedział?

- Delacroix.

- No doprawdy! - głos Elizy aż drżał z oburzenia. - Proponował ci coś jeszcze? Czy może to już koniec listy jego przewinień?

Zaoferował mnie jako przynętę demonowi, pomyślała Corrisande, ale nie powiedziała tego głośno. Lepiej, by niektóre kwestie pozostały niewypowiedziane, a inne - jeżeli w ogóle dotrą do czyichkolwiek uszu - będzie należało formułować z wyjątkową ostrożnością. Przede wszystkim dziewczyna musiała się upewnić, że Eliza nie będzie decydować, co jest słuszne, ani działać za plecami Corrisande.

- Nie. To już wszystko. Miałam wczoraj straszny, męczący i szarpiący nerwy dzień. Chcę o tym zapomnieć jak najszybciej. A teraz, jeśli pozwolisz... - Zaczęła ubierać świeżą bieliznę.

Ale Eliza jeszcze nie skończyła.

- Co zamierzasz zrobić, jeśli ten młody człowiek przyjdzie, by porozmawiać o swych być może poważnych zamiarach? Chcesz mu dać nadzieję?

- Nie wiem. Jest śliczny, troskliwy i bardzo oddany. Poproszę o czas do namysłu. Przecież nie może oczekiwać, że podejmę decyzję po jednym dniu znajomości. Nawet po takim dniu. Asko von Orven jest przyzwoity i kochany. Cierpliwie poczeka.

- Mogę ci przypomnieć, mój aniele, że nie przybyliśmy tu po to, by poświęcać cię jakiemuś choremu z miłości drobnemu podporucznikowi? Przybyłaś tu, by znaleźć naprawdę dobrą partię, i stać cię na wyśmienity związek, kiedy już dojdiesz do siebie. Trudno mi sobie wyobrazić, że ten młody człowiek mógłby znaleźć się na liście aspirantów do twojej ręki.

Nie, rzeczywiście nie mógł. Corrisande nie przypuszczała, aby był bogaty. Może nie biedny, ale z pewnością też nie zamożny i wpływowy. Najprawdopodobniej ona dysponowała większymi środkami, nawet nie wliczając posagu, jaki przyrzekł jej ojciec.

Ale co to za różnica? Kiedy skończyła ze swoją karierą przestępczą i postanowiła wyjść za mąż, nie zrobiła tego dla

pieniędzy. Chciała prowadzić spokojne i bezpieczne życie, chciała być kochana - albo przynajmniej traktowana ze zrozumieniem i szacunkiem. Przez kogoś, na kim mogłaby polegać, mężczyznę, z którym chciałyby mieć dzieci.

Zawsze przecież mogła wrócić do złodziejstwa. Była dobra i lubiła klejnoty. Ale na pewno wolałaby prowadzić życie bez strachu. O ile w ogóle jeszcze miała wybór. Być może nie miała już żadnego. Jeżeli Delacroix przekazał wszystkim oszczercze słowa, że Corrisande jest sprzedaną dziewczką szukającą zamożnych głupców, to nie pozostanie jej nic innego, jak tylko wrócić do ojca i do życia, o którym wiedziała, że kiedyś zakończy się katastrofą. Nałożyła szlafrok i wyszła zza parawanu.

- Może to żadna wielka zdobycz, ale jest miłym, troskliwym mężczyzną. Jednak to nieistotne. Po pierwsze, wcale mnie jeszcze nie zapytał, a po drugie, sama się jeszcze nie zdecydowałam. Jestem śmiertelnie zmęczona i zdezorientowana. Z pewnością nie podejmę żadnych decyzji, które mogłyby zmienić moje życie. Bez wątpienia popełniłabym błąd.

Eliza przyjrzała jej się uważnie.

- Moje dziecko, wyglądasz na tyle lat, ile rzeczywiście masz. Może nawet na więcej. Marie - Jeannette musi coś zrobić z tymi podkrążonymi oczami. Mam nadzieję, że nie płakałaś z powodu tego niemożliwego pułkownika. Nie jest wart nawet jednej łzy. Powiedz Marie - Jeannette, by koniecznie przypudrowała ci ranę na wardze. Strasznie namiętny mężczyzna ten Delacroix, prawda? Siniaki i pęknięte usta. No nie powiem... A może te siniaki zrobił ci ktoś inny?

Twarz Corrisande spurpurowiała. Eliza tylko zaśmiała się złośliwie.

- Mój aniele, daruj sobie te rumieńce. Wiem, że potrafisz je wywołać, kiedy zechcesz. Masz tyle talentów, że twój mały podporucznik po prostu na ciebie nie zasługuje. To czysta strata czasu. Proponuję, byś po śniadaniu usiadła przed lustrem i znów poćwiczyła swój słodki, niewinny uśmiech. Zdaje się, że gdzieś go zagubiłaś, a tak łatwo się z tym nie pogodzimy. Postaraj się, by znów powrócił. Ja tymczasem napiszę list do przedstawiciela twojego papy, by dowiedzieć się czegoś więcej o owym młodym wielbicielu. Powinnyśmy poznać więcej szczegółów. Nie pozwolę, byś rzuciła się

w ramiona jakiegoś pozbawionego środków, zupełnie obcego człowieka, wszystko jedno, jak miłego i troskliwego.

Serce Corrisande znów się ścisnęło. Znowu zrobiło się niebezpiecznie. Uśmiechnęła się serdecznie do towarzyszki.

- Cóż, musisz osobiście udać się do tutejszej centrali mojego papy, ponieważ udzieliłam Marie - Jeannette ścisłych instrukcji, by w tej sytuacji nie podejmowała się żadnych zadań w roli posłańca. - Tak naprawdę jeszcze tego nie zrobiła, ale zamierzała jak najszybciej dopilnować. - Może się zdarzyć, że ciężko będzie zastać tam pana Duponta i jego wspólników. Albo w ogóle kogokolwiek. Twój skrytobójca nie przeżył bowiem wczorajszego ataku na Delacroix, zaś jeśli chodzi o Duponta, to z przykrością muszę wyznać, że go zasztyletowałam. Naprawdę strasznie mi przykro.

W ciszy, która zapadła, aż wibrowało od emocji. Corrisande poczuła ciepłą falę satysfakcji, gdy zobaczyła, że protekcyjnalny uśmiezek znikł jak wytarty z twarzy Elizy.

- Co zrobiłaś?

## Rozdział 61

Wczesnym popołudniem Bawarczycy wrócili do pokoju, w którym w skrzynce zamknięty był potwór. Von Gorenczy wykazał na tyle przytomności umysłu, by zorganizować coś do jedzenia i picia, i osobiście przyniósł to z kuchni, by mieć pewność, że w jedzeniu nie znajdują się niepożądane dodatki.

Von Orven przypatrywał się skrzynce z powątpiewaniem. Siniak na jego twarzy nabrał jeszcze bardziej imponujących kolorów niż wcześniej, niemniej ogolony i świeżo umyty oficer prezentował się godnie i schludnie.

- Jest pan pewien, że to coś wciąż jeszcze tam tkwi, sir? - zapytał McMullena, którego wbrew woli polubił.

- Nie - odpowiedział Szkot zgodnie z prawdą. - W żadnym razie. Prawie nic nie wiem o tej istocie. Niemniej środki zastosowane przeze mnie są przeznaczone do tego, by wiązać magią jeszcze silniejsze Si. Mam nadzieję, że to wystarczy. Ten stwór jest wyjątkowo silny. Dlatego też zdecydowałem się objąć magiczną blokadą mały obszar, aby bardziej skupić energię.

Von Gorenczy, który wciąż świetnie pamiętał, jaki wpływ wywierał na niego więzień ze skrzynki, zachował pełen respektu dystans.

- Wygląda inaczej niż wcześniej - zauważył, i rzeczywiście tak było. Kulista poświata była niemal widoczna, odbijała światło do wewnątrz, sprawiając, że szkatuła wyglądała jak zrobiona ze złota i kosztowna.

- Zacieśniłem blokadę i zmieniłem jej parametry. Muszę panów jednak ostrzec. Przez to, że więcej energii skierowane jest do wewnątrz, od zewnątrz blokada jest raczej niestabilna. Nie podchodźcie zbyt blisko.

Obaj podporucznicy cofnęli się o krok.

- I co teraz? Zabijemy to? Czy też możemy nawiązać kontakt? - Asko zadał to pytanie już kilka godzin wcześniej, a McMullen nie miał na nie wtedy odpowiedzi. Powiedział, że najpierw chce porozmawiać z Delacroix. Miał na to czas. Siedzenie ze skrzynką na stole, nawet jeśli była dobrze chroniona, nie wydawało się ani sensowne, ani użyteczne.

- Wiem, co pan myśli - powiedział McMullen i przełknął łyk herbaty. - Też wolałbym działać, zamiast czekać. Musimy jednak

postępować niezwykle ostrożnie. Jeśli przez nieostrożność znów uwolnimy owo stworzenie, to z dużą dozą pewności sprowadzimy na siebie i Miss Jarrencourt śmierć. Nie wiem, jak można pokonać wiatrochoda, chociaż najprawdopodobniej potrzebne jest do tego zimne żelazo. Aby jednak zwalczyć go taką bronią, trzeba by otworzyć skrzynkę, a zanim to zrobię, chciałbym się dowiedzieć więcej o tym stworzeniu. Z tego, co wiem do tej pory, mogę w każdym razie wnioskować, że nie jesteśmy w stanie konkurować ani z jego ruchliwością, ani z szybkością, i zapewne też nie z jego magicznymi zdolnościami. Ponadto otrzymaliśmy informację, że rękopis prawdopodobnie nie jest ukrywany tylko przez tę istotę, lecz przez trzy różne magiczne źródła. Zanim cokolwiek zrobimy, musimy się o tym więcej dowiedzieć.

- Jednakże informacja ta nie pochodzi z niezawodnego źródła - zauważył Delacroix, siląc się na neutralny ton. Pochylił się nad talerzem z chlebem i mięsem i wgryzł się ze smakiem w wynalazek szlachetnego hrabiego Sandwicha. Właśnie sobie uświadomił, jak bardzo był głodny.

- No pięknie. Ale co teraz? - zapytał ponownie von Orven. - Przykro mi, że się powtarzam.

- Poczekamy na nasze niezbyt wiarygodne źródło - odparł Delacroix i wytarł ręce w serwetkę. - Świat wstrzymuje oddech, bohaterowie stoją jak głupi, upiór nudzi się w skrzynce, a my czekamy na boską Cerise Denglot, aż wróci ze swej niewątpliwie zbyt długiej próby i łaskawie nam wyjaśni, co miały oznaczać jej zagadkowe uwagi, które mimochodem rzuciła dzisiaj rano niczym kokota chusteczkę. - Spojrzał karcąco na McMullena. - Nie powinien mnie pan powstrzymywać przed przyprowadzeniem jej z powrotem. Bardzo szybko bym z niej wszystko wydobył.

Szkot wzruszył ramionami.

- Nie jestem tego wcale taki pewien. Po pierwsze, Cerise jest tak samo uparta jak pan, Delacroix, i prawdopodobnie milczałaby tylko po to, by nas, o, przepraszam, by pana zdenerwować. Po drugie, naprawdę nie chciałem, aby urządził pan pościg przez pół hotelu, by przytaszczyć tu jazgoczącą i wściekłą boską mademoiselle Denglot. Będzie o wiele bardziej przystępna, wiedząc, że w radosnym napięciu czeka tu na nią publika.

- Co powiedziała? - zapytał von Gorency zaciekawiony.

- Powiedziała, że poinformowano ją, iż rękopis ukrywany jest przez trzy różne źródła magii. A ponieważ z pewnością nie mogła sama wpaść na ten pomysł, musiał jej to ktoś zdradzić, my zaś musimy się dowiedzieć, kto to był, i wtedy, o ile to będzie możliwe, z nim porozmawiać.

- Ten Si, który był w jej pokoju - skonstatował Asko.

- Ten feyon, który wkroczył do akcji podczas polowania - potwierdził McMullen. - Może już od dawna nie ma go w hotelu. Mierzyłem linie mocy, sprawdzając obecność Si, ale ten mały drań w pudełku zdaje się fałszować wyniki. Rezultat wskazuje na cztery aury feyonów o różnej mocy i właściwościach, a coś takiego uważam raczej za wykluczone.

- W każdym razie to raczej mało prawdopodobne - zawtórował mu Delacroix. Feyony były tak rzadkie, że większość ludzi nie widziała nigdy żadnego na własne oczy, a jeśli już, to zazwyczaj nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Nawet nie wierzyło się w ich istnienie. Czterech Si w jednym budynku to więcej niż nieprawdopodobne. - Jeżeli oprócz naszego więźnia miałyby tu być jeszcze trzy inne feyony, to trzeba zakładać, że stanowią zagrożenie. Nie moglibyśmy nic przeciwstawić ich sile. To, że wciąż jeszcze nas nie zaatakowały, każe mi przypuszczać, że magiczne pomiary były błędne, jak podejrzewa McMullen.

- Zostawiliśmy w recepcji wiadomość dla mademoiselle Denglot z prośbą, by raczyła nas zaszczyścić swą obecnością, gdy tylko wróci - powiedział Szkot.

- Ująłbym to inaczej, ale w sumie na jedno wychodzi - dodał Delacroix. - Sytuacja jest, jaka jest. W tej chwili wydaje się, że jesteśmy przynajmniej bezpieczni, możemy wypocząć, a dzięki zapobiegliwości podporucznika von Gorenczy'ego mamy też co jeść. Biedowanie się skończyło.

Wsunął do ust jeden z cukierków, które przyniósł von Gorenczy.

- Naprawdę pyszne - stwierdził zadowolony. - Marcepan. Moi panowie, spróbujcie tych tutaj. Wyśmienite.

Von Orven popatrzył na niego ze złością.

- Nie rozumiem, jak może pan tak po prostu siedzieć i podjadać sobie słodycze, podczas gdy w skrzynce siedzi niebezpieczny potwór, który może zniszczyć świat przy pomocy ukrytego rękopisu, do tego w pomieszczeniu obok leży równie niebezpieczny, choć skrzępowany



mnich, a na domiar złego diwa operowa spóźnia się i zmusza nas do czekania na ważne informacje! - wybuchnął. - Muszę przyznać, dziwi mnie, że przyjmuje pan to z takim spokojem. Poznawszy nieco pański temperament, liczyłem na bardziej energiczne działania.

Delacroix obdarzył go rozbawionym spojrzeniem.

- Podporuczniku von Orven, gdy będzie pan żołnierzem przez tyle lat co ja i dożyje mojego wieku, uświadomi pan sobie wartość marcepana wśród dóbr tego świata.

Asko wpatrywał się w niego rozzłoszczony. Nienawidził, gdy nie traktowało się go poważnie. Jeszcze mniej odpowiadało mu lekceważenie przez mężczyznę, który w opinii Asko nie opanował podstawowych zasad dobrego wychowania.

- Jeśli chodzi o tego mnicha - kontynuował Delacroix - to obawiam się, że go zgubiliśmy. Gdy do niego zajrzałem, okazało się, że zniknął. Magiczna blokada, którą McMullen stworzył przy drzwiach, nie powstrzymała naszego jeńca przed ucieczką. Może powinniśmy go byli trzymać w naszym pokoju. Tyle że wtedy by nas zajmował i przeszkadzał. W każdym razie uwolnił się, sam albo z cudzą pomocą. To denerwujące - dodał Delacroix z kwaśnym uśmiechem - ale tak właśnie jest.

McMullen wiedział, co oznacza ten uśmiech, i rzucił von Orvenowi ostrzegawcze spojrzenie. Jeśli nie znało się dobrze Delacroix, można było nie zauważyć od razu cieniutkiej granicy między cynizmem a gniewem. Pułkownik uśmiechał się, ale był nieszczęśliwy. Jedno fałszywe słowo, jeden niewłaściwy gest i jego nastrój mógł bardzo szybko zamienić się we wściekłość. Delacroix nie podobała się myśl, że jego wróg był na wolności. Robił sobie ogromne wyrzuty, że nie wysłał go od razu w zaświaty. To by im oszczędziło mnóstwa nieprzyjemności. Skrupuły doprowadziły tylko do tego, że mieli o jednego wroga więcej, z którym musieli się liczyć, a i bez mnicha mieli dość wrogów. Choć nawet nie wiedzieli gdzie ani ilu ich było. Jeśli pomiary McMullena się zgadzały i jeszcze trzej inni Si czekali na właściwy moment do ataku, to oficerowie i ich towarzysze znaleźli się w poważnych tarapatach. Jeden mistrz sztuk tajemnych w żadnym wypadku nie wystarczy, by bronić się przed czarami i zaklęciami trzech różnych Si.

Ale z Si tak już właśnie było. Mieli bardzo zróżnicowane moce. Nie żyli i nie walczyli w grupach. Byli - na ile wiadomo -

indywidualistami, dziwaczali i egocentryczni, i mieli cele, których żaden człowiek nie rozumiał. Mogli być do siebie wrogo nastawieni i całkowicie zajęci zwalczaniem się nawzajem. Możliwe też, że ten czy inny feyon opowiedziałby się po stronie ludzi, a ci nawet tego nie zauważą. A może żaden z feyonów się nie ujawni. Albo przyjdą we trójkę, a mały oddział ludzi w ogóle nie będzie wiedział, kogo spotkał.

Delacroix nie lubił takich sytuacji, a jego złość na zachowanie Cerise rosła z minuty na minutę. Jej zuchwałość, gdy rzuciła im parę słów, jak psu kość, a potem po prostu zniknęła - i to jeszcze w takiej sytuacji - nasiliła u Delacroix od dawna skrywane pragnienie, by skrócić ten śliczny kark. Dlaczego akurat musiała mieć romans z jakimś Si? Jakby robiła to specjalnie, żeby doprowadzić pułkownika do wściekłości. Nie był zazdrosny. W żadnym wypadku. Ich związek już dawno się skończył. Delacroix nie chciał Cerise z powrotem, a to znaczyło, że mogła sobie romansować, z kim zapragnęła. Nawet z feyonem. Pułkownika nic to nie obchodziło. Absolutnie nic.

Tyle tylko, że nie powinna tego robić. Na pewno nie wiedziała, w co się pakuje. Nie miała zielonego pojęcia, jakie niebezpieczeństwa wiązały się z Si. Typowe dla Cerise, dać się uwieść mężczyźnie, który był więcej niż niezwykły. Jednak niezdolność Cerise, by przypomnieć sobie pierwsze spotkanie - albo spotkania - nie oznaczała nic dobrego dla związku, który powinien przecież opierać się na zaufaniu. Temu mężczyźnie - o ile był mężczyzną - Cerise nie była równa. Istniał poza światem, który umiałaby pojąć.

Och, Delacroix ją rozumiał. Widział tego mężczyznę. Wyglądał dobrze. Musi się podobać kobietom i niezależnie od tego, jakie były powody, rzeczywiście chronił Cerise. Delacroix czuł też, że jest mu coś winien, ponieważ Si uchronił pułkownika przed zabiciem dziewczyny. Gdyby feyon się nie pojawił, Corrisande Jarrencourt byłaby już martwa.

Ta myśl powracała do Delacroix z potworną regularnością. Opowiedział McMullenowi, jak ta młoda kobieta prosiła, by uchronił ją przed porwaniem przez wiatrochoda; jak również o tym, że próbował to zrobić i prawie mu się powiodło. McMullen popatrzył na niego uważnie, ale milczał. Mag nie potrafił wyjaśnić interwencji Si, skłaniał się jednak ku temu, by przypisać to zachowanie dobremu sercu tego stworzenia.

To miało sens. A jednak w najciemniejszych zakamarkach swego podejrzliwego jestestwa Delacroix nie potrafił uwierzyć w czysty altruizm feyona. Może przez wychowanie, jakie Delacroix odebrał w dzieciństwie, choć pewną dumą napawała go świadomość, że udało mu się zwalczyć wpajane przez Bractwo uprzedzenia. Brzydził się wpływem uduchowionych fanatyków tak bardzo, że raczej skłaniał się ku temu, by myśleć bardziej liberalnie i swobodniej, niż było to powszechnie przyjęte. Wyobrażenia o moralności u Delacroix nie opierały się ani na typowych uprzedzeniach, ani też na bezrefleksyjnych normach społecznych. Próbował postępować fair. Nie zawsze mu się to udawało.

- A więc mnich zniknął - powiedział von Gorenczy. - Szkoda. Być może mógłby nam powiedzieć...

- Nic by nie powiedział, panie podporuczniku - przerwał mu Delacroix. - A przynajmniej nic, co by się nam przydało. Ale na pewno próbowałby przeciągnąć pana na swoją stronę.

Dojrzewało w nim pewne podejrzenie. Czy to możliwe, że mnicha uwolnił któryś z bawarskich oficerów? To możliwe. Obaj byli wstrząśnięci, że nieoczekiwanie znaleźli się po stronie przeciwników Kościoła. Ciężko było im pojąć, że Bractwo zajmowało pozycję w strukturach katolickiej organizacji, acz nie było przez Kościół powszechnie uznawane. Tylko niewielu wiedziało o istnieniu tego zakonu, a spośród tych niewielu Bóg wie, że nie wszyscy popierali metody postępowania mnichów. Jednak trudno przeklinać za uczynki małego zakonu cały Kościół katolicki. Rzeczywistość była dużo bardziej złożona. Lecz Bractwo Światła należało do Kościoła - to pozostawało niepodważalne.

Delacroix przyjrzał się uważnie Asko. Podporucznik miał szczególnie niewinną minę, przez co Delacroix podejrzewał kamuflaż. Może to von Orven uwolnił jeńca. Pułkownik mógł zapytać i może nawet otrzymałby szczerą odpowiedź. Asko nie należał do krętaczy, był na to zbyt prostoliniorny. Ale co wtedy? Co to da? Czy ten młody mężczyzna sprzeciwiłby się trzymaniu w niewoli związanego mnicha, gdyby to on uwolnił więźnia? Ten rodzaj obłudy nie pasował do Asko. Najprawdopodobniej lepiej zatem nie okazywać podejrzliwości. Jeżeli to on uwolnił mnicha, z pewnością nie była to zdrada, lecz raczej działanie pod wpływem religijnych skrupułów. Może McMullen będzie to mógł w niezauważalny sposób sprawdzić

bez potrzeby toczenia kolejnej dyskusji o religii, odpowiedzialności i winie. Mniejsza z tym. To już się stało i było jeszcze wielu innych podejrzanych, których motywacja pozostawała całkowicie nieznana. Feyony, słudzy Boga i słodka dziewczyna.

Delacroix zmienił temat:

- Pewnie ucieszy panów wiadomość, że policja zabrała już ciało Vonderbrucka. Funkcjonariusze byli bardzo dyskretni. Powoli nabierają w tym wprawy.

Pułkownik zatrzymał narzędzie zbrodni, a policjanci mu na to pozwolili, choć z początku nie chcieli. Najwyraźniej mieli rozkaz, by spełniać wszelkie życzenia ich zespołu.

- Wiedzieli, kim był?

- Mówili, że magiem, który mieszkał w Monachium i utrzymywał się z wróżbiarstwa i tym podobnych rzeczy. Spróbują dowiedzieć się więcej.

Von Orven spojrzał na niego niepewnie.

- Może powinniśmy zapytać Miss Jarrencourt - mruknął pod nosem, pilnie przyglądając się swym butom z cholewami. - Odprowadziłem ją wczoraj do pokoju. Gdy wymówiłem jego nazwisko, nalegała, byśmy ostrzegli pana, że jest niebezpieczny.

- Ach - skomentował ostro Delacroix. - No doprawdy! Jak miło, że raczył nas pan o tym powiadomić.

- Wielki Boże! - wykrzyknął von Gorenczy. - Powinieneś był nam to powiedzieć już wiele godzin temu. Dlaczego dopiero teraz?

- Dobrze pytanie - przerwał z lekkim uśmiechem McMullen.

- Myślałem, że to by nie było... Całkiem wypadło mi to z głowy.

- Przez chwilę Asko wyglądał jak chłopiec, którego przyłapano z ręką w pudełku z ciastkami.

- Wypadło ci z głowy? Cholera! Masz nas za głupców? - w głosie von Gorenczy'ego pobrzmiwała złość.

- Moi panowie - postanowił zainterweniować McMullen - myślę, że słaba pamięć podporucznika von Orvena opiera się na zrozumiałym, choć powodującym błędne zachowanie życzeniu, by chronić tę młodą damę. Z pewnością będzie pan w stanie zrozumieć, panie podporuczniku, że chodzi tu o coś więcej niż dobre samopoczucie Miss Jarrencourt. A więc niech nam pan opowie całą historię.

Przez chwilę panowała cisza. Asko rozejrzał się nieszczęśliwy i napotkał gniewne spojrzenie Delacroix. Podporucznik żałował, że w ogóle się odezwał. Ale teraz było już za późno.

- Po tym jak zaatakowała ją ta istota, odprowadziłem Miss Jarrencourt do pokoju. Była zadziwiająco opanowana. Na schodach myślałem, że się przewróci, ale trzymała się dzielnie. Doprowadziłem ją do salonu i wszedłem za nią. - Rozejrzał się zawstydzony, jakby oczekiwał nagany za złe zachowanie. - Chciałem się upewnić, że dobrze się czuje. Martwiła się jednak bardziej o swoją towarzyszkę i swoją pokojówkę niż o siebie. Płakała.

- Miss Jarrencourt?

- Nie, pokojówka. Miała na twarzy siniaka i nie mogła sobie przypomnieć, skąd go ma. Mówiła, że w ogóle nie może sobie przypomnieć, co się stało. Że była w drodze do foyer i zgubiła czas. Brakowało jej w pamięci trzech kwadransów i wtedy stwierdziłem, że powinniśmy skonsultować tę sprawę z Vonderbruckiem. Coś w tym śmierdziało. No więc Vonderbruck miał sprawdzić, co zaszło...

- ...ponieważ był mistrzem od bardzo śmierdzących spraw - skończył za niego z kpina McMullen, zaś oficer niemal zwinął się ze wstydu pod jego spojrzeniem.

- Cóż, gdy rozmyślałem nad tym później, stało się dla mnie oczywiste, że prawdopodobnie to Vonderbruck skrzywdził pokojówkę. W każdym razie, gdy wymówiłem jego nazwisko, Miss Jarrencourt poderwała się zdenerwowana i powiedziała, że panowie - tu wskazał na Delacroix i Udolfa - są w niebezpieczeństwie. Powiedziała, że ma powód, by przypuszczać, że pan Vonderbruck jest groźniejszy, niż sądziliśmy, i że musimy panów natychmiast ostrzec. Chwilę później wybiegła z pokoju. Była tak szybka, że złapałem ją dopiero przed drzwiami Vonderbrucka. Oczywiście nie wierzyłem jej, ale mimo to nalegałem, by weszła za mną. Resztę panowie znają.

Wśród zebranych znów zapanowało milczenie.

- W każdym razie to interesujące - powiedział w końcu McMullen. - Nawet bardzo. Możemy spokojnie założyć, że nie była współniczką Vonderbrucka.

- Oczywiście, że nie! - oburzył się Asko.

- A jednak nie możemy zignorować, że Miss Jarrencourt wiedziała więcej o naszym magu niż my - zamyślił się Delacroix. - Musimy jej zadać kilka pytań.

Podporucznik von Orven wyglądał na nieszczęśliwego. Sam chciał zadać młodej damie kilka pytań, a zwłaszcza jedno, ale żadne nie miało nic wspólnego z Vonderbruckiem.

- Tak też zrobimy - obiecał McMullen - ale teraz wpuśćmy do pokoju trochę świeżego powietrza. Zrobiło się aż duszno od gwałtownych uczuć. To nie służy koncentracji.

Podszedł i otworzył drzwi prowadzące na balkon. Tym samym wyraźnie dał do zrozumienia, że dyskusja o tym, czy podporucznik postąpił słusznie, czy nie, jest zakończona.

McMullen wyszedł na taras i odetchnął świeżym wiosennym powietrzem. To nie był zbyt piękny dzień. Z okrytego chmurami nieba padały drobne, zimne krople deszczu. Panował chłód. Dwa balkony dalej mag zauważył damę, która również wyszła się przewietrzyć. Przyjrzał jej się uważnie, niemal w nadziei, że wreszcie zobaczy słynną Miss Jarrencourt, która dysponowała tak niespodziewanym instynktem pozwalającym wyczuć zbliżającego się potwora i niebezpiecznych magów. Dama była jednak trochę za stara, by mogła zainteresować mężczyzn takich jak Asko czy Delacroix. Po czterdziestce. Siwe, wysoko upięte włosy nadawały jej surowy, ale modny wygląd. Ignorowała McMullena, nawet nie zerknęła w jego stronę, chociaż musiała go zauważyć.

To zatem przyzwoitka, wywnioskował. I nagle ją rozpoznał. Eliza Worryngham. McMullen skrył się w cieniu framugi i przyjrzał kobiecie dokładniej. Nie widział jej prawie dwadzieścia pięć lat, ale mimo to był pewien. Kobieta, którą tak bałwochwalczo kochał jego przyjaciel, Earnest Worryngham. Szalał na jej punkcie. Wówczas młoda i piękna. Jednak również ambitna i wymagająca. Worryngham ze swoim skromnym majątkiem i niespokojnym trybem życia nie miał żadnych szans, by ją do siebie przekonać. To go naprawdę dręczyło. W rzeczywistości wykańczało go to tak bardzo, że McMullen poważnie się martwił, czy ze zgryzoty przyjaciel nie zapije się przypadkiem na śmierć albo nie wpakuje sobie kulki w łeb, jeśli nie zdobędzie tej kobiety.

Dlatego pomógł. Nie był z tego dumny. To, co wtedy zrobił, oznaczało złamanie praw łoży, które wiązały zarówno uczniów, jak i wszystkich poważnych i szanujących się magów. McMullen nie był wtedy jeszcze mistrzem, osiągnął dopiero stopień adepta sztuk magicznych, ale jego umiejętności wystarczyły. Obłożył Elizę czarem,

który sprawił, że na śmierć zakochała się w Worrynghamie. To był silny czar. Działał całkiem długo i kobieta wzięła z Earnestem ślub.

Rok później przyjaciel nagle i nieoczekiwanie umarł. Atak serca we śnie, stwierdzili medycy. Młoda, atrakcyjna wdowa znów była wolna i od razu zaczęła szukać nowego małżonka, który mógłby jej zaoferować lepsze życie.

McMullen nigdy już jej nie zobaczył. Wyrzuty sumienia powstrzymały go przed tym, by się z nią spotkać. Jednak po nagłej śmierci przyjaciela miał złe przeczucia.

Opiekunka Miss Jarrencourt. Niezwykle ciekawe. Będzie musiał powiedzieć o tym Delacroix. Oczywiście nie zamierzał wtajemniczać podporuczników. Po pierwsze, mag nie chciał, by poznali jego postępek, nawet jeśli to było dawno temu, a po drugie, nie potrafił ocenić, w jaki sposób zareagowałiby na tę informację. Jeśli chodziło o Corrisande, to przynajmniej von Orven myślał sercem, zamiast używać do tego mózgu.

Delacroix, niestety, też nie kierował się w pierwszym rzędzie głową.

## Rozdział 62

Corrisande czuła się jak zongler. Widziała kiedyś takiego artystę cyrkowego. Wyrzucał jednocześnie w powietrze sztylety, miecze i płonące pochodnie. Jego zręczność była imponująca, a dziewczyna czuła, że teraz robi niemal to samo.

Była ładnie ubrana i miała świeżą fryzurę. Jej opuchnięta warga została ukryta pod warstwą pudru, a włosy zaplecione w słodką, choć może trochę dziewczęcą fryzurę. Marie - Jeannette i Eliza dały z siebie wszystko, by znów zrobić z Corrisande grzeczną, przyzwoitą dziewczynę, jaką była jeszcze dzień wcześniej, a ona sama ćwiczyła uśmiech tak długo, że aż bolała ją twarz. Uśmiechanie stało się trudne.

Wpoila Marie - Jeannette, by bez pytania nie przyjmowała żadnych poleceń od Elizy. Winę za to, że nie mogła opuścić hotelu, zrzuciła na Duponta i w tej chwili wyjaśniała, dlaczego konieczne było zabicie tego człowieka. Okazało się to niełatwe.

- Zamierzał zdradzić papę i mnie. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego papa wybrał go na przedstawiciela w Monachium. Przecież papa nic sobie nie robi z magii. Pewnie nawet nie wiedział, że ten człowiek był mistrzem sztuk tajemnych. W każdym razie Dupont realizował własne cele, a nie papy.

- I wtedy postanowiłaś go zasztyletować? Tak po prostu? - Eliza siedziała na sofie w ich małym salonie, trzymała robótkę i z niedowierzaniem patrzyła na Corrisande. - Naprawdę próbujesz mi powiedzieć, że gdzieś tu, w hotelu, leżą zwłoki z nożem w piersiach i że w każdej chwili możemy się spodziewać wizyty żandarmerii?

Nóż. Corrisande nie zabezpieczyła noża. Jedną z najważniejszych lekcji jej mistrza. Zawsze pilnować, by broń zniknęła.

Nawet o tym nie pomyślała. Myśli zajęte miała innymi sprawami. Ale o wspomnianych sprawach też nie mogła mówić i teraz, gdy przypomniała sobie o sztylecie, była pewna, że nie ma najmniejszej ochoty wyciągać go z serca zabitego. Na samą myśl czuła mdłości.

- Poza tym - ciągnęła Eliza - skoro dopuścił się zdrady wobec twego ojca, to powiedz mi, proszę, dla kogo szpiegował? Czy podjęłaś jakieś kroki w tej sprawie?

Delacroix. Wszystko kręciło się wokół niego. Corrisande nie powinna była mówić o zabitym magu. Ale było warto. Osłupienie Elizy wynagrodziło dziewczynie zawiązką nieostrozną wzmianką. Teraz jednak przyzwoitka zaczęła przesłuchanie i wszystko, co



uzyskiwała z ostrożnych i niekiedy całkowicie zmyślonych odpowiedzi Corrisande, wykorzystywała jako punkt zaczepienia do dalszych, coraz bardziej szczegółowych pytań.

Corrisande zaczynała już wątpić, czy uda jej się to dobrze odegrać. Jeśli ojciec dowie się, że tajemnice, które osobiście go dotyczyły, zostały zdradzone przez jednego z jego ludzi, podziękuje córce za szybkie i skuteczne działanie. Ale z pewnością nie zostawi w spokoju innych wtajemniczonych.

Wystarczy list od Elizy, a Delacroix będzie praktycznie martwy. Strzał, nóż albo trucizna. I tyle.

- Nie ma się czym martwić. Nie powiedział nic wprost. Nikt nie mógłby tego zrozumieć.

- Kto i czego nie mógłby zrozumieć? - Spojrzenie Elizy niemal przebijało dziewczynę na wylot. - Czy to możliwe, że znów mówimy o twoim tajemniczym i jakże namiętnym Delacroix? Nie możesz go chronić. Nie wolno ci. On też by cię nie oszczędził. Nie zrobiłby tego. Czy domyśla się, że to ty zabiłaś Duponta?

Gorzej. On to widział.

- On... - głos uwiązał Corrisande w gardle. - Wziął tę sprawę na siebie.

Eliza milczała przez długi czas.

- Za tym się kryje coś więcej, prawda, dziecko? - zapytała w końcu. - W pewnym sensie cię rozumiem. Uwierz mi. Jestem kobietą, a pułkownik to rzeczywiście imponujący okaz prawdziwego mężczyzny, wielki, silny i niezwykły. Nie wiem, czy jego próby zbliżenia były ci miłe, czy nie, ale to obojętne. Nie miał dla ciebie dość szacunku, by podczas tego „polowania” trzymać cię z dala od linii strzału. Jego szacunek do ciebie na pewno nie wzrósł wraz z uwagami Duponta, wszystko jedno, jak enigmatyczne by były, a sposób, w jaki na ciebie napadł, też nie wskazuje na uwielbienie. Ten człowiek jest niebezpieczny. Wdepcze cię w pył jak stokrotkę, nie wahając się nawet przez chwilę. Owszem, chętnie przyznam, że wrażenie męskości i niezwykle zachowanie mają coś w sobie, jeśli się coś takiego lubi. Ale to czyni pułkownika tylko bardziej niebezpiecznym. Nie masz prawa narażać nas dla człowieka, któremu jesteś całkowicie obojętna. Och - obdarzyła Corrisande protekcyjnym uśmiechem - oczywiście mogę uwierzyć, że uważa cię za atrakcyjną. Większość mężczyzn by cię za taką uznała. Weźmie

cię, jeśli będzie mógł, będzie kochał w swój bezpardonowy sposób, może nawet z użyciem siły, a potem i tak cię zdradzi. Znam mężczyzn. Uwierz mi. Znam ich i wiem, że ten mężczyzna cię zdradzi.

Corrisande nie była w stanie mówić. Zupełnie jakby ktoś zacisnął jej palce na gardle. Nie mogła wykrztusić słowa.

Eliza wiedziała wiele o mężczyznach. Może nawet miała rację. Prawdopodobnie ją miała. Ale miała też swoje motywy - ukryte motywy. Bezpieczeństwo i przyjemne życie były dla Mrs Parslow najważniejsze, a teraz martwiła się o obie te rzeczy. Corrisande знаła swą towarzyszkę na tyle dobrze, by wiedzieć, że Eliza użyje wszystkich środków, byle nadal prowadzić bezpieczne i wygodne życie. Starsza dama w żadnym wypadku nie była bezinteresowna i to, co robiła, robiła przede wszystkim dla siebie.

- Chyba się trochę zapędziłaś - stwierdziła Corrisande, gdy mogła już znów zaufać swemu głosowi. - Moje spotkanie z Delacroix było i minęło. Nie spotkam go już więcej i, tu akurat masz rację, jestem mu całkowicie obojętna. - Powiedzenie tego bolało. - Ma powód, by czuć wobec mnie wdzięczność, ponieważ uratowałam mu życie, on zaś nie wie o mnie ani o moim papie niczego, co w jakikolwiek sposób mogłoby narazić nas na niebezpieczeństwo. Nie wiem, jaka jest rola pułkownika Delacroix w tej przygodzie, ale mam absolutną pewność, że jego nagłe zejście narobiłoby więcej hałasu niż zagmatwane brednie Duponta. Może masz inne zdanie na ten temat. Ale chcę, żebyś wiedziała - spróbowała nadać swemu głosowi zdecydowane brzmienie - że jeśli sprawisz, by ten mężczyzna został zamordowany, wszystko jedno przez kogo, przez papę czy kogokolwiek innego, spotkają cię z mojej strony nieprzyjemności, które na pewno ci się nie spodobają. Mogę to bardzo szybko załatwić.

Kobiety popatrzyły na siebie ze złością.

- Nadszedł czas, byś wyszła za mąż i zajęła się małżeństwem oraz rodziną. Nasza współpraca nie przyniesie żadnych korzyści, jeśli będziesz mi grozić, że pozbawisz mnie życia.

- Więc ty nie groź mi tym samym - odcięła się Corrisande i dopiero wtedy uświadomiła sobie, co takiego powiedziała i co przez to rozumiała.

Wstała i podeszła do drzwi na balkon. Wyjrzała w szarość dnia. Bez przerwy padało i zrobiło się bardzo zimno. Była za to wdzięczna,

bo to oznaczało, że nie musi wychodzić i sprawdzać, czy może już przejść przez hotelowe drzwi, czy też wciąż jeszcze więzi ją czar. Czar, którego nie mogła zobaczyć ani w żaden inny sposób wyczuć, dopóki nie znalazła się pod jego działaniem. Może zaklęcia już nie było, może zniknęło razem z Dupontem. Nie wiedziała.

Wysłały po dobrą modystkę, kobietę, którą poleciła madame de Rhins - Epitue. Przyjdzie jutro i przedstawi Corrisande propozycje grande toilette na bal. Suknia w kolorze kości słoniowej na pierwszy sezon balowy w Monachium. Do tego perły i szafiry. Piękna biżuteria, którą Corrisande kazała wykonać ze zdobytych łupów. Klejnoty, które sobie przywłaszczyła, zawsze dawała do przeszlifowania.

Powinna się cieszyć, ale w tej chwili nie wydawało jej się to warte starań.

- Przykro mi, że tak na siebie napadłyśmy. Nie wiem, jak cię mogę przekonać. Wszystkie nasze tajemnice są bezpieczne. Nikt ich nie zna. Proszę, uwierz mi. Nie mam żadnego interesu w tym, by wpędzić siebie albo papę w kłopoty, a tobie też w sumie nic nie może się stać. Jesteś o wiele bezpieczniejsza od nas. Za moje kradzieże trafiłabym do więzienia albo została deportowana. Za śmierć Duponta groziłaby mi egzekucja. Skoro ci mówię, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, to musisz mi uwierzyć. Sporo zaplanowałam, a pułkownik Delacroix nie mieści się w żadnym z moich planów. Nawet najdrobniejszym. Nie utrudniaj tej sprawy jeszcze bardziej. Twoja interwencja mogłaby ją tylko pogorszyć. Proszę, zaufaj mi. Wszystko, czego chcemy, to przeżyć tu miły sezon. I tak właśnie będzie. Wyjdę za szarmanckiego, miłego mężczyznę, ty zgarniesz swoją prowizję, a później będziemy wesoło żyły aż do końca świata i nikt się o niczym nie dowie. Jestem złodziejką i włamywaczką. Umiem oceniać ryzyko, a tutaj żadnego nie ma - świadomie skłamała. - Nie jestem kretynką. Nikt i nic nie może mnie skłonić do tego, by zdradzić siebie albo ciebie czy papę. Co bym z tego miała? Jaką korzyść? - To był język, który Eliza rozumiała. - Skoncentrujmy się lepiej na naszych celach i omówmy kwestię garderoby, którą musimy zamówić. To jest ważniejsze i pozwoli odciągnąć nasze myśli od nieprzyjemnych spraw. Delacroix zniknie z naszego życia na długo przedtem, nim krawcowa dostarczy nam suknie ślubne.

Rozległo się krótkie pukanie i do pokoju weszła Marie - Jeannette. Ona również wyglądała na śmiertelnie zmęczoną, choć też

ukryła wielkiego krwiaka pod grubą warstwą pudru. Corrisande dostrzegła, że pokojówka wciąż jeszcze czuje się zagubiona. Jej naturalne zachowanie i beztroska znikły bez śladu. Sprawiała wrażenie zatrwożonej.

- Tego hotelu można się bać. - Usiadła na jednym z foteli. - Jest tu tak mało ludzi. To denerwujące. Rozmawiałam z panem Hinterhuberem. Powiedział, że w tej chwili nie przyjmują nowych gości. On również nie wie dlaczego, ale nakazano mu mówić, że wszystkie pokoje w hotelu są zarezerwowane. Goście się wyprowadzają, bo myślą, że tu straszy. Zresztą straszło, a do tego jeszcze w nagły i niewytłumaczalny sposób zachorowała młoda dama. Ale czuje się już lepiej. Hinterhuber powiedział, że to wydarzenie wszystko pogarsza. Ale madame de Rhins - Epiteue wciąż tu jest. Specjalnie o to pytałam. Zostaje, a poza tym - uśmiechnęła się i uniosła w górę kopertę - przesyła zaproszenia na bal.

- Ach, to dobrze - odpowiedziała Corrisande. - Przynajmniej jedna rzecz, która przebiega zgodnie z planem. To miło ze strony madame, że zareagowała tak szybko. Muszę jej koniecznie podziękować.

- Zjemy z nią - oświadczyła Eliza. - Ale lepiej nie dziś. Chcę, byś najpierw wypoczęła po twoich... nowych doświadczeniach, zanim znów pokażemy się ludziom.

- Dobry pomysł - zgodziła się raczej oschle Corrisande. Wiedziała, że będzie potrzebowała więcej niż jednego dnia, by dojść do siebie po tych nowych doświadczeniach. I nigdy ich nie zapomni. Mogła jednak trochę poudawać, w tym była dobra. Będzie ćwiczyć uśmiech i znajdzie wiele okazji, by szlifować swój wizerunek, mijając się z prawdą tylko o włos. I nikt, ale to absolutnie nikt się nie dowie, że Corrisande kryje w sobie małą cząstkę feyona.

Znów rozległo się pukanie.

## Rozdział 63

Von Orvenowi w tym krótkim czasie, który miał do dyspozycji, nie udało się zorganizować kwiatów. Nie miał czasu na to, by wyjść z hotelu i samemu je kupić, ani też by czekać na boya hotelowego, który by mu jakieś dostarczył. Poprosił, by na krótką chwilę zwolniono go z obowiązków. Otrzymał zgodę. Ale tylko na krótko. Delacroix wcale nie wyglądał na szczęśliwego, ale pozwolił mu iść.

Asko uważał, że nie wypada odkładać jego prośby na później. Nie oczekiwał żadnej odpowiedzi od Miss Jarrencourt. Nie od razu. Znał młodą damę dopiero dzień, a okoliczności spotkania z pewnością nie były sprzyjające. Chciał jednak, by wiedziała, że Asko jest tu dla niej. Że był gotów i pragnął wziąć na siebie konsekwencje wydarzeń poprzedniego wieczoru. Miss Jarrencourt musiała wiedzieć, że Asko von Orven to człowiek honoru.

W korytarzu wisiało lustro, w którym zdążył się jeszcze przejrzeć. Kazał wyszczotkować swój mundur, by nie było na nim nawet pyłku kurzu, a przede wszystkim brudu z piwnicy, gdzie Asko został rzucony na podłogę. Włosy zaczesał na bok, z równym jak spod linijki przedziałkiem. Wyglądał przyzwoicie, choć może na trochę podenerwowanego. Ale tego można było oczekiwać. Siniak na twarzy nie poprawiał wyglądu, dodawał jednak aparycji oficera brawurowego uroku. Asko wyszczerzył zęby do swego odbicia w lustrze, próbując zdecydować, czy stosowniejszy będzie uśmiech, czy może poważna i godna postawa. Stwierdził, że z radosnym uśmiechem wygląda trochę głupkowato, a przecież podporucznikowi zależało, by wywrzeć właściwe wrażenie. Zapukał do salonu Miss Jarrencourt.

- Proszę wejść! - usłyszał w odpowiedzi i rozpoznał głos Mrs Parslow. Otworzył drzwi.

Mrs Parslow siedziała na sofie z robótką na drutach. Wyglądała surowo i statecznie; spojrzała na niego niczym nauczycielka szykująca się do odpytania najgorszego ucznia. Corrisande stała przy drzwiach balkonu i wyglądała na szary świat. Jej pokojówka właśnie zniknęła w sąsiednim pokoju.

- Dzień dobry, Mrs Parslow, dzień dobry, Miss Jarrencourt - ukłonił się Asko. - Mam nadzieję, że wypoczęły panie po wczorajszych wydarzeniach.

Mrs Parslow uśmiechnęła się uprzejmie, jednak uśmiech ten nie sięgnął oczu. Asko pomyślał, że jest pewnie na niego zła. Bez jej

zgody zabrał Miss Jarrencourt na niebezpieczne polowanie i Corrisande przytrafiło się więcej, niż powinno. Przeżyła, ale mogło być gorzej. To, co się stało, było jednak dostatecznie złe. Oczywiście Asko powinien za to przeprosić, nie wiedział jednak, ile Corrisande opowiedziała swojej towarzyszce. Nie uważał, rzecz jasna, że Miss Jarrencourt dopuściła się nieuczciwości, niemniej ostatecznie wydarzenia były nie tylko niebezpieczne, lecz również do głębi zawstydzające, jeśli chodziło o sprawy cielesne. Może Corrisande była zbyt nieśmiała, by szczegółowo wypowiadać się przyzwoitce. I za młoda, by mieć już w tych sprawach doświadczenie.

- Dziękujemy za pańską życzliwą troskę - odparła Mrs Parslow. - Jesteśmy trochę wyczerpane, ale poza tym zdrowe.

- Ciesz się mnie to - powiedział zakłopotany. Następnie przeniósł spojrzenie ze starszej damy, która intensywnie mu się przyglądała, na Corrisande, wciąż przy oknie, choć odwróciła się już w jego stronę. Wydawała się rzeczywiście zmęczona, dostrzegł też, że musiała płakać. Jej oczy przypominały mu oczy siostry w te noce, gdy nie mogła powstrzymać łez.

Poza tym Miss Jarrencourt wyglądała zachwycająco jak zwykle. Miała na sobie jasnoszarą kraciastą suknię z niebieskimi jedwabnymi obszyciami i wyglądała w niej bardzo młodo i krucho. Jej uśmiech zdawał się trochę smutny. Poczuł ucisk w sercu.

- Co możemy dla pana zrobić, panie podporuczniku? - zapytała Mrs Parslow, a Asko zmusił się, by oderwać wzrok od dziewczyny i znów spojrzeć na jej ciotkę.

Wziął głęboki wdech, wyprostował się jak świeca, zupełnie jakby chciał zaszalutować.

- Mrs Parslow - zaczął - jestem w pełni świadom dziwnych okoliczności naszego spotkania, jednakże żywię nadzieję, że pozwoli mi pani zamienić parę słów z Miss Jarrencourt. Zapewniam, że mam honorowe zamiary.

Brwi starszej damy lekko drgnęły, ale skinieniem głowy wyraziła zgodę.

- Proszę, niech pan powie to, po co pan przyszedł. - Nie wykazywała żadnej chęci, by zostawić ich samych.

Nie oczekiwał tego zresztą. Skłonił się grzecznie i zrobił krok ku Corrisande, która wciąż stała przy balkonie z niepewnym uśmiechem. Światło, które padało z okna, delikatnie podkreślało jej sylwetkę.

Wyciągnęła do Asko drobną dłoń, on zaś pochylił się, wspominając, jak przesuwał wcześniej ustami po jej skórze. Tęsknił za tym, by znów to zrobić.

- Miss Jarrencourt - powiedział, trzymając mocno jej rękę. Nie puszczał, ale dziewczyna nie cofnęła dłoni, wręcz przeciwnie. Spojrzała mu w oczy.

- Podporuczniku von Orven. Dzień dobry. Mam nadzieję, że dobrze się pan miewa.

Nagle zdało mu się, że tonie w jej oczach. Nie zastanawiając się, co robi, przyciągnął jej rękę i położył sobie na sercu, opanowany gwałtownymi emocjami. Corrisande mu na to pozwoliła, usłyszał jednak chrząknięcie Mrs Parslow za plecami. Puścił dłoń dziewczyny.

- Miss Jarrencourt, przyszedłem, by jeszcze raz podziękować za uratowanie mnie i za bezinteresowną pomoc... - Asko próbował wyrazić to tak neutralnie, jak to możliwe, by nie wywołać kolejnych interwencji Mrs Parslow - której tak dzielnie mi pani udzieliła.

Corrisande zarumieniała się i zawstydzona spuściła oczy. A później jej spojrzenie spoczęło na nim.

- Podporuczniku von Orven, cieszę się, że mogłam panu pomóc. Bałam się, że ten straszny mag zranił pana tak ciężko, że nie będziemy mogli już w żaden sposób panu pomóc.

- Mimo wszystko... - zaczął i uświadomił sobie, że mówiła nie tylko o sobie, lecz również o Delacroix. To go poirytowało, ponieważ czuł, że ani ten człowiek, ani jego nazwisko nie powinny odgrywać żadnej roli w obecnej rozmowie. - Wymagało to odwagi i bezinteresowności, by działać, i tylko pani mogła to zrobić. Dotknęła pani mego serca i przywróciła mnie do życia.

Uśmiechnęła się, unikała jednak patrzenia mu w oczy.

- Pańskie serce wcale nie było tak daleko, panie podporuczniku. To wielkie serce i łatwo było je odnaleźć. - Po tych słowach znów się zarumieniała, spojrzała nieśmiało w oczy Asko, nim dodała: - Proszę mi wybaczyć. Nie powinnam była tego mówić. Co też pan teraz o mnie pomyśli!

- Tylko to, co najlepsze, moja słodka Miss Jarrencourt! - Zignorował kolejne chrząknięcie od strony sofy. - Ma pani rację, moje serce wcale nie było daleko od pani. I nigdy nie jest. Pragnę pani powiedzieć, że czuję się odpowiedzialny za pani pomyślność. Chciałbym, aby pani wiedziała, że zrobię wszystko, co w mojej mocy,

by panią chronić, i że mam wielką nadzieję robić to nie tylko tutaj i teraz, lecz również... przez długi czas.

- Podporuczniku von Orven, jestem zaszczycona. Nie chciałabym jednak, by czuł się pan zobowiązany do zajmowania wobec mnie określonego stanowiska. Cokolwiek zrobiłam, uczyniłam to chętnie i dobrowolnie. Nikt się nigdy o tym nie dowie. Eliza o tym wie i oczywiście, jak się pan domyśla, nie była zachwycona. Ale to nie ma znaczenia. Nic mi się nie stało i nie podlega pan żadnemu zobowiązaniu, by ratować mój honor.

Tym razem Corrisande zarumieniła się jeszcze bardziej, po czym wbiła spojrzenie w podłogę. Jakież nieskończenie długie i piękne miała rzęsy!

- Pani honor pozostał nietknięty, Miss Jarrencourt, a to, co nazwała pani zobowiązaniem, jest dla mnie przyjemnością i największym pragnieniem.

Milczeli przez chwilę.

- Rozumiem, Miss Jarrencourt, że nie zna mnie pani dostatecznie długo, by udzielić odpowiedzi, i w żadnym wypadku nie będę nalegać. Mam tylko nadzieję, że pozwoli mi pani w najbliższych tygodniach poznać się lepiej. Jeśli to pani odpowiada, uzyskam zgodę u pani ojca.

- To bardzo przyzwoite z pańskiej strony, panie podporuczniku - przerwała mu Mrs Parslow - i jeśli tylko znajdzie pan trochę czasu, sama również chętnie z panem porozmawiam.

Podporucznik uśmiechnął się i skłonił Mrs Parslow w nadziei, że rozmowa będzie mniej straszna, niż się tego obawiał. W końcu zadanie przyzwoitek, ciotek i matek na tym polegało. Spoczywała na nich odpowiedzialność za pomyślność swoich podopiecznych. Asko wcale nie chciał, aby było inaczej.

- Jestem świadom, że wie pani o mnie mało, właściwie nic. - Jego spojrzenie powędrowało od Corrisande ku jej ciotce. - Ale oczywiście złożę pani stosowne wyjaśnienia odnośnie do mego stanowiska. Najlepiej, jeśli przyślę też naszego adwokata. - Teraz patrzył już na Mrs Parslow. - Będzie mógł pani udzielić informacji o mojej sytuacji, jak też o mojej rodzinie. Poinstruję go, by rozmawiał całkiem otwarcie.

- Podporuczniku von Orven - przerwała mu Corrisande - z całego serca dziękuję za pańską propozycję i czuję się nią zaszczycona. Ufam, że zrozumie pan, iż zaledwie po jednym dniu znajomości nie



mogę udzielić panu odpowiedzi. Myśli mam zagmatwane i jeszcze wiele spraw pozostaje dla mnie niejasnych. Świat, jaki znałam, w ciągu jednego dnia całkowicie się zmienił i trochę mnie to przeraża.

- Oczywiście - odpowiedział Asko. - Całkowicie to rozumiem. Do tej pory nie miała pani okazji zobaczyć świata z jego złej strony i doprawdy czuję ból w sercu, że należę do ludzi, którzy skonfrontowali panią z potwornościami życia, jakich do tej pory pani nie zaznała. Mam nadzieję, że da mi pani okazję, bym mógł to naprawić. Była pani odważna i wykazała wolę przetrwania, co wywarło na mnie głębokie wrażenie. Bardzo panią podziwiam. Osobiście wolałbym jednak, aby była pani w miejscu, gdzie krzywdy związane z tego rodzaju zdarzeniami nie mogłyby pani dosięgnąć i gdzie mógłbym panią przed tym wszystkim uchronić.

Corrisande uśmiechnęła się i nagle wyciągnęła do Asko rękę. Ujął ją. Była miękka i delikatna.

- Jest pan o wiele za miły. - Oczy dziewczyny zabłyśły. Spojrzała na ich dłonie. - Nie wszystko, co wczoraj przeżyłam, było straszne.

Tym razem zarumienili się oboje. Asko czuł spojrzenie Mrs Parslow wwiercające się w jego plecy. A niech idzie do diabła. Podporucznik pragnął pobyć z dziewczyną sam, choćby przez chwilę. Ale to było nie do pomyślenia. Chciał ją objąć i pocałować. Niemal czuł jeszcze usta Corrisande na swoich, wspomnienie chwili, kiedy go obudziła, nie zbladło ani trochę.

Uścisnął delikatnie jej rękę.

Za sobą usłyszał głos Mrs Parslow:

- Panie podporuczniku, bardzo dziękujemy za odwiedzinę. Prosimy o zrozumienie, że Corrisande po wczorajszym dniu musi wypocząć, dojść do siebie po wspomnieniach potwornych wydarzeń.

Asko strzelił obcasami i ukłonił się przed przyzwoitką.

- Ależ oczywiście!

Odwrócił się jeszcze ku Corrisande, ujął jej dłoń, pochylił się i lekko dotknął wargami jej skóry. Takiej delikatnej. Puścił ją niechętnie.

Następnie pożegnał się i wyszedł z pogodnym uśmiechem.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, damy przez chwilę milczały. Następnie Mrs Parslow zaczęła chichotać.

- Gratuluję - powiedziała. - Niczego nie zapomniałaś z tego, czego się nauczyłaś. „Nie wszystko, co wczoraj przeżyłam, było straszne”. Bezcenne, mój aniele. Bezcenne. I jak wspaniale zagrane.

Corrisande znów odwróciła się do okna i zapatrzyła w zimną mżawkę. Asko von Orven to taki szarmancki młody mężczyzna, dobroduszny i kochany, a ona to przerażająca bestia. W gruncie rzeczy było jej go żal.

- Ach, już nie patrz z takim poczuciem winy. Dostał to, czego chciał. Mężczyźni. Zawsze czegoś chcą, chcą i chcą, i zazwyczaj to dostają. Rządzą światem swymi ciężkimi, niezdarnymi łapami, robią to, na co mają ochotę, zgarniają to, co chcą mieć, przyznają sobie wszelkie prawa, a nam, kobietom, pozostawiają jedynie obowiązki. Dlatego to nasz przywilej - okłamywać ich, oszukiwać i spełniać ich fantazje, choćby po to, by pozwolić im zachować kruchy obraz świata, dzięki czemu nie zawładnie nimi strach przed własnymi niedostatkami. Szkoda na nich współczucia.

## Rozdział 64

Ojciec Emanuele był zły. Nic nie przebiegało tak, jak chciał. Nie udało mu się uchronić panny Grotian przed skutkami spotkania z demonem. Padre nie pozostało nic innego, jak tylko modlić się z jej rodzicami o powrót do zdrowia i pomyślność ich córki, której duszę mógł uwolnić od ciężarów fizycznej egzystencji. A niewiele brakowało... A teraz tylko modlił się o coś, za czym wcale nie tęsknił i na co stracił prawie dwie godziny.

Dlatego chwile cichej modlitwy wykorzystał, by zastanowić się nad skutkami swego odkrycia. Wiatrochod nie wysysał krwi. Choć był niebezpieczny i obrzydliwy ze swą demoniczną zdolnością, by traktować ludzi jak powłoki i spacerować sobie w ich ciałach, to jednak istota ta była bardzo rzadka, a dzięki woli Bożej również tak bardzo związana z magicznymi regułami czasu i przestrzeni, że w porównaniu z wampirem wydawała mu się niemal miła. Przewidywalny wróg - wszystko jedno jak potężny.

Z wampirami było inaczej. Działy jak podstępna trucizna. Nic nie powstrzymywało ich przed atakiem i zepsuciem dosłownie każdego, czy to mężczyzny, czy kobiety, wampiry nie należały bowiem pod tym względem do wybrednych. Były ucieleśnieniem niekończącego się podstępu, wciąż zmieniającym się kłamstwem i kuszącym grzechem. Łączyło ich pokrewieństwo z wężem w raju, oba rodzaje Si posiadały zdolność, by oferować puchar z cykutą pełen słodkiej zagłady, której nie zniesie żadna ludzka istota. Z pomocą lekarza młoda dama szybko doszła do siebie i nie miała pojęcia, co się z nią stało. Zemdląca. Nic więcej nie pamiętała. Czuła się słabo i miała straszne pragnienie, ogólnie jednak nic jej nie dolegało, jeśli nie wiedziało się, jakich szkód rzeczywiście doznała. A oczywiście lekarz tego nie wiedział, był bowiem typowym, wierzącym w postęp materialistą, który przez ratowanie życia rozumiał jedynie ratowanie ciała, a nie duszy.

Gdy ksiądz mógł wreszcie wrócić do swego pokoju, okazało się, że Giuseppe ciągle jeszcze nie ma. Za to z St. Anna przybyło trzech braci w wierze i czekali już od dłuższego czasu. Ojciec Emanuele przeprosił ich za spóźnienie. Sprawy wyglądały jednak tak, jak wyglądały, poza tym przewyższał ich rangą; w hierarchii Bractwa zdążył wypracować sobie bardzo wysoką pozycję. Jeden z mnichów był akolitą sztuk tajemnych, początkującym w naukach magicznych.

Nie mógł obudzić brata Michaela, miał jednak nadzieję, że uda się tego dokonać w ich schronieniu. Nie był w stanie zbadać przesunięć w liniach mocy. Nie potrafił stwierdzić, czy rękopis został już znaleziony, czy jeszcze nie, wierzył jednak, że prawdopodobnie by poczuł, gdyby tak potężny artefakt znalazł się w zasięgu ręki. Prawdopodobnie. Może. Odszukanie sygnatur feyonów również okazało się dla niego niemożliwe. Próbował, ale bez rezultatów. Początkujący mag nie wyczuł w hotelu żadnego feyona, a to przecież było nieprawdopodobne.

Na dodatek był kłębkim nerwów. Zgryźliwe komentarze ojca Emanuele o niedostatecznych umiejętnościach nie pomagały młodemu bratu z klasztoru się odprężyć. Nie potrafił nic z tego, czego wymagał od niego Emanuele. Potrafił trochę wpływać na ludzi, jak twierdził, a jeśli jakaś mroczna istota rzeczywiście znajdowała się w pobliżu, umiał ją rozpoznać i może też trochę się przed nią bronić.

Trochę? - zapytał ojciec Emanuele. To nie zawsze działa, odparł mu akolita. Nie miał żadnego doświadczenia. Tego mu brakowało. Doświadczenia, a doświadczenie uzyskiwało się wtedy, gdy miało się pod ręką tajemnicze stworzenia, na których można było ćwiczyć. W Monachium jednak już od wielu lat nie zdarzyły się podobne do obecnych historie. Ostatnia sięgała kilka dziesięcioleci wstecz.

W końcu ojciec Emanuele odesłał dwóch klasztornych braci razem z bratem Michaeliem do St. Anna. Wynieśli go tylnym wyjściem. Akolitę zatrzymał przy sobie.

- Kto brata uczy? - zapytał niepozornego młodzieńca, który do tej pory jeszcze ani razu nie spojrzał padre prosto w oczy.

Nikt. Młodzieniec przeszedł podstawowe szkolenie w Rzymie, a potem przeniesiono go do Monachium. Miał oczywiście książki. Nie grzeszył też lenistwem. Jednak bez mentora, bez instruktora, niewiele dało się zrobić. To było zbyt niebezpieczne. Czarów nie można wykonać tak po prostu, na próbę. Do tego potrzebny był mistrz, który ochraniał ucznia i korygował błędy, a żadnego maga w Monachium i okolicach od dawna się nie spotykało. Młodemu bratu było bardzo przykro, że nie mógł spełnić oczekiwań ojca Emanuele. Ale też akolita niczemu nie zawinił. Nigdy nie posiadał silnego magicznego talentu, a jego edukacja jeszcze nie dobiegła końca.

Może wielebny mógłby użyć swych wpływów i sprawić, by znów wysłano go do Rzymu? Albo by wyznaczono akolicie inny obszar

działań, który bardziej by odpowiadał jego predyspozycjom? Na przykład by przeniesiono go do archiwów? Archiwa były wspaniałym miejscem. Młodzieniec kochał książki i miał bardzo silnie wykształcone zamiłowanie do porządku. W swej skromności uważał, że w archiwum mógłby wykonywać znacznie pożyteczniejszą pracę.

Oczywiście akolita wiedział, że wszystko, co robią mnisi, dzieje się w imię dobrego celu. Ale co dobrego wynikało z tego, że z niedostatecznym wykształceniem siedział tu, w Monachium? To piękne miasto, ale przecież akolita jest mnichem i rzadko opuszcza schronienie. Światowe życie go nie interesowało. Co do tego Jego Wielbność może być pewien.

- Cóż - powiedział ojciec Emanuele, wysłuchawszy płaczliwego biadolenia młodzieńca. - Skoro nie zna brat żadnych czarów, może będzie mógł pomóc w inny sposób.

Otworzył szafkę w sypialni brata Michaela i wyjął komplet cywilnych ubrań.

- Niech brat to przymierzy. Chciałbym, żeby przeszedł się brat po hotelu i zebrał dla mnie informacje i wrażenia. Niech brat słucha plotek. Wygląda na to, że pogawędki leżą w brata naturze. Niech brat znajdzie wymówkę, by dostać się do hotelowej kuchni, porozmawia z boyami hotelowymi i ze służbą. Chcę wiedzieć, co się dzieje, a księdzu powiedzą mniej niż zwykłemu człowiekowi. Jeśli rozpozna brat jakąś tajemniczą kreaturę, o ile przypadkiem stanie dokładnie przed bratem, to niech ostrożnie za nią podąży. Ale niech brat nic nie robi. Niech brat nie pozwoli się złapać, lecz dowie, dokąd się owo stworzenie udaje.

Ubrania brata Michaela wyglądały na uczniu sztuk magicznych niezbyt przekonująco, ale ojciec Emanuele uznał, że ujdą. Młody mężczyzna rozpoczął patrol z pełnym nadziei uśmiechem i przyrzeczeniem, że natychmiast wróci, jeśli tylko się czegoś dowie. Następnie zamknął drzwi, a ojciec Emanuele podziękował Bogu za nagłą, relaksującą ciszę.

Akolita nie zdążył jeszcze wrócić, gdy drzwi znów się otworzyły i wszedł potargany i przygnębiony Giuseppe. Miał siniaki na twarzy i na rękach. Był wściekły, ale też do głębi zawstydzony. Schwymano go.

- Schwymano? Przy czym? - zapytał ojciec Emanuele. - Wyduś to z siebie, natychmiast! Wszystko!

- Próbowałem dotrzeć to tego stworzenia ciemności - przyznał Giuseppe z poczuciem winy.

- Zakładam, że mówiąc o „stworzeniu ciemności”, masz na myśli Miss Jarrencourt? - głos ojca Emanuele był łagodny i uprzejmy. Ludzie, którzy dobrze znali padre, starali się znaleźć jak najdalej, kiedy okazywał szczególne opanowanie i uprzejmość. Giuseppe jednakowoż brakowało subtelności i empatii.

O tak. Szukał tej demonicy. Był pewien, że nie powinno jej się pozwolić, by choćby jeszcze jedną noc spędziła w łóżku, wszak nie zasługiwała na spokojny sen i luksus wolności. Należało ją złapać, przesłuchać i powstrzymać - a Giuseppe był właściwym człowiekiem do tego zadania.

Prawie ją miał. Znał numer jej pokoju i z pewnością mógł diabolicznie uwięzić tak, by nikt tego nie zauważył. Na korytarzu nie było przecież nikogo oprócz Giuseppe. A potem nagle padł strzał. Z apartamentu nieopodal pokoju Miss Jarrencourt huknął strzał i wybił wielką, pełną drzazg dziurę w drzwiach, i to od wewnątrz. Ale Pan czuwał nad Giuseppe. Brat minął te drzwi, zanim to się stało. Zaledwie kilka sekund wcześniej przechodził mimo.

I zauważył jeszcze coś. Z jednego z pokoi w dalszej części korytarza dobiegł krzyk kobiety, zaś od strony tych drzwi, które eksplodowały, dał się słyszeć pełen bólu syk. Na podłogę znikąd kapłała krew, a potem Giuseppe go zobaczył, tylko przez parę sekund, na okamgnienie. Jakiegoś mężczyznę. Pojawił się, ale na zbyt krótko, by go opisać. Niemal niezauważalna postać. Gdy się jednak wysilił, Giuseppe był w stanie dostrzec zarys sylwetki owego mężczyzny. Wysoki? Prawdopodobnie.

Kimkolwiek był, pozostawił jedynie niewyraźne wrażenie męskiej postaci. Brat miał pewność, że tylko swojemu szczególnemu talentowi zawdzięcza, że w ogóle zauważył obcego. Bóg był po stronie Giuseppe, wyostrzył jego zmysły i obdarował go łaską widzenia.

Słyszał ciche kroki na dywanie, oddalające się od tych drzwi. Giuseppe stał już pod apartamentem Miss Jarrencourt, ale zdecydował się odłożyć jej karę i najpierw śledzić nienaturalny fenomen, oddalający się niemal niesłyszalnie.

I wtedy nagle otworzyły się drzwi po przeciwnej stronie i wypadł z nich Delacroix z jednym ze swych oficerów.

Walczyli i Giuseppe zawiódł, przegrał tę walkę. Poczucie winy go przytłaczało. Doszedł do siebie znacznie później, ale o ile później, tego nie wiedział. Przez jakiś czas leżał uwięziony w pustym pokoju. Długo prosił Boga o pomoc.

Wyciągnął przed siebie zakrwawione nadgarstki. Były obtarte i pokryte ranami. Czuł magię, ale to go nie powstrzymało. Pan był po jego stronie.

Ojciec Emanuele przyjrzał się zranionym nadgarstkom mnicha.

- Interesujące - mruknął. - Całkiem interesujące. Rezultaty niemal usprawiedliwiają nieposłuszeństwo. Ale tylko niemal. Przypominasz sobie jeszcze moje zarządzenie? Czy może już o nim zapomniałeś?

Zakonnik skinął potakująco.

- Więc powtórz je!

- Nie wolno mi atakować tej demonicy bez wyraźnego polecenia ojca.

- A to zarządzenie wciąż jest ważne. No właśnie. Powtórz!

- Nie wolno mi bez ojca wyraźnego polecenia atakować Miss Jarrencourt.

Sługa boży przytaknął.

- Rozumiesz to, co mówisz? - zapytał łagodnie.

- Tak, ojcie - odpowiedział mnich.

- Czy tym razem wreszcie to zrozumiałeś?

- Tak. Myślałem tylko...

- Nie jesteś tu od myślenia. Ja jestem od myślenia, a ty masz tylko być posłuszny. Taki jest podział ról, boski porządek rzeczy. Zrozumiano?

- Tak, ojcie.

- Czy rozumiałeś to już wtedy, gdy opuszczałeś ten pokój?

- Tak, ojcie.

- Więc będziesz musiał odpokutować za swój grzech.

- Tak, ojcie.

- Nałożę pokutę, gdy skończymy tutaj. Musisz cierpliwie poczekać. Pierwszorządne hotele urządzone są w zbyt niechrześcijański sposób dla płam krwi i biczowników.

- Tak, ojcie.

- Dobrze - odetchnął ojciec Emanuele. - Zostawisz Miss Jarrencourt w spokoju, dopóki nie powiem, że możesz się nią zająć.

- Tak, ojcie.

- Dobrze - powtórzył ojciec Emanuele. - Zatem w chrześcijańskiej miłości bliźniego mogę cię zapewnić, że tym razem zostanie ci wybaczone. Po twojej pokucie.

- Dziękuję, ojcie.

Drzwi znów się otworzyły i do pokoju wrócił akolita. Aż promieniał zapalem.

- Ojcie - powiedział, całkowicie ignorując brata - dowiedziałem się czegoś. Myślę, że to ważne!

Uśmiechnął się radośnie i zrobił przerwę dla zwiększenia napięcia.

- I cóż to takiego? - zapytał ojciec Emanuele ze słodką cierpliwością w głosie.

- Jeden człowiek z grupy tego Delacroix jest martwy. Mag, jak sądzę. Zasztyletowany. Nikt nie wie jak, ale policja zabrała dzisiaj zwłoki. A to oznacza, że nasi przeciwnicy nie mają magicznego wsparcia.

Kapłan uśmiechnął się z satysfakcją.

- Dobra robota - pochwalił. - Doskonale, bracie. Twój talent polega na umiejętności zbierania informacji. Zobaczę, co da się zrobić. Teraz chciałbym, żeby znów wykorzystał brat ów talent i dowiedział się, co się dzieje z oficerami i czy mają już rękopis. Ufam, że również w tym przypadku brat mnie nie rozczaruje.

- Dziękuję, wielbny - odparł brat Ignatius, nie do końca rozumiejąc, dlaczego dwaj mnisi z monachijskiego schronienia tak się denerwowali na myśl o tym wielkodusznym, miłym księdzu.



## Rozdział 65

Eliza zeszła na dół, by napić się kawy. Corrisande nie wiedziała, co o tym sądzić, a zresztą to i tak było bez sensu. Jeśli Eliza rzeczywiście planowała kolejny zamach na życie Delacroix, to nadarzała się okazja, by podjąć stosowne kroki, kiedy była sama. Corrisande nie mogła wiecznie jej pilnować czy temu zapobiec. Mogła jedynie mieć nadzieję, że nie będzie się wtrącać, jej interwencja bowiem tylko by wszystko pogorszyła. Dziewczynie ani przez chwilę nie przyszło do głowy, że Eliza mogłaby mieć rację i że zniknięcie pułkownika bez śladu rozwiązałyby za jednym zamachem cały szereg problemów.

Nie mogła tak myśleć. Budziło to w niej najgłębszą niechęć.

Marie - Jeannette poszła na górę, by nadrobić stracony sen. Corrisande zapewniła, że pokojówka może się bez przeszkód zdrzemnąć, ponieważ mistrz sztuk magicznych, który zapewne odpowiadał za atak na nią, już nie żyje. Wciąż jeszcze Corrisande uważała za obrzydliwe to, jak potraktowano jej pokojówkę, i nawet nie chciała myśleć, co takiego Marie - Jeannette mogła jeszcze ewentualnie zapomnieć. Napad na pokojówkę byłby dla ojca Corrisande wystarczającym powodem, by ostatecznie i nieodwołalnie ukarać tego człowieka. Cóż, nie będzie już musiał tego robić. Corrisande zrobiła to sama.

Rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyła, choć nie oczekiwała odwiedzin. Boy hotelowy przekazał jej złożoną kartkę i odszedł.

Zaczęła czytać:

„Miss Jarrencourt, konieczna będzie kontynuacja naszej rozmowy. Jest kilka spraw, które trzeba wyjaśnić. Pozostawiam Pani wyborowi, czy odwiedzi mnie Pani w moim pokoju (309), czy też wolałaby Pani, aby eskortował Ją do mnie nasz zespół. W tym drugim przypadku nasz nowy mistrz sztuk magicznych będzie Panią mesmeryzował i przepytą w obecności nas wszystkich. Proszę zdecydować. Delacroix”.

Stała jak wryta z przerażenia. Pozostawia jej wybór? A co to był za wybór? Słyszała o mesmeryzmie. Przypuszczalnie widziała skutki tego zabiegu u Marie - Jeannette, na dodatek Asko będzie przy tym obecny i usłyszy wszystko, co z niej wydobędą mag i Delacroix.

Nie miała żadnego wyboru. To, czego się dowiedziała o sobie, sprawiało, że straciła jakąkolwiek możliwość wyboru. Dobrze, że przy

dostarczeniu listu nie było Elizy, która z pewnością pytałaby, dokąd podopieczna się wybiera.

Corrisande opuściła pokój i ruszyła korytarzem. Z wahaniem. Droga wydawała jej się długa, wolałaby jednak, by trwała jeszcze dłużej. Nagle była bardzo świadoma dźwięków, jakie wydawała, idąc, lekkich kroków na dywanie, szelestu sukni i halek, szmeru własnego oddechu. Wszystko to ogłaszało światu, jak wielki dziewczyna czuje strach.

Delacroix czekał w drzwiach, masywnym ciałem niemal rozpierając framugę. Gestem zaprosił Corrisande do pokoju i zamknął drzwi. Nikt nie widział, że zrobiła coś niesłychanego, że popełniła właśnie jedno z najpoważniejszych towarzyskich uchybień. Nikt nie wiedział, gdzie Miss Jarrencourt jest. Odwiedzała mężczyznę w jego pokoju, w jego sypialni, jak zauważyła, co jeszcze bardziej ją zaniepokoiło. To był duży pokój ze stołem, kredensem i krzesłami, i jeszcze to łóżko, patrzyła wprost na nie. Wspomnienie ataku z poprzedniego dnia nagle znów odżyło w pamięci Corrisande, świeże i dręczące, przypomniała sobie, jak nie umiała się obronić przed przemocą, z jaką potraktował dziewczynę Delacroix. Odwróciła się.

Delacroix stał tuż za nią, blokując wyjście.

- Proszę spocząć - rozkazał. Jego głos brzmiał spokojnie. Twarz wyglądała poważnie, ale nie groźnie.

Wskazał na jedno z krzeseł, Corrisande zaś odskoczyła, unikając jego ręki.

- Proszę usiąść, Miss Jarrencourt - powtórzył, bardzo spokojnie. - Chcę z panią tylko porozmawiać, a nie napadać.

Odsunęła się, niemal przewracając krzesło, w które zaplątała się jej szeroka suknia. Delacroix wyciągnął ręce, by ją złapać, jednak Corrisande zanurkowała pod nimi i usiadła. Przysunął sobie drugie krzesło i usiadł naprzeciw, tak blisko, że ich kolana się dotykały. Cofnęła się, wciskając w oparcie.

- Przykro mi, że tak panią wystraszyłem - powiedział Delacroix. - Musi pani jednak przyznać, że nie była szczerą. Znajdujemy się w bardzo niebezpiecznej sytuacji i muszę znać prawdę. Proszę mnie nie okłamywać. Wiem, kiedy się mnie okłamuje.

Przysunął krzesło jeszcze bliżej i jej kolana znalazły się teraz między jego nogami. Był zbyt blisko, naruszał jej przestrzeń i poczucie bezpieczeństwa. Nie była przyzwyczajona do takiej

bliskości. Przyzwoici ludzie zachowują dystans, szczególnie mężczyźni. To była jedna z podstawowych zasad.

A Delacroix nie pozostawił Corrisande żadnej przestrzeni, dziewczyna nie mogła się nawet ruszyć. Uciec też nie mogła. Musiałaby najpierw przeskoczyć nad jego nogami. W szerokiej sukni było to raczej niemożliwe.

Pochylił się i ujął jej rękę. Jego dotyk i bliskość ich ciał wystraszyły Corrisande. Znów niemal podskoczyła, przekręciła się na krześle, nie wstała jednak. Te silne ręce mogły zadać ból. Próbowwała wygnać z pamięci wspomnienia o brutalnej bezwzględności ataku tego mężczyzny.

Jego spojrzenie nie było nieprzyjazne. Z wściekłości, którą widziała wcześniej w jego oczach, nie pozostał ślad, a przynajmniej tak się wydawało. Jego żółtawe oczy patrzyły prosto w jej. Nie uśmiechał się, ale odnosiło się wrażenie, że jest rozbawiony.

- Ludzie potrafią kłamać prosto w twarz, ale ich ręce zazwyczaj mówią prawdę.

Jego wielkie ręce trzymały ostrożnie dłonie Corrisande, a ona wiedziała, co miał na myśli. Czowała ciepło jego skóry, siłę mięśni i ścięgien. Między nimi powstała więź. To sprawiało, że kłamstwo było trudne. Jeszcze trudniej będzie sprawić, by w cokolwiek uwierzył. Corrisande będzie musiała bardzo uważać, bo w przeciwnym wypadku jej strach pomoże Delacroix ją przechytrzyć.

- Nie nosi pani swojego pierścienia - zauważył. Nie padła żadna odpowiedź. To nie było pytanie.

- Skąd go pani ma?

- Od pokoleń jest w mojej rodzinie - odparła zgodnie z prawdą.

- Tak - zgodził się. - Wyglądał na stary. A o jakiej rodzinie pani mówi?

- Jestem Corrisande Jarrencourt. Z Jarrencourt Hall. Może pan to sprawdzić w stosownym tomie Burke's Peerage. Oto, kim jestem.

Bursztynowe oczy pułkownika szukały jej spojrzenia. Niemożliwym było odczytanie jego myśli.

- Co oznacza ta syrena? - zapytał.

- Nereida jest naszym herbem. Była naszym herbem. Dwieście lat temu. Zmieniono go w czasach Cromwella.

Skinał głową. To nie było niczym niezwykłym.

- A jak dzisiaj wygląda wasz herb?

- Księga i miecz.
- W jaki sposób nereida znalazła się na zleceniu morderstwa?
- Nie wiem.

Była świadoma, że próbowała uwolnić swoje ręce i że nagle walczyła z narastającą paniką.

- Teraz mnie pani okłamuje, dziewczyno - powiedział cicho. - Przecież miała pani nie kłamać.

- Proszę, nie! - błagała, a wyraz jego oczu nagle się zmienił.

- Chyba nie sprawiam pani bólu, prawda? Potrzebowała chwili, by pojąć, że nie była to groźba, lecz rzeczywiste pytanie. Delacroix czekał na odpowiedź.

- Nie, nie sprawia mi pan bólu. Boję się pana.

- Ja też się pani boję, Miss Jarrencourt. Czy to pani zleciła moją śmierć?

- Nie. Mogę już iść?

- Nie. Nie pozwolę pani odejść, dopóki nie odpowie mi pani na wszystkie pytania. W jaki sposób herb z nereidą znalazł się na zleceniu morderstwa?

- Ktoś musiał użyć tego pierścienia. Nie zawsze go noszę. Każdy mógł go wziąć. Trzymam go na nocnym stoliku albo w sekretarzyku.

- A dlaczego w sekretarzyku? Czy dlatego, że używa go pani jako pieczęci?

- Tak. Nie.

- Znowu mnie pani okłamuje, Miss Jarrencourt.

Nie wiedziała, dlaczego tak strasznie się go bała. Do tej pory nic jej nie zrobił i nie zamierzał, jak zapewnił. Corrisande mogła zawołać o pomoc. Von Orven musiał być tuż za ścianą. On jej pomoże.

Ale nie będzie krzyczeć, wiedziała o tym. Nie chciała, by ktoś zobaczył ją w sypialni Delacroix, a pułkownik też o tym wiedział.

- A więc używa pani herbu jako pieczęci - to nie było pytanie.

Przytaknęła.

- Dlaczego chciała pani mojej śmierci?

- Nie chciałam pana śmierci.

- Więc kto?

Nie odpowiedziała.

- Pani to wie - wywnioskował. - Niech mi pani powie.

- Nie mogę.

- Owszem, może pani i zrobi to.

Corrisande zebrała resztki odwagi, tak jak zbiera się odłamki stłuczonego szkła.

- W takim razie będzie pan musiał znowu użyć przemocy, pułkowniku. To nie moja tajemnica i nie mogę panu nic powiedzieć.

Próbowała przygotować się na jego atak, ale nic się nie wydarzyło. Oficer sprawiał wrażenie rozzłoszczonego, nie zdobył się jednak na czynną napaść. Blefował, a Corrisande nie dała się nabrać. Tylko trzymał jej dłonie.

- Dlaczego Vonderbruck nazwał panią księżniczką? - zapytał, Corrisande zaś poczuła się trochę śmieiej, ponieważ jak dotąd nie udało mu się zmusić jej do żadnej odpowiedzi.

- Myślę, że to musi mieć coś wspólnego z jego poczuciem humoru.

Dłonie Delacroix ciasniej zacisnęły się na jej rękach. Nie bolało, ale poczuła jego siłę i rosnącą w nim złość.

- Wiedział coś o pani. Co?

- A skąd mogę wiedzieć, co on wiedział? Nigdy wcześniej tego człowieka nie widziałam!

- A jednak wiedziała pani, że jest niebezpieczny. W przeciwieństwie do mnie i moich towarzyszy. Ten człowiek zaś wiedział, kim pani naprawdę jest. Księżniczka, wartościowe maleństwo, protegowana Jego Najmarniejszej Wysokości - zacytował.

To nie było pytanie, Corrisande nic więc nie powiedziała. Próbowała unikać spojrzenia Delacroix, siedzieli jednak tak blisko siebie, że było to trudne. Skupiła się na jego krawacie. Był luźno związany i przekrzywiony.

Mężczyzna mówił dalej:

- Cenna własność króla, dostatecznie cenna, by dać mu mata. Można raczej zakładać, że Vonderbruck nie miał na myśli Jego Wysokości króla Bawarii, Ludwika II. Nie zamierza pani w ogóle odpowiadać, moje dziecko?

- Nie zadał mi pan żadnego pytania.

- Zgadza się - odparł. - Bardzo roztropnie. Często panią przesłuchiowano?

- Nie. Pan jest moim pierwszym inkwizytorem. Niemal podskoczył. Jego oczy stały się dzikie. Corrisande skuliła się na krześle, zaś dopiero co odzyskana odwaga znów ją opuściła. Ale Delacroix tylko mówił dalej:

- „Król”, jak mi powiedziano, to pseudonim szefa przestępczej bandy. Chyba mogę założyć, że należy pani do jego świty?

- Nie mogę pana powstrzymać, by zakładał pan cokolwiek, pułkowniku Delacroix.

- Miss Jarrencourt, tylko mi pani utrudnia, choć nie powinna. Nie słynę z cierpliwości. - W jego oczach zaiskrzyło, ale nie była to ani wesołość, ani gniew. Ostrzeżenie.

- Ależ chętnie w to uwierzę, pułkowniku Delacroix. Tyle tylko, że nie mogę panu powiedzieć nic z tego, co chciałby pan wiedzieć, a jeśli chodzi o to, o co mnie pan pytał, czy choćby tylko sugerował, to nie ma to nic wspólnego z demonem, na którego wczoraj polowaliśmy. To nie ma z tym w ogóle nic wspólnego.

- Czy jest pani kochanką największego przestępcy Europy?

- Nie, i nigdy nią też nie byłam. Przysięgam. Proszę, niech pan już przestanie. Niech mi pan pozwoli iść.

- Miss Jarrencourt, przepytывanie pani nie sprawia mi żadnej przyjemności.

- Cóż - westchnęła - w takim razie pan Vonderbruck miał najwyraźniej rację, mówiąc, że się pan mną nie nacieszy.

Delacroix wybuchnął śmiechem, a jego twarz się rozjaśniła. Puścił rękę Corrisande i czule dotknął jej policzka.

- Moje drogie dziecko - powiedział - wydaje mi się, że miał na myśli coś zupełnie innego.

Poczerwieniała jak burak. Prawa ręka pułkownika pozostała tam, gdzie była, zaś lewa przytrzymała obie dłonie dziewczyny. Wciąż jeszcze uśmiechał się pod nosem, kiedy zadał jej kolejne pytanie, zupełnie tak, jakby szczerze go to bawiło:

- Gdzie nauczyła się pani rzucać nożem?

- Brałam lekcje u człowieka z cyrku.

- A dlaczego brała pani te lekcje?

- Ponieważ chciałam móc się bronić.

- A przed kim?

- Przed bandytami, przestępcami, szaleńcami...

- Kiedy atakuje ktoś silniejszy, rzucanie nożem nie na wiele się przydaje.

- Też doszłam do tego wniosku.

Tym razem Delacroix zerwał się na równe nogi, podobnie jak Corrisande. Popędziła w stronę drzwi. Nie dobiegła. Pułkownik

chwycił ją od tyłu za talie, uniósł niczym lalkę i postawił na drugim końcu pokoju, za krzesłami, które teraz odcinały dziewczynie drogę ucieczki. Czowała, że ma ochotę wołać o pomoc. Ale nie zrobiła tego. Oczywiście, że nie. Sytuacja była zbyt ryzykowna.

Delacroix odwrócił ją do stołu i zobaczyła, że jej sztylet leży obok jego, obok tego niesamowitego noża, który żarzył się czerwienią i sprawiał bardziej śmiertelne wrażenie niż wszystko inne. Na sztylcie Corrisande widać jeszcze było ślady krwi, krwi Vonderbrucka. Delacroix nie wyczyścił noża. Dziewczynie wydawało się, że niemal czuje zapach krwi, i zrobiło jej się trochę nieswojo.

Odchyliła się, ale Delacroix stał tuż za nią. Nie obejmował Corrisande, lecz oparł dłonie o stół. Praktycznie ją uwięził. Czowała jego tors na swych plecach, nawet jego nogi tuż za swoimi. Delacroix był tak wysoki, że mógł patrzeć nad głową Corrisande. Emanowało od niego ciepło i znajdował się o wiele za blisko, bliżej, niż kiedykolwiek był inny mężczyzna.

- Zna pani również sztuczki kieszonkowców, niczym profesjonalna złodziejka. Rzuca pani nożem jak zabójczyni. Chyba pani rozumie, że potrzebuję jeszcze kilku odpowiedzi - wyszeptał jej do ucha.

- Pułkownik Delacroix, proszę się cofnąć. Przeraza mnie pan.

- Najwyraźniej niedostatecznie. - Nie miał najmniejszego zamiaru się odsunąć. Górna część jego ciała pochyliła się nad Corrisande jeszcze bardziej i dziewczynie nie pozostało nic innego, jak podążyć za jego ruchem. Pochyliła się nad stołem, na którym w zasięgu ręki leżały oba noże.

Mogłaby po nie sięgnąć, wiedziała o tym. Miała dostateczną swobodę ruchu. Przeczuwała, że to był test. Jeśli Corrisande zaatakuje teraz nożem, podejrzenia Delacroix zamienią się w pewność. Dawał jej szansę, by zrobiła coś wyjątkowo głupiego.

- Powiedziała pani, że nauczyła się posługiwać nożem, by się bronić. A więc niech się pani broni! - rozkazał. - Albo niech pani odpowie na moje pytania!

Sięgnął wokół jej ciała i złapał swój nóż.

- Proszę wziąć mój nóż, jeśli brzydzi się pani dotknąć swojego.

Ostrze świeciło jasno. Wyglądało jak z żelaza, ale takiego, które kowal dopiero co wyjął z ognia, już nie czerwone, prawie żółte. Corrisande nie pojmowała, jak Delacroix mógł go dotykać. Wiedziała,

że to śmiertelnie niebezpieczny nóż, o wiele bardziej zabójczy od jej własnego sztyletu. Cofnęła się, niemal wpadając na mężczyznę, w jego groźne objęcia. Z przerażeniem próbowała złapać oddech.

Delacroix drugą ręką chwycił jej nadgarstek.

- Niech go pani weźmie - powiedział z naciskiem. - Niech mi pani pokaże, co pani potrafi.

Corrisande wiała się w jego uścisku, niemal kulila, by się uwolnić i uciec. Pragnęła wyrwać się albo choćby odsunąć. Byle tylko się wydostać. Delacroix jednak trzymał jej rękę mocno jak w imadle i wciąż próbował zmusić, by chwyciła nóż. Potknęła się o jego stopy, niemal upadła, straciła równowagę i zaplątała się w swej szerokiej, długiej sukni. Pułkownik trzymał ją za nadgarstek i próbował wsunąć w jej dłoń sztylet.

- Aż tak się pani boi? Wczoraj się pani aż tak strasznie nie bała. Mój sztylet w porównaniu z pani jest wręcz niewinny. Tylko mały, wykonany z zimnego żelaza... - Delacroix przerwał, a nóż znieruchomiał tuż przy jej dłoni.

Corrisande zaczęła rzeźnić, nie była w stanie oddychać. Nieznośny ból przeszył jej rękę. Podpalił ją, wywołał pożar. Czowała płomienie, które przepalały ją na wylot i zamieniały w popiół. A przecież nóż nawet jej nie dotknął.

- Proszę, nie - błagała, jęcząc z bólu. A potem gardło ścisnęło jej się wraz z suchym, zduszonym jękiem i całkowicie odcięło jej powietrze. Przez chwilę świat wokół wyglądał tak, jakby Corrisande oglądała go z niewłaściwej strony lornetki. Coraz mniejszy. Widziała, jak Delacroix odrzuca nóż, słyszała jego głos dobiegający z bardzo daleka:

- Wielki Boże! Ty głupie dziecko! Dlaczego nic nie powiedziałaś?

Był szybki jak strzała. Corrisande nie pojmowała, co się dzieje. Świat stał się czarny, potem znów jasny i wypalony, wyschnięty i pełen bólu. Ocknęła się. Siedziała na podłodze, pułkownik posadził ją z plecami opartymi o ścianę. Starła się złapać powietrze, jej gardło było jednak zaciśnięte i słyszała jedynie swój świszczący oddech. Nie mogła złapać tchu. Wdychała piasek, suchą ziemię, skalisty pył. Dusila się. Jej płuca paliły żywym ogniem i broniły się przed brakiem powietrza. Corrisande wiedziała, że umrze, już umierała, właściwie to



już nie żyła. Targnął nią strach. Żadnego powietrza! Nie mogła złapać tchu!

Delacroix uklęknął u jej boku, zmusił, by odchyliła głowę, rozchylił palcami usta i wypchnął język Corrisande. Zaraz potem poczuła jego ręce na dekolcie, odpinał guziki sukni. Płuca dziewczyny płonęły. Czowała się tak jak na korytarzu i w piwnicy, kiedy próbował ją porwać potwór. Tylko o wiele gorzej. Tchawica jej się zacisnęła. Corrisande dusiła się, machała bezradnie rękoma, wczepiała je w surdut Delacroix.

Widziała nad sobą wściekłą twarz pułkownika.

- Niech pani oddycha, Corrisande! - rozkazał. Takim głosem mógłby wezwać do boju całe armie. - Dalej, oddychaj!

Powoli, zbyt wolno powietrze, które daremnie starała się wciągnąć, zaczynało wpływać do jej płuc.

- Tak dobrze. A teraz wydech, zanim znów wciągnie pani powietrze!

Ujął dłoń dziewczyny i zaczął badać. Rozpalona ręka była czerwona jak rak, jakby została zanurzona we wrzątku. Na popękanej skórze tworzyły się bąble, a ból przebijał się przez uczucie paniki i płynął przez ramię Corrisande jak trucizna.

- Cholera! Powinna była pani powiedzieć - fukał. Jego głos brzmiał mrocznie i gniewnie. - Nie mam żadnej przyjemności z męczenia Si.

Odgarnął jej włosy. Corrisande wiedziała, czego szukał, ale nie było tam niczego, co mogłoby ją zdradzić, żadnych spiczastych uszu.

Wstał i na chwilę zniknął z jej pola widzenia, które z bólu było ograniczone jak tunel. Corrisande usłyszała bulgotanie. Delacroix wrócił z miseczką do golenia wypełnioną wodą i z ręczniczką, który zamoczył, po czym delikatnie owinał nim ranę. Dziewczyna jęknęła.

Teraz pułkownik zanurzył w zimnej wodzie chusteczkę i położył ją na karku Corrisande. Nie wiedziała, czemu to miało służyć, ale poczuła się lepiej.

- Naprawdę mi przykro - mówił surowym, zagniewanym tonem. - Powinna była pani mi to powiedzieć. Nie wiedziałem.

Nie odpowiedziała. Wciąż jeszcze nie ufała swemu głosowi.

- Ale przynajmniej teraz wiem o pani więcej. Kolejna odszyfrowana sygnatura feyona. Kim pani jest i co ma pani z tym wszystkim wspólnego?

Corrisande zignorowała jego pytania, koncentrując się na oddychaniu. Dyszała jak po wyczerpującym biegu. Ale nie umarła. I nie umierała.

Lewą ręką próbowała zapiąć guziki. Nie udało jej się. Delacroix pomógł i wtedy zauważył czerwony ślad na jej szyi, piętno wczorajszego dnia.

- To ja? - zapytał. Skinęła głową.

- Tak - wydyszała. - Wczoraj, gdy pan... - Starła się złapać więcej powietrza. - Kiedy próbował pan, gdy ten stwór... - Jej głos brzmiał ochryple, jakby miała zupełnie suche gardło. - Nie wiedziałam nic o zimnym żelazie. - Każde słowo drażniło jej krtań. - Nic, dopóki mi pan tego nie wyjaśnił.

- W takim razie musi być pani jedynym Si na świecie, który nie zna zimnego żelaza. Jego dotyk panią zabije. Jego bliskość rani albo paraliżuje.

- Nie jestem żadnym Si - oburzyła się Corrisande. Delacroix parsknął z pogardą.

- Naprawdę musi pani przestać tak niewiarygodnie kłamać. Gdyby była pani człowiekiem, nic by się nie stało.

- Nie jestem żadnym Si! - miała teraz dość powietrza, by na niego krzyknąć, ale brzmiało to raczej jak płaczliwa skarga. - Byłam normalną dziewczyną, zanim mnie pan w to wciągnął. Moi rodzice są ludźmi, moi dziadkowie też nimi byli, i wszyscy przodkowie. Tak daleko, jak sięga drzewo genealogiczne.

- Nie da się zamienić kogoś w feyona - odparł Delacroix. - To niemożliwe. Skoro już pani kłamie, to przynajmniej niech pani kłamie przekonująco.

Spojrzała na niego ze złością. Spróbowała wstać. Uniósł ją bez słowa, podprowadził do krzesła i pomógł usiąść.

- Lepiej się pani czuje?

- Mogę znów oddychać.

- To dobrze. Niemożność oddychania jest paskudna. - Odpiął kołnierzyk i pokazał jej krwiaka, który przebiegał poziomą linią przez jego szyję. Znamię miało obrzydliwy fioletowy kolor i wyglądało

fatalnie. - Wiem, o czym mówię. Pani skrytobójca próbował udusić mnie drutem. To niezbyt miły sposób na zejście z tego świata.

Corrisande popatrzyła na niego przerażona.

- Strasznie mi przykro - odparła. - Ale to nie był mój skrytobójca.

- A więc znów wróciliśmy do punktu wyjścia.

- Nie - powiedziała. - Pójdę teraz. I tak nie wierzy pan w nic, co mówię, więc dalsze słowa są zbędne, a nie chcę, by znów zadał mi pan ból.

Pułkownik stał przy Corrisande z ręką na jej ramieniu. Dłoń była ciepła i wielka.

- Nie sprawia mi żadnej przyjemności zadawanie pani bólu. Gdybym miał wybór, postąpiłbym zupełnie inaczej. Zupełnie inaczej.

- Przerwał i udręczony wciągnął głęboko powietrze. - Mam jednak do wypełnienia obowiązków i nie mogę ani nie zamierzam pozwolić, by cokolwiek stanęło mi na przeszkodzie. Niezależnie od tego, jak słodkie i miłe by to było.

- Dziękuję, sir - Corrisande wstała - za to, że nazwał mnie pan słodką i miłą. Przyjmuję to jako komplement, nawet jeśli nie było to pana zamiarem.

Milczał przez chwilę.

- To było moim zamiarem - odparł - i pragnąłbym, aby nasze spotkanie miało miejsce w innych okolicznościach.

- Ale nie ma. - Odwróciła się. Delacroix znów stał tuż za nią, trzymając ją za ramiona. Zauważyła, z jaką ostrożnością. Trzymał Corrisande tak, jakby była z miśnieńskiej porcelany, jakby nagle mogła się stłuc. Wydawało się, że ten dotyk emanuje poczuciem bezpieczeństwa, a nie zagrożenia.

- Jeszcze nie skończyliśmy - usłyszała tuż przy uchu. Czowała ciepło ciała mężczyzny i przez chwilę gotowa była się poddać. To by było takie łatwe. Musiałaby tylko oprzeć się o niego i wszystko mu opowiedzieć, wszystko o sobie, o ojcu i o Elizie.

Lecz tylko odsunęła się od pułkownika o krok. Co by to pomogło? Wysłuchałby Corrisande, nic by nie zrozumiał i gardziłby za to, kim była. Nie mógł się zachować inaczej. Ani on, ani ktokolwiek inny. Cieszyła się, że nie musi patrzeć mu w twarz i że Delacroix nie widzi jej oblicza. Wciągnęła głęboko powietrze i znów poczuła, jak zaciska jej się gardło.

- Pułkowniku, chce pan, abym była wobec pana szczerą, i będę. Na tyle, na ile mogę. Do wczoraj nic nie wiedziałam o moim dziedzictwie feyonów i silnie mną to wstrząsnęło. Wpadłam na pański czar przeciw feyonom i nawet nie wiedziałam, co to takiego. Wyjaśniono mi to później. Przykro mi, że ktoś na pana napadł, ale to nie ja dałam zlecenie. Jednakże nie jestem w stanie zagwarantować, że napaść nie przydarzy się ponownie, choć robię, co tylko mogę, by temu zapobiec. Dlatego niech pan będzie ostrożny. Tak długo, jak mamy ze sobą coś wspólnego, istnieć będą ludzie, którzy wierzą, że stanowi pan dla mnie zagrożenie, albo dla nich, i w sumie mają rację. Wkroczył pan nieproszony w moje życie, rzucił na pożarcie potworowi, napadł pan na mnie, nastawał na mój honor i naznaczył mnie zimnym żelazem. Jest pan silnym, imponującym mężczyzną, pułkowniku Delacroix, i nie chciałabym skończyć zmiażdżona pod pańskimi butami. Ma pan mnie w swojej mocy i może doprowadzić do ruiny, a ja mogę jedynie prosić, by pan tego nie robił. Niech pan tego nie robi! Proszę, nie! Mówi pan, że wolałby mnie traktować w zupełnie inny sposób, i, na Boga, ja też wolałabym, żeby pan tak uczynił. Albo że pan tak uczyni. - Jego ręce zacisnęły się mocniej na jej ramionach. - Okoliczności są jednak takie, a nie inne, i dlatego teraz odejdę. Przysięgam, że nie mam nic wspólnego z pańskim zadaniem. Nie wiem nawet, co to za zadanie. Jednak dla bezpieczeństwa nas obojga ważne jest, byśmy się więcej nie spotykali. Niech mi pan pozwoli odejść. Opuszczę pana pokój, obszar pana działań i nie będę przeszkadzać w wypełnianiu pańskich obowiązków, cokolwiek to znaczy, i oboje zadbamy, by nasze drogi nigdy się już nie skrzyżowały, pułkowniku Delacroix. Chciałabym przeżyć i pragnę, by pan też przeżył. Niech mi pan pozwoli iść.

Słuchał jej spokojnie, nic nie mówiąc. Potem nagle przyciągnął Corrisande do siebie, a jego wargi dotknęły jej ucha.

Ciepły oddech poruszył jej włosy. Puścił ją i cofnął się gwałtownie.

- Niech pani idzie! - nakazał. - Teraz! Natychmiast!

Nie obejrzała się, lecz podbiegła do drzwi, otworzyła je, wyszła i zamknęła, odcinając jego świat od swojego.

## Rozdział 66

Cerise Denglot wróciła do hotelu późnym popołudniem. To była długa próba, intensywna, wyczerpująca, ale jednak artystka czuła się bardzo zadowolona. Śpiewała jak jeszcze nigdy w życiu. Jej głos dotknął każdego członka zespołu i to Cerise uszczęśliwiło. Pan Valerius, tenor, wciąż jeszcze cierpiał na ustępujące powoli przeziębienie, był jednak zdolnym śpiewakiem i ostatecznie z pewnością znajdzie w nim dobrego partnera.

Chwilami, ale tylko chwilami, pogrążała się w marzeniach i raz przytrafiło jej się przegapić swoje wejście. Jednak ogólnie wszyscy byli zachwyceni i Cerise wiedziała, że tego rodzaju koleżeńskie uznanie szybko się rozejdzie wśród ludzi. Król nie przegapi premiery.

Próbowała nie wspominać tego, co wydarzyło się w nocy. Gdy tylko jej myśli zaczynały zmierzać w tym kierunku, zmuszała się do większej koncentracji. Chwilami wydawało się Cerise, że czuje dotyk mężczyzny, ciało na skórze, miękkie, puszyste włosy na twarzy. Jego hojną i jednocześnie żądną obecność w niej.

Zastanawiała się, czy wszyscy Si tak kochają. Najprawdopodobniej nie, pomyślała, bo w przeciwnym wypadku kobiety już dawno przestałyby sypiać z ludzkimi mężczyznami. Tęskniła za Torlynem. Ale przecież była zbyt profesjonalną artystką, by takie myśli mogły ją rozpraszać i przeszkadzać w śpiewie, nest - ce pas? CHCIAŁA śpiewać.

To była długa próba. Dużo dłuższa, niż Cerise się spodziewała. Gdy opuszczała budynek opery, czuła zmęczenie. Cieszyła się, że wróci do pokoju. Przedtem jednak musi porozmawiać z Delacroix, a ten prawdopodobnie będzie chciał skreślić jej kark za to, że rano po prostu uciekła. Co za trudny człowiek. A jednak tego dnia stawianie mu czoła wydawało się Cerise łatwiejsze niż wcześniej. Odrzuciła propozycję dorożki i zdecydowała się przejść krótką drogę pieszo, choć dzień był wilgotny i zimny. Powietrze było jednak świeże i dobrze jej robiło, a już na pewno nie szła pieszo dlatego, by odsunąć na później niechcianą rozmowę.

Najchętniej opowiedziałaby wszystko tylko McMullenowi, ten jednak był prawdopodobnie zajęty pilnowaniem zdobyczy i na pewno nie sam. A Cerise nie miała ochoty dyskutować o swym miłosnym życiu w obecności obu podporuczników. Jeden tylko by się obraził, a

drugi zapewne doznałby wstrząsu. Pozostawał zatem jedynie Delacroix.

Zresztą może mężczyźni pozbyli się już tej bestii. Przez chwilę Cerise zastanawiała się, gdzie podział się Vonderbruck. Może wypoczywał? Z dwoma mistrzami sztuk tajemnych rozwiązanie problemu stwora i rękopisu nie powinno potrwać zbyt długo. Dotarła do hotelu szybciej, niż sądziła, i odebrała w recepcji pocztę. Młody pomocnik portiera wpatrywał się w śpiewaczkę wielkimi, pełnymi podziwu oczyma. Wspięła się po schodach na trzecie piętro. Nie miała wielkich nadziei, że zastanie Delacroix samego w pokoju, ale postanowiła spróbować. Gdy weszła na piętro, zobaczyła Corrisande Jarrencourt otwierającą właśnie drzwi do swojego pokoju. Dama jakoś dziwnie trzymała ręce.

Młoda kobieta przywitała się krótkim skinieniem głowy i bez słowa zniknęła za drzwiami. Cerise oczekiwała po niej trochę więcej uprzejmości. Ale przecież prawie się nie znały.

Cerise przeszła dalej, do drzwi Delacroix, i zapukała, nie oczekując odpowiedzi.

- Wejść! - rozległ się jego głos, a śpiewaczka przygotowała się na nieprzyjemną rozmowę.

Spojrzał na nią krótko, gdy weszła, poirytowany, jakby oczekiwał kogoś innego. Potem odwrócił się i bez słowa zapatrzył w okno. W zamyśleniu obracał w ręku nóż. Cerise знаła ten sztylet i niepokoilo ją trochę, że mężczyzna był uzbrojony.

Zamknęła drzwi.

- Dobry wieczór. Zanim zrobisz coś nieprzemyślanego, chciałabym uprzedzić, że nie chcę się z tobą kłócić. Zamierzaliście ze mną rozmawiać, a ja wolę zrobić to z tobą zamiast przed publicznością.

- Dobrze - odparł Delacroix, ale nie odwrócił się od okna.

- Nie poprosisz, bym usiadła?

- Proszę, usiądź.

- Jeśli nie masz ochoty mnie słuchać, mogę wyjść. Chociaż rano robiłeś o to dużo więcej zamieszania. - Jego brak zainteresowania był obraźliwy i niemal bardziej irytujący niż kłótnia, której Cerise się spodziewała.

- Całkiem możliwe - mruknął.

Teraz zaczynała się już martwić. Podeszła do Delacroix i również wyrzrzała przez okno, by sprawdzić, co go tak fascynowało. Niczego nie zauważyła. Odwróciła się do niego.

- Mon Dieu, Delacroix, wyglądasz strasznie! Skwitował to milczeniem.

- Prawie ją zabiłem - odezwał się po dłuższym czasie bardzo spokojnym i bardzo gorzkim tonem.

Cerise nie pytała kogo.

- Wciąż ci to ciąży? T... mój przyjaciel ostrzegał przed tym. Nic jej nie jest. Żyje. Dopiero co ją widziałam. Milcząca i zarozumiała. Trzymała podbródek tak wysoko, że bałam się, że może się potknąć o własne stopy.

Spojrzał na nią, z początku skonsternowany, a potem zwiesił głowę.

- Nie wczoraj. Przed chwilą. Prawie ją zabiłem - jego głos brzmiał ponuro i o wiele za spokojnie.

- Dlaczego?

- Nie umyślnie. Nie tym razem. Nie wiedziałem...

- Czego nie wiedziałeś? O Boże, chyba nie zaatakowałeś jej sztyletem z zimnego żelaza?

Tym razem popatrzył na Cerise. W jego oczach płonęła wściekłość.

- Chcesz mi powiedzieć, że wiedziałaś, kim ona jest?

- Zbyt wiele nie wiedziałam. Tylko, że zimne żelazo - użyła słów Torlyna - zdecydowanie zaszkodziłoby jej zdrowiu.

Gwałtownie wbił nóż w stół, ostrze aż zadrżało.

- Do jasnej cholery, Cerise, to nie jest jakaś gra! Jeśli wiesz coś takiego, musisz mi o tym mówić! - Delacroix wyglądał, jakby chciał ją zabić.

- Ale to nie jest moja tajemnica i... Złapał ją za ramię i potrząsnął.

- Mam już po dziurki w nosie tych twoich tajemnic - prychnął. - Chcę jasnych odpowiedzi i chcę ich teraz!

- Natychmiast mnie puść albo zacznę bardzo, ale to bardzo głośno krzyczeć. Nie wiem, co się stało, że jesteś taki agresywny, ale na pewno nie ma to nic wspólnego ze mną.

Puścił ją.

- Co o niej wiesz? - zapytał i splótł ręce za plecami.

- Prawie nic. Mój przyjaciel twierdzi, że w jej rodzie musiał być kiedyś feyon. To dlatego ścigał ją ten potwór. Chciał się z nią parzyć. T... mój przyjaciel mówi, że dla tego potwora była idealna, że była dostatecznie feyonem, by nosić jego potomstwo, i zbyt ludzka, by móc się przed tym bronić.

- Kim jest T?

- Timothy.

- Timothy?

- To piękne imię - uśmiechnęła się Cerise.

- Ale nie jego.

- Musi wystarczyć.

- Timothy jest tym ciemnowłosym młodym mężczyzną, czy też Si, którego nocna obecność odpowiedzialna jest za twój blask wczesnym rankiem? - zapytał szyderczo Delacroix.

- Uszczęśliwił mnie.

- To było aż nazbyt widoczne.

- Ta uwaga nie była konieczna.

- Doprawdy, Cerise, nic nie wiesz o tym mężczyźnie. Twoja beztroška jest niewiarygodna. Jak mogłaś się zakochać w Si?

- Cóż. - Obdarzyła go swym najśłodszym uśmiechem. - Przynajmniej pod tym względem wydaje mi się, że nie jestem osamotniona, nieprawdaż?

Ręce Delacroix wystrzeliły w jej stronę, Cerise zaś zrobiła krok do tyłu.

- Nie waż się mnie dotykać, Delacroix! - ostrzegła.

- Oczywiście, że nie. - Ukłonił się, a potem gestem zaprosił, by usiadła. - Proszę, usiądź. Siadaj wygodnie. Pogawędźmy sobie. - Na jego twarzy pojawił się uśmiech, który Cerise знаła jako szczególnie niebezpieczny.

Usiadła.

Sięgnął i przysunął sobie krzesło. Kobieta skoczyła na równe nogi.

- Ze mną nie zagrasz w te swoje małe gierki. Znam twoje sztuczki!

Nie odpowiedział, ale nie zmuszał też, by znów usiadła.

- Była właśnie u ciebie? - zapytała, zamieniając role i nawet tego nie zauważając.

- Tak. Miałem do niej parę pytań.



- Chciałabym wiedzieć, jak udało ci się namówić młodą damę, by tu przysłała. Nie sądziłam, że należy do dziewczyn, które odwiedzają mężczyzn w ich sypialniach. A więc czego chciałeś się dowiedzieć?

- Chciałem się dowiedzieć, dlaczego zlecenie, by mnie zabić, opatrzone było pieczęcią z jej pierścienia i skąd zna sztuczki, przy których zbladłby niejeden kieszonkowiec. Poza tym chciałem też wiedzieć, gdzie nauczyła się z taką celnością rzucać nożem i zabijać.

Tym razem Cerise usiadła bez niczyjej zachęty.

- Mon Dieu! - wyszeptała. - Cóż za wszechstronna młoda dama. Rozumiem, że chciałbyś o niej wiedzieć coś więcej. Ale czy z tego powodu musiałeś potraktować ją nożem? Na ile mogę sobie przypomnieć twoje dość dziwaczne wyobrażenia o moralności, zawsze brzydziłeś się torturami.

Delacroix chodził przed nią w tę i z powrotem, z oczyma ściągniętymi w wąskie, ognistożółte szparki.

- Nie zaatakowałem jej. Próbowałem ją zmusić, by to wzięła. Jedna z tych moich gier, jak to trafnie nazwałaś. Oparzyłem jej rękę, dziewczyna prawie udusiła się na moich oczach. - Brzmienie jego głosu miało świadczyć o opanowaniu, ale Cerise знаła pułkownika zbyt dobrze i czuła kryjący się za jego słowami ból.

- Wielki Boże.

- Teraz jednak pora, byś odpowiedziała mi na kilka pytań. Kim jest mężczyzna, który czyni cię taką szczęśliwą?

- Graf Arpad. Węgier, jak sądzę. Choć to chyba nie jest ważne. Uwielbia mnie już od dawna.

- Ale dotąd o tym nie pamiętałaś?

- Ale dotąd osobiście mi się nie przedstawił. - Odpięła kołnierzyk i wyciągnęła amulet. - Możesz to zabrać.

Przyjął go i zawiesił sobie na szyi.

- Poproszę McMullena, by zamówił jeden również dla ciebie - powiedział, oczekując, że spotka się z jej odmową. Cerise nie zrobiła tego jednak.

- Tak, proszę, to by było bardzo miłe.

- Graf Arpad. Jaka jest jego rola w tej historii? A może byliście zbyt zajęci, by ze sobą porozmawiać?

- Wie o rękopisie i wie też o tym wiatro - coś - tam. Czemu zresztą nie? Przecież był przy tym, gdy go złapaliśmy. Powiedział, że to coś jest niszczycielem.

- Złym?

- Nie wiem, czy dzieli świat na dobro i zło. Powiedział, że nie ma o tym żadnego wyobrażenia.

- Czy to nie jest dla ciebie wstrząsające?

- W ogóle. Ceni i chroni życie. - Nie dodała, że również je odbiera. - A ta bestia niszczy życie.

- Myślisz, że twój przyjaciel jest po naszej stronie? - w głosie Delacroix pobrzmiwało zwątpienie.

- Nie, jest po swojej stronie. Być może też po mojej.

- Będiesz go dziś widziała?

- Możliwe. - Wzruszyła ramionami, ale pomyślała, że Torlyn przybędzie, gdy napije się krwi innej kobiety. Przyszło jej do głowy, że gdyby Delacroix o tym wiedział, prawdopodobnie dostałby ataku. Uśmiechnęła się krzywo.

- Powiedz mu, że musimy z nim porozmawiać. Przysięgam, że nic mu nie zrobię - obiecał.

Roześmiała się.

- Mój drogi Delacroix, bądź pewien, że on się ciebie nie boi. Nie jest dziewczynką, z którą możesz prowadzić swoje gierki. Nie zdążysz nawet wyjąć noża.

- Jest aż tak niebezpieczny?

Tym razem Cerise nie odpowiedziała na jego pytanie, uśmiechnęła się tylko. Po chwili znów się odezwała:

- Powiedziałeś, że Miss Jarrencourt zabiła kogoś nożem. Kogo?

- Vonderbrucka. Bardzo pięknie i profesjonalnie. Przypatrywała mu się.

- Nie kazałeś jej aresztować?

- Nie. Vonderbruck był oszustem, zdrajcą i niebezpiecznym szaleńcem, i właśnie zamierzał mnie zabić. Uratowała mi życie.

- A ty w zamian niemal ją zamordowałeś. Delacroix, jesteś idiotą.

Spojrzał na nią wściekły.

- Musisz przyznać, że miałem prawo żądać od niej kilku odpowiedzi - bronił się. - Chciałem po prostu przebić się przez tę gładką fasadę, by poznać prawdę. Vonderbruck sugerował, że dziewczyna należy do jakiejś przestępczej bandy, którą kieruje człowiek o pseudonimie „Król”. Twierdził, że jest bliska temu hersztowi, że może być jego metresą. Nazwał ją „księżniczką”.

- Metresom taki tytuł nie przysługuje. Jest zarezerwowany dla królewskich córek.

Delacroix zagapił się na Cerise, po czym usiadł na łóżku.

- Możliwe, że masz rację - przyznał. - Ale Vonderbruck mówił, że jest... sprzedajna.

- Ten sam Vonderbruck, którego właśnie nazwałeś oszustem, zdrajcą i niebezpiecznym szaleńcem?

Delacroix nie odpowiedział. Cerise usiadła obok niego.

- Bardzo boli? - zapytała łagodnie.

- Czy mnie coś boli, czy nie, nie powinno cię obchodzić - syknął.

- Robię to, co muszę. Dokładnie to i nic więcej. Bez wyjątku.

- Wiem. Jesteś i pozostaniesz cretin. Wstała i przygładziła suknię.

- Poproszę Timothy'ego, by cię odwiedził. Nie mogę jednak obiecać, że to zrobi.

Nie sprawiał wrażenia, że się z tym łatwo pogodzi, choć nieruchoma niczym maska twarz komuś innemu nie zdradziłaby jego uczuć.

Cerise skinęła głową, wyszła z pokoju i zamknęła drzwi z kojącym trzaskiem.

Cholerny drań, po prostu nie był w stanie pokonać własnej surowości i tej swojej niedźwiedziej, niebezpiecznej natury. Biedny Delacroix. Cerise zaczęła się śmiać, gdy uświadomiła sobie, o czym właśnie myślała. Prawdopodobnie skreśliłby jej kark, gdyby wiedział, że nazywała go „biednym Delacroix”.

Szła przez korytarz, uśmiechając się pod nosem. Potem pomyślała o dziewczynie. Co miała z tym wspólnego Miss Jarrencourt? Była zadziwiająco twarda. Delacroix niemal ją zabił, a gdy Cerise ją widziała, na twarzy młodej kobiety nie było śladu po spotkaniu z pułkownikiem. Bardzo opanowana dama. Twarz jak z porcelany.

Może Cerise powinna ją odwiedzić i pocieszyć? Zatrzymała się przed pokojem Miss Jarrencourt i przyłożyła ucho do drzwi. Nic. Oczekiwała, że usłyszy płacz. Miss Jarrencourt była taka młoda, a Delacroix to zatrwająący mężczyzna, jeśli się go nie znało i nie przejrzało jego sztuczek.

Ale zza drzwi nie dobiegały odgłosy płaczu. Cerise ruszyła dalej. W końcu to nie jej sprawa. Delacroix był dość dorosły, by decydować, co było dla niego ważne w życiu i jak sobie z tym radzić. A po tym

jak obszedł się z tą małą, Miss Jarrencourt prawdopodobnie nie będzie chciała mieć z nim do czynienia. Kto by chciał miłości mężczyzny, którego humory i namiętność były tak intensywne, że z sekundy na sekundę mogły zamienić się w zagrażające życiu niebezpieczeństwo?

Cerise weszła do swego pokoju. Drzwi zamknęły się za nią, a klamka wysunęła się z ręki. Odwróciła się zaskoczona, a Torlyn stał tam, wziął ją w ramiona i dotknął ustami jej szyi.

Przypomniała sobie, że oddała wisiorek. Była pewna, że nie będzie go potrzebować.

Jego myśli pieściły Cerise i już odchyliła głowę, by ułatwić mu dostęp do krwi. Zauważyła, co robi, nie mogła jednak temu zapobiec. Panował nad jej ciałem. Chciała krzyknąć, ale nie była w stanie. Pokazał jej w uśmiechu długie zęby, pochylił się nad jej szyją i pocałował czule.

- Wystraszyłem cię? - wyszeptał, przyciągając ją mocno ku sobie. Jego zęby znów były małe, a na ustach zagościł uśmiech.

- Tak - przyznała Cerise, próbując nad sobą zapanować. Gwałtowny strach przeszył jej członki i przeniknął końcówki nerwów. Zadrżała z napięcia. - Myślałam, że nie chciałeś, bym się ciebie bała.

- To prawda - powiedział. - Gdy jestem syty, możesz mi ufać. Gdy jestem taki jak teraz, musisz być ostrożna. Bardzo ostrożna.

- Co mogę zrobić, by się przed tobą bronić?

- Nic. Absolutnie nic.

- To niezbyt pomocne. Zachichotał rozbawiony.

- Do zobaczenia wkrótce, moja piękna - powiedział. - Wybieram się na polowanie.

Nagle ujął jej prawą rękę, uniósł w bok, objął Cerise w talii, ustawiając w pozycji do walca. Zawirował z nią przez pokój w takcie na trzy czwarte, po czym obrócił ją w piruet tak, że usiadła w fotelu.

Pocałował jej rękę i obrócił wewnętrzną stroną nadgarstka ku górze. Jednak nie ugryzł, pocałował jedynie białą skórę nad delikatnymi żyłkami.

Chwilę później zniknął w drzwiach prowadzących na balkon.

- Czekaj! - krzyknęła za nim Cerise, nim zdążył całkiem zniknąć w mroku wieczoru. - Delacroix chce z tobą rozmawiać. Proszę, idź do niego. Albo do nich. Zakładam, że wiesz, gdzie ich szukać.

- Tak. Ale najpierw muszę zapolować. Nie chciałbym wyrzucić niewłaściwego wrażenia na twoich przyjaciółach. Po kolacji będę znacznie bardziej cywilizowany.

A potem zniknął.

## Rozdział 67

Eliza nie zaczęła jeszcze listu, który zamierzała napisać. Zamiast tego delectowała się towarzystwem uroczych dam. Damy przybyły specjalnie do Monachium i odpoczywały teraz w hotelowej kawiarni po zakupach, rozmawiając o pogodzie.

Eliza chętnie rozmawiała o pogodzie. To był cudownie neutralny temat, pozwalający jednak dowiedzieć się tak wiele. Damy pochodziły z bawarskiej szlachty ziemskiej, matka i córki. Przyjechały do Monachium, by kupić suknie na najbliższy bal. Większość takich dam nie mieszkała w mieście, a na wsi pogoda odgrywała znaczącą rolę. Znacznie większą niż w Monachium. Stolica była bowiem również podczas deszczu piękna i ekscytująca.

Przez cały dzień mżyło i szybko zrobiło się chłodniej. Jedna z dam przepowiadała spóźniony atak zimy. Śnieg - tak uważała. Wkrótce będzie padać śnieg. Kobiety nie były z tego powodu zachwycone, ponieważ taka aura doprowadzi do ruiny buty, a to znaczyło, że młode damy, wybierając się na bal albo na towarzyskie spotkanie, będą musiały zakładać kalosze - coś obrzydliwego.

Śnieg na koniec marca? - dopytywała Eliza. Oczywiście! Bawaria potrafi być bardzo zimna. Monachium położone było dość wysoko, a kraina wznosiła się w stronę Alp, zaś zmiany pogody aż nazbyt często nadchodziły od strony oblodzonych górskich przełęczy. Izara i jej dopływy zasilane były przez lodowce - dlatego nawet latem woda pozostawała zimna. Nie ma też co liczyć, że wiosna będzie porą roku pełną kwiatów i słońca. Kwiaty i słońce pojawiały się jednego dnia, a następnego powracał lód i śnieg.

I tak Eliza, pilna słuchaczka, dowiedziała się wiele o bawarskiej pogodzie i nikt nie domyśliłby się nawet, że jej zainteresowanie meteorologią kraju, w którym gościła, było jedynie peryferyjnej natury. Niemniej rozmowa sprawiała jej przyjemność. Nie zmieniając tematu, udało jej się poprzez drobne wtrącenia i subtelne napomknienia zasiać w głowach pijących z nią kawę rozmówczyń określone informacje. Oczywiście nie wspominała, że jest ciotką wytwornej spadkobierczynie nadzwyczajnego majątku, świetnie zresztą znanej i szanowanej, i to zarówno w londyńskim, jak i paryskim towarzystwie, która ten sezon postanowiła spędzić w Królestwie Bawarii. Tak naprawdę to Eliza rozmawiała przecież jedynie o

pogodzie i trudnościach związanych z doborem odpowiedniego, inspirującego ubioru w zależności od rodzaju klimatu.

Niemniej gdy damy zebrały już swoje drobiazgi i opuściły kawiarnię, by udać się w drogę do domu, Mrs Parslow nie tylko była już zaprzyjaźniona z nowo przybyłymi, lecz zdążyła jeszcze poznać dwie matki z synami, których wiek pozwalał już na zawarcie związku małżeńskiego. Oczywiście wszyscy spotkają się na balu. Po to się tu właśnie przyjeżdżało. Jej krewna z Possenhofen nalegała, by przedstawić Elizie i jej podopiecznej kilku wysoko urodzonych sąsiadów. Eliza nie wspomniała kogo. Zresztą nie było to wcale konieczne. Napomknienie o małej miejscowości nad jeziorem Starnberg sprawiło, że damy myślały wyłącznie o osiadłej w Bawarii książęcej rodzinie Wittelsbachów, która tam właśnie mieszkała.

Dobrze wykorzystany dzień, stwierdziła Eliza i upiła kawy. List do ojca Corrisande można przecież napisać później. Sir Jarrencourt powinien wiedzieć, co się tutaj dzieje. Po pierwsze, będzie rozgniewany, jeśli dowie się z innych źródeł, że jego córka została przez kogoś źle potraktowana. Po drugie, nie można ignorować i pozwolić żyć komuś, kto wie za dużo lub choćby za wiele podejrzewa. To mogłoby doprowadzić do katastrofy. Corrisande była mądrą dziewczyną. Zrozumie to. A gdy Eliza postawi ją przed faktami dokonanymi, zanim Corrisande jeszcze bardziej się w to uwikła, uprości to tylko całą sprawę.

Zadanie Elizy polegało na tym, by uważała na dziewczynę. Do tej pory było to łatwe, ponieważ Corrisande i ona zazwyczaj zgadzały się co do sposobu postępowania. Ale zakochać się w takim mężczyźnie to nonsens. Eliza musi wkroczyć dla dobra dziewczyny i jej ojca, i naturalnie również dla siebie samej.

Padł na nią cień. Uniosła wzrok. Przed nią stał mały, żyłasty mężczyzna w sutannie. Uśmiechnął się i uklonił grzecznie.

- Mrs Parslow, jak mniemam? - zapytał dość przyjaźnie. - Proszę mi wybaczyć, że się narzucam, muszę jednak pilnie z panią porozmawiać. Czy mogę usiąść?

Eliza nieszczególnie przepadała za księżmi, wszystko jedno, jakie reprezentowali wyznanie. Oczywiście Kościół miał swoje zalety i miejsce w społeczeństwie. Stwarzał platformę do spotkań z innymi ludźmi i określał normy oraz cel życia dla biedniejszych warstw społeczeństwa - a czasami oferował też wykształcenie.

Osobiście niewiele ją to obchodziło. Niemniej na nabożeństwa uczęszczała regularnie. Ten ksiądz jednak był duchownym Kościoła rzymskokatolickiego i nie miała najmniejszej ochoty się z nim zadawać. Pewnie chciał ją nawracać. Nie znosiła fanatyków. Miał ze sobą skórzaną teczkę pełną papierów.

Ale Eliza nie chciała okazać nieuprzejmości. Bawaria była katolicka, a obrażanie uczuć religijnych nigdy się nie opłacało. Dlatego Mrs Parslow zaprosiła kapłana gestem do stołu, zastanawiając się, jakiej wymówki użyć, by opuścić go, gdy tylko dopije kawę.

- Jestem ojciec Emanuele - przedstawił się duchowny. - Może zechciałaby pani być tak miła i zajrzała na chwilę do tych papierów. Bez wątpienia uzna je pani za interesujące.

Teraz Eliza poczuła irytację. Otworzyła teczkę i rozłożyła przed sobą kilka kartek. Cytaty z Biblii, pomyślała i odsunęła je, dziękując.

- Nie, dziękuję, wielebny - powiedziała. - Pańska gorliwość mnie zaszczyca, ale mam własną wiarę.

Uśmiechnął się grzecznie.

- Wiem, moja córko - rzekł bardzo powoli. - Pani katechizm zezwolił na bardzo gwałtowne zejścia z tego świata, jak by nie było, już trzech małżonków. Powinna pani przeczytać to, co leży przed panią. W przeciwnym wypadku będę musiał poszukać czytelników na policji. Co prawda to tylko kopie, ale nie powinna pani pozwalać, by tak się tu walały. Konsekwencje mogłyby się okazać nieprzyjemne. Kiedy skończy pani lekturę, oczekuję pani w moim pokoju na małą pogawędkę. Pokój sto dwadzieścia dwa.

Wstał, obdarzył Elizę uprzejmym ukłonem, po czym oddalił się z przyjaznym uśmiechem. Patrzyła za nim, póki nie opuścił pomieszczenia. A potem zamknęła usta z niemal słyszalnym trzaskiem. Lodowaty kamień zdawał się spoczywać w jej żołądku, jakby ktoś ją uderzył. Ksiądz blefował. Oczywiście, że blefował. Nie mógł mieć żadnych dowodów... Zresztą kim on w ogóle był?

Czytała. Zaczynało się krótkim raportem o śmierci Earnesta Worringhama i streszczeniem orzeczenia lekarskiego. Kolejna relacja dotyczyła jej małżeństwa z Adrianem Fothercombe'em i jego śmierci w Rzymie podczas podróży, którą razem odbywali. Trzeci naświetlał życie Elizy w Rzymie, jak też jej finansowe warunki w tamtym czasie.

Stron było więcej, ale przejrzała je tylko pobieżnie. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by z paru faktów stworzyć wiarygodny zarys życia i



opisać małżeństwa Mrs Parslow. Niektóre stwierdzenia, a nawet większość, stanowiły czystą spekulację. Ale pewne szczegóły oddane zostały z zadziwiającą dokładnością i nadawały reszcie pewnej wiarygodności. A jednak to był blef - dobry blef, ale mimo wszystko tylko blef.

Ostatnia strona była zatrważająca. Wspominała o liście, który Eliza napisała, by usunąć z drogi Delacroix, i zawierała adresata. Niezwykle precyzyjne informacje.

Mrs Parslow mogłaby to po prostu zignorować i rzucić kartki w ogień. Nie zawierały żadnych dowodów. Była jednak zbyt roztropna, by zostawiać jakiegokolwiek ślady, choć jej trzech małżonkowie opuścili ten świat dawno temu. Nieprawdopodobne, by opierając się na takich przypadkowo zebranych posądzeniach, ktokolwiek zdecydowałby się wszcząć policyjne śledztwo.

Ale możliwość istniała. Światem rządzą mężczyźni, a ustawodawstwo i wymiar sprawiedliwości każdego kraju na świecie podlegały tylko i wyłącznie mężczyznom. Kobietę łatwo można było zniszczyć. Samo podejrzenie czy choćby aluzja, że mogła zabić swoich mężów, wystarczyłyby, aby jej życie w towarzystwie stało się niemożliwe, nawet gdyby żaden sędzia ani przysięgły nie uznał jej za winną.

Sędziami i przysięgłymi byli jednak też mężczyźni, a mężczyźni zawsze stawali się nieustępliwi, gdy podejrzewali kobietę o to, że ma zbyt dużo wolności, jest zbyt silna albo zbyt niezależna. To, czy zabiła swoich małżonków, mogłoby się w przypadku Elizy okazać mniej znaczące niż to, że wodziła za nos mężczyzn, a świat tego nie zauważył.

Ten ksiądz czegoś od niej chciał. Może powinna się dowiedzieć czego. Nie była pewna. Mogła go też zignorować. Pewnie tak byłoby lepiej. Jeśli do niego pójdzie, będzie to jak przyznanie się, że kapłan ma nad Elizą jakąś władzę. Lepiej nie reagować.

Zastanawiała się, jak by postąpiła, gdyby rzeczywiście nie była winna śmierci mężów. Czy zignorowałaby tego człowieka i po prostu wyraziła swoje oburzenie wobec jego zarzutów? A może by się obawiała i starała udowodnić swoją niewinność?

Nie wiedziała. W końcu otruła całą trójkę. Tą trucizną, której Corrisande użyła, by uspić przyzwoitkę. To właśnie było takie piękne.

Mikstura mogła służyć po prostu jako bardzo silny środek nasenny. Jeśli się wzięło za dużo, paraliżowała serce.

Duchowny sprawiał miłe wrażenie, ale Eliza wiedziała zbyt wiele o świecie, by polegać na odczuciach. Sługa boży. Może to było tylko przebranie? Klerycy zazwyczaj nie kręcili się po okolicy i nie szantażowali dam z wyższych sfer, a że chodziło tu o szantaż, tego Mrs Parslow była pewna. Mała pogawędka, powiedział ksiądz, i wcale nie wyglądał, jakby się obawiał, że Eliza może nie przyjść. Nie wierzyła, że wzmiankowana pogawędka dotyczyć będzie zbawienia jej duszy.

Mogła po prostu pójść na górę i przekonać Corrisande, by spakowały się i wyjechały. Wizyta w Monachium się nie udała. Szkoda, bo właśnie teraz Eliza zaczęła tworzyć obiecującą sieć.

Jednak nie powinny zostawać. Może ten mężczyzna w stroju księdza nie będzie za nią podążał, jeśli Mrs Parslow wyjedzie?

A jeśli jednak będzie? Zastanawiała się, jak dotarł do tych informacji. Musiał śledzić Elizę już od dłuższego czasu, aby je zebrać. Nigdy nie zauważyła, by ktoś ją szpiegował. A więc skąd duchowny miał te relacje?

Najprawdopodobniej były to czyste przypuszczenia. Wyglądał na wyjątkowo rozsądnego.

Konieczność poinformowania „Króla” robiła się coraz ważniejsza. On będzie wiedział, jak postąpić. Co za nieszczęście, że przedstawiciel herszta był martwy. W ten sposób odpadł bezpośredni sposób na szybkie rozwiązanie problemu, który to problem zdawał się najwyższej wagi. Eliza chciała napisać list w kawiarni. Ale to okazało się niemożliwe. Listy można podejrzeć i przeczytać, a Mrs Parslow nie miała ochoty dodawać niczego podejrzanego do materiałów, które o niej zebrano.

To znów nakazało jej powrócić myślami do pierwotnego problemu. Zastanawiała się, czy Delacroix może mieć coś wspólnego z tym atakiem. Jeśli podejrzewał Corrisande i Elizę, to możliwe, że podjął kroki, by dowiedzieć się o nich czegoś więcej.

Ale w tak krótkim czasie? To wydawało się niepojęte. Naprawdę szkoda, że zamach na pułkownika się nie powiódł. Bez tego człowieka sprawy byłyby o wiele prostsze. Eliza zastanawiała się nawet, czy samej go nie zabić. To by nie było trudne. Prawdopodobnie nie

posunął się do takich środków ostrożności, jak sprawdzanie swoich posiłków i napojów.

Teraz jednak Eliza straciła tę możliwość. Kolejny człowiek w jej otoczeniu umierający nagle na atak serca we śnie to za dużo, nie mogła ryzykować. Delacroix zatem pozostanie bezpieczny, dopóki nie zajmie się nim „Król”. Eliza zaś musiała teraz bardzo uważać na to, co pisze. Należało przekazać szefowi bandy informacje tak, by nie zdradzić przy tym nic komuś obcemu. Trzeba sumiennie przygotować wiadomość.

Zastanawiała się, czy ksiądz pracuje sam. Prawdopodobnie tak. Szantażyści raczej niechętnie dzielili się swoją wiedzą. Informacja stanowiła ich broń i miała wartość tylko tak długo, jak długo pozostawała nieznaną szerszym kręgom. Tajemnice oznaczały pieniądze. Tyle tylko, że ów duchowny nie sprawiał wrażenia kogoś, kogo interesują pieniądze. Rzeczywiście wyglądał jak jakiś ksiądz. Źle ubrany i z tą przestarzałą, pobożną uprzejmością. Ale czego mógł chcieć, jeśli nie pieniędzy?

„Króla”. O to musiało chodzić. Może w ten sposób próbował uzyskać więcej informacji o rzeczywistym pracodawcy Elizy. Jeśli o to chodziło, Mrs Parslow była skłonna negocjować. Doskonale radziła sobie w negocjacjach i potrafiła manipulować ludźmi, jeśli tego pragnęła. Miała jednak przeczucie, że tym człowiekiem ciężko będzie manipulować.

Zignoruje go. To najlepsze, co mogła zrobić.

Schowała arkusze do małej teczki i przycisnęła pakunek do ciała. Sprawdziła, czy przypadkiem nie leży na blacie przeoczona kartka. Następnie z teczką opuściła kawiarnię. Musi się teraz zatroszczyć o Corrisande.

## Rozdział 68

MccMullen siedział z nosem w książkach. Miał przyjaciela, który pracował w Królewskiej Bibliotece, wybudowanej kilka lat temu niezbyt daleko od rezydencji, na południowym końcu Ludwigstrasse. Mag wysłał wiadomość, zaś przyjaciel udostępnił Szkotowi pakiet książek o potworach i niezwykłych feyonach. Jak się okazało, większość zawierała same bzdury. Jeśli McMullen nic nie znajdzie, będzie zmuszony poprosić o pomoc lożę. Dotąd starał się tego unikać.

Czytał skoncentrowany, starając się znaleźć odpowiedź, rozwiązanie problemu Delacroix i jego pomocników. Skrzynka wciąż stała na stole, a oficerowie obchodzili ją szerokim łukiem, gdy poruszali się po pokoju.

Von Gorency zwiślał, na wpół drzemiąc, w swoim fotelu. Nudziło go czekanie. Von Orven nucił pod nosem radosną pioszeczkę i uśmiechał się rozmarzony. Nawet poruszał się tanecznym krokiem. I dreptał po pokoju w tę i z powrotem. Jego oczy błyszczały ze szczęścia.

Delacroix zmierzył go niechętnym spojrzeniem.

- Podporuczniku von Orven - rzucił zjadliwie - dlaczego nie zrobi pan sobie przerwy? Może pójdzie pan do innego pokoju? Będzie pan mógł sobie tam pośpiewać, a potem wrócić i przy okazji przynieść coś do jedzenia. Byłoby miło. Może tutejszym pracownikom kuchni spodoba się pańska muzyka.

Asko uśmiechnął się tylko.

- Oczywiście - odpowiedział. - Bardzo mi przykro, jeśli panu przeszkadzam. Ale jestem taki szczęśliwy. Nawet nie może pan sobie wyobrazić jak szczęśliwy.

- Chyba rzeczywiście nie mogę - odparł pułkownik. - Chociaż chętnie przyznam, że trudno jest zignorować pańskie szczęście.

Zastanawiał się, czy podporucznik byłby równie szczęśliwy, gdyby wiedział, że zaraz po jego wizycie Miss Jarrencourt przyszła do sypialni Delacroix i niemal tam umarła.

Zastanawiał się też, co zrobiłby von Orven, gdyby wiedział, kim naprawdę jest Corrisande Jarrencourt. Że to istota - jakkolwiek by patrzeć - spokrewniona z bestią uwięzioną w pudełku na stole, ze stworzeniem, które też poznało to pokrewieństwo i próbowało spółkować z kobietą wybraną przez Bawarczyka na żonę.

Delacroix nie mógł tego powiedzieć. Chętnie by zapytał, czy młody mężczyzna rzeczywiście poprosił o rękę ślicznej Corrisande oraz o to, jakiej udzieliła odpowiedzi. Ale nie mógł tego zrobić. Absolutnie. To nie była sprawa pułkownika.

- Powiedziała „tak”?

A jednak zapytał. Powinien się ugryźć w język. Asko spojrzał na niego zdziwiony. Nie spodziewał się tak osobistego pytania, a Delacroix nie miał żadnego prawa, by mu je zadać. Pułkownika nie powinno to nawet interesować.

- Cóż - westchnął Asko. - Dała mi powody do nadziei, skoro już chce pan wiedzieć. Nie oczekiwałem zresztą więcej po jednym dniu znajomości.

McMullen z zamyślonym wyrazem twarzy spoglądał to na jednego, to na drugiego.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział Delacroix. - Nie powinienem był pytać. To nie moja sprawa. Gratuluję.

- Jeszcze za wcześnie na gratulacje. - Asko się uśmiechnął. - Niemniej serdecznie dziękuję. Pójdę i przyniosę coś do jedzenia. I pośpiewam trochę w kuchni.

Wyszedł. Zapadła niepokojąca cisza. McMullen patrzył na Delacroix, jakby próbował odczytać myśli z jego twarzy.

- Nie mogę się pozbyć uczucia, że powinien mi pan coś wyjaśnić - mruknął, ale Delacroix ruchem głowy wskazał na von Gorenczy'ego, drzemiącego w fotelu.

McMullen machnął ręką w stronę szwoleżera, a ten zaczął delikatnie chrapać.

- A więc - podjął - nie przyprowadził jej pan tutaj. Wnioskuje z tego, że sam ją pan przepytął. Czego się pan dowiedział?

- Jest po części Si. - Brwi McMullena uniosły się wysoko. - Mówi, że nie wynajęła zamachowca, ale że wie, kim on był. Mówi, że o tym - wskazał na skrzynkę - nic nie wie.

- Wierzy jej pan?

- Jest oszustką, ale wierzę jej.

- Jest feyonem? Jak to możliwe? To znaczy jak to możliwe, że pan tego nie zauważył?

- Według słów Cerise, czy raczej Timothy'ego, czyli jej feyońskiego kochanka, dawno temu w linii genealogicznej Jarrencourtów musiał się pojawić feyon. Dziewczyna nie ma żadnych

widocznych znamion. Niemal ją zabiłem sztyletem z zimnego żelaza. Ciężko ją zraniłem.

- Znowu?

- Znowu. Nie wiedziałem. Może pan coś dla niej zrobić? Ma poważne poparzenia na ręce. Musi potwornie boleć.

- Nie jestem medykiem. Moje moce uzdrawiające są ograniczone i działają na ludzi, ale na Si już niekoniecznie.

- Miss Jarrencourt twierdzi, że nie wiedziała o swym dziedzictwie, dopóki nie wpadła na czar przeciw feyonom. Nawet nie wiedziała, czym była bariera. Ktoś jej to wyjaśnił.

- Kto?

Delacroix o to nie zapytał. Jedyne logiczne pytanie, a on go nie zadał.

- Nie wiem. Byłem zdekoncentrowany. Miss Jarrencourt niemal umarła mi na rękach. Mój mózg nie pracował normalnie. Cerise wyzwalała mnie od idiotów. Zapewne słusznie.

- Cerise jest mądrą kobietą, jeśli tego chce - odparł McMullen.

- Cerise jest szarpiącą nerwy, egoistyczną...

- Hola, hola! Chyba nie skieruje pan teraz swego gniewu na mademoiselle Denglot, prawda? Co zrobimy z Miss Jarrencourt?

Delacroix opadł na jeden z foteli, oparł łokcie na kolanach i na chwilę ukrył twarz w dłoniach.

- Nic - odpowiedział. - Zupełnie nic. Mam nadzieję, że jest na tyle rozsądna, by nie dać się zaciągnąć przez naszego podporucznika do ślubnego ołtarza, a jeśli tak się stanie, to mam gorącą nadzieję, że von Orven nigdy się nie dowie, kim naprawdę jest jego żona. Każdą cząstką swej jakże porządnej i przeodważnej natury podporucznik nienawidzi Si. Asko to szczerzy i prostolinijny dureń, ale Corrisande, jak podejrzewam, wywodzi się z przestępczego środowiska.

- Wielki Boże! - McMullen wyglądał na zatroskanego. - Co się z panem dzieje?

- A co ma się ze mną dziać?

- Odnoszę wrażenie, że pan również nie jest całkowicie odporny na wdzięki Miss Jarrencourt.

- Nie będę jej się już więcej narzucał. Nigdy więcej. McMullen postanowił dać sobie spokój i zmienił temat:

- Rozmawiał pan z Cerise? Co powiedziała oprócz tego, że jest pan idiotą?

- Powiedziała, że jej Timothy wie o rękopisie. Powiedziała, że nie stoi po naszej stronie, ale dała do zrozumienia, że nie działa przeciwko nam. Obiecała poprosić go, by powiedział, co wie. Wolałbym, żeby bardziej na siebie uważała.

- Jest dorosłą, niezależną kobietą. Ryzyko, jakie podejmuje, to jej problem. Nie pański, Delacroix.

- Zakładając, że nie robi tego akurat w samym środku prowadzonych przeze mnie działań. - Pułkownik skoczył znów na równe nogi i zaczął spacerować w tę i z powrotem.

- Też prawda. Zamilkli.

## Rozdział 69

U stóp schodów stał mnich i uśmiechał się do Elizy. Nie była kobietą, którą łatwo wystraszyć, jednak ten uśmiech sprawiał, że włoski zjeżyły jej się na karku. Mnich miał w sobie coś zadziwiająco perwersyjnego. Ruszył tuż za nią i gdy doszli na pierwsze piętro, nagle zagroził jej drogę.

- Prego, signora. - Wyciągniętym ramieniem zablokował Elizie przejście. Spojrzała mu w twarz i natychmiast zrozumiała, że tylko czekał na sprzeciw. Czekał w napięciu, aż kobieta zrobi coś wbrew jego woli i da mu pretekst, by jej dotknąć. Eliza nigdy nie dotrze do swego pokoju wbrew jego woli.

Uśmiechnęła się więc i stanęła.

- Pokój sto dwadzieścia dwa? - zapytała, a mnich przytaknął. Uśmiechnęła się ponownie, schylając głowę w uprzejmym wyrazie wdzięczności, kryjącym głęboką nienawiść. Ten mnich pozbawił Elizę swobody decyzji. Mogła wołać o pomoc, ale zdążyła już zauważyć, jak bardzo hotel opustoszał. Dopiero co znów zaczęli wyprowadzać się nowi goście. Co, jeśli ten mężczyzna rzeczywiście jest mnichem?

Czy ktoś uwierzy, że napastował i niepokoił Mrs Parslow? Prawdopodobnie nie.

Poprowadził ją korytarzem, nie dotykając jej, ale Eliza czuła jego obecność. Denerwował ją. Poprzez powiązania z ojcem Corrisande zdarzało jej się już spotykać takiego czy innego niezbyt godnego zaufania albo niebezpiecznego człowieka, ten jednak wydawał się gorszy od najpodlejszych bandziorów „Króla”. Było w nim coś odrażającego, dzikiego, szalonego i popędliwego. Przypominał wściekłego psa.

Otworzył drzwi i zmusił Elizę, by weszła, stając po prostu za nią i napierając. Odruchowo zrobiła krok, by się od niego odsunąć. Czuła się jak owca goniona przez wilka.

Ksiądz siedział przy stole. Podniósł wzrok.

- Jak to miło, że nas pani odwiedza. - Uśmiechnął się przyjaźnie.  
- Proszę siadać.

Usłyszała, jak drzwi się zamykają. Mnich podsunął Elizie krzesło na wprost księdza i gdy usiadła, stanął bezpośrednio za nią. Niemal czuła jego oddech na karku. Nie, to niemożliwe, uświadomiła sobie po krótkim namyśle. A jednak sprawiał, że czuła się tylko łupem.



Położyła teczkę na stole i uśmiechnęła się do swego rozmówcy. Milczała. W pokoju zapanowała cisza.

- Zastanawiam się właśnie, czy to Cezar w jednej ze sztuk Szekspira nazwał swą żonę „moją słodką ciszą” - odezwał się kapłan z przyjaznym uśmiechem. - Osobiście bardzo sobie cenię milczenie jako element dobrych manier i jedną z zasad pobożności. Szczególnie u kobiet, ponieważ rzadko się to u nich spotyka. Ale czy przypadkiem trochę pani nie przesadza?

Eliza złożyła ręce na podolku i uśmiechnęła się, starając się przy tym, by jej uśmiech był jak najwierniejszą kopią vis - a - vis.

- Sir, czy też Wasza Wielbność, nie znam pana i nie przedstawiono nas sobie, zaś sposób, w jaki zmuszono mnie do przyścia tutaj, można by uznać za graniczący z przemocą. Nie powinno więc pana dziwić, że nie jestem zbyt skłonna do wymiany uprzejmości. Uważam pańskie zachowanie zarówno za niezrozumiałe, jak i oburzające.

- Ojoj! - Mężczyzna udał, że wyprowadziło go to z równowagi. - Strasznie mi przykro. Poleciałem bratu Giuseppe, by nie stosował przemocy. Niestety, czasami mnie nie słucha. To naprawdę przykre. Widzi pani, on lubi przemoc. - Znów się uśmiechnął. - Jeśli zaś chodzi o mnie, jestem ojciec Emanuele, o czym już zresztą wspominałem, i nie zapraszałem tu pani po to, by dyskutować o religijnych preferencjach, a już tym bardziej o zasadach dobrych manier.

Odchylił się, czekając na odpowiedź. Eliza jednak tylko siedziała w bezruchu i przypatrywała się jego twarzy.

- Widzi pani, takie morderczynie jak pani powinny wisieć. Nasz Pan zadba jednak o to, by nie zapomniano o zapłacie za wszystkie uczynki, a w swej niezmiernej łasce dał pani nawet możliwość, bym wspomógł panią w drodze do zbawienia. Myślę, że ma pani powód do wdzięczności niebiosom.

- Myli się pan, Wasza Wielbność - odpowiedziała Eliza, przy czym bacznie pilnowała, by uśmiech nie opuścił jej twarzy. - Przejrzałam pańskie papiery i muszę przyznać, że są dość zajmujące. W rzeczy samej miałam trzech małżonków i cała trójka zmarła. To tragedia. Ale widzi pan, żaden z tych smutnych i wczesnych zgonów nie wzbudził podejrzeń. Moi mężowie zmarli naturalną śmiercią. Cała ta pana książeczka z bajkami jest nie tylko nieprawdziwa, lecz

również oszczercza. Nie przyszedłbym tutaj dyskutować z panem o tych bredniach, gdyby nie zmusił mnie do tego pański pomocnik.

Ojciec Emanuele przytaknął.

- W istocie się mnie pani nie boi. To mądre. Widzę, że mam przed sobą inteligentnego i odważnego człowieka.

Ale to już wiedziałem. Gdyby nie była pani mądra i odważna, nie usłyszyby pani na sucho trzy morderstwa. - Machnął ręką, gdy chciała zaprotestować. - Proszę mi nie przerywać. Niech pani po prostu słucha. Nie musimy rozważać wszystkich „czy” albo „jak” odnośnie do tych morderstw. Nie musimy też rozważać pani niewinności. Nie interesuje mnie wysłuchiwanie pani protestów i zapewnień. Wiem, że to była pani, równie dobrze jak pani to wie. Przyznaję jednak, że dowody są nędzne. To może się jednak zmienić, jeżeli zadamy sobie trochę trudu, a jesteśmy w stanie zadać sobie bardzo wiele trudu, by dogrzebać się do wszystkiego, co potrzebne dla uzyskania lepszego poparcia naszych informacji. A jeśli okaże się to konieczne, sfalszujemy dowody. Nikt nie będzie w nie wątpił.

Pochylił się i spojrzał w twarz, na której zamarł uśmiech.

- Nie jestem jednak zainteresowany, by doprowadzać morderczynię przed wymiar sprawiedliwości. Nie jestem policjantem.

- Czego pan chce? - zapytała Eliza lodowatym tonem.

- Widzę, że się rozumiemy. Chcę pani współpracy. Pani pełnej, absolutnie niezawodnej współpracy. Jeśli spełni pani moje wymagania, pani przeszłość zniknie w naszym archiwum i tam pozostanie. A jeśli nie, zawrze pani znajomość z katem. Mogę pani przysiąc, że jeśli spróbuje pani uciekać, nie dotrze pani nawet do granic Bawarii. To katolicki kraj, a ja jestem wpływowym człowiekiem. Zapewniam, że osobiście odprowadzę panią pod szubienicę, jeśli nie podejmie pani dzisiaj właściwej decyzji. Uznam to za swój chrześcijański obowiązek, by wspomagać panią w ostatnich godzinach modlitwą i dobrym słowem, zanim założą pani pętlę na szyję.

Milczała. Na takie słowa nie było stosownej odpowiedzi.

- Podróżuje pani z Miss Jarrencourt. Jaki związek łączy panią z tą kobietą?

- Pełnię rolę jej przyzwoitki. Jej ojciec jest inwalidą, więc moim zadaniem jest wprowadzenie jej w towarzystwo. Jak wszystkie młode damy, liczy na korzystne małżeństwo z odpowiednim mężczyzną.

- Ach - westchnął sługa boży. - Nie mówmy na razie o panu Javrau, czy jak on się tam nazywa. Znam go osobiście i gdy ostatnio się z nim spotkałem, cieszył się wyśmienitym zdrowiem. - Uśmiechnął się, a Eliza pobladła. - Jak to możliwe, że trafiła mu się taka córka?

Nie zrozumiała tego pytania.

- Corrisande jest legalnym dzieckiem z szanowanego małżeństwa. Co pan ma na myśli?

- Czy to możliwe, by choćby w części była feyonem? Na moment Eliza straciła panowanie nad sobą, wpatrywała się w mężczyznę z otwartymi ustami.

- Że co proszę?

- Nie wiedziała pani o tym? Cóż, prawdopodobnie nie jest to coś, o czym wspomina się towarzysze podróży. A w jaki to niby sposób dobrała się do tych trzech oficerów? Jakich ma plany? Czy spotyka się z innymi wstrętnymi istotami? Czy należy do jakiegoś spisku?

- Że co proszę?

- Och, doprawdy, Mrs Parslow, musi pani przestać się tak bezsensownie powtarzać. Nie potrafię sobie wyobrazić, że podróżuje pani z tą dziewczyną od nie wiadomo jak dawna i nie wie, jakie ma ona zamiary. W ten sposób sama sobie tylko pani szkodzi. Mogę już całkiem wyraźnie dostrzec odcisk konopnej liny na pani szyi. Proszę się trochę bardziej postarać.

Eliza gwałtownie zamknęła usta z cichym jękiem.

- Wielebny - odchrząknęła - to, co pan mówi o Corrisande, jest bzdurą. Znam ją od lat i nie zauważyłam ani jednej oznaki zaprzeczającej jej człowieczeństwu. Skoro zna pan jej ojca, to musi pan wiedzieć, że dorastanie tej dziewczyny nie mogło przebiegać w normalny sposób. Jednak ani monsieur Javrau, ani Corrisande nie łączy nic z nadprzyrodzonymi sprawami. Sama też nie wierzę w okultyzm. Nie mogę w ogóle zrozumieć, jak pan, jako człowiek Kościoła, może się czymś takim zajmować. Corrisande z pewnością ma wady. Niemniej spiski z ohydnyimi bestiami do nich nie należą. Wiedziałabym o tym. Przebywamy już dostatecznie długo razem. Corrisande poznała oficerów, gdy wczoraj wieczorem nasz pokój nawiedziło dziwne zjawisko. Zemdlała i jeden z tych panów przywrócił ją do życia.

- Dlaczego pomagała w polowaniu? Chyba nie bez powodu? Kierowała się altruizmem? W to jakoś nie mogę uwierzyć, Mrs Parslow.

- Na ten temat - odparła Eliza stanowczo - mogę panu zdradzić niewiele szczegółów, ponieważ w tym czasie spałam. Podała mi silne środki usypiające.

Mężczyzna wyszczerzył zęby.

- Kto pod kim dołki kopie... r - Bynajmniej - ucięła.

- Niesłychane - rzekł ksiądz po chwili milczenia. - Cóż za mało dziewczęce zachowanie, tak po prostu usnąć przyzwoitkę i wybrać się z trzema młodymi oficerami na polowanie. Dlaczego wzięli ją ze sobą? Skoro jest tak niewinna, jak pani mówi, to jej pomoc musiała być dla nich raczej ciężarem.

- Corrisande może wyczuć zbliżanie się tej istoty. Ten właśnie talent wykorzystali ci panowie.

- A czy ten talent pani nie zafrapował?

Nie. Nie zafrapował. Eliza się nad tym nie zastanawiała. Spojrzała w twarz swego rozmówcy i zobaczyła, że on również potrafił to odczytać z jej skonsternowanej miny.

- A więc pani młoda, niewinna podopieczna z nadzwyczajnym talentem zdecydowała się wyłączyć panią z obiegu, podając napój ze środkiem usypiającym, aby potem udać się na polowanie na ducha z kilkoma panami. Przynajmniej złapali tę kreaturę. To wiemy. Co może mi pani jeszcze powiedzieć?

W ogóle nie miała ochoty czegokolwiek mówić. Ale to, czego chciała, nie miało znaczenia. Eliza zamierzała wyjść z tego żywa. Zrobiło jej się szkoda Corrisande, jednak dziewczyna nie była wobec niej nazbyt miła, w związku z czym Eliza nie czuła się zobowiązana. Teraz chodziło o nią, a nie o Corrisande.

- Zakochała się w pułkowniku Delacroix. Nie umiem powiedzieć, czy z wzajemnością, ale, jak sędzę, umiał tę miłość wykorzystać. I jest jeszcze ten drugi oficer, von Orven. Dał do zrozumienia, że zamierza poprosić Corrisande o rękę. Chętnie by się z nią ożenił. Nie dała mu jeszcze odpowiedzi.

- Jak widać, nie traciła czasu. Później będziemy się o nią martwić.

- Wielebny, niechętnie się sprzeciwiam, ale chciałabym zwrócić uwagę, że ojciec Corrisande nie jest pozbawiony pewnych wpływów.

Jeżeli z powodu mojej niedyskrecji coś się stanie jego córce, byłoby to dla mnie bardziej niż nieprzyjemne.

Skinął tylko głową.

- Zgadza się. Z pewnością nie byłby wobec pani mile usposobiony. Nie musi jednak wcale wiedzieć, że była pani w to zamieszana. Nic mu nie zdradzę, o ile będzie pani robić to, czego sobie życzę.

Eliza spojrzała na niego czujnie.

- A co by to było?

- Zobaczymy. Może się pani spodziewać, że będę miał dla niej jedno czy dwa zadania. Może pani zająć się oficerami tak, by nie rzucało się to w oczy. Może pani nawet udać się do ich pokoi. Jest pani pomysłowa i zapewne potrafi wymyślić pretekst. Dlatego też z pewnością znajdzie pani sposoby, by zrobić to, czego od pani chcę, a gdy już będzie pani gotowa, proszę przyprowadzić do mnie Miss Jarrencourt. Skinęła głową.

- Co jej pan zrobi?

Ksiądz spojrzał Elizie prosto w oczy.

- To, co robimy ze wszystkimi tymi nienaturalnymi feyonami, które złapiemy. Upiera się pani przy tym, by poznać szczegóły?

Przeszył ją dreszcz, nagle zrobiło jej się bardzo zimno.

- Nie - wyszeptała. - Wolałabym nie znać żadnych szczegółów.

Wzięła głęboki wdech. Biedna Corrisande. Umrzeć w tak młodym wieku. Eliza miała szczerą nadzieję, że ojciec Corrisande nigdy nie pozna jej roli w tej historii.

- Co mam robić? - zapytała.

- Czekam na wieści od innego członka mojego zakonu. Gdy tylko uzyskam informacje, powiem to pani. Mam nadzieję, że do tej pory zaakceptuje pani naszą gościnność. Proszę się czuć jak u siebie. Gra pani w szachy?

Popatrzyła bez zrozumienia.

- Szkoda - westchnął ojciec Emanuele. - Najprawdopodobniej ma pani do tego świetne predyspozycje. Powinna się pani nauczyć. Tak na wypadek, gdybyśmy mieli się częściej spotykać. Wie pani co? Nauczę panią.

## Rozdział 70

Von Gorenczy cicho chrapał. To był jedyny dźwięk, jaki w tej chwili było słychać w pokoju. McMullen znów zagrzebał się w książkach. Delacroix spacerował w tę i z powrotem, niczym pantera w klatce, jego kroków nie było jednak słychać na miękkim dywanie.

Ktoś zapukał. Delacroix zatrzymał się w pół kroku, a jego postawa zmieniła się w jednej chwili. Obudził von Gorenczy'ego.

- Otworzę drzwi. Niech pan będzie gotów, by wkroczyć w razie potrzeby. - Uniósł broń, po czym szybko i gwałtownie otworzył, wiedząc, że von Gorenczy z bronią w ręku również obserwuje wejście.

Szczupły młody mężczyzna w progu spojrzął w wylot lufy pistoletu Delacroix. I wyszczerzył zęby.

- Pułkownik Delacroix? - zapytał przyjaźnie. - Cerise prosiła, bym pana odwiedził. Jeśli jednak przeszkadzam, mogę wrócić później. Graf Arpad. - Ukłonił się.

Delacroix dokładnie mu się przyjrzał. Sięgające do ramion czarne włosy zasłaniały uszy. Przybysz wyglądał niegroźnie. Nadzwyczaj ludzko. Jego manierom nie można było nic zarzucić, zachowywał się ujmująco. Dobrze prezentujący się mężczyzna o przyjaznym uśmiechu, ubrany nienagannie i elegancko, w modnie związanym krawacie z lśniąca szpilką z diamentem. Ciemne oczy patrzyły szczerze i prosto w twarz Delacroix. Nie było w nich strachu, jedynie przyjazna życzliwość.

Czy pułkownik mógł podjąć to ryzyko i zaprosić go do środka? Pod surdudem miał sztylet z zimnego żelaza, ale Delacroix przypomniał sobie słowa Cerise. Nie byłby dość szybki, by zdążyć. Przypomniał też sobie błyskawiczne i precyzyjne ruchy tego mężczyzny, które pułkownik miał okazję zaobserwować w piwnicy. Prawdopodobnie śpiewaczka miała rację.

Z głębi pokoju rozległ się głos McMullena:

- Delacroix, niech pan zaprosi grafa Arpada do środka.

Delacroix ustąpił na bok i pozwolił gościowi wejść. Młody mężczyzna zatrzymał się gwałtownie i uniósł wysoko brwi. Skłonił się z wyrazem szacunku przed McMullenem.

Mistrz skłonił się równie głęboko i uśmiechnął z zadowoleniem.

- Aengus McMullen, do usług - przedstawił się.

- Jak widzę, nie podejmuje pan żadnego ryzyka - zauważył oschle Si, Delacroix zaś daremnie próbował zrozumieć, co miał na myśli.

Wskazał krzesło i poprosił gościa, by usiadł, jednak feyon tylko się uśmiechnął.

- Jeśli mam usiąść, musi mi pan przynieść krzesło. Obawiam się, że nie mogę przekraczać tej linii.

Delacroix nie wiedział, o jaką linię mogło chodzić, ale o to też nie pytał. Przyniósł krzesło i podsunął gościowi. Mężczyzna usiadł. Założył jedną szczupłą nogę na drugą, starannie splótł dłonie na kolanach w taki sposób, by nie można było widzieć jego paznokci. Następnie skinął głową von Gorenczy'emu, który wciąż jeszcze celował z pistoletu w jego serce.

- Udolf von Gorenczy, jak mniemam. - Posłał uśmiech szwoleżerowi, ten zaś skinął w odpowiedzi, zakłopotany wyszczerzył zęby, ale nie opuścił broni nawet o milimetr. - Czy wolałby pan, bym podniósł ręce do góry? A może mam oddać moją broń? Nie noszę żadnej. Ale oczywiście może mnie pan przeszukać. Nie będę się ruszać.

- Przykro mi, jeśli nasze środki bezpieczeństwa wydają się panu trochę przesadne - powiedział Delacroix - ale musi pan zrozumieć, że staramy się minimalizować ryzyko, na ile to możliwe.

- Rozumiem. Złapali panowie niebezpieczne indywiduum, a o mnie też wiedzą panowie niewiele. Chciałbym tylko prosić, by pan podporucznik przypadkowo mnie nie zastrzelił. Jestem tutaj, by pomóc.

Delacroix spojrzał na McMullena, a potem znów na Si.

- Indywiduum? - zapytał. - O tym czymś mówi pan indywiduum?

Ciemne oczy odszukały spojrzenie pułkownika. Połyskiwały w nich szelmowskie, rozbawione iskry i nagle Delacroix potrafił zrozumieć, co w tym mężczyźnie widziała Cerise.

- On żyje, potrafi myśleć i planować, ma też fizyczną postać, którą zresztą widział pan już w akcji. Jak dla mnie, klasyfikuje go to jako indywiduum. A może uważa pan, że tylko ludzie mogą nimi być? Wtedy musiałbym pana zapytać, za co uważa pan mnie.

Na to nie padła żadna odpowiedź. W pomieszczeniu zaległa cisza.

McMullen, który stał za stołem ze skrzynką, odezwał się pierwszy:

- Zdradził pan coś mademoiselle Denglot o tym rękopisie. Proszę, by pan nam to wyjaśnił. Musimy wiedzieć więcej.

Si pochylił się i spojrzał magowi w oczy. Wszystkie jego ruchy były spokojne i powolne. Delacroix pojął, że feyon próbuje nie prowokować nerwowej reakcji. Może byłoby lepiej poprosić von Gorenczy'ego, by opuścił broń, ale Delacroix tego nie zrobił. Co prawda to nieuprzejme zapraszać gościa, od którego oczekiwano się pomocy, a potem trzymać go pod naładowaną bronią, jednak Delacroix zawsze żył zgodnie z maksymą: „Lepsza nieuprzejmość niż śmierć”.

A jednak nie potrafił inaczej, uważał tego młodego mężczyznę za miłego. Graf Arpad miał styl i zuchwałą nonszalancję, która musiała się podobać. Trzeba było pamiętać, kim naprawdę jest ten arystokrata, stworzeniem dość silnym, by rzucać dobrze wytrenowanymi żołnierzami przez pokój, i tak szybkim, że człowiek nie potrafił dostrzec jego ruchów.

- Znam pewnych panów, ludzi, mówiąc ściślej, którzy wpadli na absurdalny pomysł, by przywłaszczyć sobie rękopis Mutara i tym sposobem szantażować rząd pewnego kraju. Proszę nie pytać o szczegóły, ponieważ jestem związany słowem, by nic więcej nie zdradzać. W każdym razie odwiedzili pana Mullera, by zrealizować swój cel. Gdybym wiedział o tym planie, z pewnością bym ich od niego odwiódł. Nie konsultowali go jednak ze mną. Plan się nie powiódł. Owi ludzie nie liczyli się z magicznymi umiejętnościami pana Mullera, nie przewidzieli też, że nie byli jedynymi uczestnikami tej rozgrywki o władzę. Ponieważ żaden z nich nie posiadał magicznych zdolności, nie pozostało im nic innego, jak bezradnie patrzeć, gdy umierający pan Muller starał się ukryć rękopis za pomocą czaru, podczas gdy więzień panów go zaatakował. Jednakowoż w tym samym momencie interweniował kolejny zainteresowany, którego opisano mi jako jasno świecąca postać. Zatem trzy magiczne źródła próbowały sięgnąć po manuskrypt, a jednocześnie bezpiecznie ukryć go przed pozostałymi. Zwój zniknął. Państwa więzień zniknął również, podobnie jak trzecia postać. Muller zmarł, ale nie mam żadnych wątpliwości, że jego czar wpleciony jest w pozostałe zaklęcia. Jeśli panowie chcą, mogę zaoferować możliwą interpretację, ale jak sądzę, Mr McMullen potrafi wyciągnąć własne, równie dobre wnioski.



Zamilkł, a pozostali mężczyźni też przez dłuższy czas nic nie mówili.

- Jest pan Węgrem? - zapytał wreszcie Delacroix.

- Już od jakiegoś czasu. Mam tam posiadłości. - Tak. I tytuł.

- Uzyskanie tytułu nie jest trudne, jeśli żyje się dostatecznie długo. Znaczy to dla mnie mniej niż dla panów.

- Jest pan po stronie węgierskich nacjonalistów?

- Moje polityczne sympatie nie są tematem tej rozmowy, pułkowniku. Nie będziemy ich poruszać.

Znów zapadła cisza. Po chwili rozległo się pukanie i dał się słyszeć radosny głos Asko:

- To ja, wpuście mnie.

Delacroix podszedł do drzwi, otworzył je równie ostrożnie jak poprzednio, celując w przybyłego.

Podporucznik wyszczerzył zęby ze zrozumieniem. Miał ze sobą człowieka trzymającego tacę z chlebem, zimną pieczeńią i butelką czerwonego wina.

- Dobrze. - Delacroix skrzywił się teatralnie. - Niech pan wejdzie, ale proszę już nie śpiewać.

Podporucznik odebrał tacę i wniósł ją do pokoju. I niemal upuścił, gdy zobaczył tajemniczego gościa. Wpatrzył się weń z nieskrywaną wrogością i odstawił tacę na niski kredens. Następnie wyciągnął broń i wycelował w Si, krzywiąc się z dezaprobatą.

Delacroix demonstracyjnie schował swoją broń.

- Grafie Arpad - zaczął - pozwoli pan, że przedstawię podporucznika von Orvena. Obawiam się, że jest strasznie wrogo nastawiony wobec pana rasy. Dlatego też radziłbym powstrzymać się od gwałtownych ruchów. Nie chciałbym, żeby został pan ranny, a w żadnym razie nie mogę zagwarantować, że powstrzymam podporucznika przed nazbyt gwałtowną reakcją.

Czarnooki feyon skłonił się uprzejmie przed podporucznikiem, który nie odwzajemnił pozdrowienia.

- Co on tu robi? - zapytał tylko i raz jeszcze spojrzał nieufnie na gościa.

- Zaoferował się, że udostępni nam swoją wiedzę. Dobrowolnie i szczerze. Jest naszym gościem - w głosie Delacroix pobrzmiwała natarczywa nuta.

Von Orven parsknął pogardliwie. Jego niebieskie oczy błyszczały niechęcią. Głęboka, wyrażająca gniew bruzda przecięła jego czoło.

- A co za informacje chce nam dać? McMullen postanowił się wtrącić.

- O tym właśnie mówimy - odpowiedział, po czym poinformował Asko o treści wcześniejszej rozmowy. Następnie znów zwrócił się do Si: - Czy nie mylę się, zakładając, że wszystkie trzy czary są ze sobą powiązane i że czar nieżyjącego już pana Mullera wiąże pozostałe dwa?

- Taka jest moja interpretacja. Tak długo, jak nie wiedzą panowie, kto jest trzecim graczem, nie mogą panowie nic zrobić. Gdy jeden z dwóch pozostałych przy życiu magów zostanie zabity, ostatni może zdołać uwolnić rękopis. Pan Muller raczej nie jest już w stanie temu zapobiec.

- No cudownie - przerwał mu lodowatym tonem von Orven. - A więc mówi pan, że nie wolno nam nic zrobić temu monstrum. Wydaje się, że pan chroni to coś.

- Jego - poprawił graf Arpad z kpiącym uśmiechem. - Bez wątplenia jego. Nie „to” ani „coś”. Z pewnością mógł pan to odgadnąć po ogromnym zainteresowaniu, jakie wiatrochod okazał Miss Jarrencourt.

Von Orven ruszył na niego wściekły, napotkał jednak na drodze Delacroix.

- Nie chciałbym, żeby zaatakował pan naszego gościa - powiedział pułkownik do Asko z naciskiem. - Proszę, by trzymał pan swoje antypatie na wodzy. Pańska niechęć nie ma w tej chwili żadnego znaczenia.

- Jak miło - skomentował sarkastycznie feyon. - Jestem chroniony. To dla mnie całkiem nowe doświadczenie.

- Moi panowie, przecież nie chcemy się kłócić. Gra toczy się o zbyt wielką stawkę - przerwał im McMullen.

- Ale przecież to oczywiste! - głos von Orvena był pełen wzburzenia. - Trzecią postacią może być przecież on. Tylko czeka, byśmy popełnili błąd, a wtedy zagarnie rękopis dla siebie.

Von Gorenczy postanowił się wtrącić:

- Asko! Rusz głową! Gdyby to graf był tą postacią, radziłby nam, byśmy to coś... to znaczy, mam na myśli naszego więźnia, zabili. Tylko w ten sposób Arpad dotarłby do rękopisu.

- A może oni wszyscy trzymają ze sobą? Przecież to, co nam opowiada, wcale nie musi być prawdą! Cała ta historia o nieznaney świecącej postaci to pewnie wyssane z palca bzdury. A kto powiedział, że ten graf nie jest równie zły jak potwór w skrzynce, a może nawet gorszy? Nie powinniśmy go stąd wypuszczać.

Si wstał bardzo powoli.

- Czy proponuje pan, by mnie zamknąć? Tak jak jego? - Wskazał na stół. - W skrzynce z zimnego żelaza? - Zrobił krok w stronę podporucznika, który niewzruszony wciąż celował w jego głowę.

Delacroix próbował wkroczyć między oponentów, jednak ciemnowłosy młody mężczyzna odepchnął go jedną ręką.

- To sprawa wyłącznie między mną a podporucznikiem von Orvenem, Delacroix. Niech się pan nie wtrąca. - Mężczyzna nagle się zmienił. Jego tajemnicze oczy zaślniły, ożywił się. Przypominał panterę szykującą się do skoku. Był tak skupiony, że dominował nad otoczeniem. I był piękny, przerażająco piękny. Ciemne oczy nieoczekiwanie stały się jeszcze ciemniejsze.

Podporucznik bez ociągania ruszył do ataku. Jeśli się bał, nie okazywał tego. Jego błękitne oczy również błyszczały.

- Przestać, natychmiast! - McMullen upomniał mężczyzn stanowczo. - Nie powinniśmy się kłócić, zaś jeśli pan, podporuczniku, zaatakuje naszego gościa, będzie pan miał ze mną do czynienia. A teraz niech się pan odpręży. I reszta też. Proszę usiąść, grafie Arpad. Pan też, podporuczniku.

Si obrócił się szybkim, niemal niedostrzegalnym ruchem.

- Myśli pan, że jestem mniej niebezpieczny, kiedy siedzę?

- Jestem całkowicie świadom, jak pan jest niebezpieczny. Nie wiem co prawda, czym pan jest, ale mam wyobrażenie o pańskich umiejętnościach i talentach.

- To źle, panie McMullen. Nie wolałby pan znów o tym zapomnieć?

- Jestem też świadom, że potrafi pan sprawić, by ludzie zapominali, grafie Arpad. Może pan sprawić, by podporucznik zapomniał, co chciał zrobić, i to nawet wtedy, kiedy właśnie to robi. I wiem, że potrafi pan również zmusić go, by zapomniał, kogo zamierzał zastrzelić w tym pokoju. Wolałbym jednak zachować jasność myśli, by zapobiec niebezpieczeństwu, które jest znacznie

poważniejsze niż pan. A więc niech się pan nie waży mieszać mi w głowie.

- Nie zamierzam, Mr McMullen, zresztą jest pan dobrze chroniony. Podobnie jak pułkownik. - Uśmiechnął się kpiąco do obu podporuczników, którzy właśnie pojęli, że oni chronieni nie są. Graf usiadł. - Spróbujmy zachowywać się w cywilizowany sposób - zaproponował. - Nie mam zamiaru nic panom robić. Znam powszechne pogłoski i przekonania na temat rękopisu i jego mocy oraz co jej użycie może oznaczać dla świata. Jednak lubię świat takim, jaki jest. Dokładnie takim, jaki jest właśnie w tej chwili. Nie wiem, kim jest ten trzeci przeciwnik. Może to Bractwo. Jednakże opierając się na opisach, jakie posiadam, oczekiwałbym raczej, że to jeden z nas, jeden z Na Daoine - maithe, a nie ktoś z inkwizytorów obdarzony magicznym talentem.

- Gdyby to był ktoś z Bractwa, to spróbowałby już to c... naszego więźnia zabić - rzucił Delacroix, który niepostrzeżenie zajął pozycję między von Orvenem a Si.

- Może nie wie, jak to zrobić - stwierdził von Gorenczy, zaś Asko spojrział na niego ze złością, jakby przyjaciel wygadał co najmniej tajemnicę państwową.

- To możliwe - odparł feyon. - Nie sądzę, by istniało wielu ludzi, o ile w ogóle jacyś istnieją, którzy wiedzieliby, jak zabić wiatrochoda. Najprawdopodobniej panowie również tego nie wiedzą.

- Czy w tej kwestii zamierza nas pan wspomóc radą? - spytał von Orven aż nazbyt słodkim głosem.

- Podporuczniku von Orven, jeśli byłby pan więźniem, czy też gościem, Na Daoine - maithe i spotkałby pan więźnia, człowieka, o którym wiedziałby pan, że jest wielokrotnym mordercą, czy zdradziłby pan swoim nieświadomym gospodarzom, jak go zabić?

Podporucznik milczał. Odezwał się Delacroix:

- Być może, gdybym wiedział dostatecznie dużo o przestępstwach tego człowieka.

- Być może - odparł graf. - Pan owszem. Ale podporucznik nigdy.

- Więc jak? - zapytał McMullen Asko. - Zrobiłby pan to?

Młody mężczyzna nagle wyglądał na nieszczęśliwego. Milczał.

- To śmieszne - skrzywił się, przerywając niezręczną ciszę. - Prawdopodobnie ten Si przybył tu tylko po to, by uwolnić tego

obrzydliwego potwora, a panowie prowadzą sobie dyskusje o moralności. Jak mogą panowie oczekiwać, że w ogóle mówi prawdę? Może w każdej chwili wstać i uwolnić to cholerstwo.

- Nie może - odparł na to Delacroix. - Nie może dotknąć szkatuły.

- Wcale nie musi. Wystarczy, że skłoni nas, abyśmy my to zrobili.

- Najwyraźniej nie mogą panowie nic mu zrobić, dopóki jest w skrzynce - stwierdził graf Arpad i uśmiechnął się cynicznie do podporucznika. - Nie polecałbym też wypuszczenia jeńca. Jest zbyt szybki dla panów i ludzkiej broni z zimnego żelaza. Jest też szybszy i niebezpieczniejszy ode mnie. Uciekłby, zanim mogliby panowie temu zapobiec. Przeszedłby przez tę ścianę i zniknął, po czym dokończył to, co zamierzał z tą małą, a potem dalej kręciłby się po hotelu w poszukiwaniu innego źródła magii, a gdyby znalazł już rękopis, zamieniłby ten świat w kopię swojego. Byłby w stanie to zrobić.

- Dopuszczałby pan do tego? Zamiast nam pomóc? - zapytał McMullen.

Graf Arpad znów zamilkł na długą chwilę.

- Zdaje się pan zakładać, że mogę po prostu wyczarować dla panów rozwiązanie, jak królika z kapelusza. I to rozwiązanie, którego pan podporucznik i tak by nie przyjął, nawet gdybym je miał. Znam tylko jeden sposób, jak zabić wiatrochoda, ale aby to było możliwe, musiałby zawładnąć ludzkim ciałem. Potrafi to. Nie radzę jednak zgłaszać się na ochotnika. Człowiek czegoś takiego nie przeżyje. Ludzka rasa jest wrażliwa i krucha. - Arpad podniósł się nieśpiesznie. - Pozwolą panowie, że ich opuszczę. Mogą mi panowie nie wierzyć, ale pomogłem na tyle, na ile jestem w stanie, i powiedziałem nawet więcej, niż zamierzałem. Niech panowie będą czujni.

Skłonił się i odwrócił do drzwi.

- Jeszcze jedno pytanie - zatrzymał go von Orven, choć starał się nie patrzeć na feyona. - Dlaczego uratował pan Miss Jarrencourt?

Gość uśmiechnął się z lekką pogardą.

- Ponieważ jest... - Dostrzegł spojrzenie Delacroix i pojął widoczną w nich usilną prośbę. Nie miał zamiaru zdradzić dziewczyny. Uśmiech grafy stał się szerszy, gdy podjął wątek: - Ponieważ jest taką niewinną młodą damą, a mój ponury brat chciał ją bardzo powoli zamęczyć na śmierć, i ponieważ miałem bardzo

wyraźne wrażenie, że pułkownik niezbyt się cieszy swą rolą, a również dlatego - jego wzrok powędrował od oczu pułkownika do podporucznika - że świat byłby o wiele uboższy bez niej, prawda?

Wyszedł z pokoju i zamknął drzwi. Czwórka mężczyzn milczała przez długi czas. Nagłe zniknięcie gościa pozostawiło niemal namacalne wrażenie pustki. Jego brak był równie silnie odczuwalny jak wcześniej jego obecność.

- Co pan rozumiał, mówiąc, że nie wie pan, kim był, ale że ma pan dość dobre wyobrażenie o jego zdolnościach i talentach? - zapytał Delacroix McMullena.

- Strzał w ciemno. Nie mam zielonego pojęcia. Ale wolałbym, aby okoliczności nie zmusiły mnie do występowania przeciw niemu.

- W tej kwestii może nie będziemy mieć wyboru - zauważył Asko. - Choć zaskoczyła mnie szczerść i prawość ostatnich słów tego... osobnika.

McMullen zignorował go.

- Nie obejdziemy się bez znalezienia drugiego źródła magii.

- Cóż - wtrącił się znowu Asko - mówił pan, że w hotelu można stwierdzić cztery emanacje Si. Na dwie już się natknęliśmy. Musimy znaleźć jeszcze dwie, obezwładnić, o ile to możliwe i o ile nie współpracują ze sobą, co jest jak najbardziej do pomyślenia.

Delacroix nic nie powiedział, wyglądał jedynie na nieszczęśliwego. McMullen skinął głową.

- Możliwe. Ale nieprawdopodobne.

Nieprawdopodobne, pomyślał Delacroix, bardzo nieprawdopodobne. Ale całkiem możliwe.

## Rozdział 71

Corrisande stała przed umywalką, próbując schłodzić poparzoną rękę. Co kilka minut, gdy woda stawała się już ciepła, dolewała zimnej. Rana jednak rozgrzewała wodę i paliła Corrisande żywym ogniem. Ból był przenikliwy i bezlitosny. Nie ustępował, a wytrzymałość dziewczyny zdawała się topnieć z każdą chwilą. Dłoń była zaczerwieniona i opuchnięta.

Dziwne, ale nie czuła się słabo. Bliskość klingi z zimnego żelaza była potworna, jednak Corrisande nie udało się wypocząć, pulsujący ból jej nie pozwolił.

Delacroix nie zrobił tego umyślnie. Nie chciał zabić Corrisande. Prawdopodobnie nie chciał nawet zadać jej bólu. Ale to nie miało żadnego znaczenia. Była rozdarta psychicznym i fizycznym cierpieniem. Myślała o tych straszliwych minutach, gdy dziko, rozpaczliwie walczyła o powietrze i była pewna, że się udusi. W przyszłości będzie bardzo uważać, by nigdy więcej nie zbliżyć się do zimnego żelaza. To nie powinno sprawić żadnych trudności. Prawdopodobnie tego metalu nie było zbyt wiele. Przecież nigdy o nim nie słyszała.

Ręka się zagoi... chyba? Corrisande uświadomiła sobie, że nawet nie wie, czy to poparzenie kiedykolwiek się zagoi. Skoro zimne żelazo stanowiło magiczną broń przeciw Si, to możliwe, że rana wciąż będzie boleć. Corrisande czekałoby życie w długiej agonii, w nieustannej męce, zupełnie jakby trzymała rękę w naczyniu pełnym gotującej się wody.

To musi się skończyć. Każdy ból musi się kiedyś skończyć.

Dłoń się zagoi.

Może... W głowie dziewczyny roilo się od wątpliwości. Ciężko było wytrzymać ból. Myśl, że cierpienie może się nigdy nie skończyć, była nie do zniesienia.

Corrisande zastanawiała się, czy nie pójść do Delacroix i go nie zapytać. Musiał to wiedzieć. Powiedziałby jej prawdę. Ale nie mogła wrócić do tego mężczyzny. Ich drogi nigdy się już nie skrzyżują. Przyrzekła.

Musiała jednak coś zrobić. Męki osłabiały jej cierpliwość i wytrzymałość. To był zupełnie inny ból. Nie dało się go porównać z niczym, czego Corrisande do tej pory doświadczyła. Dotychczas ból zawsze mijał. Rany goiły się szybko i bezproblemowo. Dziewczyna

była o wiele bardziej wytrzymała i niezniszczalna, niż można było sądzić.

Musiałoby się to wiązać z jej dziedzictwem feyonów. Corrisande była bardziej odporna i nie chodziło o niezwykle wychowanie, lecz po prostu o jej odmienność. Udawała kruchą i potrzebującą pomocy, delikatną dziewczynę, zakładając, że inne kobiety też to robią. Może jednak wcale tak nie było? Może po prostu była silniejsza?

Oczywiście nie fizycznie. Ale potrafiła znieść nieprzeciętnie dużo. Teraz jednak miarka się przebrała. Potrzebowała lekarza. Potrzebowała kogoś, kto mógłby uśmierzyć albo złagodzić ból, na dodatek kogoś, kto rozumiałby, co jest przyczyną udreki.

Wizytówka doktora Steinberga! Corrisande miała ją w żółtej sukni, tej, którą dała Marie - Jeannette do spalenia. Może pokojówka wykazała na tyle zdrowego rozsądku, by najpierw opróżnić kieszenie? Zaczęła szukać. Gdzie Marie - Jeannette mogłaby położyć kartę? Na toaletce? W sekretarzyku?

Corrisande znalazła wizytówkę w sekretarzyku. Wzięła głęboki wdech przez zaciśnięte zęby. Gdy tylko wyciągnęła dłoń z zimnej wody, ból stawał się silniejszy.

Może ten lekarz będzie mógł pomóc. Mówił, że mieszka w hotelu. Przynajmniej tak to Corrisande zrozumiała. Nie mógł opuścić budynku ze względu na czar przeciw feynom. Odwiedziła już dzisiaj w sypialni jednego mężczyznę, i to nie lekarza, bynajmniej. Mogła to zrobić po raz drugi.

Opuściła pośpiesznie salonik, wzięwszy na wszelki wypadek torebkę. Zeszła po schodach, licząc każdy stopień, by odwrócić uwagę od udreki. Gdy dotarła do lobby hotelowego, czuła się tak, jakby pieszo przewędrowała Alpy. Portiera nie zastała; zamiast niego w recepcji był tylko młody mężczyzna, prawdopodobnie pan Hinterhuber, o którym wspominała Marie - Jeannette. Corrisande pokazała mu wizytówkę Steinberga, twierdząc, iż powiedział jej, że tutaj mieszka. Z całą pewnością.

Hinterhuber wzruszył jednak tylko ramionami. Nie, doktor Steinberg prowadzi praktykę kilka domów dalej. Zarumienił się lekko, gdy dziewczyna upierała się, że lekarz twierdził co innego. Wstydliwie spojrział na jej rękę. Poczucie winy. Nie miał powodów, by czuć się winnym, chyba że kłamał.



Corrisande sięgnęła do torebki i wyjęła banknot. Nie zwróciła uwagi na nominał. Młodzieniec przyjął zapłatę i zarumienił się jeszcze bardziej.

- Dwieście czternaście - wyszeptał. I dodał: - Nie wie pani tego ode mnie. Nie chciał, by mu przeszkadzano. Wyraźnie to podkreślał. - Następnie schował pieniądze, a Corrisande wróciła na schody.

Dwa piętra. Znow zaczęła liczyć stopnie. Musi coś zrobić, by odciągnąć uwagę od tej agonii.

To była długa droga. Czas ciągnął się w nieskończoność. Chyba pokonanie dwóch pięter nie mogło tyle trwać? Corrisande unosiła jedną stopę, potem drugą. Wkrótce dotrze do lekarza. Za chwilę będzie na miejscu, a doktor jej pomoże.

A potem stała przed jego drzwiami. Co będzie, jeśli go nie ma? Oparła się o framugę, próbując złapać oddech, zapukała.

Żadnej odpowiedzi. Znow zapukała.

- Doktorze Steinberg? - zawołała niepewna, czy jej głos przebije się przez grube drzwi. - Jest pan tam? Tu Corrisande Jarrencourt. Ja... potrzebuję pana.

Drzwi uchyliły się odrobinę. Doktor Steinberg trzymał coś, ale dziewczyna nie umiała rozpoznać, co to było.

- Jest pani sama? - zapytał. Dziwne pytanie. A później zobaczył jej rękę. - Wielkie nieba!

Otworzył szerzej drzwi i ostrożnie wyjrzał na korytarz. Nikogo nie było. Wciągnął Corrisande do pokoju. Niemal upadła, gdy prowadził ją do fotela.

- Zimne żelazo? - upewnił się, a ona tylko skinęła głową. Wiedział, co to było. Pomoże.

- Strasznie boli - wyszeptała. - Może mi pan pomóc?

- Zimne żelazo - powtórzył doktor i Corrisande usłyszała w jego głosie nienawiść. Zaczął grzebać w swojej torbie, a dziewczyna miała czas, by się rozejrzeć. Znajdowała się w małym salonie z drzwiami, które prawdopodobnie prowadziły do sypialni. Na stole rozsypany był piasek, a kilka mosiężnych sztabek balansowało na kryształowych stopkach, wyginając się to w jedną, to w drugą stronę niczym igły kompasów. Z lichtarza zwisały na sznurkach kolejne kryształy, które poruszały się jak na wietrze, pobrzękując lekko, gdy o siebie uderzały. Wszystko to wyglądało bardzo dziwnie. Corrisande nie miała pojęcia, do czego to mogło służyć - i było jej wszystko jedno.

- Kto pani to zrobił? - usłyszała. Spuściła głowę.

- To był wypadek.

Nie miała ochoty na kolejną dyskusję o motywach Delacroix i o tym, że może być niebezpieczny.

- To nigdy nie są wypadki - zaproponował lekarz. - Ludzie chętnie zadają nam ból. Nie doświadczyła pani tego jeszcze? Szybko się pani nauczy. Gdy już się dowiedzą, kim pani jest, nigdy nie przestaną pani dręczyć. To dopiero początek. Wszyscy tacy są.

Zabrzmiało to niemal groźnie. Doktor sprawiał teraz inne wrażenie niż wcześniej, kiedy Corrisande spotkała go na schodach. Może nie powinna była tu przychodzić? Znała go przecież tylko z tego, co sam jej powiedział, i z własnego doświadczenia wiedziała, że to nie musiało być prawdą.

Jeszcze raz rozejrzała się po pomieszczeniu. Wydawało się, że była w nim obecna energia, coś, czego dziewczyna nie mogła dotknąć ani pojąć. Czula ją jednak na skórze. Odczuwała tak jak nadchodzącą burzę, jak błyskawice czające się w coraz bardziej parnym powietrzu.

W jednym kącie leżały ubrania, niestarannie rzucone na stos. A na nich ślady krwi. Rzeczy Steinberga. Musiał być ranny.

Po plecach przebiegł jej dreszcz.

A potem lekarz stanął przed Corrisande i chwycił ją za nadgarstek. Palce miał zimne. Posmarował jej rękę jakąś maścią, która wydawała się chłodna i łagodziła ból.

- Przez jakiś czas będzie jeszcze boleć, przykro mi. Ale zagoi się - zapewnił. - Nie będę pani ponownie pytał, kto to był. Gdy dzień dobiegnie końca, nie będzie to już miało żadnego znaczenia. Niemal jestem wdzięczny, że się to pani przydarzyło, bo dzięki temu trafiła pani do mnie, a dokładnie tutaj powinna pani teraz być. Los okazał się dla mnie łaskawy.

Jego oczy błyszczały jak w gorączce. W swej intensywnej pożądlivosti niemal przypominały Corrisande spojrzenie Vonderbrucka. Włosy zjeżyły jej się na karku, niemal mogła poczuć, jak unosi się każdy z nich.

- Dziękuję panu - odpowiedziała uprzejmie i uśmiechnęła się do doktora. - Czuję się znacznie lepiej. Myślę, że wrócę teraz na górę i na trochę się położę. - Spróbowała wstać.

Powstrzymał dziewczynę, kładąc jej ręce na ramionach. Stał bardzo blisko, pochyliwszy się nad nią.

- Nie może pani teraz iść - powiedział spokojnym, przyjaznym tonem. - Stała się już pani tego częścią. Gdy spotkałem panią wczoraj, Miss Jarrencourt, nawet w snach nie marzyłem, że los zetknie nas ze sobą u zarania nowej epoki. Jest pani taka jak my, jak ja, ogniwo łączące dwie słabsze rasy. Musi pani u mnie zostać.

- Proszę, sir - odrzekła najniewinniej jak umiała. - Moja ciotka czeka na mnie i jeśli szybko nie wrócę, zacznie się niepokoić.

- Pani ciotka jest w tej chwili zajęta i nie przebywa w apartamencie. Wiem, gdzie jest. Do pewnego stopnia wiem nawet, gdzie jest każdy. Pani musi tu zostać. Proszę się nie bać. Nic pani nie zrobię. Nie spalę pani zimnym żelazem i nie zaserwuję na srebrnej tacy jakiemuś obrzydliwemu potworowi. Nie jestem człowiekiem. I dlatego jest pani u mnie bezpieczna. Całkowicie bezpieczna... a od jutra w ogóle nie będzie się pani musiała troszczyć o to, czy ludzie zadadzą pani ból albo czy zaatakują panią Si. Jutro będzie już po wszystkim.

Głos Steinberga brzmiał uprzejmie, lecz jego słowa zmroziły Corrisande. Pomimo to nadal się uśmiechała. Nie wiedziała, co miał na myśli, ale pewność siebie lekarza nie ulegała wątpliwości. Więcej niż pewność. Fanatyzm. Nigdy nie stawaj pomiędzy człowiekiem a jego fanatycznym požądaniem, powiedział kiedyś jej ojciec. Znał się na nieobliczalnych, nieodpowiedzialnych ludziach.

- Nie wiem, co pan ma na myśli, doktorze Steinberg. Sądzę jednak, że powinnam teraz pójść. Dziękuję panu za... - Jęknęła.

Przyłożył dłonie do jej skroni i głęboko w nią wniknął. Uczucia były takie jak poprzednio, gdy próbował zgłębić jej pochodzenie. To było zbyt bliskie, zbyt osobiste, zbyt intymne - atakował bezpośrednio umysł i duszę. Corrisande pragnęła go przed tym powstrzymać, odrzucić go, uratować się przed szturmem Steinberga. Była jednak bezradna. Nie wiedziała, jak sobie poradzić. Czuła się bezbronna.

Przez chwilę bała się, że Steinberg może odczytać jej myśli, rozpoznać strach i niechęć, potem jednak poczuła z niezrozumiałą jasnością, że wcale tego nie potrafi. Steinberg nie mógł poznać wnętrza Corrisande, nie miał tam dostępu. A jednak coś z nią robił, coś, czego nie chciała. Nie pozwoliła mu na to, a teraz jej głowę rozsadzała migrena.

- Co pan robi? - zapytała rozpaczliwie, z narastającym lękiem.

- Szukam w pani dziedzictwa feyonów. I ono tam jest. Tak. Jest małe, ale wystarczy. Będzie pani należeć do nas.

Wystarczy? Do czego?

Jego dłonie cofnęły się od jej skroni, przesunęły się przed twarzą, opuściły do ramion, nie dotykając ich jednak, a potem gwałtownym ruchem doktor położył je na brzuchu Corrisande. Dziewczyna patrzyła przerażona, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Będzie pani jedną z matek nowej rasy. Nowej rasy panów. Spodoba się to pani.

Ale nic jej się nie podobało, a zwłaszcza natarczywość Steinberga. Corrisande nie podobało się to, co mówił ani jak to mówił, jednak gdy błyszczące oczy napotkały jej spojrzenie, uśmiechnęła się, wiedziała bowiem, że nie byłaby w stanie niczego przeciwstawić fizycznej sile czy magii tego mężczyzny. Niewłaściwa reakcja kosztowałaby ją życie.

- Co pan robi, doktorze Steinberg? - zapytała tylko, starając się opanować. Musiała zachować spokój.

Puścił ją już, wykonał drobny gest i nagle Corrisande poczuła, że nie może się poruszyć. Dudniło jej w głowie.

- Jest pani częściowo Si, tak jak ja. Jesteśmy niczym. Dla świata stanowimy jedynie wstydliwą pomyłkę. Ludzie o ograniczonych umysłach i inteligencji polują na nas, gardzą nami i zabijają, jeśli tylko nas znajdą, zaś Si w ogóle się nami nie interesują. Od czasu do czasu zniżają się i parzą ze śmiertelnikami. A potem pojawiają się dzieci w świecie pełnym nienawiści. Ale mamy wielką przewagę nad ludźmi, Miss Jarrencourt. Jesteśmy silniejsi, wytrzymalsi, inteligentniejsi i bardziej utalentowani. Przecież wie pani o tym, prawda? Tyle musiała pani już zrozumieć. Nie powinno się nas ścigać i zabijać. Potrafimy się znacznie lepiej przystosować i jesteśmy wszechstronniejsi od feyonów, którzy nie umieją się zdecydować, po co żyją i jakie mają cele. Driada musi pozostać przy swoim drzewie, zaś wiatrochod, z wyjątkiem krótkich wizyt, na które zezwala mu porządek świata, żyje w swej pustej krainie. Natura wyznaczyła feynom granice ich władzy. My jednak mamy wolność wyboru, która jest cechą ludzi, i posiadamy moce feyonów. To my powinniśmy rządzić. Świat pod naszą władzą byłby lepszy.

Chory. Steinberg był chory na umyśle. Szalony. Gorzej niż Vonderbruck.

- Jak chce pan osiągnąć ten cel? - zapytała Corrisande całkiem spokojnie, jakby mówili o pogodzie. Spojrzał na nią zaskoczony, jakby nie spodziewał się, że dziewczyna wciąż może mówić. Wykonał jeszcze jeden gest w jej kierunku, a Corrisande krzyknęła krótko i uniosła rękę do czoła. Ból głowy stał się nie do zniesienia. A potem nagle zniknął.

- Och - powiedział. - Przykro mi. Nie byłem pewien, czy moje zakłęcie powoduje u pani ból. Ale to dobry znak. To znaczy, że nie można panią manipulować tak, by pani tego nie zauważyła, i najwyraźniej ma pani jeszcze dość sił, by się bronić. Wspólne odkrywanie pani talentów przyniesie nam jeszcze wiele radości, Miss Jarrencourt.

Nie trzymał jej już, zdawał się pewny, że dziewczyna nie ucieknie. Corrisande rozważała, czy gdyby się zerwała i pobiegła, zdążyłaby dotrzeć do drzwi. Ale wiedziała, że to wykluczone. Musi grać w grę Steinberga. Może uda jej się uderzyć go w głowę, gdy nie będzie patrzył. Zastanawiała się, gdzie jest ranny. Wiedza o tym mogłaby się okazać przydatna.

- Niemal osiągnąłem już mój cel - ciągnął Steinberg. - Rękopis należy już właściwie do mnie. Gdy tylko ci głupcy zabiją stworzenie, na które wraz z nimi tak pięknie pani dla mnie polowała, śliczna mała współpracowniczka, zwój będzie mój. Jest kluczem do rzeczywistości. Znaczy to, że każdy, kto go posiada, może zmieniać rzeczywistość według swojej woli. Ci zabobonni prostacy myślą, że otwiera on drzwi do piekieł. Mylą się. Moja wiedza pozwala mi stwierdzić, że rękopis służy do zupełnie innego celu, a pani będzie częścią tej przemiany. - Spojrzał Corrisande w oczy. - Będzie pani wspaniale wyglądać z koroną we włosach. Cieszy się pani? Będziemy królami tej ziemi, pośrednikami pomiędzy dwoma światami.

Jedną z konstrukcji, którymi wypełniony był pokój, zabrzęczała. Steinberg rozejrzał się nerwowo, na jego twarzy odmalował się lekki niepokój.

- Teraz jednak nie mam dla pani czasu. Przykro mi. Musi pani poczekać, aż skończę. Naprawdę jestem niepokieszony - jego głos brzmiał, jakby rzeczywiście doktorowi było przykro - ale będę musiał panią związać. Będę potrzebował mocy do innych zadań, a gdybym nałożył na panią czar, który sparaliżowałby panią na wiele godzin, prawdopodobnie bardzo, ale to bardzo by to bolało. Uwolnię panią,

jak tylko będzie po wszystkim. Przyjdę wtedy do pani. Będziemy razem i zbierzemy wokół nas takich jak my. Niech pani to sobie wyobrazi! To będzie fantastyczne!

Nakazał jej gestem, by wstała, Corrisande zaś posłuchała, ponieważ świetnie zdawała sobie sprawę, że Steinberg mógł nagiąć jej wolę i zadać ból, gdyby się sprzeciwiała. Bez słowa podążyła za nim do drugiego pokoju. Mężczyzna trzymał zwój liny, tej samej, której użył do rozwieszenia przeróżnych sprzętów.

- Doktorze Steinberg, proszę tego nie robić - poprosiła. - Nie będę panu przeszkadzać. Nie będę panu wchodzić w drogę. Przysięgam. - Złamane przyrzeczenie nie mogło być gorsze od zniszczenia świata.

- Proszę mi wybaczyć - odpowiedział tylko, a jej głowę znów przeszył ból i Corrisande się zachwiała. Obserwowała, jak sama wyciąga w jego stronę ramiona. Doktor związał jej nadgarstki, pilnie bacząc, by nie dotykać oparzeń.

- Niech się pani położy - polecił i wskazał na swoje łóżko. Broniła się. Musiała zebrać wszystkie siły, by potrząsnąć głową.

- Proszę, nie - błagała i uświadomiła sobie, że jej wymowa stała się niewyraźna. Lecz Corrisande nie chciała się znaleźć w łóżku tego człowieka.

- Dobrze - zgodził się z wyrozumiałym uśmiechem, który sprawiał, że wyglądał miło i normalnie. - Nie będę pani zmuszał. Rozumiem pani potrzebę przyzwoitości. Choć jutro rano nie będzie to miało żadnego znaczenia. Nasz nowy świat obejdzie się bez bezcelowych zahamowań i fałszywej moralności. Proszę usiąść na podłodze. Tutaj.

Wskazał na koniec łóżka i przywiązał ręce Corrisande nad głową do ramy. Następnie sięgnął do kieszeni surduta po chustkę, wepchnął ją niepewnymi palcami do ust dziewczyny, po czym przewiązał szalem. Związał jej także nogi w kostkach, unosząc przy tym suknię tylko na tyle, by mu nie przeszkadzała. Kulturalny, dobrze wychowany mężczyzna. Szalony, ale grzeczny i wytworny.

Jego czar opuścił Corrisande i poczuła, jak ból znika. Jej umysł znów był wolny.

- Jestem naprawdę niepokieszony - powiedział Steinberg. - Proszę się nie niepokoić. Jutro wszystko będzie już naprawdę cudowne. Przysięgam. Przyjdę do pani, gdy to wszystko się skończy, i

będę wiedział, jak sprawić, by się pani mnie nie bała. Los jest dla nas łaskawy. Zawsze myślałem, że będę musiał czekać na innych z naszej rasy, opatrność jednak mi sprzyja. A pani będzie po mojej stronie. Jest pani dowodem na to, że postępuję słusznie. Proszę się nie bać. Od jutra będzie tylko coraz więcej nas, naszej rasy, a oprócz tego jedynie banda nic nieznaczących niewolników. I na całym świecie nie będzie ani jednego Si.

Uniósł ręce ku jej twarzy, nie dotknął jej jednak. Corrisande siedziała spokojnie, w bezruchu.

Potem Steinberg sięgnął po coś ze swych przyborów toaletowych i odwrócił się do drzwi. Zabrał brzytwę - choć dziewczyna i tak nie byłaby w stanie po nią sięgnąć. Najwyraźniej jednak doktor wolał nie podejmować żadnego ryzyka.

Zgasił światło i zamknął drzwi. Usłyszała, jak przekręca klucz w zamku.

## Rozdział 72

Eliza patrzyła na szachownicę. - No dalej, moja córko - odezwał się kapłan przyjaźnie. - Nie jest pani dostatecznie skoncentrowana, a powinna pani. Dopiero co tłumaczyłem, jak się blokuje królową. Blokowanie królowej jest łatwe. Dopiero co to pani widziała, a król też nie stanowi zbyt dużego zagrożenia. Kilkoma odpowiednimi ruchami można zawsze dać szach - mata. Zachichotał.

- A więc mówi pani, że mała Corrisande lubi Delacroix? Bardzo go lubi? - Nie czekał na odpowiedź, tylko ciągnął dalej: - Widziałem ją w jadalni. Ładne dziewczę. Sprawia wrażenie dobrze wychowanej i eleganckiej, jeżeli się nie wie, czym naprawdę jest. Sądzi pani, że Delacroix może żywić do niej te same uczucia?

Eliza przesunęła przypadkową figurę na szachownicy o jedno pole dalej.

- Nie zachował się wobec niej bez zarzutu. Chociaż z jego punktu widzenia zapewne nie ma to nic wspólnego z miłością, a przynajmniej byłabym zdumiona, gdyby było inaczej. To nie miłość, lecz libido, namiętność - powiedziała ostrożnie. Nie odczuwała przyjemności, opowiadając temu mężczyźnie szczegóły z życia Corrisande. Ale przyjemność nie miała z tym nic wspólnego. Musiała wiedzieć, na czym stoi.

- Libido i namiętność - powtórzył ksiądz. - Dobrze. To maści w głowie. Łatwiej będzie zapanować nad Delacroix, jeśli jego myśli zajęte będą czymś innym. Wspominała pani, że von Orven poprosił ją o rękę?

- Nie, tak naprawdę to nie. Po jednym dniu nie prosi się nikogo o rękę. W uroczysty sposób prosił o pozwolenie, by ją lepiej poznać. Nie mam wątpliwości, że będzie dążył do zawarcia związku. To ten typ człowieka. Niezawodny i okazujący szacunek.

- Szach - mat - powiedział ojciec Emanuele i przewrócił króla. - Nie uważała pani. Wiem, że ta gra jest dla pani nowa, ale muszę powiedzieć, że trochę mnie pani rozczarowuje. Oczekiwałem, że będzie się pani szybciej uczyć. Potrafi to pani. Musi się pani tylko skoncentrować. No tak. Rzetelny, pełen szacunku mężczyzna, który zamierza poprosić ją o rękę. Trzeba mu powiedzieć, kim jest Miss Jarrencourt. Ale to pewnie nie ma już żadnego znaczenia.

Eliza odchyliła się lekko.



- Wielebny - powiedziała - nie mogę sobie wyobrazić, że zamierza mnie ksiądz tutaj wiecznie przetrzymywać. Zadeklarowałam, że będę dla księdza pracować. Dlaczego po prostu nie pozwoli mi ksiądz odejść? Będą się zastanawiać, gdzie jestem.

- Całkiem możliwe, Mrs Parslow. Wolę jednak mieć panią przy sobie, gdy otrzymam informacje, na które czekam. Proszę ustawić figury na szachownicy. Spróbujemy jeszcze raz, i tym razem serdecznie panią proszę, by się pani skoncentrowała. Niech sobie pani wyobrazi, że gra pani o życie. Być może pozwoli to pani zebrać myśli. Pani zaczyna.

Nienawidziła tej gry, tak jak wszystkich gier, które do niczego nie prowadzą. Siedzącemu naprzeciw niej mężczyźnie sprawiało to nieskrywaną przyjemność. Eliza jednak nigdy nie potrafiła delektować się czymś, co nie miało konkretnego celu. Ksiądz się nie mylił. Gdyby w tej grze chodziło o jej życie albo powodzenie jej planów, grałaby inaczej. Grałaby tak, aby wygrać.

Nienawidziła tego mężczyzny. Lubiała mężczyzn łatwowiernych, na których można było wpłynąć. A ten do takich nie należał. Jego umysł był jak ostrze. Nie miał żadnych skrupułów. Powiedział, że pracuje dla wyższego celu. Znała jednak bardzo dobrze podobnych do ojca Emanuele. Wszystko, co robili, robili wyłącznie dla zadowolenia, jakie dawało im poczucie władzy.

Do pewnego stopnia Eliza potrafiła to nawet zrozumieć. W manipulowaniu ludźmi było coś podniecającego. To mogło być zabawne. Trochę jak tresowanie psa, by na komendę robił to, czego się od niego oczekuje. Dla tego człowieka świat składał się z małych piesków, którym ksiądz kazał aportować. Trzask bata i już stały na tylnych łapkach i udawały ludziki.

Z religią nie miało to jednak nic wspólnego. Tego Eliza była pewna. Była też pewna, że ojciec Emanuele z kolei nie podawał w wątpliwość religijnych motywów swoich działań. Potrzebował potwierdzenia, że wypełnia ważne i nadzwyczajne zadanie. Jednak to, w jaki sposób mówił o wyeliminowaniu Corrisande, było głęboko niepokojące. Nie postrzegał dziewczyny jako człowieka. Dla niego była robactwem. Czerpał dumę z tego, co robił: mordował dla wyższego celu, a przy tym niezachwianie trwał w wierze w moralną niepodważalność swych czynów.

Pretekst, by uniknąć wyrzutów sumienia. Czegoś takiego Eliza nie potrzebowała. Wystarczało jej osiągnięcie sukcesu. Owszem, była skłonna przyznać, że jej kariera zaczęła się od błędu. Poślubienie Earnesta było nieskończenie głupie, naiwne, nierozważne i nieostrożne. Nigdy nie zrozumiała, dlaczego to zrobiła. Gdyby nie to małżeństwo, jej życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Nigdy nie popadłaby w kłopoty i nie musiałaby zabijać, gdyby najpierw nie popełniła tego wielkiego błędu.

Zalecał się do niej książę. Prawdziwy książę. Starannie zaplanowała i podjęła działania, by zwrócić na siebie uwagę tego mężczyzny, a gdy w końcu jej się to udało, zaczął wierzyć, że jest kobietą jego życia. Doprowadzenie go do takiego stanu nie było łatwe i wymagało szczegółowej strategii i ostrożnej taktyki. Przesuwała na szachownicy swych ambicji pionki, gońce, wieże i królowe i była już tak niesamowicie bliska celu, a potem, pewnego dnia, spojrzała w oczy Worringhama i była zagubiona, oślepią miłością. Do tej pory nawet go nie zauważała.

Pobrali się już po trzech tygodniach, wywołując masę plotek. Przez kilka miesięcy byli szczęśliwi, aż pewnego poranka Eliza obudziła się i wiedziała, że nie kocha tego mężczyzny. To by nie było jeszcze takie złe, ale mąż pogrążył się też finansowo, zaciągał długi i był zbyt nieporadny, by zacząć coś tak jak trzeba.

Elizie nie pozostało nic innego, jak się go pozbyć, zanim ją zrujnuje i pozbawi jakichkolwiek szans na lepsze życie. Więc umarł. Nie cierpiał. Położył się do łóżka i tak jak zawsze wypił kieliszek porto, który czekał na nocnym stoliku.

Zasnął obok Elizy, na początku cicho chrapał. A potem chrapanie ustało. Pozostała w łóżku obok jego zwłok aż do rana, gdy przyszedł kamerdyner, aby ich obudzić. Dopiero wtedy wraz ze służbą stwierdzili, co się stało.

Ale było już za późno. Książę, który jeszcze kilka miesięcy wcześniej wykazywał zainteresowanie jej osobą, teraz zwrócił uwagę na inne młode damy. Używany towar go nie interesował. Wdowy nie mieściły się w planach zamożnych panów i nie były godne ich starań.

Mąż nie zostawił Elizie zbyt wiele pieniędzy i od początku wiedziała, że znów będzie musiała wyjść za mąż, by utrzymać odpowiednią stopę życiową i pozostać w wyższych sferach, w których

się chętnie obracała. Zawarcie małżeństwa podczas żałoby było nie do pomyślenia i przeszkadzało jej to w poszukiwaniach.

Jej kolejny mąż był jeszcze gorszy niż pierwszy. Ale dłużej nie mogła czekać. Sytuacja finansowa dawała jej wybór tylko między tym związkiem małżeńskim albo powrotem na zamek jej rodziny, gdzie tolerowano by ją i żywiono jako biedną wdowę i gdzie z dużą dozą pewności zostałaby wykorzystana. Ani z finansowych, ani z towarzyskich powodów dalsze samotne życie nie było możliwe.

Wyprowadziła się z mężem do Rzymu i żyła tam, nienawidząc każdej chwili. Nienawidziła upałów, kurzu i głośnego, mało subtelnego otoczenia. Jej mążzonek uważał się za wielkiego artystę i hojnie wydawał pieniądze na innych kolegów artystów, jakby ich rzeczywisty talent mógł dzięki tym znajomościom spłynąć również na niego. Zamordowanie go było łatwe. Pił zbyt wiele i jego śmierć absolutnie nikogo nie zdziwiła. Zmarł, a jego zejście z tego świata mogło być powodem do żałoby co najwyżej dla żerujących na nim artystów. Eliza zaś znalazła się w sytuacji wdowy tuż przed trzydziestką, z kurczącymi się środkami finansowymi i podobnie kurczącymi się perspektywami. I znów pozostał jej wybór, by stać się ciężarem dla swej rodziny albo wycofać z towarzystwa.

- Pani ruch. Niech się pani skoncentruje!

Uśmiechnęła się przepaszająco do sługi bożego. „Przepraszam”, zdawało się mówić jej spojrzenie, „ale nie mogę. Jestem tylko biedną, słabą kobietą i nie jestem w stanie konkurować z męską bystrością umysłu”.

Uśmiechnął się, dokładnie rozumiał, co próbowała mu wmówić. Bawiło go to, ale niezbyt przekonywało.

Przerwało im pukanie do drzwi i do pokoju wszedł mężczyzna w cywilnym ubraniu. Sprawiał wrażenie trochę niepewnego i wyglądał jak dobrze wytresowana fretka.

- Ach - powiedział ojciec Emanuele. - I czegoż to się brat dowiedział?

Mężczyzna wyprostował się jak struna i Elizie znów się wydawało, że przed nią na tylnych łapach stoi piesek, starający się wyrzucić wrażenie na swoim nazbyt surowym panu.

- Wasza Wielbność - powiedział - zaniósłem im na górę jedzenie. Wszyscy są w jednym pokoju. Nie mogłem co prawda wejść do środka, ale widziałem bardzo dużego mężczyznę o ciemnej cerze...

- Delacroix - wtrącił sługa boży.

- ...i drugiego w mundurze bawarskich szwoleżerów. Mężczyzna, który zamawiał jedzenie, też był bawarskim oficerem. Nie udało mi się zajrzeć głębiej do pokoju. Może były tam też inne osoby. Ponadto widziałem na stole jakiś złoty pojemnik. Być może mają w nim rękopis?

Ksiądz milczał przez chwilę.

- Możliwe. Tylko dlaczego jeszcze nie wyjechali, skoro już go mają?

- Być może czekają na eskortę. W końcu ich mag nie żyje.

- Niezła myśl - pochwalił ojciec Emanuele. - To prawdopodobne. Ja sam też niechętnie udałbym się w podróż z tym dokumentem, nie mając przy sobie magicznej ochrony. Może czekają na nowego mistrza. A to by oznaczało, że najlepiej będzie, jeśli uderzymy od razu.

Odwrócił się do Elizy.

- Nadeszła pora na panią. Niech się pani cieszy, wreszcie może pani zrobić coś dla ludzkości. Ufam, że jest mi pani wdzięczna za tę szansę.

- Co by ksiądz chciał, abym zrobiła, wielbny? - zapytała uprzejmie Eliza. Co by się mogło stać, gdyby ten mężczyzna już jej nie potrzebował?

- Niech pani zadba o to, by odwrócić ich uwagę. Giuseppe, nie chciałbyś może zaatakować kogoś w bezpośrednim sąsiedztwie pokojów tych panów? Może Miss Jarrencourt? A co byś powiedział na tę małą pokojówkę? Która z tych dwóch dziewczyn będzie głośniej krzyżeć?

- Bez wątpienia Marie - Jeannette. Corrisande nie należy do ludzi, którzy głośno krzyczą. Ale zobaczę, którą z nich dwóch można w to wciągnąć. Czy to wszystko? - Mrs Parslow uśmiechnęła się do kapłana niczym kelner przyjmujący zamówienie.

- Nie, to dopiero początek. Panowie rzucają się ze swego pokoju na pomoc. Młodymi mężczyznami rządzą instynkty. Pani zaś wejdzie do tego pomieszczenia. Niech pani sprawi, by wyglądało to tak, jakby zagoniła tam panią walka. Niech pani zachowuje się tak, jakby chciała się pani ukryć. Jeśli będzie pani mogła, proszę wziąć ten pojemnik i przynieść go tutaj. Jeśli to będzie niemożliwe, proszę przynajmniej dokładnie wszystko zapamiętać. Mężczyźni raczej nie pomyślą, że to

dziwne, iż jakaś dama chciała się schronić przed bijatyką. Niech się pani stara nie wzbudzić żadnych podejrzeń. W tym jest pani dobra, nieprawdaż?

Odwrócił się do wielkiego mnicha.

- Kogokolwiek Mrs Parslow wyśle na korytarz, chcę, żeby ta dziewczyna to przeżyła. Zrozumiałeś? Naszym priorytetem jest wciągnięcie w walkę mężczyzn. Nie chcę, by po wszystkim leżały wokół ciała martwych dziewcząt. Nie chcę też, abyś był zbyt brutalny. Wystrasż ją, a jeśli to będzie konieczne, zadaj jej ból. Najważniejsze, żeby krzyczała. Ale nic więcej.

Znów odwrócił się do Elizy.

- Daję pani pięć minut, by wyciągnęła pani na korytarz którąś z dwóch młodych kobiet. I nie zdradzi mnie pani! Taka głupia pani nie jest, zdrada kosztowałaby panią głowę. Czy to jasne?

Eliza przytaknęła.

- Całkowicie, Wasza Wielbność - wykrztusiła. - Zrobię to, co ksiądz powiedział. Proszę tylko nie zapomnieć, by później dotrzymał ksiądz swego słowa.

Wstała i wyszła z pokoju.

## Rozdział 73

Lekarz sprawdził linie mocy. Nic się nie zmieniło. Sytuacja była stabilna, niemal statyczna, w irytujący sposób niezmienna. Wiatrochod wciąż był uwięziony w tym samym pokoju. Odczytanie jego sygnatury stało się niemal niemożliwe. Skrzynka z zimnego żelaza wywierała znaczny wpływ na wyniki pomiarów.

Oficerowie także wciąż byli w pokoju. Czuł ich, ale nie mógł przeanalizować osobno. Umiejętności Steinberga nie sięgały aż tak daleko. Był jednak pewien, że wciąż są z magiem. Doktor próbował podsłuchiwać, ale ich mistrz sztuk tajemnych znał się na swojej robocie. Pomieszczenie było dobrze chronione.

W hotelu musiał przebywać jeszcze jeden feyon. Steinberg był w stanie wyczuć jego obecność, ale nie potrafił określić, gdzie ani co robił. Cele nieznanego Si pozostawały niejasne. Jego obecność niezbyt jednak niepokoiła doktora. Następnego dnia i tak nieznanomy przestanie istnieć.

Mistrz z Bractwa nie znajdował się już w budynku. Nie opuścił go jednak na własnych nogach i to niezwykle cieszyło młodego człowieka. Minie dużo czasu, nim mnisi przywrócą swojego towarzysza do życia, o ile w ogóle się to uda, a całkiem możliwe, że głęboki stan nieświadomości znacznie ograniczy zdolności magiczne adepta z Fraternitas Lucis. To się zdarzało.

Ale to też nie miało znaczenia, bo jutro wszystko się zmieni. Steinberg nie wątpił ani przez chwilę, że nadejdzie nowe. Był także świadom, jak musiało to zabrzmieć w uszach młodej, niewinnej dziewczyny, która dorastała nieobarczona wiedzą o swej odmienności. Nie musiała znosić bolesnej nienawiści i podejrzliwości, jaką okazywali ludzie Steinbergowi, gdy tylko poznawali jego tajemnicę. Oczywiście tylko niewielu się o tym dowiedziało. Był na tyle potężny, by wpływać na ludzkie postrzeganie. Musiał się tylko skoncentrować.

Ale wystarczył jeden, który się czegoś dowiedział, przypominał sobie coś, co powinien był zapomnieć albo nigdy nie zauważyć. Ciągłe i nieustanne utrzymywanie pozorów wymagało strasznie dużo sił. Ciągłe i nieustannie. Niczym Syzyf, Steinberg wciąż i wciąż musiał wtaczać kamień na tę samą górę, jego moc i myśli musiały być skupione, wciąż i wciąż od nowa. Żonglował przyczyną i skutkiem, aby bez przerwy, z nową mocą wtaczać skałę tam, gdzie chciał, by się znalazła. Jednak kamień nie słuchał Steinberga, tylko siły ciężenia.

Był zmęczony tą walką. Toczył i przegrywał bitwę po bitwie. Dlatego zdecydował, że nie wtoczy już więcej tego syzyfowego kamienia, lecz zamieni górę w dolinę.

Był lekarzem, ponieważ nie pozwolono mu ukończyć studiów i zostać mistrzem sztuk tajemnych. Lubił pracę lekarza. Pomaganie innym - tego Steinberg pragnął i to wpłynęło na pierwotny wybór zawodu. Wtedy nie miał jeszcze żadnych mrocznych planów.

Ale nie pozwolono mu kontynuować nauki, gdy okazało się, jaki był w tym dobry, o ile potężniejszy i bardziej utalentowany od ludzkich magów. Oficjalny powód, jaki mu podano, był oczywiście inny. Wszystkie przedstawiane powody były zmyślane, co oczywiste. Właściwie zawsze sprowadzało się to do tego samego. Miał w sobie krew feyona i gdy ludzie to odkrywali, reagowali. Unikali Steinberga, nękali, odpędzali, nienawidzili bądź nawet atakowali. Jesteś jak mimoza, mówiła jego matka. Chcesz, żeby wszyscy cię kochali, ale my, ludzie, tacy nie jesteśmy. Na szacunek trzeba sobie zasłużyć. Nie spada po prostu z nieba. Tylko sobie wmawiasz, że wszyscy o tym wiedzą. Nikt o tym nie wie. Nikt tego nigdy nie wiedział. Większość nawet by w to nie uwierzyła.

Gardził nią. To matka była wszystkiemu winna. To ona uległa zalotom feyona. Coś takiego nie zdarzało się często. Si nie byli zainteresowani tym, by zaludniać świat bękartami półkrwi. Matka jednak poczęła Steinberga, urodziła i została odtrącona przez swoją rodzinę. Ponieważ ze względu na pochodzenie dysponowała własnym dochodem, miała możliwość, by wychować syna i zapewnić mu dobre wykształcenie. Tyle tylko, że żyła pod fałszywym nazwiskiem jako rzekoma wdowa. Wciąż zmieniali miejsce zamieszkania. Zawsze, gdy pojawiała się groźba ujawnienia ich tajemnicy, albo gdy - jak uważał Steinberg - sekret wyszedł na jaw, przeprowadzali się gdzieś indziej.

Matka nigdy się nie skarżyła. Zaakceptowała to jako swego rodzaju pokutę za związek wykraczający poza granice tego, co dozwolone i akceptowane. Kochała stworzenie, które jej to zrobiło, i nigdy nie przestała kochać, choć ta istota już jej nie odwiedziła. Steinberg nie znał swego ojca. Wiedział tylko, że była to istota związana z wodą, podobnie jak w przypadku przodków Miss Jarrencourt. On i ta dziewczyna mieli ze sobą coś wspólnego.

Corrisande nie okazała się taka, jak by sobie życzył. Jej dziedzictwo Si było zbyt słabe. Teraz gdy wiedziała już o swym

pochodzeniu, jej talenty może się ujawniać, ale Steinberg nie oczekiwał cudu. Od feyońskich przodków dzieliło dziewczynę zbyt wiele pokoleń.

Nie nadawała się na materiał, z jakiego chciał stworzyć klasę panów w nowym świecie. Była powabna, ale nie należała do niezwykłych piękności. Wiedziała, czego chce, ale nie dysponowała żadnymi nadnaturalnymi zdolnościami, by to osiągnąć. Będzie jednak mogła dać jemu albo innym dzieci, zaś jej wstydliva powściągliwość przeminie wraz ze zrozumieniem, że jest nadludzką istotą. Może nawet z radością przywita początek nowej ery. Rozmnożenie nowej rasy - to było celem Steinberga. Bez znaczenia, czy to on, czy ktoś inny dokona zapłodnienia. Może nawet doktor pozostawi wybór Miss Jarrencourt. Może zasłużyła na wybór. Ludzkie dziewczyny często go nie mają.

Diana nigdy nie miała wyboru. Słodka, kochana Diana. Jej rodzina nie chciała mieć Steinberga za zięcia, nie chciała nikogo, kogo pochodzenia nie można wywieść z jakiegoś drzewa genealogicznego i kogo ojciec był nieznany. Tak bardzo ją kochał. Ale Dianie rodzice zabronili się widywać ze Steinbergiem.

Spotkał się z Dianą jeszcze tylko jeden jedyny raz, potajemnie i nocą, nad jeziorem, dokąd jej rodzice przeprowadzali się latem. Powiedziała mu, że znaleźli dla niej innego mężczyznę. I że go poślubi. Nie miała wyboru. Nie chciała nawet rozmawiać o prawie do wyboru. Sprawy po prostu tak się miały. Steinberg prosił ją, by z nim uciekła, by zostawiła wszystko za sobą, ale była zbyt bojaźliwa i grzeczna; była tylko słabym człowiekiem.

Opuścił ją, a następnego dnia znaleziono Dianę utopioną w jeziorze. Podejrzenie padło na Steinberga. Ale dziewczyna sama musiała zakończyć swe życie. Był tego całkowicie pewien.

Nietrudno było uciec. Nowe miasto, nowe nazwisko. Nowi ludzie, którzy kiedyś zaczną szeptać, że doktor jest inny. Uśmiechali mu się w twarz, a jednak czuł, że go unikali. A więc gromadził wiedzę, żył wśród książek i szukał możliwości, by odmienić swój los.

Rękopis Mutara uchodził za mit. Steinberg potrzebował długiego czasu, by się dowiedzieć, że było inaczej. Że zwój ukryto w Anglii, gdzie był dobrze chroniony i poza zasięgiem. Doktor czytał o tym wszystko, co tylko znalazł. Opinie były rozbieżne. Mała grupa naukowców uważała podania o zwoju za żart, a rękopis za fałszerstwo



lub nieważny kawałek papieru. Większość natomiast była całkowicie pewna, że to artefakt o najwyższym okultystycznym znaczeniu i mocy. Panowało także przekonanie, że zwój Mutara otwiera wrota do piekieł, w czym pomocna była wiara w piekło i chrześcijański porządek świata. Steinberg jednak dawno już stracił wiarę. Kto powiedział, że było tak, a nie zupełnie inaczej?

Im dłużej studiował przekazy, tym więcej znajdował wskazówek, że wiedza, którą skrywał rękopis, nie miała absolutnie nic wspólnego z religijnymi koncepcjami. Można by dzięki zwojowi otworzyć bramy piekieł choćby przez to, że zarówno wrota, jak i piekło można było przedstawić jako rzeczywistość. Jeśli się w to silnie wierzyło, to piekielne stworzenia, które wyskoczyłyby z otwartych bram, byłyby tak samo wytworem fantazji jak same wrota. Pojawiało się w nich to, czego się oczekiwało i pragnęło.

W chwili kiedy stało się to dla Steinberga jasne, wiedział, że musi skupić siły na tym, czego pragnie. Wtedy mógłby użyć rękopisu do urzeczywistnienia swoich planów. Świat bez Si był wart starań. Si nie mieli prawa w tak bezwzględny i bezmyślny sposób ingerować w życie ludzi.

Chociaż ludzie też nie byli lepsi - pełni uprzedzeń, nietolerancji, nieczuli i bezlitośni. Steinberg stworzy świat piękniejszy. Ludzie będą szczęśliwi; zadowolone rzesze niewolników w służbie hybryd, które potrafią osiągnąć znacznie więcej.

Musi ich być wielu. Przybędą do Steinberga i staną się jego światą. Ludzie będą się uśmiechać i okazywać posłuszeństwo. Przyjazny świat, Steinberg wszystko bardzo dokładnie zaplanował, wszystko przemyślał.

Musi tylko mieć manuskrypt.

Potrzebował lat, by się dowiedzieć, gdzie go ukryto. Kradzież zwoju wymagała szczegółowego planu. Steinberg trzymał się z tyłu, ograniczał się do tego, by pokonać i usunąć z drogi magiczne bariery. Niemal już miał rękopis, ale wtedy przybył ten trup, wiatrochod pod inną postacią. Chciał odebrać doktorowi zwój. Podczas gdy walczyli, rękopis zniknął. Przerwali pojedynek i każdy osobno ruszył śladem artefaktu. Steinbergowi udało się ściągnąć złodzieja do Monachium, gdzie jednak rękopis wpadł w ręce maga o nazwisku Muller, któremu polecono go zabezpieczyć.

Pan Muller na szczęście zszedł z tego świata bez udziału Steinberga, zaś rękopis wibrował gdzieś w przestrzeni między wymiarami, niemal na wyciągnięcie ręki, a jednak nieosiągalny tak długo, dopóki czar nie rozwieje się wraz ze śmiercią wiatrochoda. A to było tylko kwestią czasu. Bawarscy oficerowie zabiją tę bestię. Tylko po to ją złapali. Co niby o niej wiedzieli? Najprawdopodobniej zakładali, że muszą stworzyć jedynie zniszczyć, a wtedy ukaże się przed nimi artefakt.

Steinberg powinien był im powiedzieć, jak można zabić wiatrochoda. Ale to by było zbyt podejrzane. I tak zwrócił na siebie uwagę bardziej, niż tego chciał. Jak dotąd nikt go jednak nie szukał, a to mogło jedynie oznaczać, że się z nim nie liczone. W końcu łatwo było odnaleźć lekarza. Nawet ta dziewczyna, dręczona bólem oparzeń, znalazła go bez trudu.

Była słodka. Jej odmowa, by położyć się na łóżku, skoro i tak musiała wiedzieć, że jutro będzie już należeć do Steinberga, miała w sobie coś wzruszającego. Tak wiele młodzieńczej wstydlivosti. Zadbano o wychowanie i strzeżono Miss Jarrencourt prawdopodobnie w dobrej, staromodnej rodzinie. Jej przerażenie, gdy dowiedziała się, że jest taka jak Steinberg, było autentyczne. Pogodziła się z tym jednak; siła jej charakteru tylko dodatkowo świadczyła o wrodzonej szlachetności Corrisande Jarrencourt.

Może powinien sprawdzić, co się z nią dzieje? Nie miał na to czasu. Inne rzeczy miały pierwszeństwo. Pozostało jeszcze dużo do zrobienia. Steinberg nadal musiał podsłuchiwać Bractwo, nawet jeśli po utracie swego chrześcijańskiego maga nie było już tak niebezpieczne. Nie zaszkodzi jednak przezorność. Bractwo było najpodlejszym wrogiem, jakiego można sobie wyobrazić. Już dla samego wytopienia mnichów przemiana świata by się opłaciła. Przez chwilę doktor zastanawiał się, czy to możliwe, że to oni tak zranili Miss Jarrencourt. Ale to nie mogli być mnisi. Mnisi by ją po prostu zamordowali. W końcu to stanowiło sens ich życia. Mordowali Si.

Nie, Corrisande musiała napotkać innego napastnika. Kto to był, nie miało już teraz znaczenia. Może to ten sam mężczyzna, który wbił sobie sztylet z zimnego żelaza. Już jutro będzie niewolnikiem, jak wielu innych. Czy Steinberg powinien uczynić z owego napastnika sługę dziewczyny? Może to by ją ucieszyło. Zemstę, jak nic innego, rozumieli wszyscy: Si, hybrydy i ludzie.

Ziewnął. Zapadła już ciemność. Steinberg nie spał od wielu dni. Jego nadludzkiej naturze niewiele to szkodziło, mógł znieść znacznie więcej niż ludzie. I działać dalej. Nie potrzebuje teraz odpoczynku, nie potrzebuje snu, z pewnością nie.

Znów skoncentrował się na swoim zadaniu. Wszystko inne mogło poczekać. Do jutra.

Ale chciałby usiąść, przynajmniej na chwilę. Corrisande zakłóciła jego koncentrację. Rana po postrzale goiła się dobrze i szybko, ale wciąż jeszcze bolała, a doktor stracił wiele krwi. Za dużo krwi, nawet jak na niego.

Ale nie będzie spał. Z całą pewnością nie. Posiedzi chwilę spokojnie, rozluźni się na kilka minut, nie dłużej, a później zobaczy, co z dziewczyną.

I nie zaśnie. Na pewno nie.

## Rozdział 74

Marie - Jeannette zszywała właśnie pęknięcie w bławatkowej sukni Corrisande. Ubranie było dość mocno zniszczone. Ucierpiało podczas polowania w piwnicy, a później Corrisande w nim spała.

Młoda dama powinna przestać tak niszczyć suknie. Cała ta sprawa z żółtą też była nieprzyjemna. Marie - Jeannette nie mogła się zmusić, by ją spalić. Dała ją jednej ze służących, która mieszkała na strychu. Dziewczyna będzie mogła doprowadzić ją do porządku i sprzedać. To była mimo wszystko kosztowna suknia. Garderoba Miss Jarrencourt należała do eleganckich i drogich.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Mrs Parslow. Marie - Jeannette nie wstała od pracy, skinęła tylko na powitanie. Nie lubiła tej przemądrzałej przyzwoitki, nigdy jej nie lubiła i nie rozumiała, dlaczego Corrisande obarczała się jej towarzysztwem. Być może była pożyteczna, ale jej chłodne traktowanie było nieprzyjemne.

Zdumiewające, ale większość ludzi tak tego nie odbierała. Uważali Mrs Parslow za miłą i czarującą. Była mądrą, czytana kobietą i jeśli chciała, potrafiła nawet błysnąć dowcipem. W salonie literackim mogłaby zostać niekoronowaną królową, o ile zainicjowałaby powstanie takiej instytucji lub sama ją otworzyła. Doskonała gospodyni, która bawi gości, przedstawia ich właściwym ludziom i wciąż jest w centrum zainteresowania towarzyskiego i artystycznego świata, choć sama nic by doń nie wniosła.

Ponieważ jednak pomyliła się w doborze małżonków, ta kariera ją ominęła. Aby podejmować młodych artystów, trzeba było mieć pieniądze, a gdyby Mrs Parslow miała pieniądze, nie udawałaby przyzwoitki Corrisande i nie stwarzałaby pozorów, że jest starsza niż w rzeczywistości.

- Gdzie jest Miss Jarrencourt? - zapytała Mrs Parslow. Wydawała się zatroskana.

- Nie wiem. Może wyszła. Sama dopiero co wróciłam. Może zeszła tylko na kilka minut.

- Wielkie nieba - narzekała Mrs Parslow. - Powinna przynajmniej zostawić jakąś wiadomość. Potem człowiek się martwi. Przecież dopiero co wczoraj zaatakował ją ten drań. Nie powinna sama wychodzić z pokoju, dopóki on jest w pobliżu. I co my teraz zrobimy? Powinniśmy jej poszukać!

- Nie może być daleko. Nie wzięła nawet płaszcza. Zresztą dlaczego miałyby o tej porze wychodzić na spacer w deszczu? Na pewno zaraz wróci - zapewniła Marie - Jeannette. - A może spotkała tego miłego podporucznika? Pewnie schowali się w jakimś ciemnym kącie, całują się i nie chcą, żeby ktoś ich znalazł.

Mrs Parslow spojrzała na nią z oburzeniem.

- Z pewnością nie. W przeciwieństwie do ciebie ona wie, jak się zachować, a podporucznik von Orven jest przyzwoitym młodym mężczyzną. Nie pozwoliłby sobie na taki nietakt wobec damy. - Rozejrzała się zdenerwowana. - Nie. I lepiej będzie, jeśli pójdziesz ze mną. Poszukamy jej. W hotelu jest tak wiele miejsc, w których może przebywać. Nie chciałabym, żeby coś jej się przytrafiło. Bóg wie, że to, co wczoraj przeżyła, było już dostatecznie straszne. Chodź już, proszę!

Ostatnie zdanie było jednoznacznym poleceniem i Marie - Jeannette westchnęła. Wiedziała, że Corrisande nie wyrzuci jej na ulicę, nawet jeśli pokojówka nie posłucha polecenia Mrs Parslow, ale prawdopodobnie przeszukanie całego hotelu z dołu do góry będzie mniej uciążliwe niż nieprzyjemna kłótnia z przyzwoitką.

Mrs Parslow otworzyła drzwi i wyprowadziła Marie - Jeannette z pokoju.

- Powinnyśmy się pospieszyć. Oby nic jej się nie stało.

Przyzwoitka ruszyła szybko korytarzem, a Marie - Jeannette podążyła za nią. Chwilę później drogę zagroził dziewczynie wielki, podejrzany mężczyzna w habitcie. Zdawało jej się, że go sobie przypomina, ale myśl ta po chwili zniknęła. Instynktownie Marie - Jeannette wiedziała, że nie życzy sobie mieć z mnichem do czynienia. To było jak koszmar in natura. Pokojówka wystraszyła się i spróbowała wyminąć nieznanego.

Złapał ją mocno i wygiął ręce do tyłu, tak że prawie je połamał. Zaczęła krzyczeć z bólu. Na wpół spodziewała się, że Mrs Parslow zainterweniuje, dama jednak nie pospieszyła jej z pomocą. Stała tylko przyciśnięta do ściany tuż obok drzwi.

Te same drzwi otworzyły się ostrożnie i wyjrzał z nich von Gorenczy, celując z broni w ewentualnego napastnika. Zobaczył mnicha trzymającego Marie - Jeannette w brutalnym uścisku. Pokojówka wciąż krzyczała z bólu i ze strachu.

- Niech nam pan pomoże! - odezwał się głos tuż przy nim i Udolf rozpoznał towarzyszkę Miss Jarrencourt. - Proszę. Ten człowiek napadł na nas bez powodu!

Szwolęz wybiegł z pokoju z bronią w ręce. W korytarzu poczuł uderzenie w głowę i zatoczył się, nie mógł jednak dostrzec napastnika, a jedynie uchylone drzwi, zza których wykonano rzut.

Tymczasem po von Gorenczym pojawił się von Orven. Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Ich były więzień znów zaatakował.

- Niech pan natychmiast puści tę dziewczynę! - krzyknął podporucznik. Von Gorency był już w drodze do na wpół otwartych drzwi. Szwolęzerowie doprawdy nie grzeszyli rozważą.

- Nie - odpowiedział mnich. Miał dziwny akcent. Trzymał dziewczynę przed sobą i jedną ręką wyginał jej ramiona na plecach, podczas gdy drugą ścisnął brutalnie za kark. Twarz pokojówki była czerwona, a po policzkach spływały łzy. Najwyraźniej mnich zadawał jej ból, bo nie przestawała krzyczeć.

- Niech pan ją puści albo strzelam! - rozkazał von Orven rozdarty. Powinien strzelać, zamiast tyle gadać. Ale nie potrafił się przemóc, by zastrzelić osobę duchowną. Chciał tego uniknąć. Nie rozumiał, co się dzieje, wiedział tylko, że powinien zareagować, ale nie miał pojęcia jak. Musiał jednak pomóc dziewczynie. Zrobił krok do barczystego mnicha, ten zaś odepchnął pokojówkę jak niepotrzebny balast. Upadła tuż za Udolfem i szwolęz odwrócił się zaskoczony.

Rozległ się kolejny krzyk:

- Niech pan natychmiast przestanie i tutaj wraca! To pułapka!

Ani jeden, ani drugi podporucznik nie zdołali jednak natychmiast spełnić tego rozkazu. Von Orven dał się właśnie rozbroić jednym zwinnym ruchem i walczył w zwarcu ze znacznie większym i silniejszym przeciwnikiem. Zapasy nie były jego mocną stroną, a zaprzepaścił okazję, by obezwładnić mnicha celnym boksem ciosem.

Von Gorency zdążył tylko zerknąć na pokojówkę, drewniana pałka podcięła mu nogi. Przy upadku obrócił się, dzięki czemu uniknął kolejnego ciosu, tym razem w głowę. Pociągnął za sobą Marie - Jeanette i przy wtórze jej krzyków przetoczył się z nią na bok, by uchronić się przed kolejnymi pociskami, którymi zasypywał go z ukrycia przeciwnik.

W drzwiach stanął Delacroix. Miał pistolet, ale nie mógł strzelać, w tym chaosie ryzykował, że trafi kogoś ze swoich ludzi. Dostrzegł od razu Mrs Parslow, z przerażeniem kulącą się przy ścianie. Bez wahania wciągnął ją do pokoju.

Następnie włączył się do starcia, chcąc je szybko zakończyć.

Eliza stłumiła uśmiech. To było łatwe. Rozejrzała się i zastygła. W pokoju był jeszcze jeden mężczyzna. Tego się nie spodziewała. Ich spojrzenia skrzyżowały się i nagle kobieta pojęła, że już kiedyś spotkała tego człowieka, wiele lat temu.

Wówczas kształcący się jeszcze mag był przyjacielem jej pierwszego męża. Worringham przedstawił go Elizie. Później jednak adept sztuk tajemnych zniknął z życia ówczesnej pani Worringham. Zresztą nie darzyli się sympatią, a na dodatek Eliza nie miała najmniejszej ochoty na podtrzymywanie kontaktów z człowiekiem tak podłej profesji.

Wyczuła, że ją rozpoznał. Dostrzegła w jego spojrzeniu poczucie winy. Czuł się winny. Winny wobec niej.

- Mrs Worringham - powiedział z niemal wstydliwym, pełnym skruchy uśmiechem i uklonił się uprzejmie. Nagłe zrozumienie wdarło się we wspomnienia Elizy. Potrzebowała na to dwudziestu pięciu lat, ale teraz to pojęła. To był on. To on wówczas na nią wpłynął, wpłynął na jej myśli, zmienił jej wolę i pragnienia. Zmienił życie Elizy. Potraktował ją swą obrzydliwą magią i kobieta straciła to wszystko, co sobie zbudowała i do czego dążyła. Jej obecna sytuacja była winą tylko i wyłącznie tego mężczyzny.

- To pan! - fuknęła Eliza. - To był pan. Wiem to! Podeszła z uniesioną ręką, jakby chciała go spoliczkować.

Niczego innego nie pragnęła tak bardzo. Chciała mu zadać ból. Chciała oddać temu człowiekowi całe cierpienie i rozczarowanie, którego był przyczyną.

- Tak - odparł. - Aengus McMullen. Poznaliśmy się dawno temu.

Na stole leżała połyskująca złotym światłem skrzynka. To ją Eliza miała ukraść. Tyle tylko, że nie mogła tego zrobić, ponieważ tuż obok stał mag. Duchowny miał niewłaściwe informacje. Powiedział, że oficerowie nie mają maga, a jednak był tu mistrz sztuk tajemnych.

- To pan mi to zrobił - wysyczała Eliza. - Niech pan nie zaprzecza! To był pan. To pan zmusił mnie, bym poślubiła tego beznadziejnego głupca.

Odchrząknął niezręcznie poruszony, a potem przytaknął i spojrzał smutno.

- Bardzo mi przykro. Nigdy nie powinienem był tego robić. Ale nie przeczuwałem, że będzie pani dla niego tak złą małżonką. Zabiła go pani - nie brzmiało to jak pytanie.

- To pańska wina! Nie miał pan prawa się wtrącać - syknęła. Nawet nie pomyślała o tym, by zaprzeczyć jego oskarżeniom. - Wszystko, co przytrafiło mi się w życiu, stało się przez pana. Zniszczył je pan tymi swoimi obrzydliwymi, nienaturalnymi bredniami. Nawet to!

Chwyliła skrzynkę, zanim mag zdołał ją powstrzymać, i zamachnęła się. Trafiła go w skroń. Mężczyzna upadł, nie wydając żadnego dźwięku.

Rygiel odskoczył i ze skrzynki wydobyl się połyskujący, migotliwy cień, uniósł się i przybrał dużą postać. Stanął tuż przed Elizą. Wystraszyła się, ale była zbyt zaskoczona, by krzyknąć. Żadnego rękopisu - tylko ta bestia, na którą polowali ci mężczyźni. Migotała pomiędzy Elizą a nieprzytomnym magiem i sprawiała wrażenie niezdecydowanej. A później zaczęła się coraz bardziej kondensować, zmieniała się w cienką linię i wstrzeliła w miękkie ciało.

- Wielki Boże! - krzyknęła Mrs Parslow.



## Rozdział 75

Dlaczego przydarzają mi się takie rzeczy? - zastanawiała się Corrisande. Czy to była kara boska za dotychczasowe uczynki? Owszem, Corrisande kradła, ale w porównaniu z innymi ludźmi jej życie można by uznać za niemal nieskazitelne. Nie pozbawiła nikogo ostatnich dochodów. Ludzie, których klejnoty sobie przywłaszczyła, byli bogaci. Nigdy nie czuła się winna.

Teraz jednak zabiła, pierwszy raz, i zrobiła to, aby kogoś uratować. Corrisande uznała zatem, że nie zasługiwała na karę, zwłaszcza tak straszną. Ale to nie miało znaczenia. Użalanie się nad sobą w niczym jej nie pomoże.

Myśli kłębiły się dziewczynie w głowie. A więc to z tym walczył Delacroix i jego ludzie. Starał się wydobyć z Corrisande informacje o zwoju Mutara i o spisku, do którego przecież nie należała. Ale teraz znalazła się w centrum wydarzeń, i to tylko dlatego, że była, kim była.

Zastanawiała się, dlaczego Delacroix pozwolił jej odejść. Prawdopodobnie nie wiedział nawet, co tu się dzieje. Nie miał pojęcia o szczegółach planu Steinberga, może poza kilkoma słabymi podejrzeniami. Gdyby pułkownik wiedział więcej, w ogóle nie przesłuchiwałby Corrisande. Ale ją przepytował, a to oznaczało, że nie wiedział nic.

Szukał rękopisu, który dla wszystkich możliwych szaleńców jawił się jako ratunek i klucz do szczęścia. Najpierw Vonderbruck, a teraz Steinberg. Obaj byli magami.

Corrisande musi ostrzec oficerów. Steinberg ją związał, ale niezbyt mocno, by nie sprawić jej bólu. Zaczęła się więc, starając się podciągnąć nogi tak, by dźwignąć się na klęczki. Aby pozbyć się knebla, musiałyby sięgnąć palcami do szala, ale to było trudne. Choć Steinberg obchodził się z Corrisande delikatnie, to jednak obwiązał ją jak paczkę. W żadnym wypadku nie chciał ryzykować.

Ten mężczyzna był szalony. Naprawdę pragnął zmienić cały świat? Jak ktokolwiek mógłby tego chcieć? Jak ktokolwiek mógłby w ogóle zakładać, że jego rozum jest na tyle wszechstronny, by stworzyć z koszarów i marzeń nową rzeczywistość? To było bluźnierstwo. Nie do pomyślenia. To przechodziło ludzkie pojęcie.

Wymordować feyony. Co musiało się wydarzyć, że Steinberg ich tak nienawidził? Co mu zrobili, że chciał wybić całą rasę? Rasę, do

której sam należał. Tak jak Corrisande. Nie czuła się bliska Si, ale w jej myślach nie było żadnej niechęci, jedynie pytania.

Wiedziała tak mało. Nie знаła swojego niesamowitego dziedzictwa, a jedynymi feyonami, jakie spotkała, były te, na które natrafiła tutaj, w hotelu. Cienista istota próbowała ją porwać i zgwałcić. Ciemnooki mężczyzna, który powstrzymał rękę pułkownika, uratował Corrisande życie. Nagle pojęła, że musiało go to boleć. Trzymał nadgarstek Delacroix, a ten ścisnął w dłoni sztylet z zimnego żelaza. Lecz feyon zniósł to, by chronić Corrisande. Nie wszyscy Si byli źli i straszni. Nie wierzyła w to.

Udało jej się uklęknąć. Przez mocno związane kostki straciła czucie w stopach. Spróbowała obrócić się bokiem do ramy łóżka. Nie mogła poruszać przegubami. Uniosła się. Na szczęście palce miała swobodne, choć tylko trochę, i potrzebowała czasu, by pociągnąć za szal i wysunąć z niego głowę. Steinberg użył tego szala, by przytrzymać knebel w ustach Corrisande, tę obrzydliwą chustkę. Dziewczyna z trudem mogła oddychać, nie ważyła się płakać. Gdyby zaczęła płakać, zatkałby jej się nos i wtedy na pewno by się udusiła. Dobry powód, by nie tracić panowania nad sobą.

Palce dziewczyny ciągnęły i ześlizgiwały się, znów szarpały i znów się ześlizgiwały. Jedwab był śliski, a doktor zawiązał go tak mocno, że szal zdawał się przylepiać do twarzy Corrisande. Nie wiedziała, ile czasu minęło, nim wreszcie odrętwiałymi palcami udało jej się ściągnąć materiał i wypluć chustkę.

Teraz mogła krzyczeć.

Ale nic by jej to nie pomogło. Steinberg znajdował się w pokoju obok i nikt nie dotarłby do Corrisande szybciej. A doktor nie popełnił drugiego raz tego błędu, nie zlekceważył dziewczyny. Może by ją zabił albo sparaliżował magią, sprawił, by opanowała ją obezwładniająca migrena albo by ponownie skamieniała. Nie mogła podejmować takiego ryzyka. Nie zniosłaby po raz drugi tego przerażenia.

Krzyk nie był rozwiązaniem. Corrisande dotknęła wargami sznurów krępujących jej nadgarstki. W ciemności ich nie widziała, ale ustami odnalazła węzeł i zaczęła go gryźć i ciągnąć. Musiała się pospieszyć, ponieważ nie wiedziała, kiedy Steinberg znów do niej zajrzy. Był lekarzem i na swój pokrętny sposób troszczył się o jej zdrowie. Chory psychicznie, ale przyjazny. Trudno ocenić. Wgryzała się w sznur, ciągnęła raz w jedną, raz w drugą stronę. Czasami

natrafiała na oparzenia na ręce i wtedy musiała tłumić krzyk. Z dłonią było teraz lepiej, jednak gdy dotykała rany, jej ramię przeszywał ból nie do zniesienia.

Stopy Corrisande zupełnie zdrętwiały. Palce u nóg swędziały ją niemiłosiernie. Nie chodziło o to, że doktor za mocno je związał, po prostu nie przewidział, że dziewczyna się obróci i będzie na nich klęczeć.

Jeden ze sznurów poluzował się i jej ręce nie były już przywiązane do ramy łóżka. Mimo to stwierdziła, że nadgarstki wciąż ma skrępowane. Uniosła je do ust, szukając węzła, ale na żaden nie natrafiła. Steinberg związał jej przeguby w taki sposób, że węzeł był pod nimi i Corrisande nie miała do niego dostępu, zaś przegryzienie sznura zajęłoby zbyt dużo czasu. Może jednak uda jej się zdjąć pęta ze stóp związanymi rękoma. Obróciła się i znów usiadła na podłodze, podciągając kolana. Sięgnęła w dół, przeklinając kobiece ubrania. Szeroka suknia i halki krępowały ruchy, zaś gorset utrudniał pochylanie.

Jako włamywaczka Corrisande zawsze nosiła chłopięce stroje. Wspinanie się po ścianach w szerokich spódnicach byłoby niemożliwe. Dziewczynie podobała się swoboda, jaką dawało męskie ubranie, choć oczywiście nie wyglądała w nim tak ślicznie. Świadomość, że mogłaby zostać aresztowana w tak niestosownym stroju, zawsze ją niepokoiła.

Nie mogła dosięgnąć węzła, który zaciskał linę wokół jej kostek. Pochylała się i wykręcała raz w jedną, raz w drugą stronę, ale wysiłki okazały się bezowocne.

Udało jej się za to sięgnąć do sznurowadeł. Rozwiązała je i starała się poluzować buty. Kozaczki. Mogło być gorzej, ale mogło być też lepiej. Dlaczego nie nałożyła baletek? Wydostanie stóp z baletek byłoby łatwiejsze.

Pozbycie się kozaczków wymagało czasu i Corrisande zdusiła krzyk, gdy obsunęła jej się ręka i oparzenie dotknęło buta. Ale ból szybko minął. Maść okazała się wyśmienita. Steinberg zaś okazał się dobrym medykiem. Dlaczego na tym nie poprzestał? Musiał jeszcze dążyć do zagłady świata?

Nareszcie udało się uwolnić stopy z kozaczków. Corrisande podźwignęła się i zachwiała. Straciła czucie w stopach, choć teraz bosych, tylko w pończochach. Na próbę poruszyła palcami u nóg. Nie

udałoby jej się wsunąć ich z powrotem do butów, nawet jeśli zrzucenie więzów okazało się łatwe.

Było ciemno. Spróbowała przypomnieć sobie układ pomieszczenia. Pamiętała tylko jedne drzwi, prowadzące do salonu. Te, które Steinberg zamknął na klucz. Pokonanie zamka byłoby łatwe, jednak Corrisande potrzebowała do tego narzędzi, a związane przeguby też by jej przeszkadzały.

Pozostawało jedynie okno. Dziewczyna słyszała deszcz bębniący o szyby. Znajdowała się na drugim piętrze. Pomyślała o sukni, szerokiej i długiej. Związanymi rękoma unosiła ją kawałek po kawałku, aż mogła sięgnąć pod nią. Musiała się pozbyć chociażby halki i przynajmniej częściowo bufiastej bielizny. Obracała ją wokół talii, aż udało się sięgnąć do guzików i haczyków. Corrisande je rozpięła. Wygięła się raz i drugi, wstrząsnęła biodrami, aż bielizna spadła jej pod nogi.

Wyszła z niej ostrożnie i odsunęła stopą z drogi, by się nie zaplątać i nie upaść. Bez butów na obcasach i bez halek suknia była teraz zbyt długa dla Corrisande. Ale na to już nic się nie da poradzić, dalej nie mogła się już rozbierać. Tylko że materiał będzie przeszkadzał przy ucieczce przez okno. Dziewczyna podwinęła go i uniosła do ust, po czym przytrzymała zębami. Udało jej się podwiązać większą część sukni w węzeł.

Nie za dobrze to wyszło. Ale teraz jej nogi miały przynajmniej swobodę ruchu. Prawdopodobnie wyglądała skandalicznie z wysoko podwiązaną suknią odsłaniającą długie do kostek i obszyte koronką pantalone. Ale to było teraz nieważne.

Wyteńczyła słuch. Z pokoju obok dobiegły kroki. Dziewczyna musiała się pospieszyć. Steinberg mógł wrócić w każdej chwili. Podeszła do okna i bezgłośnie je otworzyła. Nie było tu żadnego balkonu, tylko śliski gzyms. W czasach, gdy Corrisande wspinała się po ścianach, zawsze uważała, by nie pracować podczas ulewnego deszczu, a już na pewno nie ze związanymi rękoma.

Od dwóch gazowych latarni po obu stronach głównego wejścia znacznie niżej dochodziło tylko trochę światła. Ulica opustoszała. To była spokojna, ciemna, cicha, deszczowa i zimna noc.

Próbowała sobie przypomnieć układ hotelu. Co trzecie okno prowadziło na balkon. Corrisande miała po prostu pecha, że za oknem, którym zamierzała się wydostać, żadnego nie było. Ale obok - i

owszem. Dziewczyna spojrzała w dół. Na pierwszym piętrze nie dostrzegła balkonów. Jeśli zejdzie po ścianie, pod koniec będzie musiała skoczyć w ciemność - i co wtedy? Pobiec do pokoju i krzyknąć o pomoc? Czy ktoś jej pomoże? Czy może raczej personel unieruchomi Corrisande i potraktuje jak uciekinierkę ze szpitala dla obłąkanych? Kto dotarłby do niej pierwszy, lekarz czy oficerowie? Kogo by najpierw zawołano, gdyby w hotelowym lobby nagle pojawiła się podenerwowana i ranna kobieta? Lekarza, nie wojsko.

Zatem droga w dół odpadała. Corrisande musiała kierować się w górę. Nie wiedziała, co znajdowało się nad tym pokojem, możliwe, że jej sypialnia. Dziewczyna usiadła na parapecie i spuściła nogi na zewnątrz. Jej białe stopy zawisły wysoko nad ulicą. Pośrodku okna była rama, której się chwyciła. Zsunęła się, obróciwszy twarzą do ściany. Wiedziała, że na frontowej fasadzie biegną poziome, ozdobne rowki, głębokie na jeden do dwóch cali. Corrisande wolała, żeby to były dwa cale i żeby jej stopy znalazły takie wgłębienie.

Palcami stóp zbadła ścianę. Środek ciężkości i górna część ciała dziewczyny wciąż jeszcze spoczywały na gzymsie. Od tego miejsca zapewne będzie musiała poruszać się na stojąco. Upadek oznaczał koniec - koniec trosk i zmartwień, zarówno o świat, jak i o tego szaleńca z sąsiedniego pokoju. Dziewczyna uderzyłaby o czarną ulicę, a takie uderzenie by ją zabiło. Może nie od razu, ale raczej wątpliwe, by znaleziono ją dostatecznie szybko. Tymczasem poparzona ręka znów coraz bardziej dawała się Corrisande we znaki. Nie uważała na nią dostatecznie, a przecież dłoń była jej potrzebna do zadań, którym nawet zdrowa i sprawna tylko z trudem mogłaby podołać. Corrisande zabroniła sobie głośno pojękiwać i spróbowała wyprzeć ból ze świadomości. Jej stopy znalazły wyżłobienie w ścianie. Było wąskie i śliskie. Jej pończochy natychmiast przemokły.

Dalej, z boku, pod kolejnym oknem, widziała ciemny zarys balkonu. Prawdopodobnie prowadził z pokoju lekarza i będzie musiała zachowywać się bardzo cicho, jeśli ucieczka ma się udać. Stopy Corrisande w jedwabnych pończochach przesuwają się cal po calu wzdłuż występu. Deszcz przemoczył jej suknię i zimno przenikało dziewczynę do kości. Przyciskała twarz do muru, szorstka powierzchnia drapała jej skórę. Boki dotarła do miejsca, gdzie musiała puścić się ramy okiennej. Nie mogła uwolnić palców, ponieważ - jak sobie naraz uświadomiła - spadnie. Poruszanie się po

bardzo wąskim występie przy użyciu wyłącznie palców stóp było niemożliwe. Nie mogła trzymać związanych rąk przed sobą, ponieważ miała za mało miejsca. Pod takim kątem nie byłaby w stanie utrzymać równowagi. Upadłaby do tyłu.

Wciąż jeszcze mogła wrócić. Mogła wpełznąć z powrotem przez okno. Ale wtedy usłyszałby ją Steinberg. Znow związałby Corrisande, rzucił na nią zaklęcie i zrobił jej te rzeczy. Zagadkowe rzeczy, niezrozumiałe, a może jedynie nieprzyzwoite, a dziewczyna by mu na to pozwoliła. Może rzeczywiście nie robiło to już większej różnicy? Bo niby jaką? A może doktor nic nie robi? Dotąd w dużej mierze tego unikał. Był dla Corrisande miłszy niż ten pułkownik. Może nawet da się to wytrzymać, cokolwiek lekarz zamierzał z nią zrobić. W każdym razie było to na pewno o wiele łatwiejsze i pewniejsze niż to, co robiła w tej chwili. I mniej niebezpieczne. Nie tak groźne dla życia.

Przypomniała sobie bursztynowe oczy i szorstki głos: „Niech pani oddycha, Corrisande! Dalej, proszę oddychać!”. Skupiła się i nabrała powietrza w płuca, świadoma, że może to jej ostatni wdech. A potem się puściła, przechyliła i zaczęła opadać w bok, wzdłuż ściany, z nadzieją, że ten celowy upadek pozwoli osiągnąć poręcz z kutego żelaza na balkonie obok. To nie tak daleko, tylko dwa kroki, ale kroki, których Corrisande nie powinna była robić.

Uderzyła o żelazny szpic i poczuła, jak wbija jej się w wargę i rani twarz. Z bólu dziewczyna niemal przeoczyła moment, by się czegoś uchwycić. Jednak instynkt jej nie zawiódł, kurczowo zacisnęła palce wokół ornamentów, choć żelazo drapało jej oparzenia. Stłumiła krzyk. Stopy straciły oparcie na występie muru i Corrisande wisiała teraz nad ulicą, trzymając się związanymi rękami mokrego, zimnego metalu.

Nagle pomyślała, że prawdopodobnie by spadła, gdyby była czystej krwi człowiekiem. Jednak jej palce zaciskały się mocno na metalowych prętach. Corrisande nie była ciężka, za to silna i niezniszczalna. Da sobie radę. Nie miała wyjścia. Musi jej się udać.

Ciepła krew zaczęła spływać dziewczynie po twarzy na szyję i pod kołnierzyk. Poczowała jej zapach - słono - metaliczny zapach jej nieczystej, feyońskiej krwi. Najwyraźniej Corrisande zraniła się poważniej, niż myślała. Próbowwała o tym zapomnieć, podobnie jak o bólu. Podciągnęła nogi, przyciskając je do żelaznych prętów. Po zewnętrznej stronie balkonu dało się stać. Już to przecież robiła. To

było łatwe. Zmusiła się, by przenieść ciężar ciała na stopy. Teraz kucała przy ozdobnej balustradzie z podkulonymi stopami i z rękoma wczepionymi w podporę. Jej ciało zwisało w głębokim przysiadzie nad ulicą.

W górę. Musiała iść w górę, i to bezgłośnie. Wspinanie się nie powinno być trudne. Architektura tego budynku czyniła z niego prawdziwy raj dla włamywaczy. Tak przynajmniej myślała Corrisande, gdy po raz pierwszy zobaczyła hotel. Poziome rowki fasady, ozdobne sztukaterie nad oknami i balkony z kutego żelaza, których wystające balustrady pozwalały z łatwością przechodzić z piętra na piętro. Przyjemny spacer dla Corrisande. O ile nie byłaby związana i ranna. Przesunęła palcami po żelaznych sztabach. W górę. Gdy tylko poruszała rękoma, próbowała utrzymać równowagę, opierając się na stopach, a raz nawet chwyciła się zębami, nim jej ręce znów znalazły oparcie.

Mokre żelazo było śliskie. Poruszała się ostrożnie. Musiała się spieszyć, ale jeśli upadnie, wysiłek pójdzie na marne i Corrisande nie dotrze na czas. Miała tylko tę jedną szansę. I umiała dobrze się wspinać. Nawet bardzo dobrze. Nawet ze związanymi rękoma.

Wdrapywała się coraz wyżej i wyżej. Jej boscie stopy balansowały na ostrych krawędziach, żelazne ozdoby rozdrapywały i rozcinały jej ciało. Cal po calu, niemal wyłącznie na rękach, Corrisande pięła się w górę.

Aż w końcu stała na balustradzie. Musiała teraz unieść ramiona i znaleźć kolejny chwyt, balansując przy tym na wąskiej poręczy. Zimny wiatr szarpał suknię i poluzował węzeł, którym związała długi materiał spódnicy. Dziewczyna chwyciła kratę balkonu nad jej głową. Znow spróbowała podciągnąć nogi, tak jak zrobiła to wcześniej w loggii, na którą właśnie się wspięła, i prawie jej się udało. Ale wtedy z potworną siłą w jej głowie eksplodował ból, wbił się w umysł i sparaliżował Corrisande. Niemal upadła. Wisiała już tylko na czubkach palców, czuła, jak jej dłonie powoli ześlizgują się po wilgotnym żelazie. Opuszczały ją siły. Prawie mi się udało, pomyślała. Prawie. Ale nie do końca.

## Rozdział 76

Gdy jej kochanek zapukał do drzwi, był w dość cynicznym nastroju, a gdy Cerise zapytała o spotkanie z zespołem, odpowiadał monosylabami.

- Nie będziemy na to marnować nawet jednej chwili - powiedział i napał na śpiewaczkę z nieoczekiwanie agresywną namiętnością, popychając kobietę przez pokój. Jego ręce bez żadnego ostrzeżenia zniknęły pod jej suknią. Całował kochankę z niecierpliwą żądzą. Jednak zaraz jego namiętność stopniała.

- Przykro mi - przeprosił. - Nie powinienem się tak na tobie wyładowywać. Zacznijmy od początku.

Znów pocałował Cerise, tym razem bardzo delikatnie, a potem zrobił to jeszcze raz.

- Nie nosisz wisiora - zauważył. - Powinnaś to robić. Chroni cię, a po trosze też mnie, gdyby ktoś chciał tobą manipulować, byś mu o mnie opowiedziała.

Ręka mężczyzny spoczywała na jej piersiach, w miejscu, gdzie ostatnio Cerise nosiła wisior.

- Nie mam go już - odparła. - Nigdy do mnie nie należał. Jest własnością Delacroix. McMullen przygotowuje dla mnie nowy.

Feyon skinął głową i przesunął zębami wzdłuż jej dekoltu, głaszcząc kobietę w ten dziwny sposób, ale jej nie raniąc. Jego ręce powędrowały ku włosom kochanki, wyciągając spinki i grzebyki.

Na korytarzu zaczęła krzyżeć kobieta, głośno i nieprzerwanie. Wampir zepchnął Cerise za sofę, by się tam schroniła. W następnej sekundzie był już przy drzwiach i wyglądał przez szparę.

- Przekłete Bractwo. Zostań tam, gdzie jesteś. Nie chciałbym, żebyś rzucała im się w oczy. Mnisi próbowaliby cię oczyścić z moich wpływów ogniem i mieczem, i to całkiem dosłownie. Mają zamiłowanie do takich metod, zwłaszcza że wywołują one ból.

- Muszę pomóc oficerom! - sprzeciwiła się śpiewaczka. - Należą do mojej grupy. - Wyśliznęła się z za sofę i podbiegła do komody, by sięgnąć po broń, ale nagle odkryła, że znów siedzi na sofie. - Nie rób tego, Torlynie - skarciła wampira. - Mam swoje obowiązki. Miałam je, zanim wkroczyłeś w moje życie, i nic się nie zmieniło.

- Ja również, moja piękna, ale mimo to żadne z nas nie powinno dobrowolnie zadzierać z Bractwem. Twoją grupę stanowią trzej wypróbowani w walce oficerowie i jeden wysokiej klasy mistrz sztuk



tajemnych, a ja jestem w stanie poradzić sobie co najwyżej z dwoma przeciwnikami. Jeśli dobrze oceniam Delacroix, sam poradzi sobie z mnichami. Nie jesteś tam potrzebna.

- Ale ja... - zaczęła, feyon jednak nakazał jej milczenie.

- Kryj się. Ktoś się wspina po zewnętrznej ścianie. Cerise nie zauważyła, jak się poruszył, ale w okamgnieniu Torlyn stał przy drzwiach na balkon. Długie paznokcie wampira wysunęły się i przekształciły w pazury. Bestia. Na widok jego dzikiej postaci kobieta wstrzymała oddech.

A później ona również usłyszała słaby szmer, któremu towarzyszył cichy jęk.

Wampir znalazł się już na zewnątrz, choć Cerise nawet nie zauważyła, kiedy otworzył drzwi. Niemniej były już otwarte. Zastanawiała się, czy zobaczy, jak feyon walczy.

Na zewnątrz żelazo wyslizgiwało się spod palców Corrisande, zaś jej ciało ciągnęło ją w dół. Była za ciężka. Spadała.

Ktoś chwycił ją za nadgarstki i pociągnął w górę.

W ciemności nie dostrzegła postaci, jednak siła tego człowieka była imponująca. Uniósł dziewczynę nad poręczą, objął ramieniem i postawił przed sobą. Corrisande zachwiała się, ale mężczyzna znów chwycił ją w ramiona i podniósł jak dziecko.

W tych krótkich chwilach śmiertelnego przerażenia i ciemności nie rozpoznała go, zajęta myślą, że spada w otchłań i zginie. Jej głowa dosłownie eksplodowała z bólu. To musiał być ten lekarz. Wspięła się już tak daleko, a jednak Steinberg ją dopadł.

Corrisande jęknęła, a potem jej migrena znikła bez śladu. Silny mężczyzna posadził ją na sofie i cofnął się o krok.

Tajemniczy Si. To jego magia. Chciał dosięgnąć myśli Corrisande, a ona straciła siły i nie była w stanie dalej się trzymać.

- Co, na Boga...? - usłyszała głos Cerise. Śpiewaczka siedziała obok z rozpuszczonymi włosami i częściowo rozpiętą suknią, odsłaniającą jej nagie ramiona. Nie wyglądała ani godnie, ani cywilizowanie.

Jednak Corrisande też bynajmniej nie wyglądała godnie ani cywilizowanie, jak już wcześniej stwierdziła. Jej suknia była poszarpana, mokry materiał przykleił się do ciała i miała odsłoniętą bieliznę. I ubranie poplamione krwią. Z szyi zwisał dziewczynie męski szal, którym Steinberg zakneblował jej usta. Szal również był

czerwony od krwi. Ręce Corrisande wciąż były związane, palce podrapane i pokaleczone, a oparzenie przybrało ciemnoczerwony kolor. Z nasiąkniętego deszczem i podartego jedwabiu pończoch wypływała krew. Ciemnowłosa mężczyzna stał naprzeciw Corrisande. Czarne brwi uniosły się wysoko w wyrazie troski. Jego twarz też była poplamiona krwią. Dziewczyna potrzebowała chwili, by pojąć, że to jej krew. Wypływała z rany na twarzy, jak sobie z oporem przypomniawszy. Była tak skoncentrowana na dotarciu do położonego wyżej balkonu, że wyparła ból i wspomnienie cierpień.

Feyon patrzył na dziewczynę zdumiony, a później otarł krew i polizał palce. Corrisande wzdygnęła się ze strachu.

Ale to nie miało znaczenia.

- Musi ich pan ostrzec - rzuciła bez żadnych wstępów i wyjaśnień. Wciąż jeszcze brakowało jej tchu. - Pod nami jest pokój doktora Steinberga. Doktor chce zmienić świat przy pomocy jakiegoś rękopisu. Chce wymordować wszystkich Si, a z ludzi zrobić niewolników. Jest magiem i w połowie feyonem.

Widziała wyraz twarzy mężczyzny i śpiewaczki.

- Wiem, jak to brzmi, ale to właśnie zamierza!

- Ma pani związane ręce - zauważyła Cerise, a Si ujął je i przeciął sznur ostrymi jak brzytwa szponami, po czym pomasaował delikatnie nadgarstki Corrisande, chowając przy tym pazury jak kot.

- Naprawdę wspinałaś się po ścianie w ciemności, ze związanymi rękoma? - zapytał.

- Od okna jego sypialni. Zamknął mnie tam.

- Dlaczego cię po prostu nie zabił? - zapytała śpiewaczka. Jej słowa zabrzmiały trochę bezdusznie, prawie tak jak Delacroix.

- Miał inne plany. Chce stworzyć świat, którym jako elita rządzić będą ludzko - feyońskie hybrydy. Proszę! Musicie ostrzec pułkownika. Steinberg jest kompletnym szaleńcem. Powiedział, że jutro świat zniknie.

- Skąd pani zna tego człowieka? - dopytywała nieustępliwie śpiewaczka.

- Spotkałam go wczoraj. Wyjaśnił mi, dlaczego nie mogę opuścić hotelu. Nie wiedziałam tego. Nie wiedziałam, że ja też... i poszłam do niego, ponieważ jest medykiem. Aby mi pomógł z oparzeniami.

- Zraniona zimnym żelazem - powiedział Si. - Kto to był?

- To nie ma teraz znaczenia! - zdenerwowała się Corrisande. - Musi pan iść i ich ostrzec!

Nie słuchali jej. Próbowwała uratować świat, a ci ludzie jej nie słuchali.

- To Delacroix ją poparzył - powiedziała Cerise.

- Temu człowiekowi przyda się lekcja - stwierdził Si z gorzką stanowczością w głosie.

- Nie zrobił tego specjalnie. Nie miał pojęcia, kim ona jest - wyjaśniła śpiewaczka, a Corrisande aż się skurczyła ze strachu, że ta kobieta wie. Delacroix musiał jej powiedzieć. Może powiedział wszystkim. A Corrisande wierzyła, że tego nie zrobi. Eliza miała rację. Delacroix zdradził. Jeszcze tego samego dnia. Ledwie Corrisande zdążyła od niego wyjść. Przełknęła ślinę, by powstrzymać łzy. Czowała, że się zaraz rozpłaczę.

- Czy to było straszne? - zapytał ją cicho mężczyzna. Zdawał się wyczuwać jej rozpacz i to, że walczyła z napływającymi do oczu łzami. Traktował Corrisande jak dziecko. Nie była dzieckiem.

- Proszę! Musi mnie pan wysłuchać! Pan... - Niemal znów jęknęła, gdy nagły, potworny ból ponownie eksplodował w jej głowie.

- Proszę, nie! Niech pan tego nie robi! Proszę!

Mężczyzna przyklęknął i objął ją nagle. Corrisande poczuła jego ciepłe dłonie na plecach.

- Przykro mi - wyszeptał, delikatnie kołysząc ją w ramionach. Czowała na sobie krytyczne, oceniające spojrzenie śpiewaczki.

- Kochanie - odezwała się Cerise trochę zbyt słodko - twoja bliskość sprawia, że to dziecko się boi.

- Próbowiałem uśmierzyć jej ból - wyjaśnił, a jego pełen współczucia głos zabrzmiał tuż przy uchu dziewczyny. - Ale ona nie może znieść magii, którą próbuję na niej zastosować. To rodzaj ochrony. Jej dziedzictwo Si. - Wypuścił Corrisande z uścisku i trzymał ją teraz tylko za ramiona. - To z mojego powodu upadłaś?

Jego twarz znów była cała umazana we krwi.

- Tak. Myślałam, że to Steinberg. Może wpływać na moje myśli, ale to boli. Pańska ingerencja jest jednak o wiele boleśniejsza.

Skinął głową i przyjrzał się dziewczynie, podtrzymując palcami jej podbródek.

- Jestem silniejszy niż ten Steinberg - stwierdził. - Masz paskudną ranę. Ulecę ją. Przysięgam, że nie będzie bolało.

- Kochanie, czy nie sądzisz, że powinieneś... - przerwała mu nerwowo śpiewaczka.

- Będzie miała potworną bliznę na twarzy, jeśli od razu tego nie zaleczę. Na pewno nie chciałabyś takiej szramy i ona też nie.

- No dobrze - zgodziła się Cerise. - Ale nawet nie próbuj mi wmawiać, że robisz to zupełnie bezinteresownie.

Zaśmiał się dziwnie i ujął w dłonie twarz Corrisande.

- Spokojnie - powiedział. - Nie mogę dotknąć cię moimi myślami, nie sprawiając ci przy tym bólu. Spróbuj się nie bać. Zaufaj mi. Zamknij oczy.

Zamknęła posłusznie oczy i usłyszała sarkastyczny głos mademoiselle Denglot:

- Tak, tak, i proszę przy tym myśleć o Anglii. Chyba tak się to u was robi.

Najpierw Corrisande poczuła na skórze usta, a potem język. Wargi feyona przesunęły się po jej wargach, bardzo delikatnie. Lizał ją i pił krew. Powinam czuć wstręt, pomyślała Corrisande. Ale tak nie było. Nie czuła żadnego obrzydzenia, była raczej zdziwiona i troszkę wystraszona. Feyon trzymał mocno jej głowę, jakby wiedział, że może chcieć uciec. Doznania się zmieniły. Czułość tej metody leczenia była podniecająca. Ból twarzy niemal zniknął i pozostało już tylko jego słabe echo. Corrisande pragnęła poczuć usta mężczyzny na swoich i wstydziła się w duchu tego dziwnego życzenia. Pomyślała o innych ustach, o wiele bardziej gwałtownych, i zapragnęła, by Delacroix też był tak uwodzicielski i delikatnie pożądlivy jak ten Si. Mężczyzna pocałował jej palce, przesunął po nich językiem i polizał.

Gdy przestał, Corrisande zrozumiała, dlaczego Cerise nie chciała go z nikim dzielić. Zaczerwieniła się jak burak.

- Lepiej? - zapytał Si, a dziewczyna mogła dosłyszeć w jego głosie rozbawione zadowolenie. Skinęła głową, uniosła powieki i spojrzała prosto w oczy, znajdujące się teraz tak blisko. Były całkiem ciemne, jak morze, w którym odbijały się gwiazdy i w którym można było zatonać.

- Tak. - Corrisande próbowała złapać oddech i nie dyszeć. Widziała, jak mademoiselle Denglot przygląda jej się z uniesionymi brwiami i cynicznym, kwaśnym uśmiechem. Corrisande opanowała się, wyrzuciła z pamięci echo rozkoszy wraz z nieprawdopodobnym życzeniem, by zagubić się w ramionach ciemnookiego mężczyzny. Za

wiele. Za wiele wrażeń, miała dość. - Dziękuję - powiedziała grzecznie i przybrała opanowaną pozę, starając się owinąć tym uczuciem jak kocem. Musiała pozostać opanowana i spokojna.

A ściślej, musiała stać się opanowana i spokojna. Opanowanie i spokój wcale nie były tym, co w tej chwili czuła. - Musi mnie pan wysłuchać. Wiem, że to brzmi, jakbym była szalona, ale...

- Wcale nie. Wielu ludzi wierzy, że manuskrypt Mutara może całkowicie zmienić świat. Jest ku temu wystarczająco wiele poszlak. Podobnie jak istnieją też powody, by wierzyć, że rękopis może znieść granice między światami albo sprawić, by ten czy inny świat popadł w chaos. Wasz Kościół nazwałby to otwarciem bram piekieł, ale i to zapewne tylko jeden z mitów. Nikt nie wie. Nikt nie próbował użyć zwoju, a jeśli nawet użył, to i tak nic byśmy o tym nie wiedzieli. Nie bój się. Steinberg nic nie może zrobić, dopóki feyon, który cię zaatakował, wciąż jest przy życiu. A tak właśnie jest.

Corrisande nie chciała słuchać hipotez. Chciała, by coś się stało. Słowa sprawiały jedynie, że sytuacja stawała się jeszcze bardziej niebezpieczna. Dziewczyna czuła się tak, jakby wraz z Si i mademoiselle Denglot dryfowali na rafy malutką łódką po dzikim oceanie i zamiast zająć się zmianą kursu, dyskutowali o nautycznych teoriach.

- Musi im pan o tym powiedzieć. Teraz! Proszę, niech pan idzie i powie to oficerom. Nie wiem, co Steinberg robi, gdy się dowie, że uciekłam. Mówi pan, że jest pan silniejszy od niego. Na mnie zrobił jednak wrażenie kogoś o bardzo silnej woli i bardzo pewnego siebie. Jest silnym mężczyzną i nie wątpi w swą przytłaczającą moc.

- Chodzi o jego magiczną moc czy potencję? - zapytała słodkim głosem śpiewaczka. Jej kochanek obdarzył ją dwuznacznym uśmiechem.

Corrisande wstała.

- Cieszę się, że uważa mnie pani za taką zabawną. A teraz proszę mi wybaczyć, zamierzam wysłać Marie - Jeannette do oficerów.

Zrobiła krok, potknęła się o podartą suknię i upadła. Mężczyzna złapał ją, zanim jeszcze uderzyła o podłogę, a Corrisande zaczęła płakać. Jej panowanie nad sobą rozbiło się jak szkło.

Śpiewaczka stanęła teraz przy feyonie.

- Połóż ją na sofie - nakazała.

Si podniósł dziewczynę i wykonał polecenie. Piękna kobieta przyklękła obok Corrisande.

- Niech się pani nie boi. Poinformujemy ich. Powiemy, że w ulewnym deszczu i ciemną nocą, ze związanymi rękoma wspinała się pani po murze tylko po to, by nam to powiedzieć. Niech się pani nie boi.

- Przecież to bez znaczenia! - krzyknęła gniewnie i z oburzeniem Corrisande. Nagle zrobiło jej się tak zimno, że zaczęła szczerkać zębami. - Niech pani powie pułkownikowi to, co musi wiedzieć. O mnie nie musi wiedzieć nic. Zupełnie nic. Tylko niech mu pani powie!

Cerise wpatrywała się w nią przenikliwie.

- Pani go naprawdę kocha! - stwierdziła spokojnie. - A może się go pani boi? Nie musi pani. On częściej szczerka, niż gryzie. Natomiast... - Spojrzała na mężczyznę. Feyon pomógł jej wstać, objął ramieniem i uśmiechnął się, nie otwierając ust. Spuścił wzrok, a jego ciężkie powieki tylko częściowo przesłoniły błysk w oczach.

Corrisande nie wiedziała, co powiedzieć. Nie wiedziała, skąd wrażenie, że jest zakochana w Delacroix albo że się go obawia. Nic o tym nie wspominała. Odwróciła głowę i osuszyła łzy. Nie była dostatecznie ostrożna. Tych dwoje mogło w niej czytać jak w otwartej księdze. Brzydził ją własny brak samokontroli. Wzięła się w garść i usiadła.

- Mademoiselle Denglot, to, co czuję bądź nie, jest nieistotne. To nieważne, było, minęło i nic z tego nie będzie. Nie chcę więcej widzieć pułkownika Delacroix. Proszę, niech pani idzie! Proszę. Poszłabym sama, gdybym mogła. Ale nie mogę.

Szczupły mężczyzna przyniósł koc i otulił ramiona Corrisande.

- Niechętnie zostawiam cię tutaj samą - takim tonem mógłby się do dziewczyny zwracać starszy brat. - Wrócimy jednak wkrótce, a wtedy zaprowadzimy cię do twojego pokoju i do łóżka. - Pogłaskał jej czoło. - Spróbuj trochę odpocząć i nie zrób jakiegoś głupstwa, maleństwo.

## Rozdział 77

Nie był do końca pewien, czy podjął właściwą decyzję. Nie miał dość czasu, by się nad tym zastanowić. Czas był koncepcją, która była Mu obca. Ale musiał się trzymać następstwa wydarzeń. W tym świecie przyczyna zawsze poprzedzała skutek.

Nigdy jeszcze nie przejął kobiety. Zawsze wydawały Mu się zbyt słabowite i nie dość wytrzymałe. Ich wpływ na świat, a właściwie brak wpływu, czynił je w znacznym stopniu bezużytecznymi dla Jego celów.

Ale ta była dobra. Charakteryzowała ją pewna wytrzymałość. Nie była już młoda, ale nie była też stara i słaba. Siła jej umysłu robiła wrażenie, podobnie jak nerwy. Przeżyła, wciąż żyła. Być może przez jakiś czas będzie mógł ją utrzymać przy życiu. Większość ludzi umierała wskutek szoku, gdy On ich przejmował. Sprawił, by Jego uśmiech pojawił się na jej twarzy. Kobieta walczyła, próbowała usunąć Go ze swego umysłu, odebrać Mu panowanie nad jej myślami.

Bezsensowne przedsięwzięcie. Ludzie byli na to zbyt słabi. Zawładnął jej wspomnieniami z zadowoleniem. To będzie łatwe, naprawdę łatwe. Mógł wykorzystać te wspomnienia, spleść je i utworzyć w oparciu o nie coś na wpół rzeczywistego, podobnego do Jego świata.

Spojrzał oczyma kobiety, które teraz pracowały tylko dla Niego. Jego pole widzenia nie było już koliste. Mógł widzieć tylko to, co działo się przed Nim, ale nie to, co za Nim. To było niekorzystne. Świat był przerażająco czterowymiarowy. Ale taki był zawsze, gdy On przebywał w ludzkim ciele. Pochylił się nad metalową skrzynką, która upadła na podłogę, i uśmiechnął się. Zimne żelazo.

Mógł go dotykać. Te ręce, które teraz należały do Niego, mogły to robić. Odłożył skrzynkę na stół, tam gdzie według danych Jego świeżej pamięci stała wcześniej. Zamknął delikatnie wieko. Gdy to robił, szkatuła nie świeciła już tak mocno. Nie udało Mu się odtworzyć tego blasku. Szkoda.

Ale może to nie miało znaczenia. Aparat myślowy, który zdobył, był wyśmienity. Zdziwiło Go to, ponieważ myśli, które odczytywał w innych ciałach, przedstawiły Mu odmienny obraz świata - mianowicie, że kobiety były ograniczone i łatwowierne. W żadnym wypadku. Przynajmniej ta nie należała ani do ograniczonych, ani do łatwowiernych. Jej rzeczywistość dzieliła się na różne obszary.

Kobieta postrzegała świat jako domenę, na którą mogła wywierać wpływ. I wywierała wpływ. Jemu się to podobało. Jej umysł był pełen wymówek i nieszczerých uzasadnień, przypadkowo myliła przyczynę ze skutkiem, ale jednak patrzyła jasno.

Kobieta słuchająca głosu swego serca. Co nie oznaczało, że On jakieś miał. O ile nie wliczał w to jej serca. Wsłuchał się w jego bicie. Uderzało gwałtownie, ale równo. Walczyła, a On delectował się jej porażką, cieszył się rosnącą rozpaczą swojej nosicielki. Wyjątkowo przydatną rozpaczą, pełną pożytecznej wściekłości.

Na zewnątrz usłyszał dźwięki. Rozpoznał odgłosy walki. Jakaś kobieta krzyczała. Poszperał w swej nowo zdobytej pamięci. Pokojówka. A potem szybkie, oddalające się kroki. Ktoś uciekał. Znów przeszukał nabyte wspomnienia. Mnich i jego mały pomocnik. Bractwo się wycofywało. Ci ludzie ścigali Si. Ale w tej chwili On nie był Si. Był delikatną, naiwną kobietą. Uklęknął obok leżącego nieruchomo mężczyzny i zastanowił się, czy mógłby go zabić gołymi rękoma. Zapewne. Choć Jego dłonie wydawały się słabe i małe, ale może wystarczą, by ścisnąć gardło nieprzytomnego? Ręce odnalazły szyję mężczyzny.

Znów głosy. Ludzie wracali do pokoju.

- Na pomoc! - krzyknął. - Na pomoc!

Jego głos brzmiał łagodnie i kobieco. Puścił szyję leżącego.

Do pokoju wbiegł mężczyzna, który niemal stał się Jego domem. Nazywał się Delacroix. Niebezpieczny mężczyzna. Dziki, namiętny. Przyjemnie będzie go zabić, by ukarać go za ból, którego stał się przyczyną.

- Co tu zaszło? - zapytał Delacroix.

- Ktoś był na balkonie - odpowiedział ustami kobiety. - Skrzynka nagle straciła blask, a ten pan upadł nieprzytomny. Właśnie chciałam mu pomóc. Chyba uderzył się w głowę.

- Członkowie tego zespołu powinni bardziej uważać, w kółko rozbijają sobie głowy - prychnął Delacroix i wyjrzał z balkonu w ciemność. Nic nie było widać. Oczywiście, że nic nie było widać. Rozglądał się uważnie, a Mrs Parslow uśmiechała się za jego plecami.

Nic tam nie było.

Przyszli pozostali oficerowie. Obaj wyglądali na mocno wyczerpanych walką i pokiereszowanych. Trochę też zmartwionych i zawstydzonych. Jeden podtrzymywał płaczącą młodą kobietę i



pomógł jej usiąść na krześle. Śliczna samiczka, ale nieprzydatna do Jego celów, pomyślała Mrs Parslow.

- Cóż - zauważył lodowatym tonem Delacroix - zastawili na nas miłą pułapkę, a my grzecznie w nią wpadliśmy.

Jeśli następnym razem rozkażę panom, by nie pędzili jak opętani, oczekuję, że wykonają panowie mój rozkaz.

- W każdym razie uciekli - odpowiedział von Gorency. - Ścigaliśmy ich. No i poza tym zaatakowali kobietę. Prawdopodobnie nie widział pan, co ten drań z nią robił.

- Oni nie byli ważni. Chcieli nas zmylić. Zostaliśmy zaatakowani od strony okna - skrytykował gorzko Delacroix. Przyklęknął przy kobiecie i zbadał nieprzytomnego McMullena. Na jego skroni widoczny był niebieski siniak.

- McMullen! Niech pan się obudzi! - Pułkownik potrząsnął ostrożnie mężczyzną, a potem potraktował go lekkim uderzeniem w policzek.

McMullen się nie poruszył.

- Nie żyje? - zapytał von Orven. - W jego głosie było równie wiele troski co poczucia winy.

- Żyje, ale jest nieprzytomny. Mrs Parslow widziała, jak uderzył się w głowę i upadł, a coś jest nie tak ze skrzynką. Wygląda, jakby zaklęcie zostało złamane.

- Cholera - zaklął Udolf. - W takim razie to cholerne paskudztwo znów zacznie ze mną gadać. Proszę na mnie dobrze uważać. Chyba nie chcielibyśmy, żeby się nam wymknęło.

- Jestem ciekaw, co to może oznaczać. Co chcieli osiągnąć? - zastanawiał się podporucznik von Orven. - Manewr mylący był mocno przesadzony, jeżeli doprowadził tylko do obecnego rezultatu. Jaki Bractwo mogłoby mieć powód, by uwolnić wiatrochoda? Wydaje mi się to nielogiczne.

- Tu ma pan rację i wolałbym, żeby skorzystał pan ze swej logiki, zanim dał się pan wciągnąć w radosną bijatykę na korytarzu - odparł pułkownik z nieskrywaną złośliwością, wciąż zajęty próbami ocucenia mistrza sztuk tajemnych. - Zazwyczaj mnisi dokładnie wiedzą, co robią. Nie bardzo mogę sobie wyobrazić, by ojciec Emanuele popełnił tak ewidentny błąd. Myślę, że to my raczej coś przeoczyliśmy. Mam nadzieję, że wkrótce się dowiemy co takiego.

- Moi panowie, dziękuję za śmiałą pomoc - powiedziała Mrs Parslow. - Udamy się teraz do naszych pokoi. Myślę, że Marie - Jeannette jest bardzo wystraszona. Chyba powinniśmy wezwać lekarza.

Nie czekał na odpowiedź, lecz ruszył do wyjścia, nakazując przy tym pokojówce władczy gestem, by podążyła za Nim. Pociągnął dziewczynę przez pokój i zamknął za sobą drzwi. Następnie ruszył korytarzem, całkowicie ignorując służącą.

- Myśli pani, że powinnam udać się do lekarza? - zapytała dziewczyna pod ich pokojem. Nie płakała już, poruszała się jednak ostrożnie, jakby wciąż ją wszystko bolało.

- Znajdę ci jakiegoś. Możesz być o to spokojna - przyrzekła Mrs Parslow i uśmiechnęła się. - Idź do pokoju i odpocznij, a jeśli przyjdzie Corrisande, zadbaj, by znów gdzieś nie zniknęła. Bardzo bym chciała jeszcze dziś z nią porozmawiać.

Dokładnie to właśnie robi. Porozmawia z Corrisande. Tak jak wcześniej. Nie mógł osiąść dziewczyny w tym ciełe, ale i tak zabierze ją ze sobą. Corrisande będzie Mu ufać, ponieważ był teraz w tym ciełe. Jednak w każdej chwili może je opuścić, by ją osiąść. Tym razem Mu się uda. Zabierze dziewczynę do swego świata i użyje do celów, które jej przeznaczył. Czuł w swym nowym ciełe rosnące pożądanie, bezużyteczne tutaj. Ale przyjemne uczucie. Zastanawiał się, jak odczuwa się namiętność w ciełe kobiety.

Najpierw jednak musiał się dowiedzieć, gdzie jest wróg. Dotąd nie mógł go odnaleźć, ale wyraźnie czuł jego obecność w budynku. W tym ciełe mógł wchodzić do każdego pomieszczenia. Magiczne bariery albo ochronne czary nie znaczyły teraz dla Niego zbyt wiele.

Bawiło Go to. Słownictwo, którego używał, należało pierwotnie do tej kobiety. I to jej pamięć podsunęła Mu pomysł. Przyjemność i radość, ciekawe wyobrażenia. Takie nowe. Miała bajeczny umysł. Cieszył się tym i jeszcze ciaśniej owinał wokół umysłu Mrs Parslow. Może kobieta to wytrzyma, przynajmniej przez kilka godzin. Stworzenie dobrej imitacji jej postaci będzie dużo trudniejsze, gdy nosicielka umrze.

Począwszy od piwnicy, będzie chodził od pokoju do pokoju. Potrzebuje do nich kluczy, przypomniał sobie z nowo nabytą wiedzą. Nie mógł przechodzić przez ściany i prześlizgiwać się przez zamknięte drzwi. Potrzebował klucza. Zdobędzie go przy wejściu do

hotelu. Głównego klucza, pasującego do wszystkich drzwi, nikt nie wyda Mu z własnej woli, ale mógł go sobie zabrać, choćby od martwego portiera.

Jeśli chodzi o morderstwo, musiał je dobrze zaplanować. Prawdopodobnie w kobiecym ciele nie był dość silny, by wygrać w otwartej walce.

Zbiegł po schodach. Poszukał recepcji. Tutaj musiały być zapisane wszystkie informacje. Wystarczy tylko wziąć. To nie będzie trudne. Jego przeciwnik stanął mu już kilka razy na drodze do celu i On nie zamierzał więcej tego znosić. Oczywiście, że ich ostateczne cele się różniły. Jeśli jednak chodziło o sposób ich osiągnięcia, jak też zdobycia artefaktu, który był do tego potrzebny, zamiary Jego i nieznanego Mu przeciwnika były podobne. Zastanawiał się, co ten drugi myśliwy zamierzał zrobić z rękopisem. Czuł zapach aury tego stworzenia. Hybryda, półkrwi - jeden z tych sromotnych mieszańców, których nikt nie chciał. Zakłócenie w strukturze bytu.

Będzie zbyt słaby, by Mu się przeciwstawić. Już sama arogancja, by tego spróbować, umieszczala nieszczęśnika na liście tych, których należy pozbawić życia. On stanie z nim do walki w ludzkim ciele i pokona mieszańca bez trudu. Ciało kobiety tego nie przeżyje. Pozostawienie przy życiu istoty, w której ciele przebywał, miało swoją cenę - ograniczało Jego możliwości. Trzeba zachować ostrożność. Może mieszaniec znał Jego słaby punkt. Mógł dotykać zimnego żelaza, jednak skutki uderzenia odpowiednim ostrzem, które trafiłoby w pewne bardzo konkretne miejsce Jego ukrytego ciała, byłyby fatalne. A w nosicielu nie mógł tak właściwie wykonać uniku.

Ważne, by o tym pamiętać. Czas nie był problemem, On się nie starzał, nie znał słabości ani zniedołężnienia, mógł istnieć wiecznie - trafienie w słaby punkt było jedynym zagrożeniem, którego powinien się obawiać.

Możliwość przemieszczania się w ludzkim ciele zawsze była satysfakcjonująca.

Skreślił za róg i zobaczył mnicha, „fretkę” i kleryka, którzy czekali tam na Mrs Parslow.

- Nie spieszyła się pani - skrytykował ją mały ksiądz, zaś nowa Mrs Parslow wyczuła w nim pokrewną duszę.

- Przykro mi - powiedział, siląc się na skruszony ton. - Ale nowiny, które przynoszę, chyba nie będą takie, na jakie ksiądz liczył.

Ci mężczyźni nie mają rękopisu. Dlatego nie mogłam go przynieść. Zrobiłam, co mogłam. Musi mi ksiądz uwierzyć.

- W takim razie musi się pani postarać bardziej - odpowiedział oschle duchowny.

- Myślę jednak, że dowiedziałam się czegoś, co może księdza zainteresować. W tym hotelu jest jeszcze jedna moc, która szuka tego samego co ksiądz. Musimy ją tylko znaleźć. Przebywa niedaleko i powinniśmy ją odszukać, zanim zrobią to inni. Pomogę księdzu, a potem swój udział w tej sprawie uznaję za zakończony.

Zabawa. Słowo, którego wcześniej nie znał. Będzie niezła zabawa, gdy najmroczniejszy ze wszystkich Si skłoni mnichów do pomocy w pokonaniu Jego wroga.

Uśmiechnął się uprzejmie i wyjaśnił im niezbędne do podjęcia działań szczegóły.

## Rozdział 78

Corrisande czuła, jak opanowuje ją strach. Było jej potwornie zimno. Koc nie dawał ciepła. Mokre ubranie przyklejało się do skóry. Drżała.

Zimno. To z pewnością było tylko zimno. Zmusiła się, by wstać, i podeszła do zdobionego lustra na ścianie. Spojrzała w nie i odskoczyła wystraszona. Jej mokre włosy zwisały w strąkach z głowy. Przez twarz, w miejscu, gdzie się zraniła, biegła jasna, zygzakowata linia. Żadnej blizny, tylko nowa skóra, biała i prześwitująca.

Tam, gdzie nie dotknął jej język Si, na skórze wciąż pozostała krew. Corrisande czuła jej zapach. To były tylko zadrapania, nic poważnego, ale wyglądały paskudnie. Wciągnęła głęboko powietrze na wspomnienie dziwnych pieszczot feyona. W pewnym sensie była z nim spokrewniona. Mogło się wydawać, że traktował ją jak młodszą siostrę albo bratanicę. Jednak jego fizyczna bliskość była dla Corrisande zupełnie innym doznaniem.

Chciała, by znów tu był. Jego bliskość sprawiała, że czuła się bezpiecznie. Chociaż smakował jej krwi. Jednak ten feyon nie należał do dziewczyny, nie powinna tak myśleć. Miała dość problemów bez oddawania się jakiemuś feyonowi, którego odurzająca cielesność tak silnie i nieoczekiwanie dotknęła jej zmysłów.

Zastanawiała się, czy Cerise była świadoma, z czym ma do czynienia. Ale później uznała, że mademoiselle Denglot dokładnie wiedziała, co robi. Corrisande słyszała jej śpiew. Namiętność, jaką diwa potrafiła wyrazić przez swoją sztukę, była zapewne tylko poszlaką, a jednak u wrażliwego słuchacza wywoływała wrażenie, że śpiewaczka ma ognisty temperament. Artystów było wielu, ale tylko nieliczni posiadali talent pozwalający obudzić w słuchaczach najgłębsze uczucia. Dlatego Corrisande potrafiła zrozumieć reakcję Si na piękną jasnowłosą kobietę.

Nie wiedziała nawet, jak się nazywał, była jednak pewna, że on wiedział. Nazwał ją maleństwem. Może rzeczywiście tym dla niego była: mała, niepozorna, nic nieznacząca, próbująca ratować świat, któremu może wcale nie groziło niebezpieczeństwo.

Głupie dziecko.

Si nie zachowywał się wobec niej protekcjonalnie. Był po prostu lepiej zorientowany. Nie traktował Corrisande z wyższością, przekazał jej jedynie swą wiedzę i uleczył dzięki swej mocy.

Jeszcze raz spojrzała na swoje odbicie. Wyglądała, jakby lustro było roztrzaskane. Z niespotykaną ostrością dziewczyna widziała rysy swojej twarzy - i nie chodziło nawet o zadrapania, rany czy krew na skórze i na ubraniach - i wiedziała, że dotarła do kresu swoich możliwości. Nie wiedziała, co dalej. Pozostał tylko strach. Może lęki nie były już na pierwszym planie, nie miała wrażenia, że zaraz zacznie chodzić po ścianach, tylko w głowie pobrzmiwały jej pogmatwane słowa, jak fałszywy podkład muzyczny, którego nie mogła się pozbyć.

Fizyczny ból można było znieść. Zadrapania wciąż bolały, a policzek pulsował w takt jej tętna. Mięśnie zdawały się płonąć. Bolały ją stopy w miejscach, gdzie balansowała na żelaznych ornamentach. Piekła ją ręka, jednak maść Steinberga była skuteczna i ten ból też przeszedł tylko w ćmienie. Przeszkadzał jej, ale mogła go znieść.

Jednak znacznie bardziej bolało Corrisande zrozumienie, że od tej pory nie będzie już mogła żyć tak jak dawniej. I nie miała najmniejszego pojęcia, co zrobić. Wydawało się to nieważne. Może jutro świat się zmieni, a Corrisande zostanie niewolnicą nowego władcy albo pierwszą ofiarą nowego, ogólnoświatowego sądu. Steinberg zabije ją za zdradę, jeśli dostanie uciekinierkę w swoje ręce. Nie wiedziała jak, ale była pewna, że doktor wybierze jakąś wyjątkowo straszną metodę. Niemal mogła poczuć, jak dosięga ją swym dzikim umysłem, jak zniewala jej myśli, jak nagina je i łamie.

Odwróciła się od lustra do balkonu. Może powinna wyjść stąd tak, jak weszła - po prostu wspiać się na górę po ścianie bez żadnego sensu i celu. Ta myśl miała w sobie coś kuszącego. Po prostu wyjść w noc, w ciemność i deszcz i zniknąć. Corrisande miała wolne ręce. Potrafiła się dobrze wspinać. Lepiej niż ktokolwiek inny. Nikomu nie udałoby się to, co jej dzisiaj. Potrafiła to zrobić, a jeśli nie, to i tak przecież nieważne. „Nie zrób jakiegoś głupstwa, maleństwo” - powiedział Si. Wiedział?

Na kilka sekund ogarnęła ją zgroza. Próbowwała złapać powietrze, stłumiła uczucie, że musi zwymiotować. „Niech pani oddycha, Corrisande! Dalej, proszę oddychać!” Moment bezdennego przerażenia powoli przemijał i dziewczyna wiedziała, że nie może uciec przed odpowiedzialnością. Corrisande to zaczęła, była częścią toku zdarzeń. Tak jak inni, miała do wykonania zadanie i musiała coś zrobić.

Opatuliła się ciasniej kocem i spróbowała owinać podartą suknią tak, by nie było widać jej podrapanej nagiej skóry i bielizny. Chciała, by koc dał jej przynajmniej odrobinę ciepła w świecie, który pod każdym względem stał się o wiele zimniejszy niż jeszcze kilka dni temu. Podeszła do drzwi, pozostawiając balkon z jego możliwościami za sobą. Jeśli Steinberg zamierzał ją zabić, musiał najpierw dziewczynę znaleźć, a wtedy będzie się musiał z nią zmierzyć.

Chciałaby mieć znów swój nóż. Przydałby się teraz. Miała przecież więcej niż jeden.

Wyszła z pokoju. Z drugiego końca korytarza usłyszała podniesione, rozzłoszczone głosy. Oficerowie się kłócili. Marnowali cenny czas. Corrisande podbiegła do pokoju, z którego dobiegały te hałasy. Trzeba będzie wszystko wyjaśnić. Szwoleżerowie i pułkownik nie wierzyli ani śpiewaczce, ani Si. Corrisande powinna o tym pomyśleć od razu. W to, czego się dowiedziała, rzeczywiście trudno byłoby uwierzyć. Otworzyła drzwi bez pukania, nie pora już na uprzejmości. Weszła, a w następnej chwili poczuła na skroni zimny wylot lufy pistoletu. Zamknęła oczy i czekała na strzał. Ale nie nadszedł.

- Wielki Boże! - to był głos von Orvena. I jego broń. W pokoju nagle zaległa całkowita cisza. Corrisande ostrożnie uchyliła powieki i spojrzała w bursztynowe oczy na drugim końcu pomieszczenia, które wpatrywały się w nią z pełną konsternacją. Spojrzała szybko w inną stronę, napotkała parę brązowych oczu Udolfa i dostrzegła w nich zbliżającą się katastrofę.

Stała zupełnie cicho. Minęła nieskończenie długa sekunda. Wylot lufy odsunął się od jej skroni.

- Nie możecie się kłócić - powiedziała Corrisande. Koc zsunął jej się z ramienia, odsłaniając zabrudzoną krwią, podartą suknię i zadrapania na skórze. To było bez znaczenia. - Musicie natychmiast do niego iść. Zanim zdąży podjąć kroki przeciw wam. Przeciw wam wszystkim.

A potem zobaczyła, że jeden z mężczyzn leżał bez ruchu na podłodze. Nowy mistrz sztuk tajemnych. Mężczyzna, który miał ją mesmeryzować i przepytować. On wiedziałby, co zrobić. Musiałby wiedzieć. Mag by uwierzył słowom Corrisande. Znał metody, by nakazać jej mówić prawdę. Poza tym umiejętności maga będą potrzebne również do tego, co czekało szwoleżerów i resztę grupy.

Odwróciła się do Si.

- Może go pan obudzić? - zapytała.

- Możliwe - odpowiedział. - O ile panowie będą skłonni pozwolić, bym odszukał jego świadomość.

- Z całą pewnością nie - usłyszała za sobą głos Asko i odwróciła się w jego stronę. Teraz celował bronią w Si. Twarz podporucznika przybrała nieprzyjemny, cyniczny wyraz. Usta, które dzień wcześniej całowała, zmieniły się teraz. Młody mężczyzna zmrużył oczy. Zimno. Wycelował w feyona, a dziewczyna wyraźnie czuła, że von Orven nie zawaha się nacisnąć spustu. Stała na linii strzału.

- Panie podporuczniku, musi mu pan pozwolić spróbować. Ma niezwykle moce... - Nie mogła mówić dalej, nie chciała zdradzić ani Si, ani siebie.

- Niech pani się odsunie, Miss Jarrencourt. - Jego lodowata stanowczość sprawiała, że był teraz zupełnie innym mężczyzną niż ten, który jeszcze parę godzin wcześniej tak romantycznie się do Corrisande zalecał. - Jest pani za młoda, by wiedzieć, jakie niebezpieczeństwo on sobą przedstawia.

Roześmiała się. Podporucznik zarumienił się lekko i opuścił odrobinę broń. Nic nie wiedział o jej dziedzictwie Si. Chociaż tyle dobrego, pomyślała dziewczyna. Przynajmniej jemu Delacroix nic nie powiedział.

- Zgadza się - przyznała. - Nie wiem, jakie uzdolnienia i talenty może posiadać, ale musimy je wykorzystać. Czy nie widzi pan, panie podporuczniku... Asko... - wymówiła jego imię, choć nie miała do tego żadnego prawa - że to jest teraz ważniejsze? Mówił pan, że chce mnie chronić i nie dopuści, bym doznała uszczerbku. Więc niech pan dotrzyma słowa. Musi pan natychmiast coś zrobić i potrzebuje pan do tego maga. Prawie nic nie wiem o tym, co się tutaj stało, ale wiem, co ten człowiek piętro niżej dla pana, dla nas wszystkich zaplanował. I jeśli go pan nie powstrzyma, to nie będzie mnie pan mógł chronić. Nigdy. I dlatego nie zamierzam odsunąć się na bok.

Von Orven był wstrząśnięty, jego spojrzenie wędrowało od jej twarzy ku jej rękom pełnym zadrapań, ku zakrwawionej, podartej sukni i bosym stopom w poplamionych krwią pończochach. Corrisande zdawała sobie sprawę, że wygląda teraz inaczej niż ta grzeczna, niewinna dziewczyna, która zarumieniła się, gdy pocałował ją w rękę. Asko wolałby, żeby jej tu nie było, nie takiej potarganej i



bez zahamowań. Wolałby również, żeby mu się nie sprzeciwiała. Jeśli chodziło o Corrisande, mógł sobie nawet to wszystko dostać. Później. O ile przeżyją. Jeśli naprawdę Asko jej pragnął, to Corrisande postara się być taka, jak sobie życzył: grzeczna i łagodna, uprzejma i śliczna. Po prostu dostosuje się do jego idealnego wyobrażenia. To nie powinno być zbyt trudne. Żony robią to wszędzie i nieustannie, więc to musi być łatwe. Łatwiejsze niż wspinanie się po ścianie ze związanymi rękoma.

Ale nie teraz. W tej chwili to nieistotne, czy wygląd albo upór Corrisande szokowały Asko von Orvena. Porucznik powstrzymywał ją jedynie, a to nie pora na zwłokę.

Usłyszała szorstki głos Delacroix:

- Miss Jarrencourt ma rację.

I nagle stał już przy niej. Jego dominująca fizyczna obecność potrzebowała w zmysłach Corrisande osobnej przestrzeni i rozbudziła w dziewczynie falę uczuć. Zignorowała to.

- Mamy priorytety, panie podporuczniku. Niech pan przewycięży swoje uprzedzenia, nie mamy na to czasu.

Barczysty mężczyzna spojrział na Corrisande, a ona opuściła wzrok, by nie spojrzeć mu w oczy. Zarumieniła się na myśl, że mógłby zobaczyć, w jaki sposób została uleczona. To była głupia myśl. Nie mógł wiedzieć, co się stało i co przy tym odczuwała, a nawet jeśli podejrzewał, nie była to jego sprawa, ani teraz, ani nigdy. Wemiany koc wysliznął się dziewczynie z rąk.

Delacroix podniósł go i ponownie ją okrył. Jego ręce na jej lodowatych plecach wydawały się gorące.

- Grafie Arpad - powiedział, pomagając ukryć Corrisande podartą suknię i krew - proszę, niech pan spróbuje obudzić McMullena.

- A więc proszę przyciągnąć go tutaj do mnie - zabrzmiał łagodny głos Si. - Leży nieznośnie blisko skrzynki z zimnego żelaza.

Palące ręce opuściły jej plecy. Oczekiwała, że Delacroix odciągnie ją z linii strzału, ale nie zrobił tego. To był wybór Corrisande, pułkownik zaś nie uczynił nic, by podać tę decyzję w wątpliwość. Pozostawił dziewczynę w niebezpieczeństwie, na które dobrowolnie się naraziła.

Podeszła do Asko, który patrzył na nią zatroskany.

- Przykro mi - powiedziała i spojrzała w jego bladoniebieskie oczy. - Nie po to wspinałam się po ścianie hotelu, by patrzeć, jak świat się kończy, podczas gdy pan prowadzi sobie dyskusje o moralnych aspektach różnic między rasami. Przykro mi, jeśli pana rozczarowałam. Bardzo mi przykro.

Podporucznik wciąż trzymał uniesioną broń, ale nie była już wymierzona w Corrisande.

- Nie może mnie pani rozczarować - powiedział i z powagą odwzajemnił jej spojrzenie. - Cierpiała pani dla nas wszystkich i pani odwaga jest godna podziwu. Jednak nie wie pani wszystkiego, a doświadczenia, które zebrała pani w swoim młodym życiu, nie mogły w odpowiedni sposób przygotować na taką sytuację. Jest pani słodką, młodą dziewczyną, ale nie ma dostatecznego doświadczenia, by podejmować tego rodzaju decyzje, i dobrze zresztą, bo nie musi pani tego robić. To nie jest pani zadanie. Rozumiem, że wierzy pani, iż postępuje właściwie, i wiem też, że nie pozwoli mi pani zrobić tego, co uważam za słuszne, zaryzykuje pani nawet, że ją zranię. Nie zrobię tego jednak. - Uniósł wolną rękę do twarzy Corrisande, ale jej nie dotknął.

- Boli panią? - zapytał, a coś z jego uprzejmej łagodności znów dało się słyszeć w jego głosie.

- Da się wytrzymać - odparła szczerze. - Mniejsza z tym, zagoi się.

Asko przesunął palcem po białej, zygzakowatej linii na jej policzku, po miejscu, które zostało wyleczone. Wyglądał na skonsternowanego, najwyraźniej nie wiedział, co o tym myśleć. Corrisande nie zamierzała mu mówić, skąd się wziął ten ślad. Gdyby podporucznik wiedział, co ten feyon - Graf Arpad, poprawiła się w duchu - z nią zrobił, von Orven natychmiast by go zastrzelił. A gdyby młody podoficer dowiedział się na dodatek, że dziewczyna rozkoszowała się intymnością tego leczenia, wstrząs zwałiby go z nóg.

Stała spokojnie, pozwalając, by jej dotykał, i koncentrowała się na jego prawej ręce, która wciąż jeszcze trzymała broń. Corrisande dotknęła jej lewą dłońią.

- Proszę - powiedziała. Ręka z pistoletem wydawała się zimna. Dziewczyna usłyszała za plecami przerażone westchnienie i

stęknienie. Nie odwróciła się, wciąż patrząc w oczy młodego oficera, jakby mogła całkowicie zaczarować go wzrokiem. ,

- Budzi się - usłyszała głos Delacroix, a potem: - McMullen!  
Niech się pan ocknie! Potrzebujemy pana!

## Rozdział 79

Cerise Denglot stała w kącie pokoju. Czuła się niewybaczalnie ignorowana. Mężczyźni jej nie uwierzyli ani w przekazane informacje, ani w to, skąd śpiewaczka je zdobyła. To wszak niepojęte, by ta drobna dziewczyna naprawdę dała radę zrobić to, o czym opowiedzieli Cerise i Si. Wspinać się po ścianie hotelu, w ciemności, w strugach deszczu i ze związanymi rękoma. Nie do wiary, że Corrisande przeżyła.

Z początku Cerise była wściekła, ponieważ wtargnięto w intymną atmosferę jej pokoju. Nie miała nastroju na kolejną przerwę, a patrzenie, jak Torlyn niesie na rękach inną kobietę, było bolesne. Obchodził się z Corrisande niewypowiedzianie delikatnie i czule.

Jego taktyka, by traktować dziewczynę jak dziecko, nie zmyliła Cerise ani na chwilę. Robił to, by nie zranić kochanki, bo przecież nie można być zazdrosną o jakieś dziecko. Ale Corrisande była kobietą, nie dzieckiem. Cerise dostrzegła to zarówno w jej, jak i Torlyna obliczu. Przypuszczalnie zmysłowość i erotyka stanowiły dla młodej damy nowe doznanie - niewykluczone. Lecz reagowała.

Najprawdopodobniej każda to robiła. Jeśli nie z własnych pobudek, to pod wpływem czaru Torlyna. Tyle tylko, że wobec tej małej wampir nie mógł używać magii, a przynajmniej nie mógł tego robić, nie wywołując przy tym bólu, a to oznaczało... Cokolwiek to oznaczało, Cerise nie chciała wiedzieć. Nie powinno jej to przeszkadzać. Torlyn okazał przecież wyraźnie: Cerise Denglot była kobietą, którą kochał, a dziewczyna jedynie dzieckiem, które potrzebowało pomocy.

A jednak ta młoda dziewczyna miała coś w sobie. Stanowczość, z jaką stanęła na linii strzału, sposób, w jaki skonfrontowała się z tym wielce przyzwoitym fanatykiem, tym nieprzystępnym, ograniczonym, książkowym dżentelmenem, to było odważne. Cerise złościła się, że sama tego nie zrobiła. To było jej zadanie. Powinna to zrobić dla mężczyzny, którego kochała. To by przyniosło cudownie melodramatyczny skutek. W operze taka akcja byłaby punktem kulminacyjnym narastającego napięcia, a poza tym - i tego Cerise była całkiem pewna - śpiewaczka odegrałaby tę rolę lepiej, bardziej profesjonalnie i w znacznie lepszym stylu oraz z większą elegancją.

Ale może właśnie brak stylu i elegancji działał w tej chwili na korzyść tej dziewczyny. Jej zakrwawiona suknia, jej obrażenia - nawet

jeśli dzięki pełnej kunsztu sprawności języka Torlyna były teraz dość powierzchowne - sprawiały, że Corrisande wyglądała jak jakaś cholerna mała bohaterka, i może nawet miała prawo, by za taką uchodzić. Zasłużyła na to. W podobnej sytuacji Cerise próbowałaby raczej uwieść tego mistrza tortur, zamiast uciekać przed nim po murze, a choć jej koncepcja opierała się na zupełnie innym podejściu do sprawy, z pewnością nie byłoby to mniej niebezpieczne.

Ta mała jednak nie dysponowała takimi możliwościami jak Cerise. Pomijając głupią zazdrość, dziewczyna prawdopodobnie nie miała pojęcia, w jaki sposób aktywnie, nieustannie i bezpośrednio uwodzić mężczyznę. Mężczyźni tacy jak von Orven reagowali na inne bodźce, Delacroix zresztą też, choć to zawsze wydawało się Cerise dziwne i nietypowe. Romantyzm nie pasował do tej jego dzikiej namiętności, którą wciąż całkiem dobrze jeszcze kobieta pamiętała. Zazwyczaj pułkownik był równie romantyczny jak ceglany mur.

Obserwowała swojego kochanka, wampira, klęczącego przy McMullenie. Położył dłonie na jego skroniach i zdawał się bardzo skoncentrowany. Pięknie ukształtowane brwi Si ściągnęły się, oczy miał zamknięte, zaś jego długie rzęsy rzucały delikatne cienie na policzki. Zacisnął usta. Cerise zastanawiała się, co robił. Cokolwiek to było, zdawało się pomagać. Ciało McMullena reagowało, jego ręce zdawały się chwytać powietrze, powieki drgnęły.

Będzie wściekły. Jako mistrzowi sztuk magicznych nie spodoba mu się, że był bezbronny i wystawiony na wpływ feyona.

Torlyn zdjął mu amulet i upuścił nieuważnie. To zirytuje McMullena jeszcze bardziej. Mag może i wierzył, że nie ma żadnych uprzedzeń wobec feyonów, nieustannie jednak pamiętał, że byli niebezpieczni. Zwłaszcza Torlyn. Cerise wiedziała to aż za dobrze. Dlatego wampir wydawał jej się jeszcze bardziej szarmancki. Nagle poczuła pragnienie, by pocałować tę poważną, skoncentrowaną twarz i przesunąć dłonią po jedwabistych włosach.

McMullen otworzył oczy i napotkał spojrzenie Torlyna. Wystraszył się, a ręce feyona cofnęły się od jego skroni. Si odsunął się od mistrza i podniósł amulet. Trzymał go przed mężczyzną z uprzejmym uśmiechem.

- Myślę, że należy do pana, Mr McMullen.

- Co, do diabła... - Szkot poruszył głową i aż się skulił. Delacroix przykucnął przy nim i pomógł usiąść.

- McMullen - rzucił szybko - wiem, że jest pan ranny, ale potrzebujemy pana, i to pilnie.

Mistrz sztuk tajemnych wyglądał na skonsternowanego i zagubionego.

- Co, na niebiosa... - zaczął znów.

- Graf Arpad pomógł pana obudzić, nie zrobił nic więcej.

- Nie zrobiłem nic więcej - potwierdził Si i opuścił amulet na dłoń McMullena.

- Ale dlaczego... co...

- Upadł pan i uderzył się w głowę - ciągnął Delacroix. - Niech pan spróbuje sobie coś przypomnieć. Zaatakowano nas. Od tego czasu dużo się wydarzyło. Doktor Steinberg, który też chce dostać rękopis w swoje ręce, uwięził Miss Jarrencourt. Ona mówi, że Steinberg chce zmienić świat, zrobić z ludzi niewolników i wymordować Si. Nie wątpi w to. Doktor jest magiem i na wpół feyonem. To sprawia, że prawdopodobnie musi być dość silny.

- O tak - potwierdził graf Arpad, podchodząc do Cerise i przyciągając ją w ramiona. - To czyni go wyjątkowo silnym. Wiedza i talenty dwóch różnych światów.

- Co? - zapytał McMullen. Wyglądał, jakby nie rozumiał, o czym Delacroix mówi.

- Niech pan posłucha, McMullen. Chętnie dałbym panu więcej czasu, by mógł pan dojść do siebie. Ale nie mamy już czasu. Nie wiem, kto pana napadł, gdy Bractwo zainscenizowało atak z drugiej flanki, i nie wiem też, co...

- Eliza Worringham - przerwał mu McMullen. Nikt w pokoju nie rozumiał, o co mu chodzi.

- Przyzwoitka - wyjaśnił McMullen milczącemu i zmieszanemu gremium. - Eliza Worringham. To ona uderzyła mnie skrzynką.

Corrisande obróciła się do niego.

- Eliza uderzyła pana skrzynką? Dlaczego? Nie mogę sobie tego wyobrazić. Dlaczego miałyby to zrobić?

Nikt jej nie słuchał.

- Skrzynka! - krzyknął wystraszony McMullen. - Muszę ją sprawdzić! - Próbował się pozbierać i wstać, a Delacroix dosłownie uniósł go i postawił.

Wszyscy wpatrywali się teraz w szkatułę.

- Zniknął - jęknął mag.

- Kto zniknął? - zapytał Udolf.

- Wiatrochod. Nie ma go w skrzynce. Nie wyczuwam jego obecności, a czar, którym obłożona była skrzynka, został złamany.

- Zimne żelazo musiałyby go zatrzymać również bez czaru - wtrącił Arpad - a skrzynka wciąż jest zamknięta.

- Do mnie to coś ciągle szeptało, że już go tam nie ma - powiedział von Gorenczy. - Próbowało mnie nakłonić, bym otworzył skrzynkę i sprawdził. Z pewnością się pan myli.

- Nie. Noszę amulet ochronny, który graf Arpad... uprzejmie... raczył mi zwrócić. Nie. Mrs Worryingham chwyciła szkatułę i uderzyła mnie. Najprawdopodobniej wtedy to stworzenie się wymknęło. A może sama przypadkowo uniosła wieko?

Zapadła całkowita cisza. Niemal można było ciąć ją nożem.

- Chce pan powiedzieć, że potwór znów jest na wolności? - Corrisande na nowo ogarnął strach. Jeszcze się wszystko nie skończyło. - Znów będzie mnie ścigał? Znów mnie... - zacięła się, a jej kolana się ugięły, choć tylko na chwilę. Von Orven podtrzymał dziewczynę, obejmując od tyłu w talii lewym ramieniem. Odłożył broń, objął dziewczynę drugim ramieniem i podtrzymał, aż znów mogła ustać na nogach. Ale również wtedy nie wypuścił jej z objęć, tylko przyciągnął mocniej do siebie.

To był ochronny gest, ale Corrisande nie mogła go znieść. Pod mundurem podporucznik ukryty miał sztylet z zimnego żelaza. Niemal czuła na skórze dotyk ostrza. Niemal czuła, jak spala jej duszę. Oddychała ostrożnie, jakby się bała, że może zapomnieć, jak to się robi. Chciała odepchnąć Asko, uciec. Rozejrzała się dziko i natrafiła na spojrzenie grafa Arpada. Obserwował ją zatroskany. Wiedział, co czuła.

Ale udało jej się wytrzymać. Od broni oddzielało ją kilka warstw ubrania. Jedynie oddech przychodził Corrisande z trudem, jak po biegu.

Delacroix zrobił krok w jej stronę, zatrzymał się i patrzył, jak próbowała wywinąć się z objęć Asko. Zerknął na McMullena.

- Naprawdę jest tak, jak pan mówi?

- Wiatrochoda nie ma już w skrzynce. Niech mi pan wierzy, jestem tego pewien. Ta kobieta uderzyła mnie skrzynką w głowę, ale nie jestem jeszcze martwy. Wymknął się. Wszyscy panowie wiedzą, że wiatrochod potrafi przenikać przez ściany.

- Nie uciekł przez ścianę - zaprzeczył Arpad, puścił Cerise i ruszył do McMullena. - Gdyby wybrał tę drogę, Miss Jarrencourt nie byłoby już wśród nas. Pożąda jej zbyt intensywnie, nie mógłby tego zignorować. Chciałby ją mieć i posiadać. Nie była chroniona. Nikt i nic nie powstrzymałoby go przed tym, by zabrać Miss Jarrencourt ze sobą i zapłodnić.

Von Orven znów w ochronnym geście objął Corrisande, ona zaś ponownie wywinęła się z jego objęć.

- Usilnie dopraszam się, by nie mówił pan o Miss Jarrencourt w tym facon - upomniał lodowatym tonem. - Jest pod moją ochroną i nie dopuszczę, by ją pan szkalował. Proszę bardziej miarkować słowa, szanowny panie.

- Monsieur von Orven, vous etes un idiot - stwierdziła jadowitym tonem Cerise. - Graf Arpad obraża pańskie uczucia? O mnie tu w ogóle nie chodzi, zaś Miss Jarrencourt dobrze wie, o czym on mówi. Ma powody, by to wiedzieć. Była przy tym.

- Pomieszczenie chronił czar - kontynuował Arpad, ignorując Asko. - Mogłem wejść tylko dlatego, że mi na to pozwolono. Ten... wiatrochod musiał natrafić na podobne problemy, gdy chciał opuścić ten pokój. O ile nie...

- O ile nie wszedł w ludzkie ciało. Kogoś z nas na przykład. - McMullen rozejrzał się. Oficerowie spoglądali po sobie nieufnie.

- Nie - zaprzeczył graf Arpad. - Tu go nie ma. Wiedziałyby.

- Nawet nie wiedział pan, że uciekł. Albo przemilczał pan to przed nami - rzucił oskarżycielsko von Gorency.

- Nie umiem przeniknąć zmysłami przez zimne żelazo. Samo patrzenie na nie jest już dostatecznie trudne.

- A więc Mrs Worringham - wywnioskował McMullen.

- Mrs Parslow - poprawił go Delacroix. - Tak się teraz nazywa.

- Znałem ją jako Mrs Worringham - wyjaśnił McMullen.

- Trzykrotnie wychodziła za mąż - odpowiedziała Corrisande na niewypowiedziane pytanie. - Zresztą czy to nie wszystko jedno?

McMullen odwrócił się do Arpada.

- Jakie możliwości ma wiatrochod, gdy przejmie ludzkie ciało? Potrafi pan to opisać?

Ciemnowłosa mężczyzna spuścił wzrok i w zamyśleniu patrzył w podłogę. Wydawał się zatroskany, niezdecydowany i bardzo ludzki. Potrzebował chwili, by zdobyć się na mówienie o swoim pobratymcu.



Z wahaniem przeczesał czarne włosy palcami, odsłaniając spiczaste ucho.

- Może dotykać zimnego żelaza i nie zabije go to. W znacznym stopniu może ignorować czary przeciw Si. Najprawdopodobniej ma dostęp do wspomnień swojej ofiary, przynajmniej przez jakiś czas. Człowiek, w którego wszedł, zawsze umiera. Jeśli ta kobieta nie jest już martwa, to wkrótce będzie. To jednak nie powstrzyma wiatrochoda przed dalszym używaniem ciała. Może się w nim poruszać dopóty, dopóki nie zacznie się rozkładać. Wszyscy w pokoju milczeli.

- Dokąd mógł pójść? - zapytał w końcu Udolf.

- Do Steinberga - odparł Delacroix. - Zapewne doktor objął swój pokój ochronnym czarem przeciw Si.

- Pewnie jednak nie oczekuje odwiedzin przyzwoitki - stwierdził McMullen.

- Moi panowie - nalegał graf Arpad - powinniśmy się pospieszyć. Jeśli będą ze sobą walczyć, jednego z nich będzie to kosztować życie. Temu, który przeżyje, przypadnie rękopis. Corrisande, niech nam pani pokaże, gdzie jest wiatrochod.

Wywinęła się z ostrożnych objęć Asko. Młody podoficer nie miał pojęcia, że powodował u dziewczyny lęk i ból, a ona nie mogła mu tego powiedzieć. Wyciągnął rękę i spróbował chwycić ją za ramię.

- Nie mogę dopuścić, by... - zaczął, Corrisande jednak odwróciła się doń i przerwała zniecierpliwiona:

- Z pewnością nie będę tu czekać biernie na swój los, panie podporuczniku.

- Z nami będzie bezpieczniejsza niż sama - zgodził się Delacroix i wyjął z pochwy swój sztylet z zimnego żelaza. Graf Arpad odsunął się od niego tak szybko, że nikt nawet nie zauważył tego ruchu.

Von Orven patrzył nieszczęśliwy na Corrisande.

- Prawdopodobnie ma pan rację. - Sięgnął po pistolet, a drugą ręką ujął swoją specjalną broń. Corrisande pospiesznie odsunęła się od niego i ruszyła do drzwi.

- Proszę trzymać się blisko mnie - nakazał jej Asko, ale dziewczyna biegła już, zgarniając suknię, by się w niej nie zaplątać.

Mężczyźni ruszyli za dziewczyną korytarzem, a potem schodami w dół, a Asko zrozumiał, że tym razem to jemu przypadnie zadanie dopilnowania, by potwór nie dopadł Corrisande. Musi przeszkodzić

temu wszelkimi środkami. Nawet zabić ją, zanim będzie za późno. Ta myśl go brzydziła. Si - przekłete, nienaturalne kreatury, wszystkie co do jednego!

## Rozdział 80

Polował. Nie jak bezwzględny drapieżnik, jakim zresztą był, nie jak niewidzialny prześladowca i nie tak jak dzika bestia, lecz uprzejmie, ze stosownym uśmiechem. Zdecydowanie, ale nie agresywnie. Jego ruchy były pewne i eleganckie. Ruchy damy z wyższych sfer, która dąży do celu. A twarz nie wyrażała nic prócz łaskawej uprzejmości.

Gdy się poruszał, jej aksamitne suknie szeleściły. Lubił szary kolor. Nie ranił Jego zmysłów, nie krzyczał jaskrawością. Coraz bardziej pragnął zachować to ciało jako pojazd, naczynie, dom, w który mógłby się przyodziewać zawsze wtedy, gdy musiałby się poruszać w materialnym świecie. Ta kobieta była tym, czego potrzebował, co akceptował, a zarazem nie rzucała się w oczy. Nikt z ludzi nie mógł jej uważać za niebezpieczną. Nikt nie mógł myśleć, że dąży do czegoś innego niż to, czego chciały kobiety jej pokroju i w jej wieku. Nawet myśliwi z Bractwa jej nie rozumieli. Wiedzieli że kryje w sobie więcej, niż ukazywała powierzchowność wiedzieli, że zabijała bez skruchy i wahania. Nie mieli jednak pojęcia, jak niezwykle dysponowała inteligencją, i nie doceniali jej woli przeżycia. A jednak czuł, że zaczyna ją tracić. Wkrótce zdechnie. Ludzkie serca nie miały siły, by znieść moc, która działała na nie poprzez myśli. Ludzkie mechanizmy obronne skierowane były na zewnątrz, a nie do środka. Kobieta kierowała atak w niewłaściwą stronę i to ją trawiło. Przegrywała bitwę, a jej rozpacz żywiła Go, podczas gdy Jego śliskie macki zamykały się wokół jej umysłu, wślizgiwały w naczynia krwionośne, w jej zmysły i w istotę jej bytu. Wkrótce jej życie zgaśnie niczym świeca. Było Mu przykro, choć nie ze względu na nosicielkę, lecz z powodu własnej straty. Będzie Mu brakować buntowniczych myśli kobiety i inspiracji jej trafnego, eleganckiego sposobu myślenia, który tak świetnie potrafił wykorzystać. Znów będzie zdany tylko na siebie.

Zgromadził już jej wiedzę niczym jakiś leksykon czy kompendium, przydatne, gdy szukało się odpowiedzi na pytania. Jednak nieugięta esencja natury tej kobiety sprawiała Mu przyjemność, zaś jej ludzkie odruchy wciąż działały. Nie musiał myśleć o tym, by w odpowiednich odstępach czasu opuszczać powieki albo z zainteresowaniem patrzeć na ludzi, z którymi rozmawiał. Ludzkie ciało było całkiem udanym tworem. Może nie żadnym

dziełem sztuki, ale wszystko w nim było tak dobrze połączone. Elastyczniejsze niż inne wytwory wszechświata. Zdadne do użytku.

Jego ciało było inne. Oczywiście lepsze, ale ciała Na Daoine - maithe były dopasowane do celów i środowiska, w jakim egzystowały. Były wyspecjalizowane. On mógł decydować o swoim rozmiarze i formie, przybrać konsystencję gęstą albo rzadką, mógł być tępy albo ostry jak igła. Siła ciężenia była dla Niego równie nieistotna co czas.

Kobieta mogła być tylko tym, kim się urodziła, a wkrótce nawet tym już nie będzie, ponieważ traciła siły życiowe w pragnieniu, by pojąć Go i pokonać. Delektował się tą siłą i uważał, że jest bardzo smaczna. Tak wiele umiejętności, talentów i stanowczości.

Potrafiła też czytać. Korzystna umiejętność. Przeglądając wpisy w książce gości, uświadomił sobie, że ta szczególna umiejętność przydawała się tylko wtedy, gdy informacje zawarte w zapisanych czarnym atramentem kartach zawierały coś istotnego. Tak poznał imię przeciwnika. Imiona były ważne, a ten mieszaniec nie potrafił utrzymać swojego w tajemnicy. On nigdy nie zdradziłby swego w tak nierozważny sposób. Znało je tylko kilku osobników z Jego rasy, ale oni by go nie wypowiedzieli, a ludzkie istoty w dążeniu, by dla wszystkiego na świecie znaleźć pasujące słowo - obojętne, czy zrozumiałe, czy niezrozumiałe, albo czy wyrażające całkowity brak zrozumienia - nadały Mu własne nazwy.

Znał niektóre z imion, jakie Mu nadali. Zbitki dźwięków, kombinacje liter, które nie mówiły o Nim nic więcej prócz tego, że Go nie pojmowali - i to było dobre. Skoro był niepojęty, to również nietykalny. Nazywali Go duchem, widmem, fenomenem czy wiatrochodem. To ostatnie w jednym z ich języków oznaczało wschodni wiatr. Jednak w żadnym z tych imion nie pobrzmiewała esencja Jego bytu. Był istotą, fizyczną istotą, miał pragnienia, żądze i plany, miał zmysły i umysł pozwalający tworzyć strategie, by osiągnąć cele. Oczywiście trudno Mu było postrzegać siebie jako mężczyznę, jako ludzką istotę we własnym świecie, gdzie było mało życia i gdzie czas nie istniał. Nawet nie potrafił się w pełni zdefiniować. Jego płeć zależała od roli, którą odgrywał. Wyższe istoty rodu Na Daoine - maithe często miały dość łatwy dostęp do tego rodzaju form egzystencji. On jednak nie był w dostateczny sposób fizyczny, by dać życie potomstwu. Musiał zatem złożyć w ciele

nosiciela esencję swego bytu, by mogła rosnać i się żywić. To czyniło z Niego w pewnym sensie ojca.

Jeśli chodziło o wydarzenia w hotelu, to rzeczywiście czuł niezdecydowanie. Logicznym postępowaniem byłoby zabranie rękopisu i zamiana tego świata w cichą krainę, która odpowiadałaby Jego życzeniom i potrzebom i którą mógłby odwiedzać i znaleźć w niej swój dom. Jeśli to wykonalne, to mógł to uczynić. Rękopis, którego szukał, był artefaktem mocy. Takie rzeczy nie istniały we wszechświecie bez powodu. Zostały przez kogoś stworzone, znalazły drogę do świata ludzi i leżą tu przykryte warstwą kurzu i zabobonów. Wyobrażenia, wiara i prawda mogły stanowić jedność. Na jakimś poziomie rzeczywistości były tym samym. To, czy były takie tu i teraz, to inna kwestia. „Tu i teraz” dla Niego nie istniało, przynajmniej dopóki stanowiło przeciwieństwo „gdziekolwiek i kiedykolwiek”. Jego życzenie i wola, by linie rzeczywistości załamały się w fale, może nie wystarczyć, by wiara, że świat można zmienić, dostosowując go do Jego myśli, przekształciła się w pewność.

Ludzie lubili fakty, dlatego wiele spraw się komplikowało. Jak przystało na niedorozwinięte i młodsze stworzenia, ludzie wierzyli, że faktem jest tylko i wyłącznie coś, co potrafią ująć w słowa i wyprowadzić dowód. Ale nawet ich nowomodne słowa nie wystarczają, by pojąć strukturę zależności wszechobecnej egzystencji. Nie mieli pojęcia o czasie. Sądzieli, że uczynili go wymiernym poprzez dzielenie wieczności na małe części. Wieczność była jednak niepodzielna, a o tym nic nie wiedzieli.

Mierzyli przestrzeń, określając odległość od jakiegoś nieważnego punktu ruchomego świata do następnego. A co, jeśli prawdy zawarte w rękopisie były równie nieistotne i fałszywe jak ludzkie zrozumienie świata?

Nieistotne. Czuł, że cielesność ukryta w formie kobiety skłania Go ku temu, by odciągnąć Jego myśli o ostatecznym celu ku fizycznie bardziej zadowalającemu wariantowi, ku czemuś bliższemu i bardziej osiągalnemu. Samica. Ciało dało Mu znać, że w tej chwili prawdopodobnie była niestrzeżona. Mógł mieć tę kobietę, pieścić ją, wnikać w nią i zasiać swe nasienie. Z zainteresowaniem stwierdził, że Jego oddech przyspieszył. Myśl o tym, by dotknąć ciepłej, nagiej skóry młodej kobiety i przeżyć jej strach, ból oraz przerażenie,

wywołała reakcję w Jego pożyczonej powłoce i ta reakcja Mu się spodobała.

Czas. Musiał przypominać sobie, że w tym świecie czas miał duże znaczenie. Stwór nie mógł robić dwóch rzeczy jednocześnie. Musiał ustalić kolejność. Nasłuchiwał banalnych myśli w ukradzionym umyśle: jednej po drugiej.

Zdobycie klucza było łatwiejsze, niż przypuszczał. Młody mężczyzna w recepcji nie należał do zbyt bystrych.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zmienić ciała, ponieważ w odysei po budynku pracownik hotelu nie zwracałby uwagi i mógłby pukać do wszystkich drzwi, nie wzbudzając podejrzeń. A jednak pozostał w kobiecym ciele. Kobiety nikt nie będzie się obawiał.

Był trochę zaskoczony, gdy natknął się na Bractwo. Mnisi jednak uwierzyli Mu przynajmniej w większość tego, co powiedział. Poczłł cierpką podejrzliwość kapłana, płynącą z głębi serca duchownego, i cieszył się, że może w nie zajrzeć. Ten człowiek nie do końca Mu ufał, a ściślej mówiąc, Mrs Parslow. Ale to nie miało znaczenia. Kapłan nie był w stanie sprawdzić, czy kobieta mówiła prawdę. Nie pozostawało mu nic innego, jak jej uwierzyć albo nie. Trzeciej możliwości nie było. I choć religia tego kapłana musiała go przygotować, by wierzył bez podejrzeń i wątpliwości, to jednak nie pozwalała mu na to jego nieufna natura.

Po tym jak wysłuchali historii Mrs Parslow, mnisi się rozdzielili. Poszli na trzecie piętro, a On na drugie. Od drzwi do drzwi, nasłuchując i starając się coś wyczuć. Przeszkadzał Mu szelest sukni, którą miał na sobie. Jej sukni. Niepraktyczna rzecz. Zbyt wąska w talii, z kołnierzem drapiącym w szyję. Zastanawiał się, dlaczego kobiety obarczają się czymś takim. Gorset zmuszał Go, by trzymał się prosto, zaś kołnierzyk - by wysoko unosił podbródek.

Kobiece ciała były więźniami ubrań. On zwykł poruszać się swobodnie, gdziekolwiek niosła Go wola. Teraz stwierdził, że nie docenił ludzkiej gotowości do tego, by cierpieć z nieistotnych powodów. Oczywiście On nie cierpiał. Pozostawiał to nosicielce. Nawykła do tego, a On potrafił nawet cieszyć się jej cierpieniem. Starał się wyczuć linie mocy w powietrzu, pola sił kosmicznego bytu. Starał się wyczuć reakcję każdego zaangażowanego zmysłu. Szukał ulotnej wskazówki, która pokazałaby Mu kierunek. Nic. Tak jak wcześniej, nie mógł zlokalizować przeciwnika, choć przeciwnik był

słabszy. Lecz zbyt dobrze się chronił. Będzie potrzebował czasu, by go znaleźć.

I znów to samo: czas. Zaczynał postrzegać go jako wroga. Nieważność czasu w Jego świecie sprawiała, że zapominał, jaką potęgę czas stanowił gdzie indziej. Ale tutaj nie powinien ignorować jego znaczenia. Czas stanowił element tego życia. Tego rodzaju, który On zamierzał zmienić, by potem znów wrócić do ignorowania chronologii. Znów miał trudności, by trzymać się logicznej kolejności wydarzeń. Rzeczy, które muszą się wydarzyć, powinny się wydarzać dlatego, że On ich chce. Dzięki temu miał pewność, że to, czego chce, jest zawsze takie, jakie chce - przez pojedynczą nieskończoną chwilę.

Przemierzał korytarz na drugim piętrze, pozostawiając Bractwu piętro, na którym się wcześniej spotkali. Może nie było to najlepszym pomysłem, by pozwolić im szukać wroga, nie mógł jednak oprzeć się pokusie, by zmusić mnichów do pracy dla Si. Nigdy się ich nie obawiał. Zazwyczaj ścigali tylko słabszych osobników Jego rasy, takich, którzy wciąż żyli w świecie ludzi, ongiś należącym do feyonów. Teraz był to świat upływającego czasu, naznaczony cyklem narodzin, starości i śmierci. Sposób, w jaki Si przychodzili na ten świat, był równie różnorodny co tajemniczy, zaś ich proces starzenia się liczono w tysiącach lat, a nie w dekadach. Umierali rzadko, a do ich zabicia potrzebna była specjalna wiedza. Ale należeli do tego świata, musieli zatem uwzględniać czas i podlegali przemijalności.

Nie łączyło Go z nimi zbyt wiele. Nie interesowali Go. Snuł plany tylko dla siebie. I te plany niosły Go od jednych drzwi do drugich.

Nasłuchiwał.

Próbował coś wyczuć.

Szukał tropu. A potem poczuł ją, słabą bryzę spiętrzonego ozonu. Za jednymi z drzwi zbierało się na burzę. Pioruny gromadziły się, by uwolnić swój ładunek. Wyczuł moc tego człowieka, a tym samym - jego słabość.

Przyglądził suknię, wykrzywił twarz w uśmiechu i zapukał.

## Rozdział 81

To nonsens - powiedział duchowny. - Nie wiemy, kogo szukamy. Ta kobieta mogła to wymyślić, by nas zmylić, a nawet jeśli nie wymyśliła, to i tak bez sensu.

Był do głębi rozgniewany. Mrs Parslow promieniała chęcią, by działać jak najszybciej, dlatego ojciec Emanuele przystał na jej propozycję, zamiast sprawić, by realizowała jego plany. Błąd. Oddawanie przewodnictwa zawsze stanowiło błąd. Jeszcze jedna moc, powiedziała Mrs Parslow - i wymieniła imię Si. Była nawet w stanie z grubsza podać jego opis. Oczywiście, że istniała jeszcze jedna moc. Bractwo o tym wiedziało.

Ale coś się tu nie zgadzało. Skąd przyzwoitka mogła to wiedzieć? Skąd w tak krótkim czasie się dowiedziała? Gdyby oficerowie znali wszystkie siły szukające rękopisu, sami zapewne już ścigaliby wroga. Ale gdzie oni się podziewali? Wciąż czekali na magiczne wsparcie? Wbrew wszelkiemu rozsądkowi mieli nadzieję, że ta „druga moc” nie zaatakuje ich wcześniej?

Ta kobieta coś przemilczała. Zrzuciła mnichów informacjami i pospieszyła do portiera hotelowego. Wróciła, by poinformować, że ten człowiek nie widnieje w księdze gości pod swoim nazwiskiem. A potem ruszyła na drugie piętro, podczas gdy bracia przeszukiwali pierwsze.

Coś tu nie pasowało. Mrs Parslow, którą ojciec Emanuele poznał i która tak szybko pojęła reguły gry w szachy, nigdy tak ochoczo nie podzieliłaby się informacjami i dobrowolnie nie oferowałaby pomocy. Nigdy nie przejęłaby przewodnictwa w sprawie, z której nie mogłaby odnieść korzyści, zaś pilność, z jaką przystąpiła do działania, nakazywała przypuszczać, że przyzwoitka zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

To nie była bezinteresowna kobieta. Nie podejmowałaby ryzyka dla jakiegoś wyższego celu, czy też z lęku przed Bogiem. Musiało chodzić o jej zysk, jakąś korzyść, a na co w obecnej sytuacji mogła liczyć? To właśnie chciał wiedzieć ojciec Emanuele. Co było celem Elizy Parslow?

Nie mogło chodzić o rękopis. Oczywiście kapłan nie wiedział o Mrs Parslow tak wiele, jak by chciał. Kosztowało go sporo wyobraźni i pracowitości, by z ubogich informacji otrzymanych drogą telegraficzną z archiwum oraz tego, co powiedziała pokojówka,



zebrać materiał do teczki, którą przekazał damie. Nie potrafił jednak wyobrazić sobie, by mogło istnieć powiązanie między przyzwoitka a którąś z łóż magów, czy też by kobieta zawarła porozumienie z Si. To morderczyni, ale nie wiedźma. Na to była zbyt prostolinijna. Nawet jej morderstwa były nieskomplikowane i praktyczne. Precyzyjne, ale ani odrobinę mistyczne.

- Coś nam umknęło, ale nie wiem co.

Brata Giuseppe wyraźnie świerbiły palce. Chciał coś zrobić. Bezsensowna bieganina nie była w jego stylu. Nie w pełni wykształcony mag stał obok niego i spoglądał naiwnie.

- Może... - zaczął beużyteczny akolita i zamilkł. - Co?

- Może ci panowie poprosili ją o pomoc. Przeciw nam. Może to podstęp, by nas zająć?

Kapłan już o tym myślał. Manewr mylący, podobny do tego, jaki sam wcześniej wyreżyserował, by Mrs Parslow mogła dostać się do pokoju oficerów. Tyle tylko, że kobieta absolutnie nie miała dość czasu, by omówić jakieś plany. Absolutnie nie wystarczyłoby czasu, by przedstawić swoją historię - odpowiednio upiększoną - nie mówiąc już o tym, by znaleźć rozwiązanie problemu. Coś było nie tak.

- Cieszę się, że brata mózg najwyraźniej funkcjonuje - powiedział ojciec Emanuele.

Funkcjonował, ale nie olśniewająco. Kapłan przypomniał sobie relację brata Giuseppe o niewidzialnym, którego jeden z oficerów postrzelił pod drzwiami. Mnisi nie poświęcili mu dostatecznie wiele uwagi. A przecież to oczywiste, że musiało chodzić o tę drugą moc. Prawdopodobnie ów nieznajomy zbliżył się do pokoju, by zagrabić rękopis. No i wtedy został postrzelony.

To by oznaczało, że drugi rywal Bractwa również nie ma jeszcze rękopisu. Brat Michael wspominał, że sprawianie, by ludzie lub rzeczy stawali się niewidzialni, jest trudne. To niełatwy czar nawet dla wielkiego mistrza. Zatem silny mag. Albo Si. Prawdopodobnie Si. W tym hotelu było ich stanowczo za wiele, aby uznać to za przypadek. Nieznany wróg nie zdobył także rękopisu, bo już podjąłby działania.

Najwyraźniej zraniono go zwyczajnym pistoletem. U niektórych feyonów było to w ogóle niemożliwe. Innych udawało się w ten sposób zranić, ale nie zabić. Te stworzenia miały bardzo duże zdolności do samoleczenia i nawet rana postrzałowa nie czyniła im krzywdy na długo. Bractwo od stuleci mierzyło się z tymi mocami i

coraz bardziej rozwijało sztukę tortur. Kula powstrzymała jednak nieznanego - przynajmniej na krótko, o ile wiadomo. Ojciec Emanuele przeklinał utratę własnego maga. Wiedza tajemna byłaby teraz nie tylko pomocna, ale wręcz niezbędna. Kapłan czuł się ślepy, głuchy i niemy. Takie ograniczenia sprawiały, że stawał się agresywny.

- Zobaczmy, co robi. Tylko cicho, żeby nas nie widziała. Pójdziemy schodami dla służby.

Ruszyli. Akolita gorliwie i pełen skruchy podążył za ojcem Emanuele. Zdawał sobie sprawę, że nie był tym, kogo potrzebowali mnisi i kim powinien być. Jeśli zawiedzie w tej sprawie, będzie to niemal równoznaczne z grzechem śmiertelnym. Przez akolitę bracia mogą przegrać bitwę, którą należy wygrać dla zakonu i dla Boga.

Oblicze drugiego mnicha wyrażało ponure zadowolenie. Miał nadzieję, że czeka ich walka. Ale nie dadzą się wplątać w walkę. Z takimi przeważającymi siłami nie powinni się mierzyć. Nie mogli nic zrobić feyonowi, a i z trzema uzbrojonymi, wypróbowanymi w walce oficerami też mogli sobie nie poradzić. Przegraliby.

Zakładając, że nie przyjdzie mu coś jeszcze do głowy. Ale dla nowych pomysłów potrzebował więcej informacji, a tych na razie nie mieli.

Nigdy nie przyszło mu na myśl, że mógłby przegrać z Delacroix, tym odszczepieńcem, który zamierzał zabrać niebezpieczny artefakt z powrotem do swego heretyckiego kraju. Ojciec Emanuele łajał się za to w duchu, ponieważ nie docenił niebezpieczeństwa, a mówiąc ściślej, to brat Michael nie docenił niebezpieczeństwa, padre zaś uwierzył jego opinii.

Jeśli nie pozostanie im do wyboru nic innego jak bezpośrednia konfrontacja, mogło to oznaczać śmiertelne zagrożenie. Jak oni wszyscy, ojciec Emanuele był zasadniczo gotowy, by umrzeć za sprawę. Tak wychowywano członków Bractwa, to wbijano im do głowy. Najwyższą formą ascezy było umrzeć za świętą sprawę.

Tyle tylko, że żywy był znacznie bardziej pożyteczny, a w tej chwili ojciec Emanuele nie był jeszcze gotów na zbawienie. Chciał przed śmiercią ukarać Delacroix, a potem jeszcze pożyć trochę w pokornej świadomości, że spełnił dobry uczynek. Dobry uczynek zasługiwał na nagrodę.

Nie był gotów. Braciom z St. Anna przedstawił tylko w przybliżeniu sens tego, co się tu rozgrywało. Nie uważał za słuszne, by podczas świętej misji ujawniać zbyt wiele informacji. Taki nadmiar wiedzy - puszczanej w obieg - miał tendencję, by żyć własnym życiem - a przy tym nie wiadomo było, w jaki sposób albo za czyją sprawą. Tak po prostu działały prawa natury. Nikt nic nie mówił, a mimo to wróble na dachach ćwierkały o tajemnicach. Dlatego padre nie ujawniał swej wiedzy żadnym osobom postronnym, a każdy, kto nie był zaangażowany bezpośrednio w zadanie, był tym samym osobą postronną i nie informowano go o szczegółach. Ponadto lepiej było sformułować po wszystkim raport końcowy, gdy widziało się przebieg zdarzeń jasno i z punktu widzenia zwycięzcy. Historię zawsze pisali zwycięzcy, zaś wiedza, która ostatecznie trafiała do archiwów, powinna być tą słuszną.

Właśnie. Ale miało to też swoje złe strony. Oznaczało, że ojciec Emanuele nie może narażać się na zbyt wielkie niebezpieczeństwo, bo jego śmierć spowoduje deficyt informacji. Po raz pierwszy w życiu przyznał przed sobą, że zrobiłby lepiej, gdyby zachował większą ostrożność i otwartość. Nie da się rządzić, nie dzieląc. Dotyczyło to zarówno wiedzy, jak i wszystkiego innego.

Mnisi dotarli na drugie piętro i ostrożnie wyjrżeli ze schodów dla służby na korytarz. Zobaczyli ją. Mrs Parslow przechodziła od jednych drzwi do drugich. Przed każdymi przystawała i nasłuchiwała uważnie. Czasem pochylała się do dziurki od klucza i próbowała zajrzeć. Czasem tylko stała z opuszczonymi rękoma. Wyglądała na bardzo skupioną i skoncentrowaną. Niczym gracz w szachy, który obmyśla następny ruch.

Ojciec Emanuele zastanawiał się, czy do niej nie podejść, zdecydował jednak inaczej. Obserwowanie Mrs Parslow niepostrzeżenie było o wiele pożyteczniejsze. Nie zauważyła jeszcze mężczyzn. Dziwne. Tak bardzo skupiła się na szukaniu, że nie dostrzegała zakonników.

Padre stał bez ruchu. Wiedział, że bracia za nim nie są w stanie nic zobaczyć i aż się pałą, by ruszyć przed siebie i coś zrobić. A przynajmniej Giuseppe. On zawsze chciał działać, a tylko jeden rodzaj przedsięwzięcia naprawdę sprawiał mu przyjemność, jeśli nie wliczać w to jego pobożnych ćwiczeń. Czasami ojciec Emanuele myślał, że Delacroix byłby lepszym człowiekiem do brudnej roboty. Pułkownik

miał bystry umysł, myślał szybko, a przy tym dysponował nadzwyczajną siłą. Nie nauczył się jednak posłuszeństwa i nie potrafił ugiąć się pod jarzmem wyższej mocy i większej mądrości.

Nie było sensu o tym rozmyślać. Mnisi potrzebowali rękopisu, a nawet nie wiedzieli, czy już go znaleziono. Najprawdopodobniej nie, ale padre mógł tylko zgadywać. Pomyślał, że jest zbyt spokojnie, i nie wiedział, dlaczego przyszło mu to nagle do głowy. Rękopis był artefaktem mocy. Jego zdobycie nie mogło przejść niezauważone.

Kobieta zatrzymała się przed drzwiami. Przyłożyła ręce do drewnianej powierzchni i przez moment wyglądały jak szpony. Wyraz jej twarzy sprawił, że wszystkie włoski na karku księdza się uniosły. Eliza wyglądała inaczej, niemal jakby była głodna. Wyrazne podniecenie widoczne na jej obliczu miało w sobie coś surowego i pożądanego. Wyszczrzyła zęby. Jego partnerka do gry w szachy, ubrana w szary jedwab, sprawiała wrażenie wściekłego drapieżnika.

W następnej chwili rozluźniła się świadomie i z wyraźnym wysiłkiem. Jej ręce powędrowały do włosów, które poprawiła oszczędnym ruchem, a później do sukni, którą porządnie wygładziła. Przybrała wyraz obojętnego spokoju, niczym pelerynę. Na jej twarzy pojawił się przyjazny uśmiech. Zrobiła jeszcze krok do drzwi i zapukała.

Zapadła cisza jak makiem zasiał.

Eliza zapukała jeszcze raz.

- Doktorze Steinberg - powiedziała przez zamknięte drzwi - proszę, doktorze Steinberg. Nazywam się Eliza Parslow. Chodzi o nagły przypadek. Muszę z panem pilnie porozmawiać.

Żadnej odpowiedzi.

- Doktorze Steinberg, pilnie pana potrzebuję. Byłabym panu niezmiernie wdzięczna, gdyby poświęcił mi pan odrobinę swojego cennego czasu. Proszę mi wierzyć, że nie niepokoilibym pana, gdyby to nie było absolutnie konieczne.

Może to były jednak niewłaściwe drzwi. A może tego człowieka w ogóle nie było w pokoju? - pomyślał kleryk. Prawdopodobnie to strata czasu.

A może nie. Zdecydował jeszcze trochę odczekać. Cokolwiek się wydarzy, przynajmniej będzie wiedział więcej niż wcześniej.

Wiedza była tym, co ostatecznie go napędzało. Jeśli Mrs Parslow się myliła, to ta pomyłka była również informacją, a jeśli nie, to Giuseppe czekało małe zadanie. Małe, miłe zadanie.

## Rozdział 82

Corrisande wcale nie zamierzała znaleźć się na linii ataku. Biegła jednak na przedzie i pokazywała drogę, von Orven zaś pędził tuż za nią, trzymając nóż z zimnego żelaza. To motywowało dziewczynę, by przyspieszyć kroku.

Bieganie w porwanej sukni nie należało do łatwych, a już zwłaszcza wtedy, gdy strój był przemoczony i przyklejał się do nóg. W dodatku świadomość, że biega po wyśmienitym hotelu w pończochach, deprymowało Corrisande. Palce jej stóp zapadały się w miękkie dywany. Młode damy niezbyt często miały okazję do biegania. Przez całą młodość opiekunki i guwernantki wbijały jej do głowy: „Nie biegaj, Corrisande, dama nie biega, dama chodzi”.

Wystarczyłoby podać oficerom numer pokoju i mogłaby teraz być za nimi zamiast na czele. Za dziewczyną biegło jednak dwóch mężczyzn z bronią z zimnego żelaza, zaś von Gorenczy zabrał ze sobą tę potworną skrzynkę i trzymał ją pod pachą. Corrisande nie miała wątpliwości, że to, co znajdowało się w szkatule, mogło ją zranić lub zabić tak samo jak nóż. Musiała o to wypytać Arpada. Musiała go zapytać o tak wiele. Wampir wszystko wyjaśni. O ile oboje przeżyją, a to było wątpliwe.

Co za głupia sytuacja. Corrisande uciekała przed tymi, którzy chcieli ją chronić, a biegła na wrogów, z których każdy już raz ją uwięził. Obaj byli tak samo niebezpieczni - mag i stwór z obsydianowego świata - że jej umysł bronił się, nie przyjmując do wiadomości rozmiarów tego zagrożenia. Cienisty potwór znów będzie chciał posiąść Corrisande, ona zaś miała dość jasne wyobrażenie o jego zamiarach. Jęknęła i poczuła, jak von Orven się zbliża. Jego instynkt opiekuńczy stawał się problemem.

Dlatego Corrisande biegła coraz szybciej, chciała uciec przed uczuciem gorąca na plecach. Nie była przy tym nawet pewna, czy rzeczywiście był to wpływ noża, czy też po prostu strach. Myśl o kolejnym zranieniu tą rozżarzoną bronią i uduszeniu wyparła inne lęki. Pozostał jedynie paniczny strach przed zimnym żelazem.

Gdybyż tylko była uzbrojona. Pragnęła mieć nóż albo pistolet, cokolwiek. Ale nie miała nic. Nic, czym mogłaby się bronić, nic, czym mogłaby wywalczyć sobie drogę ucieczki, gdyby wszystko inne zawiodło. Pragnęła żyć, przeżyć. Chciała szansy, możliwości ucieczki

przed ostateczną okropnością, nawet gdyby miało to oznaczać śmierć. Lecz dla Corrisande nie było ucieczki.

Dotarła do szczytu schodów na drugim piętrze i skręciła w korytarz. Zanim zdążyła zrozumieć to, co zobaczyła, jej nogi zatrzymały się jakby niezależnie od woli. Stopy dziewczyny ślizgały się jeszcze z rozpędu po dywanie, gdy podporucznik von Orven niemal ją potracił i przewrócił. Corrisande upadłaby, gdyby nie złapała jej z niezwykłą prędkością para rąk i nie odsunęła pod ścianę. Dzięki temu oficer przebiegł z nożem zaledwie parę centymetrów od dziewczyny.

Arpad. Dostrzegł niebezpieczeństwo i zareagował, choć nóż musiał stanowić dla niego takie samo zagrożenie jak dla Corrisande. Ale wampir był niesamowicie szybki. Okręcił nią, usuwając z drogi, i pobiegł dalej, dziewczyna zaś, dysząc i łapiąc oddech, oparła się o ścianę.

Próbowała pojąć, co widziała. To musiał być Steinberg, choć przypominał teraz białą, świetlistą postać. Bóstwo. Stał w drzwiach z wyciągniętymi rękoma i zdawało się, że płynie od niego energia. Powietrze aż trzaskało. Oblicze mieszkańca było zniekształcone, jednak jasne światło wokół jego głowy sprawiało, że wyglądał jak święty. Albo archanioł.

Upadły archanioł.

Stał naprzeciw Mrs Parslow, której suknia unosiła się niczym żagiel wzdęty ostrą bryzą. To na nią doktor skierował atak. Eliza się uśmiechała. To był dziwny uśmiech, który nie odbijał się w jej oczach. Również wyciągnęła ręce, a z nich płynęła energia rozniecająca płomienie. W powietrzu unosił się zapach spalonego mięsa i na oczach Corrisande dłonie jej towarzyszki zaczęły czernieć od czubków palców pod wpływem gorąca. Popiół opadał w strzępkach z paznokci Mrs Parslow, a przez spalone mięso przebijały kości.

Oficerowie minęli Corrisande i zatrzymali się w progu pokoju. Cerise stanęła obok dziewczyny i tak jak ona unikała znalezienia się na pierwszej linii. Śpiewaczka mruczała pod nosem po francusku. Zakładała, że słownictwo dobrze wychowanej młodej Angielki nie było bogate. Myliła się.

Corrisande patrzyła z otwartymi ustami przed siebie, po czym opadła na kolana. Jej przyzwoitka i rzekoma ciotka odwzajemniła

spojrzenie. W oczach Elizy dziewczyna dostrzegła zachłanność i nieposkromione pożądanie, jak też zapowiedź, że przyjdzie po Corrisande, gdy wszystko się skończy. Teraz jednak ta kreatura zajęta była magicznymi atakami Steinberga na skradzione ciało. Gdy już się z tym upora, przybędzie po dziewczynę. Corrisande mogła wyczuć tę obietnicę, stanowczość i radość oczekiwania. Istota już tęskniła za zakończeniem i ta tęsknota wzmacniała jej zdecydowanie. Wszystko to Corrisande wyczytała w lewym oku Mrs Parslow, zanim stopiło się w ogniu i dymiącym, lepkiem strumieniem spłynęło po twarzy przyzwoitki.

Cerise zaczęła się dusić. Śpiewaczka odwróciła się i odeszła na schody, potykając się, z ręką przyciśniętą do ust.

- Nie możemy znaleźć się między nimi! - zawołał mistrz sztuk magicznych. - Musimy obu osłabić. Bądźcie gotowi zaatakować, gdy jeden zacznie się chwiać!

Arpad skinął głową i usunął się z drogi mężczyznom uzbrojonym w zimne żelazo. Pozostał z tyłu, ustępując oficerom miejsca w pierwszej linii. Obejrzał się za damami i obdarzył obie uśmiechem. Corrisande mogła wyczuć, jak Cerise z wysiłkiem się opanowuje. Śpiewaczka siedziała na schodach, na wpół ukryta. W rękę trzymała deringera, przyglądając mu się z powątpiewaniem i podejrziwością.

Corrisande nie była w stanie się poruszyć. Opadła na kolana, sparaliżowana ze strachu. Rękoma zasłaniała usta i nos. Może Steinberg wygra i zamorduje cienistego potwora. Wtedy nie musiałyby się bać ataku i porwania. Niemal życzyła doktorowi zwycięstwa, ale mieszaniec też ją zobaczył i rozpoznał i Corrisande wiedziała, że Steinberg nie pozostawi jej przy życiu - zdradziła go przecież. Nie miało sensu zastanawianie się, czy śmierć, jaką jej przeznaczył, będzie równie potworna jak życie, którym groziła jej cienista istota.

Nagle świat się przekreślił.

Obaj walczący odwrócili się jednocześnie w stronę nowych wrogów, jakby właśnie zawiązali sojusz. W korytarzu eksplodowała surowa energia i przypaliła skórę Corrisande. Zdawało się, że pęknie jej głowa. Włosy rozwiały się w gorącym wietrze, dziewczyna zaś skuliła się i przycisnęła do ściany, by podmuch jej nie uniósł. Zamknęła oczy, bała się, że mogą pęknąć i spłonąć tak jak oczy Elizy, słyszała krzyki, rozpoznawała głosy mężczyzn wrzeszczących z



przerażenia. Usłyszała, jak oficerowie upadają i przetaczają się obok, niczym wyschnięta słoma na wietrze.

Burza przeminęła równie gwałtownie, jak nadeszła. W powietrzu czuć było zapach nawałnicy i błyskawic. Corrisande zmusiła się, by otworzyć oczy, choć bała się tego, co może zobaczyć.

Jedynie Arpad stał. Jego elegancki garnitur pozostał nieskazitelny i nietknięty, choć odrobinę dymił. Ale we fryzurze Si nie przesunął się ani jeden włos. Spojrzenie wampira wyrażało lodowaty spokój, oczy zdawały się jeszcze ciemniejsze. W szlachetnych rysach nie było nawet śladu uśmiechu.

Oficerowie leżeli na ziemi. Powaleni. Czołgali się po podłodze, a z ich mundurów unosił się dym. Wydzielały zapach, jakby prasowano je przy zbyt wysokiej temperaturze, i niemal namacalnie Corrisande czuła, jak mężczyźni z żelazną wolą starają się wziąć w garść, odnaleźć resztki złamanej odwagi i wyobrażenia o heroizmie, jak kurczowo trzymają się tych wyobrażeń, co świadczyło, że są śmiałymi, odpowiedzialnymi ludźmi, którym nie wolno się niczego bać. A jednak się obawiali. Ich męstwo, jak stwierdziła dziewczyna, nie wynikało z nieodczuwania strachu, lecz ze stanowczego postanowienia, by mu się nie poddawać. Ich ręce szukały broni, którą rozrzucił podmuch. Podnosili rozgrzane noże, przeklinając po cichu w skąpych słowach. Udolf sprawdzał pistolet z tą samą wyuczoną rutyną, z jaką zawsze to robił. Asko i Delacroix przerzucali swoje noże z jednej ręki do drugiej, by znieść dotyk rozgrzanego metalu.

McMullen opierał się o ścianę i powoli osuwał na kolana. Lewą ręką kurczowo ścisnął amulet. Starał się złapać oddech, z nosa i po brodzie spływała mu krew, kapiała na koszulę i kamizelkę. Wyglądał żałośnie i krucho.

- Godne podziwu - zauważył graf Arpad. - Kto by pomyślał, że jest pan aż tak dobry. Zapamiętam to sobie.

- Dziękuję - wysapał mistrz. - Och, i dziękuję! Corrisande nie rozumiała, dlaczego mag dwukrotnie dziękował Arpadowi, ale najwidoczniej miał ku temu powód.

McMullen opadł na dobre i rżęząc, próbował złapać powietrze.

Corrisande pojęła, że ich ochronił i że feyon musiał mieć w tym udział. Wolą nie myśleć, co by się stało, gdyby tego nie zrobił.

Oficerowie podźwignęli się na drżących nogach. Ich twarze i ręce były czerwone, jakby spalili się na słońcu. Delacroix spojrział na

Corrisande, przez krótką chwilę lustrował ją wzrokiem, szukał jej oczu i znalazł. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego. Nie planowała tego i Bóg wie, że nie miała ku temu żadnych powodów, ale cieszyła się, że pułkownik żyje. Że wszyscy żyją, poprawiła się w duchu.

Wzrok Delacroix powędrował dalej i skupił się na wrogu. Pułkownik wyglądał na wzburzonego, a nawet niepewnego, jego ponurą stanowczość zacięniały wątpliwości i niewiedza. Nie miał pojęcia, co powinni zrobić, co musiało się wydarzyć, albo choćby co może się wydarzyć. Najprawdopodobniej nie przytrafiało mu się to zbyt często.

Steinberg i potwór znów podjęli walkę, ignorując zagrożenie czające się w korytarzu z taką samą obojętnością, z jaką zareagowaliby na chmarę komarów. Corrisande pojęła, że tym właśnie byli dla nich ludzie. Drobnym zakłóceniem, bez znaczenia. Małą przeszkodą, którą można zlekceważyć. Zastanawiała się, jak mogła uważać, że choćby jednego z nich da się pokonać. Ale Corrisande wierzyła w to, podobnie jak towarzyszący jej ludzie. Komary z nożami z zimnego żelaza, z bronią, która bez problemów mogła zabić Corrisande, ale z którą nie potrafili nic zdziałać przeciw prawdziwym wrogom.

Suknia Mrs Parslow stała w ogniu. Niebieskie płomienie lizały ją powoli, przenikały przez materiał. Odslonięta skóra robiła się czarna i oddzielała z trzaskiem i skwierczeniem od mięśni. Płatki popiołu wypadały z ust Elizy. Zęby dymiły, a palce, wypalone jak kruchy węgiel drzewny, odpadały w kawałkach.

Corrisande pojęła, że przyzwoitka była martwa. Że już dawno umarła. Nie mogłaby znieść tego wszystkiego, gdyby zachowała świadomość. Jedynie bestia utrzymywała jeszcze ciało Elizy w pionie, niczym symbol kobiecej kruchości. Corrisande nigdy nie uda się zapomnieć tego obrazu. Mrs Parslow była bardziej koleżanką niż przyjaciółką, łączył je ten sam cel, lecz nawet gdyby ta kobieta była jej najgorszym wrogiem, i tak dziewczyna odczuwałaby wobec niej to samo co teraz.

Modliła się. Drogi Boże, spraw, by Eliza nie musiała cierpieć. Spraw, by to się zakończyło. Spraw, by już było po wszystkim.

## Rozdział 83

Oficerowie nie wiedzieli, czy powinni zaatakować. Energia, która otaczała obu przeciwników, stanowiła barierę, Corrisande zaś nie wiedziała, czy bariera ta hamowała ich atak, czy też osłabiała ich stanowczość. Sztylety z zimnego żelaza wyglądały nagle zupełnie nieszkodliwie, niczym zabawki przeciw potężnemu wrogowi. Bezużyteczna tandeta. Mimowolnie przypomniała sobie wiersz Tennysona o ataku lekkiej brygady. Oto oddział, który bezsensownie wznosi szable przeciw potężnej artylerii. Czowała trwogę mężczyzn, niemal jej zapach, tak jakby przerażenie wyostrzyło zmysły dziewczyny. Żołnierze nie mieli żadnych szans. Zginą tak, jak zginęła Eliza, spalą się na węgiel. Teraz Corrisande to wiedziała i będzie musiała patrzeć, jak padają i zmieniają się w popiół.

Jęknęła na tę myśl. Widziała niczym w wizji, jak ciemne włosy von Gorenczy'ego stają w płomieniach, a silne ręce Delacroix wypalają się i kruszą jak bryłki węgla. Obok Corrisande stanął Arpad. Nawet nie musiała patrzeć, wyczuła jego obecność.

- Zginą - wyszeptała. - Niech pan coś zrobi. Proszę!

Uniósł ją bez wysiłku.

- Steinberg przegra - wyszeptał tak cicho, że miała wrażenie, jakby słowa powstały w jej uszach. - W końcu przegra. Ale tak długo, jak walczą, ci dwaj są zajęci. Musimy przeciwstawić się ich wspólnej sile, jeśli ich zaatakujemy. W tej chwili nie mam nawet dość mocy, by ich powstrzymać.

- Więc musi pan powiedzieć to tym ludziom - błagała. - Idą na daremną śmierć.

Przytrzymał ją ramieniem.

- Nie daremną. Dopóki atakują wspólnie, ci dwaj tracą siły. Może uda mi się coś zdziałać, jak będą słabi.

Corrisande popatrzyła na tego atrakcyjnego mężczyznę, który był wobec niej tak niezwykle czuły i troskliwy i który sam wydawał się tak pełen miłości.

- Chce pan przez to powiedzieć, że dla niepewnej szansy pozwoli pan tym oficerom zginąć? - zapytała, zrozumiawszy jego plan.

Spojrzał na nią łagodnie.

- To jedyne wyjście - odpowiedział cicho. - Są żołnierzami. Znają ryzyko. Zabijanie i umieranie jest tym, czego ich uczono. Sami dobrowolnie uczynili z tego treść swojego życia. Mnie przypadło w

udziale podjęcie próby zakończenia tego starcia, a im zadanie przedniej straży podczas zdobywania wrogich linii. To okrutne. Tak to jest. Może nie powinnaś na to patrzeć. Będzie nieprzyjemnie.

Wczepiła się w jego ramię.

- Musi być inne wyjście - błagała. - Zawsze jest alternatywa, jak mawia mój ojciec. Musi być jakiś inny sposób.

Arpad spojrział na nią, a na jego twarzy odmalowało się współczucie i troska.

- Istnieje inna możliwość. Ale nie jest lepsza.

Sposób, w jaki patrzył na Corrisande, mówił, że ta możliwość przewidywała udział dziewczyny. Zaczęła drżeć, a wampir mocniej chwycił ją w ramiona.

- Możesz iść do cienia i odwrócić jego uwagę. Pożąda cię tak bardzo, że straci koncentrację, gdy przyjdiesz z własnej woli. Ale... - zamilkł i tylko mocno ją trzymał, gdy ugięły się pod nią kolana na myśl o tym, czego nie wypowiedział.

- Co muszę zrobić? - zapytała, odwracając wzrok, nie mogąc znieść pełnego współczucia spojrzenia Si.

- Idź i dotknij go. Uważaj, by mężczyźni cię nie powstrzymali.

Chciała zapytać, czy to będzie bardzo boleć. Nie zapytała. Wiedziała, jak to będzie. Spojrzała na oficerów, którzy cal po calu zbliżali się do wrogów.

A potem ruszyła. Szybko, powiedział jej Arpad. Będzie musiała się pospieszyć, zanim jej osobisty anioł stróż, von Orven, się w to wmiesza. Albo Delacroix. A może nawet von Gorency. Albo zanim opuści ją odwaga. Znow się modliła. Proszę, drogi Boże, pomóż mi. Zakończ to, spraw, by wszystko się skończyło.

Potrzebowała tylko kilku kroków i już minęła żołnierzy, zbyt zaskoczonych, by ją zatrzymali. Słyszała ich głosy.

- Corrisande!

- Niech się pani cofnie!

- Puśćcie mnie!

Zignorowała to i szła dalej. Niemal czuła obecność cienia w swoim ciele. Jeszcze w nim nie był, ale jego umysł już chwycił Corrisande, trzymał ją i ciągnął ku sobie. Czuła gorąco palącego się ubrania i płonącej kobiety, którą знаła jako Elizę, i czuła gorąco zachłanności i pożądania stwora, skupionych na niej, równie groźnych jak niebieskie płomienie, równie niszczycielskich i zabójczych.

Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego żaden z mężczyzn nie podążył za nią. Na wprost oczekiwała, że ktoś ją powstrzyma. Rozdzierał ją smutek, gdy sięgnęła do zwęglonej dłoni Elizy. Dotknęła jej i poparzyła sobie palce. Resztki ręki Mrs Parslow skruszyły się pod dotknięciem na popiół.

Kobieta - albo to, co z niej jeszcze zostało - odwróciła się i uśmiechnęła do Corrisande, ukazując twarz pozbawioną ust, z szeregiem czarnych zębów wystających ze zwęglonych szczęk.

Czas się zatrzymał. Corrisande czuła trzaski magicznej mocy na skórze. Miała wrażenie, że otwierają jej się pory, a każdy włos unosi się i iskrzy. W głowie jej huczało i dudniło, jakiegokolwiek działanie było niemożliwe. Nie mogła się cofnąć, ale nie mogła też zrobić nic innego. Nie mogła nawet odwrócić spojrzenia od przerażającego widoku. Stała bez ruchu, niezdolna krzyczeć. Czuła, jak obsydianowo czarna ciemność wdziera się w nią, zdobywa i wnika. Coraz ciemniejsza, wciąż coraz ciemniejsza. Corrisande nie wiedziała już, dlaczego to robi. Niby dlaczego? Kiedyś istniał powód. Ale już nie pamiętała jaki. Jej rozum uległ sile wrogiego ataku.

Stopione oczy Elizy zdawały się w nią wpatrywać, ale to, co dziewczyna rozpoznawała, było potworem ukrytym w ciele przyzwoitki. Wyciągał się ku Corrisande, nabrzmiewał. Czuła, jak chroni ją przed masakrą, w którą wkroczyła. Miał wobec niej własne plany i te plany nie obejmowały jej śmierci od ataku Steinberga.

Steinberg ponowił atak. Corrisande czuła jego nienawiść i zdziwienie. Czuła, że coraz bardziej parzyła ją skóra. Jej wilgotne ubrania parowały. Ogarną ją płomienie - jeszcze tylko kilka sekund. Będzie patrzeć, jak dziewczyna spala się na popiół, niemal czuła już, jak zamienia się w brudny pył. Dlaczego tu była?

- Teraz! - zabrzmiał rozkaz i padł strzał.

Kątem oka Corrisande dostrzegła, jak Steinberg upada, nie był już świecącym aniołem. A potem objęła ją para rąk i pociągnęła do tyłu. Dziewczyna nie wiedziała, do kogo należały. Nie do Delacroix. Ten skoczył właśnie wprost na płonącego wroga, z nożem w ręku. Jego wzrok płonął nienawiścią i dzikim zdecydowaniem. Corrisande wiedziała, dlaczego to zrobił.

- W mózg! - krzyknął ktoś tuż przy jej uchu. - Musi go pan trafić, gdy jeszcze w niej jest.

Nóż wystrzelił równie szybko i pewnie jak wcześniej, kiedy Delacroix kierował go w serce Corrisande. Ale tym razem nikt pułkownikowi nie przeszkodził. Z olbrzymią siłą ostrze trafiło i klinga wbiła się głęboko w oczodół Mrs Parslow. Eliza krzyknęła przeraźliwie i osunęła się przed pułkownikiem niczym karykatura bezbronnej damy. Nóż wystawał z jej okaleczonej twarzy, wbity aż po rękojeść.

Ten krzyk długo jeszcze odbijał się echem i wwiercał w duszę Corrisande. Próbowwała zasłaniać sobie uszy, ale mimo to wciąż słyszała - rozdzierający, pełen bólu głos umierającej. To nie ona, mówiła sobie Corrisande, to cień. To on krzyczy, nie Eliza. Ona już dawno nie żyje.

A jednak wspomnienie jej głosu było zbyt dokładne. Corrisande szlochała. Właśnie tak krzyczałaby Eliza, gdyby ją zasztyletowano. Przyzwoitka leżała skulona na podłodze, płomienie zmieniły kolor jej sukni z niebieskiego na czerwony i żółty. Umierała. Czarny olej gotował się w jej głowie, wypływał oczami, nosem, ustami i uszami. Zbierał się powoli w kałuży wokół okaleczonej głowy, niczym czarna aureola. Corrisande patrzyła, jak von Gorenczy robi krok w przód i przykleka przy czaszce zabitej.

- Niby jak mam to, do cholery, zrobić? - zapytał, przetykając z obrzydzenia. Najwyraźniej trudno mu było dotknąć tej substancji gołymi rękoma. Zrozumiała podejrzliwość. Delacroix przykleknął przy nim. Trzymał nowy nóż, którym przesuwiał gęstą maź do skrzynki. Mięśnie miał napięte, gotowe do skoku, gotowe do obrony, gdyby to było konieczne.

- Nie żyje - powiedział Arpad tuż nad jej uchem. Czują ruch jego ust na skórze. - Już go nie ma. Zniszczony zimnym żelazem - głos Si wciąż był napięty.

- Na wszelki wypadek - powiedział McMullen, który też stanął nad zwłokami Elizy. Trzymał przy twarzy zakrwawioną chustkę i wyglądał na wyczerpanego. - Pozbędziemy się tego i przyznaję, że poczuję się bezpieczniej, gdy to znów będzie w skrzynce.

- Niech pan robi, co musi - skomentował cynicznie graf Arpad. Wciąż stał za Corrisande i trzymał ją w ramionach, przyciskając mocno do swego ciała, jakby jego bliskość mogła dodać dziewczynie sił. A może po prostu miał ochotę ją tak trzymać. Oparła się o Si, pozbawiona energii i wdzięczna. Zastanawiała się, kiedy wkroczy

Cerise. Była pewna, że śpiewaczka życzyłaby sobie, by inne kobiety trzymały się z daleka od ramion jej kochanka, nawet w ekstremalnych sytuacjach. Jednak interwencja pojawiła się z zupełnie innej strony.

- Niech pan natychmiast puści Miss Jarrencourt! - nakazał von Orven lodowatym tonem.

Podporucznik stanął przed nią ze swym małym, żarzącym się nożem.

- Niech pan natychmiast cofnie od niej ręce albo pana zabiję!

Próbowała podchwycić jego spojrzenie, ale młodzieniec patrzył na mężczyznę, który trzymał Corrisande w ramionach.

- Asko, niech się pan uspokoi. Graf Arpad zabrał mnie tylko z niebezpiecznego miejsca - poprosiła w nadziei, że młody mężczyzna odsunie się wraz z nożem. Von Orven nie wiedział, że nie mogła znieść jego bliskości równie mocno jak Si, któremu tak naprawdę służyła teraz za tarczę.

- Zanim najpierw panią w to niebezpieczne miejsce wysłał! - odpowiedział oficer, nie patrząc na dziewczynę. - Przytrzymał mnie, gdy próbowałem panią odciągnąć. Był gotów złożyć panią w ofierze temu potworowi!

Nie, pomyślała, był gotów złożyć w ofierze oficerów. Ale pozwolił Corrisande wybrać. Tyle tylko, że nie było żadnej możliwości, by wyjaśnić to rozzłoszczonemu podporucznikowi.

- Pan też to zrobił, gdy użyliście mnie do polowania - odparła, wściekła na Asko, że nie dawał jej nawet chwili, by mogła dojść do siebie po potwornym przeżyciu. Chciał dobrze, ale to czasem nie wystarcza.

Czuła ręce grafa Arpada na talii. Wampir odsunął Corrisande na bok. Prawdopodobnie mógł się lepiej bronić, gdy nie stała mu na drodze. Nie obawiała się o niego. Męstwo i wytrwałość Asko z pewnością nie wystarczą, by młodzieniec stawiał czoła zwinnemu, ciemnowłosemu mężczyźnie.

Jeżeli jednak podporucznik znajdzie się dostatecznie blisko z bronią z zimnego żelaza, może uczyni Si niezdolnym do walki. Corrisande nie wiedziała. W jej przypadku to wystarczało.

- Przykro mi - Asko odezwał się do niej ze złością, nie spuszczać przy tym oczu ze swego przeciwnika. - Przyrzekłem, że będę pani bronić, pani zaś dała mi do zrozumienia, że przyjmuje moją

opiekę, a kobiety, z którą pragnę się ożenić, nie chcę oglądać w ramionach takiej kreatury. Wszystko jedno z jakich powodów.

Jego jasne oczy zmieniły się w wąskie szparki, a twarz poczerwieniała z gniewu. A może była to tylko reakcja po ognistym magicznym ataku. Jego włosy wyglądały na przypalone.

Wyciągnął rękę z bronią.

- Niech się pani cofnie! - nakazał.

Cofnęli się oboje, Corrisande bardziej ze strachu niż feyon. Wciąż był u jej boku, bo oboje poruszyli się w tym samym kierunku.

Podporucznik von Orven zrobił krok do przodu, wykonując nożem łuk, nie po to, by zabić - tego była pewna - lecz po to, by z naciskiem zaznaczyć i pokazać, że mówił poważnie.

Ostrze nawet nie znalazło się w jej pobliżu, ale w panice Corrisande się odchyliła, z trudem łapiąc powietrze.

Zdezorientowany Asko odwrócił się do niej i po raz pierwszy zauważył, że to on budzi strach dziewczyny. Straszanie dam było całkowicie sprzeczne z jego sposobem zachowania. Nie należało tak postępować. Jego spojrzenie wyrażało skruchę. Było mu przykro.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli panią wystraszyłem - poprosił i zbliżył się, wciąż trzymając nóż. Corrisande cofnęła się jeszcze bardziej, aż jej plecy natknęły się na ścianę. Podporucznik dostrzegł lęk na jej twarzy i na chwilę zapomniał o mężczyźnie, któremu groził. Dziewczyna bała się Asko, a tego nie chciał. - Miss Jarrencourt, nie czynię pani żadnych wyrzutów. Proszę się nie bać. Bardzo mi przykro, jeśli...

Nie słyszała reszty zdania, strach jak fale zalewał jej myśli. Von Orven już prawie był przy niej i nie widziała nic oprócz płonącego ostrza w jego ręce, o którym, starając się ją uspokoić, po prostu zapomniał.

Powietrze stało się jakby piaszczyste i Corrisande zaczęła o nie walczyć. Słyszała natarczywy głos młodego mężczyzny:

- Bardzo mi przykro. Proszę się nie bać. Nic pani nie zrobię, i jemu też nie. Przyrzekam. Proszę wziąć ten nóż, jeśli dzięki temu poczuje się pani bezpieczniej.

Wyciągnął broń w jej stronę, zbliżając się jeszcze bardziej, i Corrisande niemal już czuła, co miało nadejść - palący ból i duszności. Silna dłoń chwyciła nadgarstek von Orvena. Delacroix.

- Niech pan natychmiast to od niej weźmie!



Delacroix odepchnął Asko brutalnie. Corrisande odetchnęła - jak jej się wydawało, po raz pierwszy od kilku minut. Drżała na całym ciele.

Asko próbował uwolnić się z uchwytu większego mężczyzny.

- Przecież nie chciałem jej nic zrobić - zapewnił swojego napastnika. - Przecież nigdy bym nie... - zamilkł. Poszukał jej oczu, a potem Corrisande mogła zobaczyć, jak rozszerzają się w zaskoczonym zrozumieniu. Wyraz twarzy podporucznika zmieniał się powoli. Najpierw zmieszany, a potem, gdy von Orven się zastanawiał i gdy do niego dotarło, co się dzieje, zdumiony. Aż wreszcie pojawiło się obrzydzenie. Asko zrobił krok w tył, a potem jeszcze jeden. Delacroix go puścił.

- Wielki Boże - wysyczał podporucznik, chyba z odrazą.

Nie jestem żadnym Si, chciała mu powiedzieć Corrisande. Nie tak naprawdę. Jestem człowiekiem. Prawie całkiem człowiekiem.

Ale nie była w stanie wydusić słowa, mogła tylko patrzeć, jak obrzydzenie i zgroza coraz wyraźniej malują się na obliczu młodego mężczyzny. Dotarło do niego, co zrobił. Poprosił kogoś, z kim nawet nie miał ochoty dzielić tego samego świata, by dzielił z nim życie. Uświadomił sobie, że stracił honor. Wszystko jedno, czy poślubi niehumanitarną kreaturę, jaką mógł się jedynie brzydzić, czy też złamie słowo, czego nigdy by nie zrobił.

Przez kilka sekund panowała całkowita cisza. Korytarz wypełniony był dymem, a w powietrzu unosił się zapach spalonego mięsa. I krwi. Corrisande czuła ją, podobnie jak ostrą woń magicznej energii. Spoglądała kolejno po towarzyszach broni. Delacroix wyglądał na wściekłego, von Gorenczy na zdumionego. Graf Arpad przybrał cyniczną pozę, McMullen był zrezygnowany, zaś Cerise Denglot, która wciąż stała jeszcze przy schodach, wydawała się rozzłoszczona.

Von Orven wyglądał tak, jakby za chwilę miało mu się zrobić niedobrze. Corrisande starała się nad sobą zapanować. Ale już było za późno. Przecież nie mogła się zmienić.

- Podporuczniku von Orven - zaczęła, starając się odszukać jego spojrzenie, podoficer jednak wyraźnie tego unikał - zaszczycił mnie pan honorem, oferując mi ochronę i jak sądzę, również pańskie nazwisko. Obawiam się jednak, że nie pasujemy do siebie. Proszę o wyrozumiałość, nie mogę być dla pana tym, kim by pan sobie życzył.

Zwalniam pana ze zobowiązania wobec mnie, jak też ze wszelkich obietnic, jakie mi pan złożył lub jak się panu wydaje, że złożył. Przejmuję odpowiedzialność za rozwiązanie tego związku. Nie ponosi pan żadnej winy. Proszę zaakceptować moją decyzję. Zrozumiem, jeśli nie będzie pan chciał mnie więcej widywać.

Czuła na sobie spojrzenia wszystkich. Odwróciła się i ruszyła, nie oglądając za siebie. Chciała biec, zmuszała się jednak do spokojnego kroku, wysoko unosząc przy tym głowę. Nie biegaj, Corrisande, dama nie biega, dama chodzi. Z powrotem do pokoju. Z powrotem do samotności, gdzie będzie mogła się załamać i nikt tego nie zobaczy.

Doszła do schodów. Stała tam Cerise z wyrazem współczucia na twarzy. Śpiewaczka nic nie powiedziała, a Corrisande nie chciała, by kobieta się odzywała. Nie chciała współczucia. Przeszła więc po prostu obok, nie patrząc. Schody dla służby były na szczęście puste, a drzwi na końcu korytarza lekko uchylone. Łatwiej dotrze niezauważona do pokoju przejściem dla służby, w hotelu pozostało jeszcze trochę gości, na których mogłaby się natknąć na głównych schodach.

## Rozdział 84

Graf Arpad stał przed Orvenem i patrzył mu w twarz. Oficer nie zauważył, jak feyon do niego podszedł. Po prostu nagle znalazł się tuż przed Asko. Tajemnicze oczy wpatrywały się w niego, przy czym Si tak łudząco przypominał człowieka, że von Orvenowi nie przyszła nawet do głowy myśl, by go zaatakować.

- Niech pan za nią idzie - powiedział feyon cicho i z naciskiem. - Jest człowiekiem, a nie Si. Jest ranna, cierpi i przed chwilą niemal poświęciła dla pana życie. Dla was wszystkich.

Oficer wpatrywał się w niego, a później spojrzął za dziewczyną - niczego nie rozumiał, nie wiedział, co robić. Niepewnym ruchem schował nóż. Nie wiedział, ani co powinien powiedzieć, ani co czuć. Jego życie duchowe właśnie pogrążyło się w chaosie.

- Nie mogę - mruknął i odwrócił wzrok od drzwi na końcu korytarza, za którymi zniknęła młoda kobieta. Ta sama, o której myślał, że pragnie, by została jego żoną. - Nie mogę.

Drzwi się zamknęły.

Cerise Denglot podeszła do mężczyzn. Zbliżyła się do podporucznika. Jej piękną twarz wykrzywiła wściekłość.

- Jest pan głupcem, von Orven - rzuciła gorzko śpiewaczka. - Będzie pan tego żałował. Jeszcze to pana zaboli.

Nie odpowiedział, wpatrywał się tylko nieszczęśliwy w dywan. Nie potrafił spojrzeć kobiecie w oczy. Pod powierzchnią jego zadufanego gniewu budziła się skrucha i wstyd. Tym razem nie był pewien, czy zachował się właściwie.

- Pozwolicie jej po prostu odejść? - zapytał graf Arpad odrętwiałą grupę. - Nie dość dla was zrobiła? Była waszym myśliwym, waszą przynętą, wspinała się po ścianach, by was ostrzec, bez wahania rzuciła się na ratunek, gdy niemal było już po was, aby wszystkich ocalić. To za mało, żeby ją zaakceptować? - w jego głosie pobrzmiwała zimna wściekłość. - Jesteście tacy dumni ze swojego człowieczeństwa. To było ludzkie? To zachowanie budzi waszą dumę i zadowolenie z siebie? Co się stało z chrześcijańskimi zasadami, z miłosierdziem, przebaczeniem i humanitaryzmem? Cholerni filistrzy!

Wyglądał niepokojąco niebezpiecznie. Jego gniew poruszył pozostałych. W grupie zapadło zmieszane milczenie.

W końcu wysunął się McMullen i wyciągnął ręce w uspokajającym geście.

- Grafie Arpad, musimy doprowadzić sprawę do końca. Później się zatroszczymy o Miss Jarrencourt. Obiecuję.

Delacroix skinął głową.

- Idę - powiedział. Z jego miny nic nie można było wyczytać. Si stanął mu na drodze i spojrzał w oczy niczym tygrys oceniający swoją zdobycz.

- Pan nie! - zaproponował. - Już ją pan poparzył zimnym żelazem. Nie pozwolę, by znów jej pan coś zrobił.

Cerise podeszła do ukochanego, dotknęła jego ramienia. Pod tym dotykiem wampir się rozluźnił.

- Puść go - powiedziała. - Nie zada jej już bólu. Wiem to.

- Skąd możesz wiedzieć? Nie podzielam tej pewności. Ta mała nie jest pod moją ochroną, nie może być. Ale wy postępujecie z dziewczyną nieopisanie okrutnie - jego głos brzmiał gorzko i z pasją. - Jeśli to, co jej się przydarza, odzwierciedla to, co Steinberg musiał znosić przez całe życie, potrafię zrozumieć, dlaczego chciał zmienić świat.

- Moi panowie - McMullen przerwał mu spokojnym, mocnym głosem - jesteśmy tu po to, by zdobyć rękopis, a jak dotąd się on jeszcze nie pojawił. Świat wciąż jest w niebezpieczeństwie. Niech panowie pomyślą o naszych priorytetach.

Nagle mężczyźni uświadomili sobie, że jeszcze tej wojny nie wygrali. Sprawiali wrażenie trochę zbitych z tropu.

- Myślałem, że zwój się po prostu pojawi - powiedział Udolf - gdy tylko zniszczymy tych dwóch. To znaczy taką miałem nadzieję. - Wciąż jeszcze trzymał pistolet, z którego zastrzelił Steinberga. Nie wiedział, skąd nagle pewność, że to właśnie musi zrobić i że był to jedyny właściwy moment na takie działanie. Zobaczył dziewczynę w płomieniach, a potem zmienił się kierunek magicznej energii. Szwoleżer strzelił w doktora, ponieważ Miss Jarrencourt zasłaniała drugą postać. Corrisande Jarrencourt, która była feyonem. Albo czymś podobnym.

Udolf wciąż tego jeszcze nie pojmował. Nic go na to nie przygotowało. Była człowiekiem, tak mówił Arpad. Dlaczego więc zimne żelazo okazało się dla niej niebezpieczne i w jaki sposób Delacroix się o tym dowiedział? Zranił ją tak na próbę?

Von Gorenczy widział oparzenia na ręce dziewczyny. W innych okolicznościach zapewne zapytałby, jak mogła się tak zranić. Tyle tylko, że nie było na to czasu.

Corrisande niczego nie wyjaśniła. Spojrzał na Asko. Jego przyjaciel stał wciąż rozdarty i zagubiony. Na jego twarzy malował się żal, ale też poczucie winy i wstyd. Nie podejrzewał dziewczyny, tak samo jak Udolf. Wiedzieli, że w Corrisande było coś szczególnego, bo inaczej nie mogłaby im pomóc. Ale nie rozumieli, co to było.

Niełatwo przecież przychodziło nawet uwierzyć w istnienie feyonów, Udolf miał przed oczyma żywy tego dowód. Jak wierzyć, że ktoś tak słodki, iż poruszył nawet nieprzystępne serce von Orvena, należał do obcych istot? To po prostu nie do pomyślenia, a dla Asko zapewne podwójnie trudne.

Po części na to zasłużył. Asko kochał i nienawidził z tak uporczywą intensywnością, a jego przekonania i moralne wyobrażenia były tak surowe i nieugięte, że w końcu coś podobnego musiało mu się przytrafić. Może to zdarzenie nauczy go trochę większej elastyczności. Choć w gruncie rzeczy von Gorenczy w to wątpił. Prawdopodobnie von Orven jeszcze bardziej skryje się w swej ślimaczej skorupie, razem z przekonaniem o własnej aż nazbyt poprawnej nieomyślności.

- Potrzebują mnie jeszcze panowie? - zapytała Cerise. Wciąż trzymała swój pistolet. - Jeśli nie, to pójdę do niej. Nie powinna być teraz sama.

Delacroix spojrzał na nią z wdzięcznością.

- Zrób tak. Proszę, powiedz jej... - zamilkł. - A zresztą. Sama będziesz wiedziała, co jej powiedzieć.

Skinęła głową z rozbawieniem.

- Możesz na mnie polegać.

Mężczyźni odprowadzili kobietę wzrokiem, gdy ruszyła na schody, a potem na nich znikła.

Wszyscy za nią patrzyli. Wszyscy odwrócili się od pola walki.

Graf Arpad krzyknął nagle i osunął się na kolana. Jeszcze padając, przekreślił się jak kot i przetoczył na bok, przewracając von Orvena, który stał najbliżej.

Reszta się odwróciła.

Podporucznik von Gorenczy i Delacroix jednocześnie rzucili się na podłogę, szukając osłony. Steinberg wciąż leżał tam, gdzie upadł,

ale częściowo podciągnął się przy futrynie i oparł o nią plecy. Z dziury po kuli w piersiach nadal płynęła krew. To go jednak nie zabiło. Oddychał ciężko i przy każdym wydechu krople krwi pryskały mu z ust.

Udolf przeklinał się w duchu. Był całkowicie pewien, że trafił tego człowieka w serce. Nie sprawdził tego, i nikt inny także. Po prostu założyli, że jedna kula w pierś wystarczy, by człowieka zabić. Jednak albo ten człowiek nie miał serca po właściwej stronie, albo też dziedzictwo Si pozwalało mu przeżyć z raną, która każdego innego natychmiast by zabiła.

Jasnowłosy lekarz trzymał ręce wyciągnięte przed siebie. Błyskawice energii formowały się w jego palcach. Wyglądały jak ogniste skalne odłamki wielkości pięści albo jak kule armatnie z czterofuntówki. Strzelał nimi z dużą szybkością. Dzięki Bogu, że źle celował. Najwyraźniej rana przeszkadzała mu, jednak nie tak bardzo, jak von Gorency by sobie życzył. Szwoleżer i jego towarzysze znaleźli się pod ostrzałem przypominającym artyleryjski. Tam, gdzie kuliste pioruny trafiały w ściany, eksplodowały duże kawałki cegieł i zaprawy murarskiej i jak szrapnele przelatywały przez korytarz. Jeżeli pocisk trafiał w drzwi, pozostawiał wielką dymiącą dziurę. Nikt nie wychodził z pokojów, by zobaczyć, co się dzieje. Mężczyźni cieszyli się, że hotel był prawie pusty.

Korytarz nie oferował żadnej osłony poza małym stolikiem pod ścianą, na którym zwykle stał wazon z kwiatami. Ta dekoracja padła jednak ofiarą pierwszej salwy. Zwęglone szczątki wbiły się w drewniany blat.

Delacroix przewrócił stolik, by się schronić, i pociągnął za sobą McMullena. Jednak już następny atak trafił w mebel i roztrzaskał go na kawałki. Niemal dosięgnął pułkownika i mistrza, którzy teraz głośno przeklinali. Doskoczyli do ściany, o którą wciąż opierał się ich przeciwnik. Próbowali wcisnąć się za drzwi. I wtedy McMullen całkiem stracił siły. Nie mógł zostać trafiony, a jednak chwiał się i Delacroix musiał go przytrzymać i zaciągnąć w bezpieczne miejsce, zanim mag znów straci równowagę na linii ognia. Przy drzwiach powinni być bezpieczni, zakładając, że Steinberg nie opanował sztuki strzelania zza rogu. Delacroix nie wiedział, czy doktor to potrafił, a jedyny człowiek, który mógł odpowiedzieć na to pytanie, nie był teraz zdolny do wyjaśnień.

Von Gorenczy podążył za nimi, przetoczył się po podłodze i pod niepewną osłoną ściany znów się podniósł. Zbyt wolno. Pocisk otarł się o jego lewe ramię, a siła uderzenia sprawiła, że szwoleżer upadł na plecy. Przetoczył się w bok, a później tyłem przez korytarz i Delacroix patrzył za nim z niepokojem. Udolfowi udało się jednak przedrzeć pod następne drzwi i znaleźć schronienie za framugą. Nieprzyzwoite przekleństwa wyraźnie zdradzały, że podoficera boli, ale rana nie zagraża jego życiu.

Von Orven i graf Arpad znaleźli się bezpośrednio na linii ognia. Tajemniczy Si leżał na podłodze z nienaturalnie wygiętą nogą poniżej kolana. Jego twarz była wykrzywiona z bólu, gdy próbował się obrócić. Uniósł ręce i kuliste pioruny chybiły go zaledwie o włos. Nie trafiły też von Orvena. Z początku podporucznik próbował znów wstać, po tym jak Si pociągnął go na podłogę. Teraz jednak klęczał obok feyona, który najwyraźniej próbował chronić ich obu. Twarz von Orvena wyrażała obawę i całkowite zaskoczenie.

- Kryj się! - krzyknął pułkownik i podporucznik rozejrzał się nerwowo, szukając miejsca, gdzie mógłby bezpiecznie uskoczyć. Wcale nie był jednak pewien, czy nie zostanie trafiony, stanowił tak łatwy cel, zaledwie kilka kroków od źródła pocisków i bez osłony. Patrzył w wykrzywioną twarz istoty, której parę minut temu sam jeszcze groził. Skóra na twarzy feyona była napięta z wysiłku i bólu.

To właśnie ten ból sprawił, że von Orven w końcu zaczął działać. Objął szczupłego mężczyznę od tyłu i przetoczył się z nim na drugą stronę korytarza. Delacroix wysunął ku nim rękę i wciągnął obu w bezpieczne miejsce przez drzwi, które do tej pory zdążył już otworzyć.

Von Orven upuścił feyona jak worek i ranny syknął.

- Cuda nad cudami - mruknął Delacroix pod nosem, nie odwracając się. - Arpad, jak możemy dostać się do tego człowieka? Może nam pan pomóc? - Nie zapytał go o ranę.

Si na wpół usiadł, wspierając się na łokciach.

- Wiele nie mogę zrobić - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Stworzenie ochronnej tarczy przeciw magicznym pociskom i utrzymanie jej wymaga dużo sił. Nie mogę chronić wszystkich równocześnie, i to nawet gdybym mógł stać. Nie promieniował już żadnym życiem, gdy został trafiony. Powinienem być przewidzieć, że kula go nie załatwi. Powinienem był to uwzględnić.

- Powinien pan, i ja zresztą też. Pozwoliliśmy sobie na brak czujności. Nieważne. Co robić? Czekamy, czy Steinberg będzie tak łaskaw i w końcu sam zejdzie z tego świata?

- Nie wiem, jak szybko się leczy. Mieszkańców trudno ocenić, a ten jest w dodatku magiem. I to lepszym ode mnie. Niemal wszystko, co wyczarowuje, jest ludzką magią. Bardzo silną.

- Może wyleczy się nawet po postrzale w serce? - zapytał von Orven.

- Serce jest mięśniami, a mięśnie można leczyć - odparł graf Arpad. - Gdzie jest pański sztylet z zimnego żelaza, pułkownika?

- W głowie Mrs Parslow. Złamałem pierwszą regułę rzucania nożem. Zawsze zabierać broń.

- To źle. Zdoła pan rzucić nożem podporucznika? Czy jest za mały?

Von Orven wygrzebał z kieszeni swój nóż i wyciągnął w stronę Delacroix, który wziął broń i sceptycznie jej się przyjrzał.

- Źle wyważony - westchnął. - I nie będę miał czasu, by porządnie wycelować. Szanse, że go nie trafię, są duże.

- Wtedy bylibyśmy zupełnie pozbawieni broni - zauważył von Orven. - Mamy jakąś inną możliwość?

- Możemy spróbować obudzić McMullena - powiedział Delacroix.

- Trochę mu się dostało, gdy chronił panów przed wylądowaniem energii - odparł graf Arpad. - Nawet gdyby udało nam się go obudzić, prawdopodobnie będzie słaby. Będzie lepiej, jeśli jego ciało trochę wypocznie. - Si siedział na podłodze, pochylając się i przyglądając złamanej nodze. - Gdybym mógł chodzić, spróbowałbym zrobić zmyłkę - powiedział ze złością, podczas gdy Delacroix wyjrzał za róg i tylko o włos uniknął pocisku, który ze świstem musnął mu podbródek. Ilość wylatujących pocisków zmniejszyła się. Najwyraźniej jednak Steinberg wciąż był żywy i aktywny.

- To złamanie na jakiś czas pana unieruchomi - powiedział Delacroix do grafa, po czym strząsnął z głowy kurz, który opadł mu na włosy.

- Nie. Leczę się szybko. Muszę jedynie nastawić kość. Nie wiem tylko, czy dam radę zrobić to samodzielnie. To proste złamanie, bez odprysków. Powinno łatwo pójść. Tyle tylko, że naprawdę trudno dosięgnąć swoich goleni. - Z sarkastycznym, bolesnym uśmiechem



odwrócił się do von Orvena. - Może pan by spróbował, panie podporuczniku? W imię wyższego celu?

Delacroix aż się skulił przy tym sformułowaniu. Von Orven wpatrywał się w Arpada.

- Nic nie wiem o strukturze kości feyonów - powiedział nieustępliwie neutralnym tonem.

- Nie różni się tak bardzo od pańskiej, panie podporuczniku. Jestem tylko bardziej odporny i wytrzymały.

- Musi tak być. Gdyby to trafiło moją nogę...

- ...to już by jej pan nie miał. Wiem. Mogę pana jednak zapewnić, że to bynajmniej nie jest przyjemne, i chciałbym też panu podziękować, że przeniósł mnie pan w bezpieczne miejsce. Przyznaję, że byłem zdumiony.

- Och. Proszę. - Nie dało się ukryć, że Asko czuł się nieswojo. Przyklęknął jednak przy wampirze. - Proszę mi powiedzieć, co mam robić.

Graf Arpad uniósł ze zdziwienia brwi.

- Naprawdę chce mi pan pomóc?

- Mam do wypełnienia obowiązek. Nie ma znaczenia, czy to jest przyjemne, czy nie.

Spojrzenie Asko napotkało czarne oczy feyona. Młody podporucznik miał problemy, by się skoncentrować. Czuł, jakby ciemne oczy zajrzały mu w duszę. A potem Arpad spuścił wzrok.

- Proszę złapać za moją stopę i pociągnąć. Prosto. Moje ciało załatwi resztę.

Czarnowłosy Si westchnął z bólu, gdy żołnierz chwycił jedną ręką jego kolano, a drugą staw skokowy i rozciągnął złamane kości jednym silnym, szybkim ruchem. Tajemnicze oczy pozostały zamknięte, graf wyraźnie pobladł, Asko zaś ze zdziwieniem skonstatował, jak wrażliwie i ludzko wyglądał w tej chwili feyon. Najwyraźniej Si i ludzi łączyła zdolność do odczuwania bólu.

A potem noga była już prosta, a syczący oddech rannego feyona powoli się uspokoił. Twarz Arpada zmieniła się w sztywną maskę opanowania.

- Proszę mi dać chwilę - wyszeptał, nie otwierając oczu. Skupił się, wziął kilka głębokich wdechów. - To nie potrwa długo.

Zaraz potem podciągnął się, używając fotela jako oparcia.

- Lepiej - powiedział. - O wiele lepiej. Dziękuję, panie podporuczniku.

Po czym odważył się na pierwszy, niepewny krok. Oficer spodziewał się kolejnego upadku feyona, Si jednak tylko lekko się wzdrygnął.

- Dobrze - powiedział graf. - Nie będę tak szybki, jak bym chciał, ale możemy spróbować, Delacroix. Niech mi pan tylko przyrzeknie, że pan się nie pomyli z tym cholernym nożem. To by akurat nie sprawiło, żebym był zdrowszy.

- Postaram się najlepiej jak umiem - obiecał Delacroix.

- To będzie musiało wystarczyć - odparł Si. - A więc? Za świat pełen wolnych ludzi i Si! - Uśmiechnął się oschle do oficerów i wyskoczył na linię strzału.

## Rozdział 85

Corrisande nie ruszała się. Nóż dotykał jej gardła i czuła, jak ostrze drapie skórę. To nie była broń z zimnego żelaza, w przeciwnym wypadku dziewczyna już by się udusiła. To był ostry jak brzytwa sztylet z długim, wygiętym ostrzem.

Barczysty mężczyzna wykręcił jej przeguby na plecy i szarpnął je boleśnie ku górze. Ból zmusił Corrisande do pochylenia się, jednak nóż ograniczał możliwość ruchu. Nie mogła się za bardzo pochylić. Nie mogła też uciekać, a napastnik właśnie łamał jej rękę.

Nie pojmowała, co się stało. Docierało do niej jedynie to, że ten mężczyzna marzy, by ją zamordować. Brakowało mu tylko jakiegoś drobnego pretekstu.

Miał swoje rozkazy. Corrisande rozumiała włoski na tyle dobrze, by wiedzieć, że rozkazano mu, by pozostawił ją przy życiu i nie zranił, dopóki nie znajdzie się środek transportu. Ci obcy zamierzali ją wywieźć. To, przed czym ostrzegano młode dziewczyny, przytrafiało się teraz Corrisande. Nie chodź nigdzie sama, bo możesz zostać porwana. Żli mężczyźni przychodzą i wywożą młode dziewczyny w nieznane.

Nie spodziewała się jednak, że tymi złymi mężczyznami okażą się mnisi. Prawdopodobnie z kimś ją pomylili. Muszą ścigać kogoś innego. A może nie. Ojciec Corrisande był bogaty, może chodziło o jego pieniądze. Nie znajdowała żadnego logicznego związku pomiędzy swoją nową, ciężką sytuacją a przeżyciami z ostatnich dni.

Jednak po wszystkim, co jej się ostatnio przydarzyło, nie mogła wykluczyć tej możliwości. Tyle tylko, że nie wiedziała, co się tak właściwie stało. Weszła na schody dla służby, a tam już czekali mnisi: żyłasty ksiądz, potężny mnich i przypominający szczura mężczyzna w cywilnym ubraniu. Corrisande czuła się skrupowana, że widzą ją taką obszarpaną, zakrwawioną i zaniedbaną, ale to im nie przeszkadzało.

Ksiądz wykonał krótki ruch głową i potężna ręka przesłoniła dziewczynie usta. Broniła się, ale chwyt był jak z żelaza, zaś druga ręka uderzyła Corrisande w twarz. A potem zabrzmiał rozkaz: żywa, zdrowa i cicha.

Powlekli ją po schodach i wepchnęli do pustej pralni. O tej porze nikt tu się nie kręcił, zwłaszcza że hotel i tak był prawie pusty. Nikogo, kto by pomógł Corrisande. Gdy mężczyzna wyjął nóż, była pewna, że ją zasztyletuje.

Ale on ją tylko trzymał. Stała spokojnie. W głowie kłębiły jej się myśli. Mnich przybrał taką pozycję, że dziewczyna nawet nie mogła go kopnąć. Jednym ruchem mógł złamać jej rękę. Bez wahania poderżnąłby też gardło.

Dlatego pozostała w bezruchu. Może później trafi się lepsza okazja, by się wymknąć. Gdyby Corrisande zaczęła się teraz bronić, zginęłaby.

Czekała zatem na powrót mężczyzn, którzy chcieli, by dziewczyna pozostała żywa, zdrowa i cicha. Była więc cicho. Może wtedy wyjdzie z tego nawet żywa i zdrowa.

Ale oczywiście nie była spokojna. Włosy stawały jej dęba. Wyraźnie czuła dziwaczną naturę swojego strażnika i przyjemność, jaką sprawiało mu zadawanie bólu. Corrisande wiedziała, że od tego bólu dzielił ją tylko krótki rozkaz.

Nie była w stanie ocenić, jak długo stała tak sparaliżowana. Wydawało jej się, że nieskończenie długo. Koncentrowała się na spokojnym oddechu i bezruchu. Próbowwała nawet nie mrugać. Starła się odsunąć ból spowodowany wyginaniem jej ramion. Wielkie łapy mnicha zaciskały się na oparzeniach. To bolało. Potwornie bolało, a on o tym wiedział. Robił to umyślnie i gdyby Corrisande zareagowała, poderżnąłby jej gardło. Wyraźnie czekał na błąd z jej strony, tęsknił za tym, co mógłby dziewczynie wtedy zrobić.

Nieustannie zadawała sobie pytanie, czy ktoś mógłby przyjść jej z pomocą. Ale kto? Nikomu jej nie zabraknie. Marie - Jeannette zacznie się martwić dopiero za jakiś czas. Mrs Parslow już nie było. Asko nienawidził Corrisande, straciła zarówno jego, jak i jego ochronę. Nie będzie mu jej brakować, zaś Delacroix przyrzekł unikać jej obecności. Nawet ten feyon miał inne priorytety, a w dodatku dopiero co go poznała. Dlaczego miałby się o nią martwić?

Została sama. Jedyńm człowiekiem, który mógłby jej pomóc, był przedstawiciel jej ojca, a tego sama zamordowała. Jeśli gbur, który ją trzymał, poderżnie teraz Corrisande gardło, nikogo to nie wzruszy.

Drzwi otworzyły się i znów pojawił się żyłasty ksiądz.

- Miss Jarrencourt! - powiedział i Corrisande wiedziała już, że jej z nikim nie pomyłono. Nie była pewna, czy powinna się z tego cieszyć. - Niech mnie pani uważnie posłucha. Należymy do Bractwa Światła. Najprawdopodobniej słyszała pani o nas.

- Nie - wyszeptała, próbując nie poruszyć przy mówieniu głową, ponieważ ostrze wciąż naciskało na jej szyję.

Ksiądz popatrzył sceptycznie.

- To dziwne - powiedział. - Myślałem, że nie ma takiego Si na świecie, do którego nasza sława jeszcze nie dotarła.

Corrisande zastanawiała się, czy skłamać o swoim pochodzeniu. Zdecydowała się tego nie robić. Ksiądz wiedział. W jego głosie nie było cienia wątpliwości.

- Dopiero wczoraj dowiedziałam się o śladach mego dziedzictwa Si - przyznała. - Nie wiedziałam o tym wcześniej.

- Wielki Boże! - Ksiądz mlasnął. - To musiał być prawdziwy wstrząs.

- Tak - wyszeptała.

- Cóż - ciągnął - nie mogło pani umknąć, że różni się pani od innych ludzi. Grzeczne, pobożne dziewczyny nie stają się złodziejkami.

Temu również nie zaprzeczyła, milczała, nie poruszając się.

- Udoskonale pani wykształcenie. Bractwo Światła, czy też Fraternitas Lucis, strzeże interesów rodu ludzkiego, dzieci bożych. Pani, Miss Jarrencourt, nie należy do tej wspólnoty. Nie jest pani człowiekiem. Jest pani niczym. Ucieszy się pani jednak na wieść, że jako przedmiot wymiany ma pani dla nas pewną wartość. Istnieje zatem możliwość, że jakoś to pani przeżyje, o ile zrobi pani to, co powiem. Będzie mi pani posłuszna co do joty, rozumiano?

- Tak.

- Będzie pani odpowiadać na moje pytania zgodnie z prawdą i zwięźle. Wystarczy „tak” lub „nie”. Proszę oszczędzić nam zbędnej gadaniny. Nie jestem zainteresowany wysłuchiwaniami pani usprawiedliwień, żebranina i błagania nudzą mnie, a żalenie się będę karał. Zrozumiano?

- Tak - odparła.

- Ten pobożny człowiek, który panią trzyma, ma wielkie doświadczenie w wydobywaniu informacji z mrocznych kreatur. Doskonale wie, jak pani podobnym zadawać ból przez długi czas. Proszę nie psuć mi nastroju, Miss Jarrencourt, bo w przeciwnym wypadku zapozna się pani ze sztuką brata Giuseppe. Czy to jasne?

- Tak. Czy mogę zadać pytanie?

- Zezwalam. Jak ono brzmi?

- Na co chce mnie pan wymienić?

- Na rękopis. Gdy tylko Delacroix będzie go miał, zaproponuję mu wymianę: artefakt za pani życie. Pozostawiłem jednego z braci w hotelu, by mógł pułkownika o tym poinformować. Widziałem, jakimi spojrzeniami obdarzała pani Delacroix. Nie umknęło mi pani grzeszne pożądanie, zaś wielce szacowna Mrs Parslow poinformowała mnie, że miało miejsce namiętne spotkanie. Czy ma pani z nim romans?

Nie, pomyślała.

- Tak - odpowiedziała.

- Dobrze. Wymiana staje się jeszcze bardziej prawdopodobna.

Wykluczone, pomyślała Corrisande.

- Tak - odparła łamiącym się głosem.

„Mam do wypełnienia obowiązków i nie mogę ani nie zamierzam pozwolić, by cokolwiek stało mi na przeszkodzie. Niezależnie od tego, jak słodkie i miłe by to było” - przypomniała sobie słowa Delacroix. Właściwie już była martwa.

- Pójdzie pani teraz spokojnie z nami. W podwórzu czeka dorożka. Brat Giuseppe zadzga panią, jeśli oddali się pani od nas choć na krok. Wolę, żeby była pani martwa, niż uciekła. Zrozumiała pani?

- Całkowicie - odpowiedziała Corrisande.

Ruszyli. Barczysty zakonnik wziął dziewczynę pod rękę i odsunął nóż od jej szyi, kierując ostrze w lewą pierś. Corrisande czuła jego pragnienie, by wbić sztylet. Nie da mu ku temu powodu. Szła obok, łagodna, grzeczna, posłuszna i absolutnie wystraszona.

Zaczął padać śnieg. Bose stopy dziewczyny zapadały się w miękką, mokrą biel. Już wcześniej było jej zimno, a teraz Corrisande zrobiło się lodowato. Płatki śniegu tańczyły w skąpym świetle latarni. Dorożkarz świadomie patrzył w inną stronę, gdy się do niego zbliżali. Był przekupiony, uświadomiła sobie dziewczyna. Jeśli ktoś zapyta, dorożkarz o niczym nie będzie wiedzieć. Wywiezie Corrisande w noc, a potem zapomni. Dla niego cała ta sprawa nigdy nie miała miejsca.

Było zimno. Podarta, wilgotna suknia nie chroniła przed intensywnym chłodem. Corrisande miała dreszcze, drżała w rękach swojego strażnika. Sprawiało mu to przyjemność.

Na sztywnych nogach wsiadła między dwoma mężczyznami do dorożki. Opuścili skórzane zasłony na okna, co przy tak ciemnej nocy było zbędnym środkiem bezpieczeństwa. Barczysty mężczyzna usiadł przy niej, a ostrze noża zadrapało jej pierś. Tylko trochę. Corrisande

chętnie by coś powiedziała, ale dała sobie spokój. Ten drań tylko by ją ukarał.

Gdy dorożka gwałtownie ruszyła, znów ją zaciął. Uśmiechał się - dziewczyna nie mogła tego widzieć, ale czuła wyraźnie. Zastanawiała się, dokąd ją zabierali. Niedaleko, nie w takich ciemnościach i przy padającym śniegu. Ale i tak nikt nie znajdzie Corrisande, ponieważ nikt jej nie będzie szukał. Marie - Jeannette może na tyle oprzytomnieje, że zawiadomi ojca, upłynie jednak trochę czasu, zanim nadejdzie odpowiedź z Francji. Zbyt dużo czasu.

Koła turkotały na bruku. Corrisande słyszała, jak na mokrym, oblodzonym gruncie konie niepewnie stawiały kroki. Może się poślizną? Może dorożka wpadnie na coś w ciemności? Może uda się uciec w zamieszaniu?

Na pewno nie. Przy pierwszych oznakach kłopotów mnisi zabijają zakładniczkę. Ostrze noża obrysowało jej piersi. Ten człowiek na swój sposób ją pieścił. Corrisande znów usłyszała słowa Delacroix: „Męczenie Si nie sprawia mi przyjemności”. Najwyraźniej innym tak.

Nie zastanawiała się, dokąd ją zabierali mnisi. Tych dwóch i tak by tego nie zdradziło. Ksiądz nie był typem, który złośliwie okazywałby swoją przewagę. Nic by jej nie powiedział, by wyraźnie pokazać, jaką ma władzę. Był rzeczowy, może nawet pobożny. Po prostu nie patrzył na Corrisande jak na człowieka.

W szparze między zasłoną a oknem widziała maleńki wycinek świata. Śnieg sprawiał, że noc była trochę jaśniejsza. Od czasu do czasu mijali jakąś latarnię gazową, rzucającą daremne, widmowe światło.

Nikt nie przybędzie z pomocą. Jeśli Corrisande chciała przeżyć, musiała sama znaleźć drogę ucieczki. Jednak z tym potworem u boku wydawało się to nie do pomyślenia. Rozerwie ją na kawałki, rozszarpie członek po członku. Szkoda, że mnisi wiedzieli o jej umiejętnościach złodziejki. Będą bardzo ostrożni, gdy ją zamkną.

Ale przynajmniej samą. Bez tego wstrętnego szaleńca siedzącego obok, którego lodowata broń wciąż dotykała dziewczyny i przez podartą suknię przesuwiała się po skórze, badała kontury ciała. Tak długo, jak mnich znajduje się w pobliżu, Corrisande będzie posłuszna. Będzie robić wszystko, czego się od niej zażąda.

Czuła się podle. Nie jadła nic od śniadania, a tak wiele się wydarzyło. Zbyt wiele. Wysłuchiwała formalnych oświadczeń jednego

mężczyzny, niemal umarła z ręki drugiego, była uwięziona i zamknięta, wspinała się po murze, pozwoliła się całować wampirovi, wyszła na spotkanie najwstrętniejszemu ze wszystkich feyonów, przyglądała się śmierci Elizy w ogniu, a później niczym śmieć została porzucona przez swego wielbiciela. Była niczym, jak powiedział ksiądz, a ten młody mężczyzna, który jeszcze niedawno okazywał Corrisande tyle uprzejmości, podzielał to przekonanie.

Oczywiście mogła zakończyć tę serię bolesnych zdarzeń, wystarczy się pochylić. Jeśli Corrisande zrobi to dostatecznie szybko, oprawca zasztyletuje ją i wszystko się skończy. Tym razem jednak nikt jej nie przyrzekł, że stanie się to szybko, ale wiedziała dostatecznie dużo o nożach i ich działaniu, by sprawić, że nie przeżyje zbyt długo.

Ale nie chciała opuszczać jeszcze tego świata. Z każdym kolejnym cierpieniem, które musiała znosić, rosło w Corrisande pragnienie, by żyć, zupełnie jakby ta straszna sytuacja budziła w niej większy upór i wolę przeciwstawienia się śmierci. Dopiero w nieszczęściu pojęła wartość życia. Chciała przeżyć. Nie wiedziała jeszcze jak, ale będzie próbować. Nie zamierzała po prostu się poddać i opuścić ten świat bez walki. Nawet jeśli nie mogła wygrać.

Westchnęła cicho. Niemal czekała na to, by usłyszeć głos von Orvena: „Dobrze się pani czuje, Miss Jarrencourt?”. Ale podporucznik już nigdy jej o to nie zapytał. Nienawidził Si tak bardzo, że było mu obojętne, co się działo z Corrisande. Może nawet uznałby, że wszystko przebiega jak należy.

Nie. On nie był tym typem człowieka, któremu zadawanie bólu sprawiało przyjemność. Asko von Orven zranił Corrisande w inny sposób. Obrzydzeniem na twarzy.

- Spokojnie, Miss Jarrencourt.

- Tak - odpowiedziała.

Powóz, turkoczając, skreślił za róg, a dźwięk podków na chwilę się zmienił. Echo odbijało się od ścian. Opuścili stare Monachium i znaleźli się na przedmieściach. Świat wyższych sfer, bogatych i pięknych, pozostał za Corrisande. Może nigdy do niego nie należała. A może jednak?



## Rozdział 86

Dał sobie wiele czasu na umieranie. Od chwili, gdy kula trafiła go w serce, do momentu, w którym mały nóż z zimnego żelaza wystawał z jego szyi, zamienił korytarz w zwały gruzów. Podobne do kraterów odpryski na ścianach. Dymiące dywany. Roztrzaskane drzwi, krzywo wiszące na zawiasach. Z mebli, które stały w korytarzu, pozostały jedynie odłamki i drzazgi.

- Czy teraz nie żyje? - zapytał Delacroix.

- Nie żyje - odparł Arpad. Twarz wykrzywił mu smutek. Patrzył skruszony na zalane krwią zwłoki ich wroga.

- Przykro mi - powiedział cicho. - Tak mi przykro. Von Orven parsknął wzgardliwie.

- W takim razie dziwię się, że nie zmienił pan strony.

- Chciał nas wszystkich zetrzeć z powierzchni ziemi. Wy bylibyście jedynie zniewoleni. Nienawidził mojego gatunku bardziej niż pańskiego, choć jestem pewien, że nikt z nas nie potraktował go tak źle jak pańska rasa, panie podporuczniku.

Graf Arpad przysunął się do ściany i oparł o nią. Schodził z drogi pociskom z niemal bolesną szybkością. Jego ruchy osłabiły koncentrację Steinberga i odciągnęły ogień od ludzi. A Si wciąż był ranny. Wciąż trochę kulał i przymykał powieki, ukrywając spojrzenie, które w swojej intensywności kryło drapieżność.

McMullen podszedł do niego. Wyglądał na zmęczonego, pobałdł i masował sobie skronie.

- Zdaje się, że przegapiłem ciekawą bitwę - skomentował i przyjrzał się zniszczeniom wokół. - Zastanawiam się, czy bawarskie władze wezmą na siebie koszt remontu.

- Albo brytyjskie - wypalił von Gorency. Ostrożnie zdjął mundur i oglądał swoje ramię. Pocisk rzeczywiście przebił tylko materiał. Mimo to miał potężnego krwiaka pod bicipsem. Paskudna pamiątka.

- Boli? - zapytał Asko.

- Tak. Ale mogło być gorzej. Centymetr bliżej i nie miałbym już ręki. A to by mi już przeszkadzało - odparł Udolf. - Niemniej przez jakiś czas będę musiał strzelać i fechtować lewą ręką.

- Jeśli będziemy mieli szczęście, to przez chwilę nie będziemy musieli ani strzelać, ani fechtować - zapewnił Delacroix.

McMullen wyciągnął ręce. Zmaterializował się w nich zwinięty rękopis. W grupie zaległa cisza. Oficerowie nerwowo przyglądali się artefaktowi, który pojawił się jakby znikąd. Rękopis, który otwiera wrota piekieł albo całkowicie zmienia świat. Trzech mężczyzn cofnęło się o krok, nie zdając sobie z tego sprawy, zaś Si przyglądał się z zainteresowaniem, uważnie przy tym bacząc, by wyraz jego twarzy pozostał neutralny. Manuskrypt wyglądał przeciętnie. Zwinięty pergamin. Krawędzie zapieczętowane woskiem.

- A więc to jest to - powiedział Delacroix. - Wielu ludzi kosztował życie.

- Mógł kosztować i nasze - odparł McMullen i przyjrzał się zwojowi. - Tylko niewyraźnie mogę sobie przypomnieć drugą część walki, muszę jednak przyznać, że jestem zdziwiony, iż wyszliśmy z tego żywi i niemal bez szwanku. - Przerwał na chwilę. - To oczywiście dobrze, musimy to bowiem wysłać do Anglii, a kto wie dla kogo jeszcze rękopis stanowi wartość. To nie koniec. Znow zapadła cisza.

- Co teraz zrobimy? - zapytał von Orven.

- Najpierw obejrzymy sobie ten pokój. Ten doktor był mistrzem sztuk tajemnych, może nie oficjalnie, ale jego zdolności pozwalają go tak nazywać. Muszę sprawdzić, co przygotował. Nie sądzę, aby było to jeszcze niebezpieczne, ale nigdy nie wiadomo. Delacroix, niech pan się zaopiekuje rękopisem, gdy będę przeszukiwał pokój. Byłoby mi miło, gdyby któryś z panów towarzyszył mi podczas badania jaskini Steinberga. - Podał zwój Delacroix, który skrzywił się, jakby dano mu do potrzymania rozżarzony węgiel.

- Pójdę z panem, jeśli pan chce - zaoferował graf Arpad. McMullen uniósł brwi. Następnie skinął głową.

- Dziękuję. Jestem wdzięczny za pańską pomoc. Za całą pańską pomoc. Wyjątkowo wdzięczny.

Niemal oczekiwał, że von Orven będzie miał coś przeciwko wtrącaniu się Si, jednak młody mężczyzna milczał. Zajęty był wyciąganiem noża. Wytarł go bardzo dokładnie w chusteczkę ze źle skrywaną odrazą.

McMullen podszedł do drzwi, otworzył je i zajrzał do pokoju. Następnie przeszedł nad leżącymi na podłodze zwłokami ich wroga. Wewnątrz panował potworny bałagan. Fragmenty miedzi krążyły jak szalone na sznurkach, inne znieruchomiały stopione. W miejscach,

gdzie na dywan kapał stopiony metal, unosił się dym. Na stole znajdował się piasek. Usypany był w wysoki, stromy stożek, zakończony zadziwiającym czubkiem.

McMullen podszedł bliżej.

- Niech pan nie dotyka - upomniał go Si.

- Nie miałem takiego zamiaru - odpowiedział McMullen. - To się powinno zawalić. Piasek nie trzyma się tak sam z siebie. To nienaturalne.

Okrzykli ostrożnie stół. Graf Arpad wyglądał jak drapieżnik przed skokiem - a potem rzeczywiście skoczył, tyle że w bok, i złapał McMullena, który się zachwiał.

- Święty Boże! - wykrzyknął McMullen. - Też pan to czuje?

- Tak - rzekł Si z bolesnym grymasem. Ten skok nie przysłużył się jego nodze. - Muszę jednak przyznać, że nie potrafię ocenić, do czego to służy.

- Ja też nie. Problem polega na tym, czy powinniśmy to od razu zepsuć, czy też zostawić i ustalić najpierw, do czego to służy.

Graf Arpad wzruszył ramionami.

- Nie wiem - przyznał. - Nie studiowałem pańskiej nauki. Steinberg natomiast tak. Piasek dla mnie jest tylko piaskiem. Żadnym medium koncentracji, żadną substancją, z której można tkać zaklęcia. Używanie pomocniczych obiektów do osiągnięcia magicznego celu jest typowo ludzką praktyką. To jedna z głównych różnic pomiędzy naszymi mocami. Ludzcy mistrzowie sztuk magicznych są naukowcami. Dla nas przesuwanie granic fizycznych praw dla określonego celu stanowi raczej formę osobistej sztuki, a nie naukę, którą się studiuje. Nie badamy, nie przeprowadzamy eksperymentów i nie ustalamy warunków do przeprowadzenia doświadczeń. Wiemy to, co wiemy, a wszystko inne jest nieistotne. Przyznaję jednak, że ta mała piramida wydaje się dość groźna.

- Sztuka, a nie nauka - powtórzył zachwycony McMullen. - To brzmi fascynująco. Kiedy wszystko już się skończy, już się cieszę na ciekawą dyskusję z panem. Mało wiem o panu i pana sztuce.

Feyon zaśmiał się złośliwie.

- Chyba jednak przy tym pozostaniemy. Wiedzę o Si zawsze wykorzystywano przeciwko nam. Kiedy to wszystko się skończy, każdy z nas pójdzie swoją drogą. W przeciwnych kierunkach. Nie jestem tak naprawdę zbyt... towarzyski.

- Kim pan jest... tak naprawdę? - zapytał McMullen i uśmiechnął się do feyona, którego zaczynał szanować.

- Mężczyzną, który kocha Cerise Denglot. A Cerise bierze w tym udział, więc i ja muszę, choćby tylko po to, by trzymać ją z dala od kłopotów. Ma prawdziwy talent do pakowania się w tarapaty.

McMullen wyszczerzył zęby.

- Mogę to tylko potwierdzić. - Obdarzył mężczyznę wymownym spojrzeniem.

A potem obaj powiedzieli równocześnie:

- Niech pan zostanie, gdzie pan jest, Delacroix, niech pan się nie zbliża z tym rękopisem.

Żaden z nich nie odwrócił się jednak w stronę drzwi.

- Potrzebny nam jakiś plan - powiedział Delacroix w progu. - Chętnie już jutro pojechałbym pociągiem do Paryża, a stamtąd do Anglii. Pierwszy pociąg odchodzi wczesnym przedpołudniem. Damy radę to zrobić? Panowie podporucznicy mają rozkaz, by towarzyszyć mi do Anglii i dać mi wsparcie, a ściślej mówiąc, nam.

Nie odwracając się do feyona, McMullen odpowiedział:

- Nie chcę wyjeżdżać, dopóki nie zabezpieczę tego pokoju. Nie wiem, ile czasu będę na to potrzebował. Nie powinien pan jednak jechać beze mnie. Może przesuniemy podjęcie decyzji na później.

- A co zrobimy przez dzisiejszą noc? Może pan jakoś zabezpieczyć albo ukryć ten rękopis?

- Nie tak dobrze, jak był ukryty wcześniej. Ale zrobię, co w mojej mocy. Powinniśmy poszukać jakiegoś pomieszczenia, zabezpieczyć je jak najlepiej i zmieniać się na warcie. - Odwrócił się do Si. - Możemy liczyć na pańską pomoc?

- Nie będę państwu towarzyszył do Londynu - odparł feyon. - A gdy już skończymy z tym pokojem, to chętnie bym coś przekąsił. Atak i obrażenia kosztowały mnie sporo sił, a mam tendencję, by popadać w rozdrażnienie, kiedy jestem głodny.

- Czyż wszyscy nie jesteśmy tacy? - zapytał McMullen, a szczupły młody mężczyzna uśmiechnął się do niego, nie otwierając ust, wyraźnie rozbawiony.

- Mamy jeszcze jedzenie w naszym pokoju - wtrącił Delacroix.

Feyon odwrócił się, a jego uśmiech się nie zmienił.

- Dziękuję, pułkowniku, ale wolę się trzymać własnego fourrage. Mam dość nietypowe potrzeby. Moje pożywienie musi być szczególnie świeże.

- Jak pan woli - odparł Delacroix. - Von Gorenczy poszedł poinformować policję, że ponownie trzeba zabrać dwa ciała, a kierownictwo hotelu powinno się dowiedzieć, że musi wyremontować całe piętro. Co zrobimy z tym pokojem?

McMullen wpatrywał się w stół jak kanarek w węża.

- Gdybym tylko wiedział! - warknął. - Gdybym tylko wiedział!

Od strony korytarza dały się słyszeć kroki. Nadeszła Cerise. Delacroix obserwował, jak zbliżała się do nich ostrożnie, unosząc suknie, by nie zabrudzić tkaniny w tym spustoszeniu.

- Mon Dieu! - Śpiewaczka rozejrzała się poirytowana. - Nie można was zostawić nawet na pół godziny samych, żebyście nie zamienili najlepszego monachijskiego hotelu w stos gruzów i popiołów? No, co się zdarzyło?

- Steinberg był trochę mniej martwy, niż mieliśmy nadzieję. Kula w sercu nie sprawiła, że stał się zdrowszy, ale mimo to pozostał całkiem żwawy - odparł Delacroix.

- Wielkie nieba! Rzeczywiście musiał być żwawy. To prawdziwe pobożowisko. Ktoś został ranny?

- Cóż, von Gorenczy ma krwiaka na ramieniu, a graf Arpad...

- Co?! - krzyknęła, a wampir już był przy niej, brał ją w ramiona, nie zwracając uwagi na to, że Asko i Delacroix na nich patrzą.

- Wszystko ze mną w porządku, moja piękna - wymruczał i pocałował Cerise. - Nie martw się. Nic mi nie jest, tylko porządnie zgłodniałem.

Z trudem znów uwolnił się od niej, a von Orven odwrócił spojrzenie, urażony tym wystawianiem na pokaz o wiele zbyt prywatnej namiętności. Zachowanie feyona świadczyło o wyuzdaniu, które Asko uznawał za do głębi niemile. Było tak dalekie od normalnej dyscypliny i manier, że nawet nie zamierzał o tym dyskutować.

Delacroix też nie skomentował zachowania pary.

- A co z Miss Jarrencourt? - zapytał. - Jak ona się czuje?

- Och - powiedziała Cerise, trzymając kochankę za rękę. - Trochę się rozkojarzyłam. Nie znalazłam jej.

- Nie znalazłaś? - w głosie Delacroix pobrzmiwała nagana.

- W pokoju jej nie ma. Pokojówka też jej nie widziała i poszła szukać w kwaterach dla służby. Dziewczyna nie mogła wyjść z hotelu, prawda? Nie miała butów, pada śnieg, a jej suknia była poplamiona krwią i podarta. A więc Miss Jarrencourt nie może być daleko. Najprawdopodobniej gdzieś się ukryła i nie chce, by ją znaleziono. W tych warunkach to rozumiem. - Wbiła pełne wyrzutu spojrzenie w Asko, który miał dość przyzwoitości, by opuścić wzrok i nawet się zaczerwienić.

Milczeli.

- Musimy jej poszukać - zdecydował Delacroix. - Jesteś pewna, że pokojówka nie wie, gdzie jest Miss Jarrencourt?

- Powiedziała, że chyba powinna wiedzieć, ale nie może sobie przypomnieć. Była skołowana i ledwie się dało ją zrozumieć.

Asko podniósł oczy na śpiewaczkę.

- Wczoraj ta służąca też miała kłopoty z pamięcią. Ktoś ją uderzył i nie potrafiła sobie przypomnieć kto. Wspominałem panu o tym. Mówiła, że w jej pamięci brakuje około pół godziny.

McMullen znów stał w drzwiach.

- Powinniśmy byli to od razu sprawdzić - oznajmił.

- Z pewnością. Ale tak wiele się wydarzyło i znów o tym zapomniałem. Poza tym nie byłem pewien, czy ta pokojówka mówi prawdę. Chciałem zapytać Vonderbrucka, ale...

- Ale to było ważne! Jeżeli ktoś manipulował jej pamięcią, to albo mistrz sztuk tajemnych, albo Si.

Wszyscy spojrzeli na Arpada, ale on potrząsnął głową i podniósł wolną rękę w obronnym geście.

- Ja nie. Ale jestem fachowcem, jeśli chodzi o wspomnienia. Pójdę do niej i porozmawiam. - Odwrócił się do Cerise. - Mówiłaś, że w kwaterach dla służby?

- Tak. Idę z tobą.

- Nie. Zostaniesz z Delacroix.

- Zostanę z Delacroix - powtórzyła rozmarzona i stanęła przy byłym kochanku, który skwitował to posłuszeństwo spojrzeniem wielkich, okrągłych oczu. Ciemnowłosa mężczyzna, kuśtykając, zniknął na schodach.

- Muszę przyznać - stwierdził Delacroix - że on się wydaje właściwym mężczyzną dla ciebie. Przy mnie nigdy nie robiłaś tego, co kazałem.

Śpiewaczka spojrzała na niego bez zrozumienia i milczała. Pułkownik nie był pewien, czy pojęła, co powiedział.

- W każdym razie - ciągnął Delacroix - martwię się o Corrisande... Miss Jarrencourt. - Popatrz na McMullena. - Może ją pan wyczuć? Odnaleźć jej aurę?

- Nie stąd i nie od razu - brzmiała odpowiedź. - Cała atmosfera budynku jest zaburzona po tej bitwie.

Dał się słyszeć warkot i mag odwrócił się w stronę pokoju. Wirujące przedmioty się zatrzymały. Stożek z piasku unosił się nad stołem i obracał coraz szybciej wokół własnej osi. W następnej chwili wyleciał niczym pocisk przez okno i zniknął w ciemności nocy. Zanim przebrzmiał brzęk tłuczonego szkła, wir zdążył już zniknąć bez śladu.

- Ojej - powiedział McMullen. - Chciałbym wiedzieć, co się teraz stanie.

## Rozdział 87

Graf wiedział, gdzie mieszkała Marie - Jeannette. Nie mógł przeoczyć tak cudownej młodej kobiety. Była żywym, kwitnącym, tryskającym energią zaproszeniem - i to nie tylko dla stworzeń takich jak Arpad. Jej serce wybijało już powitalne pozdrowienie. Wygłodzone zmysły Si zogniskowały się na przyjęciu pokarmu. Wampir cieszył się, że znalazł powód, by uciec od grupy. Nawet bardzo się cieszył. Był już nawet na tyle nieostrożny, by zacząć mówić o swoim głodzie. Walka wyniszczyła go jednak, wypaliła i uczyniła łapczywym, a to nie było zgodne z jego naturą, by w takich okolicznościach utrzymywać pozory przyjaznego, niewinnego i szarmanckiego mężczyzny. Ale teraz mógł się napić.

Przedtem jednak musi dziewczynie zadać parę pytań. Arpad musi się na tym skoncentrować i nie wolno mu też zabrać zbyt wiele krwi. Ta pokojówka będzie jeszcze potrzebna, musi pozostać ożywiona i jasno myśląca. Jeśli zemdleje albo zaśnie z wyczerpania, nie przyda się na nic.

Arpad potrzebował jej krwi. Złamanie kosztowało go więcej sił, niż przyjął z krwi, którą wypił wieczorem, zanim jeszcze poszedł z Cerise do ludzi z jej grupy.

Noga jeszcze go trochę bolała, ale była już prawie wyleczona. Lekki ból przeszkadzał mu jednak. Każdemu przeszkadzał ból. A w dodatku graf nie był przyzwyczajony do cierpienia. Wampira ciężko zranić. To, co pojmował jako ból, było głodem, pragnieniem i żądzą. Ta kombinacja nieustannie go napędzała. Napędzała go również teraz. Była twardą mistrzynią.

Musiał się napić. I miał zadanie. Rzecz jasna, mógł połączyć jedno z drugim, był jednocześnie przyjemny i dokuczliwy, choć ta mała ilość krwi, jaką bez ryzyka mógł zabrać pokojówce, w żadnym wypadku nie zaspokoi jego przemożnego pragnienia. Żałośnie mała ilość. A może wcale nie tak mała? Trochę więcej? Tylko trochę?

Już dawno podjął trop. Wyczuwał obecność pożywienia - mieszkającego w hotelu personelu, pokojówek i służących nielicznych gości. Swym niezwykle wyczulonym zmysłem słyszał bicie wielu serc. Już najwyższy czas, by pić, brać i smakować. Ostatnie minuty kosztowały Arpada nadludzko dużo silnej woli. Skupił się na przedstawieniu siebie jako energicznego, uprzejmego mężczyzny, za



jakiego grupa oficerów i mag może nawet go uważali. Czasami zresztą graf taki był. Ale tylko czasami.

Teraz nie był. W chaosie wrażeń i przebrzmiałych emocji wyczuwał już zapach i aurę rudowłosej dziewczyny. Sunął ku jej drzwiom niczym polujący drapieżnik. Niemal czuł jej miękką jak aksamit skórę na swych ustach. Oblizwał wargi. Ale istnieją priorytety, kolejność zdarzeń. Ludzie potrzebowali informacji.

Dziewczyna akurat wyszła z pokoju. Wyglądała na zatroskaną.

- Marie - Jeannette! - powiedział graf Arpad, a ona uniosła wzrok, uśmiechnęła się niepewnie i dała złapać spojrzeniu Si. Jaka piękna. Rude włosy wysunęły jej się spod czepka. Dekolt głęboko wcięty, jak powszechnie przyjęte u pokojówek, a jej szyja... Jej szyja była niemal boska.

W niecałą sekundę Arpad sprawił, by znów znalazła się w pokoju. Siła woli i dobre chęci gdzieś przepadły. Umysł wampira opanował pokojówkę, pieścił jej myśli. Ręce Si dotknęły jej ciała, dały rozkosz. Westchnęła, a jej usta się rozchyliły. Wampir musi ją przepytac. To było ważne... i już jego zęby odnalazły szyję i wbiły się w białe ciało. Dziewczyna była pyszna. Smakowała wyśmienicie i wspaniale i wampir chciał jej więcej.

Czuł jej oszalały puls, bicie serca tętniące dla niego jej przyjemnością, w gwałtownym rytmie. Dziewczyna przycisnęła miękkie piersi do grafa Arpada. Dyszała.

Polizął jej rany, by je zamknąć. On również dyszał, walczył o panowanie nad oddechem. Chciał więcej, o wiele, wiele więcej. Walczył, męczył się ze swym popędem, ze swym instynktem, ze wszystkim, co stanowiło jego istotę.

Nie teraz. Teraz nie. Później. Jutro. Posadził pokojówkę na łóżku i z wielkim wysiłkiem cofnął się o krok. Delikatnie opuścił jej myśli. Oczy dziewczyny zaczęły spoglądać świadomie. Wyglądała na zakłopotaną i nieufną.

- Nie bój się - powiedział Si. - Jestem przyjacielem. Graf Arpad.  
- Ukłonił się oficjalnie. To poirytowało ją jeszcze bardziej. - Jestem przyjacielem mademoiselle Denglot. Szukamy Miss Jarrencourt.

Czuł, jak dziewczyna próbuje nad sobą zapanować. Dostrzegał jej fizyczną reakcję na niego, reakcję, której nie rozumiała, ponieważ nie wiedziała, co się stało i co wywołało emocje. Była młodą kobietą, która nie bała się namiętności. Oczy miała szeroko otwarte, a

obecność grafa Arpada była dla niej jak udręka, zastanawiała się poważnie, czy go nie dotknąć, czy nie wyciągnąć do niego ręki. Czuł to wyraźnie. Wspaniała kobieta, świadoma swoich pragnień i żądy, jak też radości, której pewnego dnia zazna. Była niczym młoda, rozbrykana kotka, a jednak pełna od dawna już dorosłej zmysłowości.

Nie wyciągnęła ręki. Szkoda. A może i lepiej. Lepiej dla niej. Lepiej dla nich wszystkich.

- Nie wiem, dokąd poszła - powiedziała Marie - Jeannette. - Nie widziałam jej już od paru godzin. Ostatnio byłam w salonie dla dam. Nie miałam odwagi stamtąd wyjść, ponieważ napadł mnie na korytarzu brutalny drań. Prawie złamał mi rękę. - Uniosła ramię, pokazując zielone i niebieskawe siniaki, zaś feyon poczuł całkiem blisko jej apetyczny puls. - Mrs Parslow mówiła, że szuka jakiegoś lekarza. Może żadnego nie znalazła.

- Och - odparł oschle Si - znalazła jednego. - Znów spoważniał. - Bardzo mi przykro, ale to, co teraz powiem, nie będzie przyjemne. Mrs Parslow nie żyje, lekarz zresztą też. Bardzo cię boli to ramię?

- Da się wytrzymać. Już jest lepiej. Naprawdę nie żyje? - Dziewczyna wydawała się raczej zainteresowana niż zmartwiona.

- Tak, a Miss Jarrencourt zniknęła. Nie możemy jej znaleźć. Podporucznik von Orven mówił, że wczoraj cię napadnięto.

Wyglądała, jakby się zaniepokoiła i poczuła niezręcznie.

- Nie mogę sobie przypomnieć - wyszeptała.

- Pomogę ci - powiedział Arpad grzecznie i przysunął sobie stołek do jej łóżka. - Mogę usiąść? - Usiadł przy niej, gdy zaprosiła go gestem. - Spójrz mi w oczy - rozkazał, a pokojówka to zrobiła. - Powiedz mi, gdzie cię uderzono.

Dotknęła twarzy, na której wciąż widoczny był siniak.

- Czujesz, jak ktoś cię uderza? Skuliła się.

- Tak - powiedziała. - Tak, całkiem wyraźnie.

- Myśl o ręce, podążaj spojrzeniem za ręką, za ramieniem. Możesz ujrzeć tego człowieka?

- Mnich! - krzyknęła przestraszona, gdy powróciło wspomnienie.

- To był zakonnik. Ten, który zaatakował mnie również dzisiaj. Wciągnął mnie do pokoju i uderzył, gdy go ugryzłam.

Graf Arpad skinął głową. Obawiał się, że za zniknięciem Corrisande kryje się Bractwo.

- Kto tam jeszcze był? Patrz na mnie, Marie - Jeannette, patrz mi prosto w oczy!

- Jeden ksiądz i jeden człowiek w cywilu. Zrobił przede mną jakiś znak ręką, a potem... - nagle zamilkła.

- Co potem?

- Zadawał mi pytania. - Zaczęła płakać, łzy toczyły się po jej policzkach. - Pytał o Corr... o Miss Jarrencourt, a ja powiedziałam mu wszystko, co wiem o niej i o jej ojcu, i o Mrs Parslow, i o jej planach, i wszystko. Nigdy bym tego wszystkiego nie powiedziała! Nigdy! Na pewno nie. Zmusił mnie.

Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać jak dziecko. Jej ramiona drżały od szlochów. Była głęboko zawstydzona tym, że zawiodła, że nie dochowała tajemnicy. Coś z jej erotycznego uroku znikło. Nagle wydawała się niedojrzała, bezbronna i nie była już tak kuszącą młodą kobietą.

- A jakie miała plany? - zapytał graf i zauważył, jak próbowała zamknąć się przed nim i jego pytaniami. Był obcy. Nie miała żadnego powodu, by mu ufać. Po prostu pojawił się nagle, znikąd.

Uspokoił ją przyjazną myślą. Nie patrzyła na niego, wciąż chowała twarz w dłonie.

- Musisz mi to powiedzieć - naciskał Si. - To ważne.

- Chciała znaleźć jakiegoś dobrego mężczyznę i wyjść za niego. Nie chciała... - Znów zamilkła i popatrzyła na feyona, a on znów pogłaskał jej wystraszone zmysły. - Nie chciała być więcej złodziejką. Przyjechałyśmy na sezon balowy. Ale zakonnicy w to nie uwierzyli. Na pewno nie.

- Co powiedzieli?

- Nie wiem. Mówili, ale zupełnie ich nie rozumiałam.

Chwycił ją za nadgarstki i odsunął ręce od twarzy. Pozwoliła na to. Feyon był pewien, że nie zasługiwał na tak wiele zaufania.

Policzki dziewczyny były mokre od łez. Jej wargi drżały, miękkie, urocze wargi.

- Pozwól mi cię dotknąć. Spróbujemy razem to sobie przypomnieć. - Ujął jej twarz w dłonie i uniósł. - Skoncentruj się na moich oczach i zacznij mówić. Nie uciekaj spojrzeniem!

Drżała.

- Kręci mi się w głowie - poskarżyła się.

- Wiem. Nie zwracaj na to uwagi. Nie możesz upaść. Trzymam cię.

Jej skóra była delikatna, włosy jedwabiste. Mówiła bez przerwy, a feyon rejestrował każdą informację, ale nie potrafił się do końca skupić. Jego wzrok wędrował po ciele pokojówki. Czuł jej tętniącą krew, czuł ciepło w swoich rękach. Tak wiele małych purpurowych rzek, które płynęły w dziewczynie, by go kusić. Czuł pulsujące życie i zastanawiał się, czy jeszcze raz jej nie spróbować. Tylko trochę.

Nie, lepiej nie. Musiał sobie odmówić. Innego dnia. Jutro, z całą pewnością jutro.

Pokojówka zamilkła i patrzyła na Si zalekniona. Nie bała się o siebie. Bała się o swą panią, która zdawała się również jej przyjaciółką. Bardzo się martwiła.

Miała ku temu wszelkie powody. Graf Arpad pochylił się nad Marie - Jeannette i kciukami otarł łzy z jej policzków.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

- Nigdy więcej już tego ze mną nie zrobisz! - krzyknęła wzburzona Cerise. Szybkim krokiem weszła do pokoju, trzasnąwszy drzwiami. Policzki płonęły jej gniewem, a zielone oczy błyskały taką wściekłością, że zdawała się jeszcze piękniejsza niż zazwyczaj. Była naprawdę wściekła. - Kazalesz mi tam stać jak jakiejś pozbawionej mózgu idiotce! Gdyby McMullen mnie od tego nie uwolnił, wciąż jeszcze bym stała i głupio szczyrzyła zęby!

Zdażyła już rozejrzeć się po pokoju. Dziewczyna płakała na łóżku. Torlyn siedział zbyt blisko niej, z dłońmi na jej twarzy.

- Co z nią zrobiłeś? - krzyknęła Cerise. Torlyn wstał.

- Cerise, uspokój się.

- Ani myślę się uspokajać, T...

Przejął jej umysł gwałtownie, odbierając jej słowa i zatrzymując myśli. Zaraz też go uwolnił, a kobieta wytrzeszczyła oczy i rozchyliła usta.

- Marie - Jeannette - powiedział, nie odwracając się do dziewczyny - bądź tak miła i poczekaj na nas na zewnątrz. Mamy sobie coś do wyjaśnienia. To nie potrwa długo. Wiem, że to twój pokój, ale proszę cię o odrobinę cierpliwości.

Dziewczyna skinęła głową i uniosła się z łóżka.

- Poczekam na zewnątrz - powtórzyła i wyszła. Widziała już zbyt wiele kłótni między kochankami, by ta miała ją jakoś szczególnie interesować.

Drzwi się zamknęły.

- Przykro mi - powiedział Si - jeśli sprawiłem ci ból. Cerise patrzyła na niego gniewnie. Zaraz jednak jej spojrzenie złagodniało. Stali przed sobą, nie dotykając się.

- Mnie też jest przykro - powiedziała w końcu. - Nie powinnam tego przy niej mówić. Ale... ty... piłeś jej krew, prawda? - w jej głosie nie brzmiało zadowolenie.

- Tak. Musiałem. Cerise, wiesz, kim jestem i jak żyję. Podzieliłem się z tobą moją tajemnicą. Nie atakuję ludzi dla przyjemności. To mój sposób na przeżycie, wiesz przecież.

- Wiem. Wiem - sarknęła wzburzona i ze zniecierpliwieniem. - Ale to co innego, jeśli znam kobietę, a ta na dodatek jest śliczna.

- Tak. Jest bardzo atrakcyjna i piłem jej krew. Nie wypilem wiele. Jestem bardzo głodny, Cerise, i nie do końca nad sobą panuję. Nie utrudniaj mi tego bardziej. Nie możesz być zazdrosna o ludzi, których krew piję. Sprawisz, że nasze życie stanie się udręką, jeśli tego nie zaakceptujesz. - Jego głos był surowy i nieprzyjemny. - Spróbuj o tym zapomnieć albo ci w tym pomogę.

Przeżuwała w myślach odpowiedź, a potem skinęła głową.

- Myślałam, że dzisiaj już...

- Owszem, ale moje obrażenia i walka kosztowały mnie wiele energii.

Podeszła, podając Torlynowi rękę, a jego żal stopniał.

- Więc pij, mój najdroższy - powiedziała, odchylając głowę. Trzymała go mocno. Czuł, że Cerise oczekiwała dalszej rozmowy, ale nie był w stanie oprzeć się jej urokowi. Pogłaskał jej myśli i ugryzł. Skuliła się przy tym szybkim ataku. Odebrał jej ból, ale nic więcej. Żadna magia nie zabrała jej do ogrodów namiętności. Czuła, co robił, i nic więcej. Pił jej krew. Była pożywieniem, niczym więcej. Chciał, by to zrozumiała, by zobaczyła drugą stronę. A później poczuł, jak Cerise zadrżała w jego ramionach, i wlał swoją miłość wprost w jej myśli.

Na koniec ujął ją za ramiona i odsunął. Zamknął jej ranę, ale wciąż jeszcze dyszał.

Wyciągnęła rękę, ale Si zrobił kolejny krok do tyłu.

- Nie - powiedział. - Nie więcej. To musi wystarczyć, zanim znajdę kogoś innego. - Złapał śpiewaczkę za rękę. - Chodźmy!

Bez dalszej zwłoki otworzył drzwi.

- Musisz iść teraz z nami, Marie - Jeannette. - Gestem nakazał dziewczynie, by podążyła za nim.

- Są w pokoju Delacroix - poinformowała rzeczowo Cerise. Była opanowana, obojętna, niezłomna. Wspaniała kobieta. Cudowna kobieta.

Schodzili w milczeniu, każde zajęte własnymi lękami i mrocznymi myślami.

U dołu schodów Cerise zapytała:

- Gdzie jest Miss Jarrencourt?

- Najprawdopodobniej ma ją Bractwo - odparł. - Nie wiem, czy jesteś wierząca, ale jeśli tak, to powinnaś się za nią modlić. Niewiele więcej da się zrobić.

- O Boże! - szepnęła Cerise. W jej głosie pobrzmiwało współczucie i troska. - To go zabije.

Torlyn spojrzał na nią osłupiały, nie zapytał jednak, o kim mówi. Domyślił się.

Marie - Jeannette znów zaczęła płakać.

## Rozdział 88

McMullen rzucił ochronny czar na pomieszczenie. Zwój ukryty został przed czyimkolwiek spojrzeniem. Oficerowie wiedzieli oczywiście, że tu był. Zdobyli go, ale nikt nie miał powodów, by świętować. Odnieśli pyrrusowe zwycięstwo. Byli zmęczeni i ich zadanie jeszcze się nie skończyło.

Mistrz próbował trochę wypocząć. Wyciągnął się w ubraniu na łóżku. Czuł wyczerpanie. Tak wiele spraw powinien gruntownie przemyśleć. Był silnym, potężnym magiem, ale bez Si i dziewczyny niewątpliwie przegrałby tę bitwę. Tej dziewczyny - kimkolwiek była. Teraz jednak lepiej pojmował fascynację Delacroix. To przez pułkownika Miss Jarrencourt wzięła udział w magicznym starciu. Nie mogła wiedzieć, czy to przeżyje. Stawiła czoła swoim najstraszniejszym lękom. Spojrzała w oczy bólowi i okrutnej śmierci. Mag zastanawiał się, dla kogo to zrobiła. Dla świata? Dla pułkownika Delacroix? Dla Asko von Orvena? Zastanawiał się ponadto, czy pozostali uczestnicy walki pojmowali, jak nieskończenie blisko byli porażki. O wiele za blisko.

Podporucznik von Orven siedział przy stole, na którym położył nóż z zimnego żelaza. Wpatrywał się w ostrze ze złością. To ten nóż zabił wroga. I zdradził Corrisande. Ta scena wciąż wracała w jego wspomnieniach, Corrisande cofająca się przed nim, tak bardzo przestraszona, i słowa, jakie znalazła, by uwolnić go od obietnicy, której dotrzymanie byłoby trudne, a właściwie całkiem niemożliwe.

Asko widział ból w jej oczach, gdy pojął, kim była. A później wspomniał, jak dla nich wszystkich podjęła walkę z monstrualnym potworem. Jego myśli i uczucia wirowały jak szalone. Chętnie dowiedziałby się więcej, chciałby wiedzieć więcej. Jak to możliwe, że Corrisande wydawała mu się tak ludzka, że zupełnie niczego nie zauważył? Nikt nie zaproponował żadnego wyjaśnienia, a podporucznik nie był w stanie zadać tego pytania głośno. Siedział więc jak skamieniały, wpatrywał się w nóż i nie wiedział, czy to dobrze, czy źle, że poznał tajemnicę Corrisande Jarrencourt.

Von Gorency dopiero co dołączył. Policja była już poinformowana, pokazał im miejsce walki, nie tłumacząc zbyt wiele. Jakiś szaleniec zaatakował kobietę. Oboje nie żyli. Mężczyzna to doktor Steinberg. Dama nazywała się Mrs Eliza Parslow. Dalsze informacje otrzymają w drodze służbowej. Może. Policjanci zostali

poinformowani, by się nie wtrącać i słuchać instrukcji oficerów z hotelu. Więc nie pytali, choć Udolf widział, że byliby gotowi sprzedać dusze, by poznać szczegóły wydarzeń.

Usiadł w fotelu, w którym drzemał kilka godzin temu. Delacroix nie miał warty i mógł wypoczywać, jednak chodził tylko po pokoju, jak pantera w klatce. Milczał. Czekał.

Rozległo się pukanie do drzwi. Dobiegł zza nich głos Cerise:

- To my, wpuście nas.

Delacroix nie zaniechał ostrożności i zanim otworzył, ujął gotową do strzału broń. Zobaczył trzy nieszczęśliwe twarze. Damy były wyjątkowo blade. Towarzyszący im Si też nie emanował zadowoleniem.

Pułkownik odsunął się i wpuścił ich do środka. Nie znaleźli Corrisande. Gorzej: coś było nie tak. Udolf mógł wyczytać to z twarzy przybyłych.

- Co? - zapytał.

Twarz feyona była twarda i napięta. Ściągnął czarne brwi, a usta zacisnął w wąską kreskę.

- Ma ją Bractwo. Mnisi wypytali Marie - Jeannette, a potem sprawili, by zapomniała. Wiedzieli coś o przodkach Corrisande. Musieli ją złapać, gdy od nas odeszła. Nie dotarła już do pokoju.

Delacroix zamarł. Jego zazwyczaj śniada twarz zbladła jak kreda. Nic nie powiedział, oddychał tylko, koncentrując się na tym, by w tak prostej czynności nie zrobić czegoś źle. Zrobiło mu się duszno. Miał wrażenie, że pokój nagle pociemniał.

Zapanowała śmiertelna cisza, słychać było jedynie zduszony płacz Marie - Jeannette.

- Musi ją pan odbić, sir - zaczęła domagać się pokojówka. - Proszę! Przecież nic nie zrobiła! Albo prawie nic. Graf Arpad powiedział, że możemy się tylko modlić. Ale pan może ją odbić, prawda?

Piękne zielone oczy patrzyły na niego z zaufaniem. Delacroix odwrócił wzrok.

- Nikt nie może jej odbić, Marie - Jeannette - powiedział z wahaniem. - Nie wiem, gdzie jest twoja pani. I nie zakładam, by któryś z panów - zwrócił się do bawarskich oficerów - wiedział, gdzie oszańcowało się w Monachium Bractwo Światła.

- Przed pańską relacją nigdy o nim nie słyszałem - odparł Udolf.



- Ja też nie - potwierdził Asko. - Ale to są przecież pobożni ludzie. Z pewnością nic jej nie zrobią. Dlaczego mieliby...?

Graf Arpad parsknął wzgardliwie.

Delacroix odpowiedział:

- Ponieważ w jej linii genealogicznej pojawił się błąd, panie podporuczniku. Błąd, którego pan również nie potrafi znieść. Przecież mówiłem panu, czym zajmują się ci ludzie. Zabijają feyony. Kiedy tylko dostaną je w swoje ręce.

Podporucznik wcisnął się mocniej w krzesło. W głosie Delacroix nie było groźby, jednak brzmiał niepokojąco. Sprawił, że Asko zjeżyły się włosy.

- „Dostanie jej w ręce” było łatwe - wyjaśnił graf Arpad. - Jeszcze dwa dni temu nic nie wiedziała o swoim pochodzeniu. Nie ma żadnego specjalnego talentu, nie posiada umiejętności obrony, nie potrafi nie rzucać się w oczy. Mnisi przetrzymują ją już ponad godzinę. Prawdopodobnie jest już martwa. Miejmy nadzieję, że tak właśnie jest.

Delacroix odwrócił się w stronę Si i złapał go za ramiona. Arpad mógł z łatwością tego uniknąć, ale nie zrobił nawet kroku.

- Jak może pan tak mówić! - zachnął się pułkownik. Jego oczy ciskały błyskawice.

- Zna pan Bractwo. Muszę panu wyjaśnić, co robią z takimi jak ja? Mam z całego serca nadzieję, że Corrisande już nie żyje. To życzenie płynące ze współczucia dla niej i przyjaźni. Mam panu opisać, co robią mnisi?

Delacroix puścił go. Odwrócił się gwałtownie.

- Nie. Widziałem to.

Usiadł, jakby pogrążony w letargu, oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. To była jego wina. Nie powinien spuszczać dziewczyny z oczu. Wiedział o jej pochodzeniu i o obecności Bractwa. Nie ostrzegł jej. Zawiódł.

Von Orven wstał.

- Nie mówi pan poważnie! - zaprotestował. W jego głosie pobrzmiwała złość, ale też skrucha. - Nie wierzę w to. Chyba nie chce pan zasugerować...

- Torturują nas, by wydobyć jak najwięcej informacji. Te zaś potem wykorzystują przeciwko nam. Miss Jarrencourt żadnych informacji nie ma. Nic nie wie. Jest, poza jej nietolerancją na zimne

żelazo, człowiekiem. Nie powie nic i nie ulegnie naciskom mnichów, bo po prostu nic nie wie. Zatem wcześniej czy później umrze. Wcześniej, jeśli będzie miała szczęście - głos grafa Arpada brzmiał twardo.

- Ale to niemożliwe! - krzyknął Asko. - Nie mogę w to uwierzyć. Nasza wiara... - spojrzął na stojącego przed nim feyona - nasza religia jest religią miłości i przebaczenia, a nie... nie... - przerwał, nie kończąc zdania.

McMullen stanął pomiędzy nimi.

- Bractwo jest bardzo małym ugrupowaniem. Z każdym rokiem mniejszym. Działa już od bardzo dawna w ukryciu. Nawet w pańskim Kościele, panie podporuczniku, większość ludzi nie wie o istnieniu zakonu i prawdopodobnie wierni byliby przerażeni, gdyby wiedzieli o wszystkim, co mnisi robią w imię Boga i Kościoła. No cóż, Bractwo istnieje i zajmuje się dokładnie tym, co opisał graf Arpad.

Cerise przyklękła przy Delacroix. Jej suknie ułożyły się w bezładnych fałdach na podłodze. Nie dotykała pułkownika. Nie wiedziała, jak mężczyzna zareaguje, jeśli się go dotknie. Wolą nie próbować, by nie skrzywdził jej karku. Odezwała się jednak:

- Delacroix, musisz spróbować ją znaleźć. Dla spokoju własnej duszy, spróbuj!

Spojrzał jej w oczy.

- Jak? Nie mogę stąd odejść. Mam obowiązek do spełnienia. Tutaj. Nie mogę zostawić tego cholernego rękopisu, a graf Arpad prawdopodobnie ma rację. Corrisande zapewne już nie żyje. A na pewno będzie martwa, zanim uda mi się ją odnaleźć. Nawet nie wiem, gdzie miałbym zacząć szukać! Nie znam miasta!

- Przecież nie ma całkowitej pewności, że Miss Jarrencourt zginęła! Może... może... król. Ludwik II. Musi dysponować informacjami o Bractwie, prawda? Na pewno mogę zdobyć do niego dostęp.

- Jest środek nocy.

- No i? Śpiewaczki operowe znane są z tego, że odwiedzają mężczyzn po nocach. Tego się od nas oczekuje. Ty nie otrzymałbyś audiencji o tej porze, a ja owszem. Może.

Odwróciła się.

- T...imothy, nie możesz nic zrobić? Nie możesz jakoś odnaleźć jej śladów? Wskazać kierunku? Cokolwiek? McMullen?

- Nie ma jej w hotelu - odparł McMullen. Trzymał wahadełko, które zataczało elipsy, odchylając się w stronę grafa Arpada. - Nie ma jej w pobliżu. Więcej nie wiem. To trudne. Jej aura feyona jest zbyt słaba. Musiałbym znaleźć się dość blisko, by w ogóle wyczuć jej obecność.

- Udało jej się uciec z pokoju Steinberga - powiedział Udolf. Objął Marie - Jeannette i dziewczyna płakała teraz w jego ramionach. - Mówił pan, że ze związanymi rękoma wspinała się po ścianie. Oczywiście nie wierzyłem, ale może...

- Ale to prawda - wpadł mu w słowo graf Arpad. - Nie wiem, jak dała radę, ale zrobiła to. Wytrwałość i upór to przejawy jej dziedzictwa. Gdzie tak dobrze nauczyła się wspinać, tego nie wiem.

- Ona... po prostu... świetnie się wspina - wymruczała pod nosem Marie - Jeannette. - Jej ojciec nauczył ją niezwykłych rzeczy. To nadzwyczajny człowiek. Zdecydowała się jednak nie prowadzić takiego życia jak on.

- Jakiego życia? - zapytał Asko.

- To bez znaczenia - przerwał Delacroix. - W tej chwili to zupełnie nieistotne. Czy jej ojciec ma w Monachium przedstawicieli, którzy mogliby nam pomóc?

Marie - Jeannette spojrzała na niego lekliwie, gdy stało się jasne, że wiedział więcej, niż powinien.

- Myślałem, że leży schorowany w Normandii - powiedział von Gorenczy, ale nikt go nie słuchał.

- Dupont, czyli po niemiecku Vonderbruck - wyszeptała Marie - Jeannette, wbijając z poczuciem winy wzrok w podłogę. - I jeszcze jeden. On... - przerwała i strasznie się zarumieniła.

- Próbował mnie zabić? - pomógł jej Delacroix. Dziewczyna przytaknęła.

- Proszę, nie wiedziałam, co jest w tym liście. Nie wiedziałam o tym! Mrs Parslow nie powiedziała mi ani słowa.

- To ona go napisała?

- Tak. Corrisande była wściekła, gdy się dowiedziała.

- Więc podsunęła mi ostrzeżenie?

Dziewczyna skinęła głową, wpatrując się w podłogę. W pokoju zapadło milczenie. Obaj podporucznicy, nic nie rozumiejąc, wbili wzrok w Delacroix.

- Już nic nie rozumiem - powiedział po chwili von Gorenczy. - Ale to nam nie pomoże, więc wrócimy do tego później. Jestem ciekaw dalszego ciągu tej historii.

Delacroix wstał. Jego twarz była prawdziwym studium stanowczości. Jedynie w jego oczach migotał jeszcze cień rozpacz.

- Cerise, mógłbym cię prosić, byś użyła swego uroku i dowiedziała się od hotelowego personelu, które pokoje zajmowali ksiądz i mnich? Zrobisz to? Skoro niedawno odjechali, musieli mieć jakiś pojazd. Nie mogli przecież ciągnąć po ulicy młodej dziewczyny bez butów i w podartej sukni, nie rzucając się przy tym w oczy.

- Oczywiście - obiecała śpiewaczka i pozwoliła, by graf Arpad pomógł jej wstać.

- Idę z tobą - zdecydował Si. - Gdyby portierzy okazali się zbyt odporni na twój urok, sprawię, by stali się trochę bardziej ufni.

Ruszyli natychmiast. Cerise nawet się nie obejrzała. Nie chciała widzieć miny Delacroix. Często strasznie się na niego gniewała, była nawet wściekła, czasem też wmawiała sobie, że go nienawidzi. Jednak nie potrafiła znieść widoku jego skamieniałej twarzy. Było jej żal tego mężczyzny. Dawna bliskość sprawiała, że niemal czuła jego ból.

Za drzwiami śpiewaczka i feyon znieruchomieli zaskoczeni. Korytarz nie był pusty. Przed wejściem do pokoju czekał nerwowy mężczyzna o niespokojnym spojrzeniu. Ten przypominający szczura człowiek ubrany był w źle leżący uniform służby hotelowej. Na tacy, którą trzymał, leżał list. Kelner wyglądał na niezdecydowanego, a jego uprzejmy uśmiech był równie sztywny co niepewny.

- O co chodzi? - zapytała Cerise.

- Wiadomość dla pana Dela... - zamilkł, jego spojrzenie przesunęło się po mężczyźnie u boku śpiewaczki i było widać, że wyraźnie poczuł, kogo ma przed sobą. Upuścił tacę, obrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki.

W okamgnieniu Si podnosił go już z podłogi jak paczkę. Szpony wystrzeliły z palców feyona i rozcięły koszulę kelnera. Pod nią ukazał się amulet. Cerise zauważyła, że wisior nie był ze srebra jak ten, który nosiła, lecz z ciemnoszarego żelaza. Jej kochanek wciągnął z bólem powietrze, nie puścił jednak więźnia, trzymając go od tyłu za ramiona.

- Zdejmij z niego to coś - rozkazał. Mówił surowo, jakby z bólem. - Właśnie znaleźliśmy kogoś, kto odpowie nam na kilka pytań.

Drżącymi rękoma Cerise odpięła łańcuch, pozwoliła, by amulet upadł, i odsunęła go nogą od Torlyna.

Więzień otworzył usta do krzyku, nie potrafił jednak znaleźć ani słów, ani swego głosu.

- Sprawdź, co z pismem - ponaglił graf Arpad.

Podniosła je niepewna, czy pozwolić, by tak jej rozkazywano. Ale to nie był właściwy moment, by dyskutować o manierach.

- Jest do Delacroix.

- Otwórz je!

- Ale jest do...

- Przeczytaj. Później możesz mu je dać, gdy skończę z tym śmieciem. Mam większe szanse niż Delacroix, by wydobyć z niego prawdę. Czeka tu.

Podniósł mężczyznę i zatargał go do pokoju, w którym wcześniej zamieszkiwał Vonderbruck i który teraz stał pusty.

Feyon zatrzymał się przy drzwiach i spojrzał wyczekująco na Cerise.

- Żądają wymiany - powiedziała i ponownie złożyła list. - Dziewczyna za rękopis. Wypisali warunki.

- Niech będą przekłeci ci bezduszni kłamcy i szaleńcy.

- Ależ, kochanie, to oznacza, że ona jeszcze żyje! Musimy powiedzieć o tym Delacroix!

- To nic nie znaczy poza tym, że nie doceniają poczucia obowiązku pułkownika. Prawdopodobnie to pułapka.

## Rozdział 89

Gburowaty mnich nie uderzył Corrisande już ani razu podczas jazdy. Chętnie by to jednak zrobił, czuła to. Jego nóż pozostawił na piersiach dziewczyny nacięcia, ale niezbyt głębokie. Właściwie nie była ranna. Próbowwała trzymać się tej myśli. Prawie nic jej się nie stało. Jeśli uda jej się utrzymać ten stan, to ucieczka może okazać się łatwa. Corrisande znajdzie jakieś wyjście.

Gdy dorożka się zatrzymała, strażnik wyciągnął dziewczynę z taką siłą z pojazdu, że upadła i uderzyła się w kolano. Nic sobie jednak nie złamała, nie zwichnęła i to było dobre. Wciąż mogła działać. Mogła nawet biegać, czyli w razie potrzeby uciekać. Ciężka ręka chwyciła Corrisande za ramię, zakrywając je całkiem dłonią. Mnich ścisnął mocno i to zabolowało.

Nie skarżyła się. Pospiesznie wstała, stawiając jedną stopę przy drugiej, ale były tak zimne, że już ich prawie nie czuła. Wciąż jeszcze padał śnieg. Corrisande próbowała się zorientować w otoczeniu, rozglądała się, by zobaczyć, dokąd idą. Zbyt wiele nie była w stanie dojrzeć. W pobliżu stał kościół i kilka domów, które może były budynkami klasztoru. Nie umiała ich rozpoznać.

Zakonnik uderzył ją w tył głowy. Wczepił palce w jej włosy i gwałtownym ruchem pochylił głowę Corrisande. Śnieg. Wciąż jeszcze padał śnieg. Jak mogła to wykorzystać? Nie miała pomysłu. Mnisi przeciągnęli Corrisande przez bramę, a ona desperacko starała się złapać oddech i stłumić okrzyk bólu, gdy wyczuła zimne żelazo wzmacniające wrota. Może zakonnicy tego nie zauważyli? Próżna nadzieja. Oczywiście, że zauważyli. Czekali tylko na reakcję dziewczyny. Nawet nie zdoła sama otworzyć wrót. Słyszała, jak zamykają się za nią na klucz i zasuwę. Niemal upadła na progu. Korytarz, w którym się znalazła, oświetlony był lampą naftową. Jej mokre stopy poślizgnęły się na zimnej kamiennej posadzce. Ściany wyłożone były drewnem. Nad wejściem dominował wielki krucyfiks. Przy każdych drzwiach wisiało małe naczynie ze święconą wodą. Corrisande zabrano do sanktuarium. Miejsca, w którym można było oczekiwać uczynnych, miłych ludzi.

Zakonników wpuścił starszy mnich z przyjaznym uśmiechem. Rozmawiał po włosku z dwoma, którzy złapali Corrisande, i miała gorącą nadzieję, że starzec coś w tej sprawie zrobi. Ale nie zrobił nic. Dziewczyna nie rozumiała, jak ludzie mogą być tak pozbawieni

współczucia. Trzęsa się z zimna. Włosy miała mokre, ubranie wilgotne. Jak to możliwe, że ci duchowni nie okazywali nawet śladu ludzkich uczuć?

Bo dla nich nie była człowiekiem, uświadomiła sobie nagle. Była dla nich niczym. Ten ksiądz jej to powiedział. Niczym. Steinberg użył tych samych słów. Miał rację. Chciał ją uratować przed takim właśnie losem, a Corrisande go zdradziła. Mimo wszystko wciąż jeszcze wierzyła, że podjęła właściwą decyzję. A jeśli nie, to i tak było już za późno.

„Jesteśmy niczym” - słyszała znów słowa Steinberga. „Dla świata stanowimy jedynie wstydliwą pomyłkę”. Corrisande miała wartość tylko dlatego, że mnisi chcieli dziewczynę wymienić na coś, czego pragnęli. A ona wiedziała już, że to się nie wydarzy. Więc tak naprawdę nie przedstawiała dla tych ludzi żadnej wartości. Może jedynie dla tego topornego mnicha. On znajdzie w niej uciechę, na swój sposób.

Wkrótce będzie musiała uciec. Przecież nie potrwa długo, nim mnisi dostaną odpowiedź. Żadnej wymiany. A wtedy ją zabiją. Zerknęła w bok i natrafiła na spojrzenie wielkiego zakonnika, który ją trzymał. Aż promieniał radością, wiedząc, co będzie mógł zrobić.

Nie zabije jej szybko. Da sobie czas. W spojrzeniu, które rzucił Corrisande, widać było, że liczy już pomysły na zadawanie mąk. Jak długo ciągnie się godzina? Albo dzień? Albo choćby tylko minuta? Dziewczyna się wzdygnęła.

- Proszę wielbnego ojca - odezwała się do księdza, który jej towarzyszył. Wyglądał na takiego rozsądnego, mądrego i kulturalnego. Może z nim będzie mogła porozmawiać.

- Niech pani milczy, Miss Jarrencourt - odpowiedział kapłan. - Nie jestem zainteresowany niczym, co chciałaby pani powiedzieć. Niech mi pani oszczędzi próśb, wszystko jedno, do jakich potwornych bożków się pani modli. I tak pani nie pomogą.

- Modlimy się do tego samego Boga - odparła. Od razu znalazła się na ziemi, leżąc na brzuchu. Ból spowodowany celnym ciosem w nerki odebrał Corrisande oddech. Jęknęła, po policzkach spłynęły jej łzy. Nie mogła widzieć, jak wielki mnich unosi stopę, by kopnąć ją w twarz, jednak kapłan powstrzymał go jednym spojrzeniem.

- Myślałem, że mnie pani rozumiała, Miss Jarrencourt. Niech nam pani oszczędzi tej gadaniny. To mnie nie interesuje.

Wysłuchiwanie usprawiedliwień, żebranina i błagania nudzą mnie. Zaś skargi będę karać. W tej chwili jest pani bezpieczna. Niemal bezpieczna. Niech pani nie nadużywa mojej i brata Giuseppe cierpliwości. On nie ma jej zbyt wiele. A chyba chce pani to przeżyć, prawda?

Nie przeżyje tego, to było dla Corrisande zupełnie jasne. Brat Giuseppe szarpnął ją za włosy. Spróbowała się podźwignąć.

- Tak, ojciec - odpowiedziała. Kapłan podszedł bliżej.

- I niech się pani nie waży nazywać mnie ojcem. Nie jestem dla pani żadnym ojcem, bo nie jest pani człowiekiem.

- Tak, sir - powiedziała.

Mnisi pociągnęli ją po schodach do piwnicy. Corrisande prawie upadła, ale Giuseppe wciąż trzymał ją za włosy. Była w stanie dostrzec regały, na których stały typowe rzeczy, jakie przechowywano w piwnicy. Obok znajdował się stojak z butelkami wina. I była jeszcze klatka.

Metalowe pręty wznosiły się od podłogi aż do sufitu, oddzielając część piwnicy i tworząc celę. Małe okno w ścianie było zbyt wysoko, by można dosięgnąć. Przez szpary w stłuczonej szybie wdzierał się zimny wiatr. Okno wzmocniono drucianą siatką. Żarzyło się. Zimne żelazo. Zakonnicy dobrze się zabezpieczyli. Przez to okno Corrisande nie zdołałaby uciec nawet wtedy, gdyby rzeczywiście udało jej się wspiąć po gładkiej, stromej ścianie.

Drzwi też były z metalu i zamek w nich żarzył się w podobny sposób. Znowu zimne żelazo. Z tym zamkiem dziewczyna sobie nie poradzi. O takiej możliwości nie pomyślała. Zwalczyła narastające z wątpienie.

Zakonnicy wrzucili ją do celi, upadła i znowu uderzyła się w kolano. Słyszała, jak przekręcają klucz w zamku. Za kratami stał pojedynczy mosiężny świecznik z jedną świecą, która dawała bardzo mało światła. Płomień sprawiał tylko, że cienie stawały się intensywniejsze.

Mężczyźni wyszli z piwnicy i zostawili Corrisande samą. Nie było nawet strażnika. Po co? Zimne żelazo wystarczyło. Jeśli tylko dziewczyna się do niego zbliży, będzie cierpieć. Może się udusi. Może będzie to jej jedyna droga ucieczki.

Czuła potworne zimno. Lodowaty wiatr wdzierał się przez stłuczone okno, a wilgotna suknia kleiła się do jej ciała. Corrisande



zdawało się, że jej skórę pokrywa cienka warstwa lodu. Chłód przenikał aż do kości. Ruchy stały się powolne i powodowały ból. Ile czasu trzeba, by umrzeć na zapalenie płuc? Cóż, była pewna, że zapalenie płuc nie będzie przyczyną jej śmierci. Do tej pory nie miała nawet oznak przeziębienia.

Corrisande uświadomiła sobie, jakie to było niezwykle. Właściwie nigdy w życiu się nie przeziębiała, miała niewiarygodne zdrowie i odporność. Jednak wspinaczka po ścianie w lodowatym deszczu i przebywanie godzinami w mokrej sukni, i to podczas gwałtownego nawrotu zimy, powinny sprawić, że dziewczyna zachoruje. A nawet nie miała zapchanego nosa. Każdy człowiek już dawno by się przeziębził. Zimno, na które Corrisande była narażona, kąsało dotkliwie i boleśnie, a mimo to nie wywołało choroby.

Dziewczyna przeczesła ręką włosy, próbując znaleźć spinkę. Znalazła trzy. Z normalnym zamkiem by sobie poradziła, ale do tego nie mogła się nawet dostatecznie zbliżyć. Ukryła spiniki w różnych miejscach sukni. Może będzie mogła użyć ich jako broni? Oczywiście niezbyt skutecznej, ale gdyby Corrisande udało się wbić je w oczy przeciwnika, może by go w ten sposób oślepiła?

Żadne inne rozwiązanie nie przychodziło jej do głowy. Czuła wyczerpanie. Była bliska, by się poddać i załamać pod ciężarem ostatnich wydarzeń. Zwinęła się w kłębek w nadziei, że dzięki temu zrobi jej się trochę cieplej. Może powinna zasnąć? Czy odzyskałaby choć trochę sił, gdyby teraz zasnęła? Przed oczami dziewczyny pojawiły się wspomnienia tego, co wydarzyło się ostatniego dnia. Znow zobaczyła pełną emocji, lecz w gruncie rzeczy przyjazną twarz Steinberga. Obchodził się z nią tak ostrożnie, starał się nie zadać jej bólu. A Corrisande go zdradziła. Znow ujrzała doktora leżącego w drzwiach, krew płynącą z jego piersi. Zamordowała go. Nie pociągnęła za spust, ale i tak miała tego mężczyznę na sumieniu.

Próbowała zapomnieć o poczuciu winy. To, co Steinberg chciał zrobić, było obrazoburcze i szalone. Corrisande postąpiła słusznie, nawet jeśli sama musiała teraz za to płacić. I z pewnością cena za uratowanie świata była wysoka.

Pragnęła myśleć o czymś miłym, przyjaznym i ciepłym. Jakie wspomnienie mogłoby ją rozgrzać w tej lodowej grocie? Sięgnęła do pamięci. Znow poczuła pieszczoty grafa Arpada, sposób, w jaki ją całował, jak jego język przesunął się po twarzy dziewczyny.

Przypominała sobie uczucia, ciepło, które w niej rozniecił, ogień, który podsycił. We wspomnieniach doznania splotły się z innymi i nie czuła już ust grafa, lecz Delacroix.

Zaczęła płakać.

## Rozdział 90

Si wepchnął mężczyznę do pustego pokoju i trzymał go zarówno pod kontrolą myśli, jak i w szponach.

- Nie, Cerise, nie możesz iść ze mną. Nie chcę, byś to widziała. Poczekaj na zewnątrz! Proszę.

- Zaniosę Delacroix ten list - zaproponowała śpiewaczka.

- Nie. Poczekaj jeszcze. Będzie chciał sam przesłuchać tego człowieka i gdyby o tym wiedział, już byłby w drodze. I tak już za dużo o mnie wie.

Ustąpiła. Nie dlatego, że tak jej kazał, lecz dlatego, że na pewno nie chciała widzieć, co się stanie. O niektórych sprawach lepiej nie wiedzieć. Jej ukochany w swym wzburzeniu wyglądał strasznie, niemal nieludzko. Człowiek, którego pojmał, był jednym z jego najgorszych wrogów i Cerise zrozumiała, że jeniec nie przeżyje tego spotkania.

Nie chciała patrzeć, jak jej ukochany morduje. Czekanie pod drzwiami nie było jednak łatwiejsze. Kobiecie ciążyła świadomość, że odwraca się z obojętnością od bliźniego, który przeżywa swe ostatnie chwile. Cerise ogarnęły wyrzuty sumienia.

Szczupły feyon zamknął pokój, oddzielając się od ukochanej. Jego więzień drżał. Wciąż jeszcze feyon kontrolował tego człowieka siłą woli, tak że ten nawet nie mógł krzyknąć.

Teraz Si trochę popuścił.

- Mów do mnie - zażądał niemal przyjaznym tonem.

- Proszę! - błagał mężczyzna. - Proszę, niech mi pan nic nie robi!

- Och, nie powinieneś oczekiwać ode mnie litości. A przynajmniej nie więcej, niż mógłbym w odwrotnym przypadku oczekiwać od ciebie. Ile byłoby tej litości? Gdzie jest Miss Jarrencourt?

Naginał umysł jeńca jak cienką blachę i ten zaczął mówić boleśnie urywanymi zdaniami. Przedmieścia, St. Anna. Budynek blisko kościoła. Wygląda, jakby należał do klasztoru w pobliżu. Ale nie należał.

- W jakim kierunku?

Minąć operę. Niezbyt daleko. Na wschód, wzdłuż nowej Maximilianstrasse, później za Hofkuchengarten na północ. To było najwyżej milę, może dwie od Angielskich Ogrodów. Więzień dokładnie opisał drogę.

- Kim jesteś?

Był akolitą sztuk magicznych.

- Wysłali tak marnego akolitę? Przeciwno grupie złożonej z trzech żołnierzy, mistrza i... mnie?

Miał tylko przesłać list. Nic więcej. Większości pracowników od czasu walki na drugim piętrze nie było w budynku. Chciał sam dostarczyć wiadomość. Podobnie jak wcześniej przyniósł jedzenie z podporucznikiem von Orvenem. Myślał, że nikt nie będzie podejrzewał. Podporucznik nie podejrzewał go nawet przez chwilę. Myślał, że pozostali oficerowie też uwierzą, że jest kelnerem.

- Kiepska ocena sytuacji. Opisz mi budynek! Jak jest zbudowany? Podaj mi szczegóły!

Akolita potrzebował trochę czasu, by wszystko opisać.

- Ilu was tam jest?

Niewielu. Wielki mistrz sztuk tajemnych wciąż leżał w śpiączce. Ojciec Emanuele i brat Giuseppe, przysłani z Rzymu, mieszkali tutaj, w hotelu. Oprócz nich było jeszcze dwóch braci. Normalnie w schronieniu przebywało ich więcej, ale ostatnio przełożeni wysłali na misję do Wurzburga zespół złożony z czterech inkwizytorów. Prawdopodobnie jeszcze nie wrócili. Dokładnie tego nie wiedział.

- W jakim miejscu w budynku będą przetrzymywać dziewczynę?

Prawdopodobnie w piwnicy. Mają tam wzmocnioną zimnym żelazem celę na takie przypadki.

- Przez „takie przypadki” masz na myśli młodą, niewinną dziewczynę, która dwadzieścia cztery godziny temu nawet nie wiedziała, że w jakikolwiek sposób różni się od ludzkich kobiet?

Mężczyzna nie odpowiedział, ze strachu skulił się tylko bardziej.

- Żyje jeszcze? Nie odpowiedział.

- Żyje jeszcze? - Torlyn związał umysł mężczyzny w bolesny węzeł, a ten bezgłośnie krzyknął, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

- Nie wiem. Nie wiem. Naprawdę. Nie wiem - jęczał. - To znaczy powinna pozostać przy życiu do wymiany. Ale brat Giuseppe aż się palił, żeby jej coś zrobić. Może mimo wszystko już ją zabił. Ojciec Emanuele nie ma na niego aż takiego wpływu, jak by chciał. Proszę! Błagam pana! Niech pan przestanie! Wszystko powiedziałem! Wszystko, co wiem. Proszę, niech mi pan teraz pozwoli odejść! Proszę!

- To wszystko, co wiesz? Wszystko powiedziałeś?

- Tak. Wszystko. Przysięgam na Boga, wszystko.

- Wiem, że wszystko mi powiedziałaś - pochwalił go łagodnie Torlyn. - Dlatego powinno cię cieszyć, że możesz mi się przydać w jeszcze jednej sprawie.

Uchwycił umysł mężczyzny ze wznowioną siłą i człowiek, który udawał kelnera, odpiął sobie kołnierzyk. Jego ręce silnie drżały. Nie miał jednak wyboru. Pozornie dobrowolnie zrobił krok do przodu, w upiorne objęcia, i krzyknął bezgłośnie, gdy zęby ciemnowłosego feyona wbiły się brutalnie w jego szyję.

Graf Arpad pił łapczywie. Trzymał mężczyznę w ramionach, a ostre, spiczaste paznokcie wbijał w plecy akolity. Ścisnął też kurczowo wolę tego człowieka, by powstrzymać go od obrony. Ale to wszystko, co mu zrobił. Ten człowiek był świadomy, co się z nim działo, podobnie jak Si był świadom swego okrucieństwa. Z natury nie był nadmiernie okrutny, a przynajmniej tak sądził. Przemoc nie sprawiała feyonowi przyjemności. A w każdym razie nie więcej przyjemności niż uczucie, że sprawiedliwości staje się zadość. I nie więcej radości, niż bardzo głodnemu człowiekowi może dać przeciętny posiłek.

Przed oczyma miał obraz dziewczyny siedzącej na sofie w pokoju Cerise, rannej, roztrzęsionej i zakrwawionej. Przypomniawszy sobie, jak ją całował, jak smakował jej krew, ludzką krew z malutką, irytującą domieszką krwi nereidy, wspomniawszy, jak mu ufała, choć nie miała ku temu żadnego powodu. Jej odwaga i wrażliwość poruszyły Torlyna.

Drzwi otworzyły się nagle. Delacroix zamarł zaskoczony w progu, próbując zrozumieć to, co widzi. List, który ścisnął w rękę, wysunął mu się z palców i spadł na podłogę. Na twarzy pułkownika odmalowało się uczucie zgrozy.

Si puścił ofiarę, która opadła bezwładnie. W szyi akolity widniały niezaleczone otwory. Powoli sączyła się z nich krew. Feyon obrócił się do Delacroix, jego długie zęby wyglądały groźnie. Spojrzał prosto na intruza, a intruz popatrzył na feyona.

- Co, do diabła...

Cerise stanęła między mężczyznami.

- Słuchajcie - powiedziała z naciskiem. Ale żaden jej nie słuchał. Obaj machnęli ręką, by się odsunęła.

- Wielki Boże! - wykrzyknął Delacroix z obrzydzeniem. - Jest pan wampirem!

Wyciągnął nóż z zimnego żelaza, zanim zdążył pomyśleć, czy było to konieczne.

- Nie! - Cerise chwyciła pułkownika za ramię. Odepchnął ją z taką siłą, że śpiewaczka upadła.

Graf Arpad klęczał już przy niej, złapał kobietę, zanim zdążyła się uderzyć i zranić. Objął ją opiekuńczo, ale zaraz znieruchomiał. Nóż zbliżył się do jego szyi. Się jęknął z bólu.

- Nie, Delacroix! Nie rób tego! - krzyknęła Cerise. Feyon nawet nie drgnął. Kolana miał sztywne, oczy na

wpół przymknięte. Jego oddech zdawał się zamierać. Cienka czerwona linia wypalała się na skórze jego szyi. Wampir wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Jeśli mnie pan teraz zabije, Delacroix, nigdy się pan nie dowie, co ten człowiek opowiedział mi o Miss Jarrencourt - wysyczał, a w jego głosie pobrzmiwał ból. - Nie czuje się już dość dobrze, by mógł o tym opowiedzieć po raz drugi.

- Niech się pan nie rusza, grafie Arpad. Wiem, jaki pan jest szybki.

- Ma pan dobry powód, by to wiedzieć, Delacroix. Moja szybkość uratowała panu i pozostałym skórę. - Się poszukał oczu Cerise. - Skrzywdził cię, moja piękna?

- Nie, nie skrzywdził. I ciebie też nie skrzywdzi albo rozwalę mu ten ograniczony mózg w tępym łbie przy następnej nadarzającej się okazji. Przysięgam, że to zrobię. Słyszysz, Delacroix? Przysięgam, że cię zabiję, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię.

Potężny mężczyzna walczył ze sobą. W jego spojrzeniu, jeśli się go dobrze znało, odnaleźć można było heroiczną stanowczość i pełną wyrzutów bezradność. Wszystkie jego instynkty oraz ostrożność nabyta w bitwach mówiły, że przewagę, jaką ma w tej chwili, powinien natychmiast wykorzystać. Wciąż jeszcze mógł zabić wampira. Jeśli tego nie zrobi, przegra walkę. Przegra, zostanie pokonany, upadnie i skończy jako deser czarnowłosego potwora.

Zrobił krok w tył. Schował sztylet. Wyraźnie było po nim widać, że czyni to niechętnie. Ale można też było dostrzec w jego twarzy zakłopotanie. Delacroix nie wiedział, co powinien zrobić. Nienawidził niepewności, niewiedzy, jak radzić sobie z sytuacją. Spojrzał na śpiewaczkę, a potem na jej ciemnowłosego kochanka.

- Cerise, jak mogłaś?

- W ogóle nie wiesz, o czym mówisz - odpowiedziała kobieta gwałtownie. - Wszystko, co wiesz, to tylko mity i bajki. On nie jest taki, jak myślisz.

- On cię kiedyś zabije.

- On mnie nigdy nie skrzywdzi. Może kiedyś się mną znudzi i sprawi, bym o wszystkim zapomniała. To najgorsza rzecz, jakiej mogłabym się obawiać z jego strony. To w ogóle najgorsza rzecz, jaka mogłaby mi się przytrafić w życiu.

Si pocałował ją czule w czoło.

- Możemy wstać, Delacroix, czy też ma pan zamiar znów nas zaatakować, jeśli się poruszymy? - zapytał uprzejmie.

Pułkownik cofnął się jeszcze bardziej.

- Przepraszam - powiedział. - Nie powinienem był pana atakować. Ale to tutaj było zbyt...

Wampir powstał powoli, po czym uniósł Cerise.

- Myślę, że powinnaś teraz iść, moja piękna. Pułkownik Delacroix i ja musimy przeprowadzić małą rozmowę.

- Nie waż się mnie odsyłać! Nie zamierzam dopuścić, byście się obaj do krwi... - Uświadomiła sobie, co właśnie powiedziała, poblądła i na ugiętych nogach oparła się o ramię Si.

Na chwilę zapadła cisza. Zakłócana tylko rżeniem nieprzytomnej ofiary, która wciąż leżała na podłodze. Wampir i pułkownik znaleźli się w ślepej uliczce.

- Cerise! - głos Delacroix brzmiał twardo i nerwowo. Splótł ręce za głowę. - Wsuń rękę do mojej kieszeni i wyjmij nóż. Weź go ode mnie.

- Co...

- Po prostu zrób to. Proszę!

Śpiewaczka wykonała polecenie, a potem cofnęła się od obu mężczyzn.

- Grafie Arpad. Bardzo mi przykro, że sprawiłem panu ból. Rozumie pan jednak, jakie instynkty może wyzwolić widok człowieka, któremu wampir wysysa krew. Nie wygląda pan przy tej czynności ani cywilizowanie, ani zbyt miło czy szarmancko.

Wampir uśmiechnął się oschle, nic jednak nie powiedział.

- Muszę jednak przyznać, że był pan dla nas bardzo cenną pomocą. Nie miałem innego wyboru, jak panu zaufać. Jestem teraz bez broni i obaj dobrze wiemy, że moje życie bez tej broni w walce z

Si niewarte jest złamanego grosza. Jeśli będzie pan nalegał, mogę też zdjąć ochronny amulet. Bóg wie, że nie ufam panu aż tak bardzo, ale zrobię wszystko, by uwolnić Miss Jarrencourt, a strwoniliśmy już dość czasu. Proszę pana najuprzejmiej jak potrafię, by powiedział mi pan, co odkrył. Przysięgam, że ani pana nie zdradzę, ani też znów nie zaatakuję. Przysięgam na moje życie i na jej. Akceptuje pan moją kapitulację?

Ciemnowłosa mężczyzna przyglądał mu się sceptycznie.

- Oddaje się pan w moje ręce? Mam w to uwierzyć? - Ciemne oczy wpatrywały się w żółtawe ślepie Delacroix.

- Zrobię wszystko, co konieczne - odparł pułkownik, wciąż trzymając uniesione i splecione za głową ręce. Stał bez ruchu. Poruszały się tylko jego oczy, podążając za ruchami mężczyzny naprzeciw niego.

Si podszedł tak blisko, że ich ciała niemal się dotykały. Uśmiechnął się, pokazując ostre, długie zęby, które od skóry Delacroix dzielił tylko cal. Uniósł szponiastą dłoń i dotknął bardzo delikatnie podbródka pułkownika, przeciągając palcem wzdłuż szyi. Cerise wystraszona wypuściła gwałtownie powietrze.

- Nie posuwaj się za daleko, najdroższy - ostrzegła. Wiedziała aż nazbyt dobrze, że Delacroix można naginać tylko do pewnego określonego punktu, później ten wielki mężczyzna będzie działał instynktownie. Pułkownik stał jednak jak wyrzeźbiony w kamieniu.

- Tak bardzo ją pan kocha? - zapytał graf Arpad, przesuwając pieścotliwie końcem palca po żyłach na szyi Delacroix. To był intymny gest, czuły i jednocześnie wyzywający. Gest, który obiecywał więcej. Dotknięcie pełne pożądania i pragnienia podboju.

Pułkownik zamknął pełne bólu oczy, walcząc o jakieś słowa czy wyjaśnienia, ale żadne nie przychodziły mu do głowy.

- Tak - wykrztusił jedynie. Si uśmiechnął się.

- Kto by pomyślał... - Cofnął się i obdarzył pułkownika serdecznym i szarmanckim uśmiechem. - Powiem panu wszystko, a potem możemy stworzyć plan. A później zadbam, by zrobić z tą... sprawą... porządek. Pozostawianie tu i tam zwłok z dziurami w szyi byłoby naprawdę w złym stylu.

Rzucił potężnemu mężczyźnie wyzywające spojrzenie, jakby tylko czekał na reakcję.



Ale to śpiewaczka wyszła z pokoju, potykając się, biała jak kreda,  
zasłaniając usta dłonią.

## Rozdział 91

Oczywiście nie była w stanie spać. Siedziała tylko z zamkniętymi oczami, ze zwiniętym jak najciaśniej ciałem, ramionami otaczając kolana, jakby mogła się w ten sposób ogrzać, już choćby tylko przez to, by jak najmniejszą powierzchnią ciała dotykać zimnej podłogi. Nie wiedziała, ile upłynęło czasu. Świeca wypaliła się szybko i zapadła ciemność. Corrisande mogła dostrzec żarzące się zimne żelazo, jednak nie rozjaśniało ono ani trochę celi. Mrok wdzierał się w myśli dziewczyny, pożerał wszelką nadzieję - mimo wiedzy, jaką posiadała - że ktoś jednak przybędzie, by ją uwolnić.

Nikt nie przybył. I nikt nie przybędzie.

Modliła się. Nie mogła uwierzyć, że ci ludzie mieli rację i że nie była dzieckiem bożym, lecz jakąś obrzydliwością, błędem natury, który należało poprawić. Corrisande pragnęła wiedzieć więcej o swym pochodzeniu, choćby tylko po to, by mieć jakieś wyobrażenie, za co musiała umrzeć.

Gdy zobaczyła światło na schodach do piwnicy, pomyślała, że mnisi jednak ją wymieniają. Może ktoś przybył? Delacroix? Przybył po nią! Ale potem ujrzała, że to był ten wielki, masywny zakonnik. Jego barczyste ciało rzucało na ścianę cień, który przez chwilę Corrisande pomyliła z kimś innym. Brat był równie wielki jak pułkownik i równie śniady. Serce dziewczyny ścisnęło się z rozczarowania. Nadzieja umarła w tym samym momencie, w którym się narodziła. Corrisande zabolalo to, jak pchnięcie nożem w serce.

Zakonnik w jednej ręce trzymał lampę naftową, a w drugiej coś, czego nie mogła zobaczyć, więc nie potrafiła rozpoznać. A mnich się uśmiechał. Nawet w ciemności dostrzegła ten uśmiech.

Mnich przybył sam. Nie towarzyszył mu nikt, kto mógłby go powstrzymać. Zbliżył się powoli do klatki i przyjrzał Corrisande, obmacując ją spojrzeniem. Podźwignęła się, nie chciała czekać, siedząc. Zastanawiała się, czy nie powinna krzyczeć o pomoc. Może ktoś by przyszedł? Może zakonnikom potrzebna jest żywa? Może ten oprawca był tu bez pozwolenia?

Nie krzyknęła. Zamiast tego zapytała:

- Przyszedł brat, by zadać mi ból?

Próbowała podchwycić jego spojrzenie, jednak ciemne oczy wciąż się poruszały, od twarzy dziewczyny wzdłuż jej ciała i znów do

schodów. Lampa podświetlała oblicze mnicha od dołu, jego rysy miały w sobie coś diabolicznego, były pełne nienaturalnych cieni.

Odstawił lampę i otworzył klatkę. Teraz mogła zobaczyć, co trzymał. Rozpoznała pewien rodzaj noża, nie ten długi, wykrzywiony sztylet, którym groził jej wcześniej, lecz dziwnie wyglądającą broń z niezwykle krótkim ostrzem. Corrisande zrozumiała, że to klinga do zadawania ran, a nie do zabijania. I nie pojmowała, jak ludzie mogli coś takiego wymyślić, czemu tworzyli takie narzędzia, wykorzystując daną im przez Boga wyobraźnię do wyrafinowanego okrucieństwa.

Mnich nie odpowiedział na jej pytanie, podszedł jednak i odezwał się po włosku. Zrozumiała, że domaga się, by Corrisande podziękowała mu za to, że podda ją oczyszczeniu.

W ręku ukrywała spinkę do włosów. To była jedyna broń Corrisande przeciw człowiekowi, który miał dość sił, by połamać jej kości gołymi rękoma. Odsunęła się, a on leniwie podążył za nią. Wyraźnie sprawiało mu to przyjemność, dlatego się nie spieszył. Dziewczyna wyczuwała jego radość z tego, co zamierzał zrobić. Zjeżyły jej się włosy na karku. W strachu myśli pędziły od jednego możliwego wyjścia z sytuacji do drugiego. Mnich nie zamknął drzwi. Może Corrisande zdoła uciec.

Cofała się w małym kręgu, wciąż próbując nie zbliżyć się za bardzo do ściany, aby mnich nie mógł jej przycisnąć, unieruchomić pod murem. Zakonnik starał się zaś stawać między Corrisande a wyjściem. Zauważyła, że umyślnie zostawił otwarte drzwi, by się droczyć, by mieć ją nadzieją, którą mógłby zdusić. Nie wiedział, że udało mu się tego dokonać już samym widokiem jego cienia na ścianie przy schodach.

Sięgnął, a dziewczyna wywinęła się, wirując wokół własnej osi, wielka ręka spóźniła się, dotknęła Corrisande tylko na chwilę, ale wystarczyło, by mnich rozdarł jej suknię na piersiach. Nic więcej. Kawałek białej koronki opadł na podłogę. Dziewczyna próbowała złapać oddech. Uciekła. Przez moment wygrywała.

Zaraz potem mnich trzymał ją już w uchwycie, a ona krzyczała ze strachu i z rozpacz. Wykręcił jej ręce na plecach, obrócił ku sobie bokiem i Corrisande zobaczyła, jak dłoń zakonnika powoli zbliża się do jej twarzy. Krótkie ostrze wycelowane było w jej prawe oko. Nie spieszył się, złapał dziewczynę mocniej, unieruchomiwszy ją między sobą a ścianą. Ciało zakonnika mocno wbiło się w jej.

Nawet nie drgnęła. Nie mogła mu się wyrwać, bronić, nie miała żadnej swobody ruchu. Nie widziała wyjścia. Mnich oślepi ją, wykluje oczy, Corrisande już czuła ból, widziała okaleczoną, pozbawioną oczu twarz Elizy i wiedziała, że ten sam los dosięgnie i ją. Tyle tylko, że za życia.

Poczuła na twarzy lodowaty wiatr z rozbitego okna. Ostatnim widokiem Corrisande będzie żarząca się drucziana krata z zimnego żelaza.

Wciąż krzyczała, a potem ból dosięgnął jej oczu i Corrisande zdawało się, że się palą, i nie była w stanie już niczego widzieć. Mnich odebrał jej dwoje oczu jednocześnie, tak pomyślała, ale usłyszała, jak przeklina, a jego uchwyt osłabł. Wtedy dziewczyna uświadomiła sobie, że nie trafiło jej ostrze. Łzy płynęły jej spod powiek. Łzy, nie krew. I powoli mogła dostrzec nad sobą poświatę zimnego żelaza.

Piasek. Trafił w nich piasek. Podczas spóźnionej zimy, gdy na zewnątrz padał śnieg, suchy piasek zaproszył oczy jej i zakonnika. Trochę wpadło do otwartych ust Corrisande i zachrząściło o zęby. Część dostała się do nosa i do oczu, wywołując łzy.

Ktoś rzucił w nich piaskiem, w nich oboje - pojęła naraz Corrisande - bo mnich puścił ją, zaczął się drapać po twarzy, przeklinał, splotwał i pocierał powieki. Musiało go zabołec. A jej nie. Przynajmniej nie boleło tak, jak się spodziewała. Prawie wcale. Wciąż miała oczy, więc cóż znaczyło trochę piasku? Oprawca nie wydłubał Corrisande oczu, nie drasnął jej ostrzem, nie rozerwał na kawałki, jak zapewne - teraz to wiedziała - zamierzał.

Piasek miał posmak żelaza. Był jak odległe błyskawice, drażnił lekko skórę i język. Nagle poczuła potrzebę, by pomyśleć o Steinbergu i piasku na jego stole, i neodparty przymus, by iść ku doktorowi, by przy nim pozostać. Wołał ją do siebie. A przecież wiedziała, że Steinberg już nie żyje.

W tym momencie kopnęła. Mnich zgiął się wpół. Nauczono ją, w jakie miejsca trzeba uderzyć w obronie przed atakującym mężczyzną. Dotąd Corrisande nigdy tej wiedzy nie wykorzystwała. Nigdy też nie była świadoma swej siły. Mnich próbował schwycić ją jedną ręką, a Corrisande spinką do włosów przebiła mu dłoń. Wystarczyło jedno uderzenie. Nie wiedziała, że potrafi coś takiego zrobić, ale nagle dziewczyna poczuła w sobie siłę, która pojawiła się jakby znikąd.

Przerażony zakonnik upuścił swój mały nóż, a Corrisande złapała ostrze, jeszcze zanim upadło. Poruszała się z taką szybkością jak nigdy w życiu. Mnich chwycił ją znowu, a ona cięła go krótką klingą przez rękę, zanim napastnik wyrwał jej broń. Wtedy Corrisande odwróciła się i rzuciła do ucieczki.

Wybiegła z klatki ostrożnie, aby nie dotknąć żadnej części drzwi. Najchętniej zamknęłaby oprawcę, lecz nie mogła przecież dotknąć zamka. A zimne żelazo zdawało się jakby intensywniejsze, żarzyło się jaśniej niż wcześniej. Ale nie dostanie Corrisande. Była szybka, była potężna, była Si i należała do nowej rasy. A mnich był niczym.

Wbiegła na schody, niemal przelatując nad stopniami, a gdy dotarła na górę, siły nagle ją opuściły. Poczucie niezwykłej mocy przeminęło - zniknęło z ostatnim ziarnem piasku, które dziewczyna wyplakała ze łzami. Zniknęła też siła i nieprawdopodobna szybkość. Była teraz po prostu znów Corrisande, mała, niepozorna, delikatna i słaba przeciw temu potężnemu draniowi. I była w kłopotach. Rozejrzała się. Oprawca zdążył się już do niej zbliżyć. Jego zakrwawione ręce wyciągały się w jej stronę.

Wyszarpnął z prawej dłoni szpilkę do włosów. Krew kapiała na podłogę. Dziewczyna dotarła do drzwi piwnicy, ale nie dała rady ich otworzyć. Były zamknięte. Szarpała je, a mnich podchodził coraz bliżej. Jej rozpacz i strach kosztowały ją cenne sekundy, ale w końcu zauważyła, że zamknął je od środka, i przekreśliła klucz. Najchętniej zamknęłaby drzwi od drugiej strony, ale klucz tkwił mocno w zamku, a Corrisande nie mogła go wyciągnąć roztrzęsionymi rękoma. Dlatego tylko wybiegła z piwnicy, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Miała nadzieję, że znajdzie jakąś zasuwę. Ale nie było żadnej. Tylko kluczem mogłaby zamknąć drzwi. Powinna jednak poświęcić chwilę i wyciągnąć go z zamka. Teraz już za późno. Teraz mogła tylko uciekać. Słyszała już, jak mnich się zbliża. Już prawie był przy drzwiach.

A dziewczyna już biegła. Główne wejście było zamknięte. Wiedziała o tym, widziała, jak zamykano je na klucz. Nie ma czasu, by rozpracować zamek. A nawet gdyby miała czas, dotarłaby jedynie na podwórze i do bramy z zimnego żelaza, która również była zamknięta. Ten kierunek nie dawał dziewczynie żadnych szans.

Nie traciła czasu, by łamać sobie nad tym głowę, biegła już w górę po schodach, podtrzymując fałdy podartej sukni, by się w nią nie

zapłatać i nie upaść. Przed Corrisande ukazał się korytarz, wyłożony przytulnymi dywanami, z boazerią, taki przyjemny i błogi. Na ścianach wisiały w równych odstępach haftowane tkaniny. Na nich przedstawione były sceny z życia świętych. A dalej na ścianie wisiał wielki krucyfiks. Sięgnęła po ciężkie drewno i zerwała je ze ściany.

Wybacz mi, proszę, wybacz mi, modliła się i zamaszystym ruchem rzuciła krzyż za siebie w nadziei, że trafi mnicha albo że sprawi, iż ten potknie się na schodach.

Ale źle wycelowała. Krucyfiks nie był nożem i nie trafiła tam, gdzie chciała. Uderzył o ścianę, odbił się i przewrócił lampę naftową, która tam stała i dawała trochę światła. Szkło się zbiło, lampa rozpadła się na dwie części. Płomienie zaczęły pełzać po dywanie, wysuwając pomarańczowo - czerwone języki, dotarły do tkanin i sięgnęły suchych drewnianych ścian. Corrisande straciła cenną sekundę, przyglądając się temu, co zrobiła.

A oprawca był już blisko. Dotarł do szczytu schodów, przeskoczył przez płomienie, poirytowany, ale nie na tyle wściekły, by popełnić błąd. Nawet nie zwolnił. Dziewczyna znów zaczęła biec, choć wiedziała, że to tylko kwestia czasu, zanim zakonnik ją dogoni. Na swych długich nogach był od niej znacznie szybszy. Ze strachu, biegnąc, próbowała łapać przedmioty i rzucać je za siebie w niejasnej nadziei, że mnich potknie się o nie albo przewróci.

Przeklinał. I był tak blisko. Prawie ją miał. Po prawej otworzyły się drzwi, a Corrisande zawirowała wokół nich, unikając zderzenia. Była mała i zwinna, więc jej się udało. Cięższy od niej mężczyzna nie wyhamował i wpadł na nie z rozpędu. Za nią zabrzmiał potok wściekłych słów po włosku, Corrisande rozpoznała głos księdza, nie miała jednak czasu ani energii, by wsłuchiwać się w słowa, choć i tak zrozumiałaby pewnie tylko kilka z nich.

Przed nią były teraz tylne schody, a po nich wchodził stary mnich. Trzymał w swych pomarszczonych rękach żarzący się przedmiot i stało się dla niej jasne, że jest równie niebezpieczny jak pozostali. Nie miało sensu biec w dół i starać się go wyminąć, ruszyła więc w górę, podwijając suknię i przeskakując po dwa stopnie. W górę, w panicznym pośpiechu, wyżej i wyżej. A potem schody się skończyły, Corrisande dotarła na najwyższe piętro, oni zaś wciąż ją ścigali, blokując drogę w dół.

Od frontowych schodów usłyszała jakiś hałas i głośne huki. Strzelają do niej? A może nie? Nie mogła dostrzec strzelca, ale nie zamierzała czekać, aż ją trafi.

Otworzyła jakiś pokój, wskoczyła i pospiesznie zatrzasnęła drzwi. Tu również nie było żadnego ratunku, żadnego ukrycia. W zamku nie było nawet klucza. Dziewczyna przesunęła krzesło pod klamkę w nadziei, że przynajmniej na chwilę spowolni to jej prześladowców. I znów lampa naftowa stojąca przy łóżku, na którym leżał jakiś człowiek. Jego oczy były na wpół otwarte i Corrisande bała się, że mężczyzna może skoczyć i ją złapać. Ale zdawał się jej nie dostrzegać, wbijał jedynie puste, niczego niewyrażające spojrzenie w ścianę. Jeszcze jedna ofiara?

Sięgnęła po lampę i podeszła do okna. Broń. Szybko je otworzyła i już w następnej sekundzie stała na parapecie. Na zewnątrz było ciemno i nie mogła prawie nic zobaczyć. Znalazła się na drugim piętrze, a może na trzecim? Nie wiedziała. Zbyt wysoki ten budynek nie mógł być. Z zewnątrz w ciemności prawie go nie widziała. W każdym razie za wysoko, by skoczyć. Poza tym nie potrafiła ocenić, gdzie by upadła po takim skoku.

A zatem w górę. Rzuciła lampą o drzwi, szkło pękło, a ogień natychmiast wzniósł się jak ściana. Bardzo mała ściana. Żadna przeszkoda, która zatrzymałaby ścigających. Ale Corrisande była już na murze, macając palcami fasadę w poszukiwaniu uchwytu. Znalazła bluszcz.

Bluszcz jej nie utrzyma, wiedziała o tym. Ale drzwi za nią właśnie ustąpiły, więc mimo wszystko spróbowała podciągnąć się na śliskim, mokrym od śniegu pnączu, szukając jakiegoś oparcia dla palców nóg. Znów się wspinała, by walczyć o życie. Tym razem jednak nie wiedziała, co robi, gdy już dotrze na dach.

Prawdopodobnie nie pozostanie jej nic innego, jak skoczyć.

## Rozdział 92

Koń von Gorenczy'ego ślizgał się na mokrym, pokrytym śniegiem bruku. Był nerwowy i kapryśny, i nieprzyzwyczajony do sporo cięższego niż szwoleżer jeźdźca. Nie miał też najmniejszej ochoty, by przy tym wietrze i śnieżnej zamieci wyprowadzano go ze stajni.

Delacroix był dobrym jeźdźcem. Służył w pułku kawalerii, nie mógł źle się czuć w siodle. Warunki były jednak trudne. Jego zdenerwowanie i zniecierpliwienie oraz konieczność pośpiechu nie poprawiały humoru pożyczonej klaczy, zapanowanie nad niechętnym, spłoszonym zwierzęciem wymagało od pułkownika niemałej zręczności.

Wolałby przyspieszyć, jednak przed nim jechał podporucznik von Orven, który był roztropnym człowiekiem. Miał całkowitą rację. Nie na wiele by się zdało, gdyby w ciemności na śliskim podłożu przewrócili się albo zranili, albo też doprowadzili do tego, że koń nie mógłby biec dalej. Mimo to powolna jazda szarpała nerwy Brytyjczyka. Nic nie mówił, w wyuczony sposób kontrolował konia z brutalnością, której normalnie nie stosował wobec zwierząt. Był wyśmienitym i raczej spokojnym jeźdźcem mimo swych rozmiarów i niesamowitej fizycznej siły.

Ale wyruszyli. Wreszcie wyruszyli w drogę. Wydawało się, że zajęło to eony. Najpierw była rozmowa o tym, co trzeba zrobić, a czego nie, która ciągnęła się chyba godzinami. Delacroix próbował odsunąć od siebie myśl, że właśnie nie dopełnia swego obowiązku. Opuścił pokój, gdzie powinien pilnować rękopisu. To było najgorszego rodzaju zaniedbanie, ponieważ powierzył pieczę nad zapewne największym zagrożeniem dla ludzkości grupie złożonej z wyczerpanego maga, rannego szwoleżera, który dobrze mógł władać tylko lewą ręką, śpiewaczki operowej, która nieustannie przeceniała swoje możliwości, oraz wampira.

Przeklętego wampira.

Ale pułkownik nie miał wyboru. Mógł albo zrobić to w ten sposób, albo zostać i tylko myśleć o dziewczynie, o tym, jak powoli i w męczarniach mnisi torturują ją na śmierć. Myśleć o Corrisande Jarrencourt i wyobrażać sobie, co z nią robią. Nie potrzebował do tego szczególnie bogatej wyobraźni. Znał metody Bractwa aż nazbyt dobrze i jego żołądek ścisnął się na samo wspomnienie.



Nie mógł zostać. Nie zniósłby myśli, że po prostu siedzi i czeka na kolejny dzień, wiedząc, że może zdołałby uratować Corrisande Jarrencourt, gdyby tylko spróbował.

Dziwnym trafem jego decyzja nie wymagała żadnych wyjaśnień. Każdy ją rozumiał. Cerise ją rozumiała. I obaj podporucznicy też rozumieli. I nawet ten wampir rozumiał, i obdarzył go takim ciepłym i pełnym współczucia uśmiechem, że Delacroix musiał się powstrzymać, by nie uderzyć feyona w twarz.

Nie zrobił tego. Liczył, że Si razem z nim dosiądzie konia. Wampir znacznie lepiej widział w ciemnościach, a jego nieprawdopodobna fizyczna siła mogła się okazać pomocna. Ale to nie było oczywiście możliwe. Jeśli istniała jakaś osoba, która nie mogła towarzyszyć pułkownikowi w drodze do schronienia Bractwa, to był nią właśnie feyon. Mnisi świetnie zabezpieczyli budynek przeciw atakom Si. Prawdopodobnie od podłogi aż po dach naszpikowany był zimnym żelazem.

Delacroix postanowił zatem jechać sam, ale podporucznik von Orven zgłosił się na ochotnika, by go wesprzeć. „Nie musi pan tego robić” - powiedział pułkownik młodzieńcowi. Ten jednak nalegał. Obiecał dziewczynie, że będzie ją chronił, i może ponosił winę za to, że młodą damę porwano. Zwolniła go z obietnicy, ale honor wymagał, by Asko jej pomógł.

Młody mężczyzna wyglądał jak uosobienie poczucia winy i zmieszania. Delacroix był w stanie to wyczuć. Myśl o tym, by napaść na klasztor, nie przypadła podporucznikowi do gustu. Zwalczenie własnego Kościoła nie było po jego myśli. W żadnym razie nie podobał mu się obowiązek, jakiego sam się podjął. Nie potrafił się jednak pogodzić ze świadomością, że dziewczynę, która tak mu się podobała, ktoś powoli morduje. I choć niechęć Bawarczyka do feyonów była wielka, zdawał się pojmować, że stracił coś cennego. Może i był głupcem. Ale był prostolinijnym, rozumiejącym obowiązek głupcem.

Von Orven nie potrzebował wiele czasu, by pojąć, że nie był jedynym wielbicielem młodej kobiety. Z początku go to irytowało, lecz później sprawiał wrażenie, jakby mu wręcz ulżyło. Nie skomentował tego ani słowem. Zaakceptował nową sytuację z takim zainteresowaniem, jakim obdarza się jakąś nową naukową teorię.

Ciekawa, choć jeszcze niedowiedziona, więc może nie należałoby jej skreślać.

Gdy dosiadali koni, śnieg padał gęsto, teraz jednak zamieć ustąpiła. Gwałtowny wiatr rozwiął chmury, odsłaniając część nieba. Między strzępami chmur od czasu do czasu pojawiał się zimny księżyc, a gdzieś tam migotały pojedyncze gwiazdy. Delacroix był wdzięczny za swój wełniany płaszcz. Gruby materiał chronił go przed silnym chłodem.

Bractwo zabrało Corrisande ubraną tylko w mokrą, podartą suknię. Musiała zamarzać. O ile jeszcze żyła. Być może surowa pogoda nie odgrywała już w jej życiu żadnej roli. Być może mnisi zaczęli już zadawać dziewczynie ból, zameczać ją i okaleczać.

Koń Delacroix zatańczył nerwowo i przeszedł w galop. Pułkownik odzyskał panowanie nad nim. Musi przestać myśleć o takich rzeczach. Bez sensu się nad tym zastanawiać. Musiał wierzyć, że Bractwo jeszcze nic nie zrobiło dziewczynie. Mnisi chcieli wymiany. Aby do niej doszło, Corrisande musiała być jeszcze przynajmniej na wpół zdrowa, bo w przeciwnym wypadku umowa nie dojdzie do skutku.

Takie myślenie zakładało jednak, że zakonnicy rzeczywiście byli zainteresowani wymianą. Jednak ten manewr mógł być tylko podstępem, by odciągnąć Delacroix od rękopisu. Bawarczycy, mag i nawet wampir wiedzieli, że to możliwe. Akolita, którego złapali - którego ten wampir złapał, poprawił się pułkownik w duchu - mówił prawdę. „Nie mógł mnie okłamać” - zapewnił go graf Arpad. „Nie mógłby mnie okłamać, nawet gdyby zależało od tego jego życie”. Bo przecież zależało, czyż nie?

Akolita powiedział prawdę. I nawet przeżył, co prawdopodobnie zawdzięczał pełnej obrzydzenia reakcji Cerise. W każdym razie nie była to kwestia łaski grafa Arpada. Pozostawił tego człowieka przy życiu, słabego i anemicznego, i z pamięcią, z której wymazano niemal wszystko oprócz najwcześniejszej młodości. Delacroix bynajmniej nie uznał tego za akt łaski. Ale to było mu obojętne. Mnich dostarczył informacji, których potrzebowali.

Możliwe jednak, że wcale nie znał prawdy. Może był tylko pionkiem na szachownicy ojca Emanuele. Ksiądz nie zawahałby się poświęcić bezużytecznego akolity dla wyższego celu. W końcu jego brat w wierze umarłby za sprawę. I całkiem możliwe, że kapłan

rzeczywiście postąpił w ten sposób. Dzięki temu rozdzielił siły swoich wrogów na dwie części, jedną wysłał na manowce, a może nawet w zasadzkę, podczas gdy resztę mógł spokojnie zaatakować w hotelu. Divide et impera, to by było do niego podobne.

Wszyscy wiedzieli, że to prawdopodobne, wiedzieli, w jakim znajdują się niebezpieczeństwie. „Niech pan się nie martwi”, powiedział graf Arpad, „będę uważać na pana towarzyszy”. Znow obdarzył go tym swoim szarmanckim uśmiechem, a Delacroix przypomniał sobie, jak wampir wyciągnął długie zęby z szyi mnicha i upuścił go jak jakąś zdobycz. Wciąż jeszcze pułkownik widział, jak feyon odwraca się w jego stronę, z krwią na ustach, z wysuniętymi długimi i ostrymi kłami. W żadnym wypadku nie przypominał człowieka, a już w żadnym razie nie wyglądał przy tym szarmancko.

Może kiedyś Delacroix będzie żałował, że go nie zabił, gdy miał ku temu okazję. Drugiej szansy już nigdy nie dostanie. Podporządkował się jednak feyonowi, ponieważ nie wiedział, co innego mógłby zrobić. I przez tę chwilę, gdy szczyły Si głąskał jego szyję, jakby zaznaczał swoje przyszłe prawa posiadania, Delacroix wierzył, że feyon wyssie z niego krew. Ale Si nie takie miał zamiary. Pozwolił sobie jedynie na małą zemstę za to, że Delacroix wystąpił przeciw niemu z zimnym żelazem. Pokaz siły, na jaki pułkownik też mógłby sobie pozwolić. Lecz to wampir ustanowił hierarchię, a Delacroix, zgrzytając zębami, ją zaakceptował. Nie przyszło mu to łatwo.

A jednak rozumiał to stworzenie. Obaj byli myśliwymi, choć różnego rodzaju. Ich bezwzględna naturę wojowników okrywała tylko cienka warstwa cywilizacji. Byli tacy, jacy musieli być. Delacroix zaś dał słowo, że nie zdradzi wampira. I dotrzyma słowa, nawet jeśli nie przyjdzie mu to łatwo i nawet jeśli uważał Cerise za znacznie bardziej naiwną, niż przypuszczał.

Nie dało się jednak zaprzeczyć, że wampir okazał się pożytecznym i pomocnym sojusznikiem. Podzielił się wiedzą, walczył po stronie grupy Delacroix i przez to został ranny, dowiedział się też, co się naprawdę stało. I może nie ma to znaczenia w jaki sposób.

Powiedział też pułkownikowi, kim była Corrisande: ludzką kobietą z odrobiną krwi nereidy. Nie miała żadnych szczególnych zdolności, które chroniłyby ją przed Bractwem, jednak obdarzona była

spora wytrzymałością. Ta cecha objawiała się u niej silniej niż u czysto ludzkich kobiet. Była twarda. Oby to jej pomogło.

Albo i nie, pomyślał Delacroix. Może przedłuży to tylko jej cierpienia.

- Już prawie jesteśmy - szepnął podporucznik von Orven, wstrzymując konia. - Resztę drogi powinniśmy odbyć pieszo. Nie będziemy się tak rzucać w oczy.

Zsiedli z wierzchowców i przywiązali wodze do metalowego kółka w ścianie jednego z domów. Byli uzbrojeni, mieli pistolety, a Delacroix skrywał pod ubraniem kilka noży. Żaden nie był z zimnego żelaza. Po prostu zwykłe zabójcze ostrza. Von Orven zapalił małą naftową latarenkę, która rzucała światło tylko w jednym kierunku, a i to jedynie wtedy, gdy odsunęło się klapkę.

- Kościół jest za rogiem. Dom, który opisał graf Arpad, musi stać naprzeciwko.

Zbliżali się pod osłoną ciemności, aż dotarli do zamkniętej metalowej bramy w murze, który otaczał smukły budynek. Wyglądał, jakby rzeczywiście stanowił część klasztoru stojącego w pobliżu kościoła. Mury były wyższe, niż można by oczekiwać w przypadku normalnego domu, pionowe i gładkie, bez jakichkolwiek ozdób, które mogłyby ułatwić wspinaczkę. Na szczycie biegł szereg ostrych szpiców, niemal niewidocznych w ciemności. Prawdopodobnie są z zimnego żelaza, pomyślał Delacroix. Służyły temu, by zależnie od okoliczności trzymać się za murami lub w ich obrębie. Jednak budowniczy nie liczył się z ludzkimi intruzami.

- Niech mi pan poświeci - powiedział i pochylił się nad zamkiem. Wyjął z kieszeni pęk wytrychów i w słabym świetle latarni zabrał się do roboty. Zamek łatwo nie ustąpił. Najwyraźniej wykonał go świetny rzemieślnik. Delacroix potrzebował trochę czasu, by otworzyć bramę, choć ze zniecierpliwienia najchętniej by wrzeszczał.

W końcu jednak usłyszał ciche kliknięcie i zamek puścił. Von Orven chciał natychmiast otworzyć drzwi, Delacroix powstrzymał go jednak.

- Niech pan poczeka - wyszeptał. - To było za łatwe. Obaj oficerowie odsunęli się trochę i Delacroix nacisnął lekko klamkę łufą pistoletu. Drzwi się nie poruszyły.

- Cholera. Jest dodatkowo zabezpieczona zasuwą. Brama otwiera się do środka, w przeciwnym razie przyprowadziłbym konie i ją wyważył.

- Możemy się na nią rzucić. Może w ten sposób uda się ją otworzyć - zaproponował podporucznik, niezbyt przekonany do własnego pomysłu.

- Jest z żelaza. Połamiemy sobie tylko ręce. Nie. Chyba nie dostaniemy się do środka po cichu i niezauważenie, nie ma co marzyć. Spróbuję odstrzelić zawiasy. To będzie prawdopodobnie skuteczniejsze niż strzelanie do zasuw, której nie widać. Niech się pan cofnie!

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o przewagę zaskoczenia - mruknął nieszczęsny von Orven.

- Całkiem możliwe, że mnisi i tak mnie oczekują. Naszym jedynym elementem zaskoczenia jest pan. Chciałbym, żeby trzymał się pan ode mnie z daleka. Jeśli mnie się nie uda, proszę, niech się pan postara ją stąd wyciągnąć. Zrobi to pan?

- Oczywiście.

- A więc niech się pan teraz schowa. I uważa na rykoszety.

Podporucznik cofnął się i zniknął w mroku. Delacroix skierował lufę pistoletu w miejsce, w którym, jak sądził, musiał znajdować się zawias po drugiej stronie. A potem nacisnął spust.

Strzał huknął w noc, odbijając się echem między kościołem a pobliskimi budynkami. Trudno byłoby go nie słyszeć i musiał pewnie obudzić każdego śpiącego w promieniu co najmniej mili.

Wrota wisiały teraz tylko na dolnym zawiasie i zasuwie. Górna część wygięta była do środka. Pułkownik kopnął je z wściekłością, przez co wygięły się jeszcze trochę. Wciąż za mało, by można było przejść.

Anglik strzelił po raz drugi, wdzięczny, że miał przy sobie dwustrzałowy pistolet. Postęp to dobra rzecz. Dolny zawias również się wyłamał.

W kilku oknach budynków po przeciwnej stronie dostrzegł światło świec. Ludzie się obudzili i ostrożnie próbowali sprawdzić, co się dzieje w świętym miejscu. Delacroix i von Orvenowi uciekał czas.

Drżącymi rękoma pułkownik naładował broń. Potrafił robić to w ciemności, miał sporo okazji, by ćwiczyć tę umiejętność. Kopnął

mocno w drzwi. Tym razem usłyszał głośny trzask i zaczął przeciskać się przez szparę.

Jak lew jednym susem wyskoczył na podwórze, nie zobaczył jednak nikogo, kto próbowałby go powstrzymać. To było dziwne - i dość nieoczekiwane. Spojrzał w tył, na bramę. Do zasuw przymocowana była baryłka, która teraz się oberwała i otworzyła. Czarny proch. Gdyby Delacroix strzelił w zasuwę, wysadziłby siebie i całą Bawarię w powietrze. A przynajmniej siebie.

Tymczasem zakonnicy w budynku musieli stwierdzić, że zostali zaatakowani i że ich mała bomba nie zadziałała. No cóż. Niezły pomysł, pomyślał Delacroix. To podobne do ojca Emanuele, pozwolić, aby wrogowie sami wysadzili się w powietrze. Skuteczne i oszczędne.

Von Orven też wśliznął się już na podwórze, trzymał się jednak za pułkownikiem, ukryty w cieniu. Był tylną strażą. Jeśli jego obecność zostanie niedostrzeżona, zadziała to tylko na korzyść obu oficerów.

Delacroix usłyszał przekleństwa i wrzaski. Po włosku. Ostrożnie zbliżył się do głównego wejścia i stłumił pragnienie, by po prostu wziąć szturmem drzwi. Mogły być zabezpieczone w taki sam sposób jak brama. Zręcznie podskoczył na gzyms wzdłuż najniższej kondygnacji budynku i podciągnął się do okna. Przez chwilę balansował na parapecie, przeklinając swe rozmiary i życząc sobie, by znów miał dziesięć lat i był wychudzonym, małym włamywaczem.

Nie spadł. Otworzył okno, posługując się nożem. Niektórych umiejętności po prostu się nie zapomina. Miał zresztą wcześniej sporo okazji, by podczas innych zadań korzystać ze zdolności, jakie nabył w dzieciństwie.

I wtedy uświadomił sobie, że nie uwzględnił w tym równaniu podporucznika. Von Orven wciąż czekał gdzieś w ciemności i nie podążył za Delacroix do budynku. Nagle pułkownik znów przypomniał sobie niewytłumaczalne zniknięcie jednego z klasztornych braci, człowieka, który im uciekł. Brytyjczyk w jednej chwili pojął, że może mieć u boku wroga. Zdrajcę wewnątrz grupy. Ten gwałtowny sposób, w jaki von Orven zareagował zarówno na grafa Arpada, jak i na Corrisande, pozwalał przypuszczać, że młody mężczyzna miał inne cele niż szturmowanie siedziby katolickiego zakonu polującego na feyony.

Rozejrzał się, ale w ciemności nie mógł jednak odnaleźć von Orvena. Zniknął. Delacroix przeklinał swoją niefrasobliwość. Ale teraz to na nic. Zaczął tę misję i musi ją skończyć.

Wśliznął się do ciemnego pomieszczenia. Przydałaby mu się teraz lampa, ale tę miał podporucznik. A on zniknął. Delacroix nie mógł jednak pozbyć się uczucia, że wkrótce znów go spotka.

W ciemności wymacał drogę wzdłuż mebli i w końcu natrafił na drzwi. Otworzył je po cichu i ostrożnie zajrzał.

Korytarz oświetlony był trochę lepiej. Podłogę wyłożono kamienną posadzką, a ściany obito drewnem. Delacroix wyczuł dym. Zapach dochodził od głównych schodów. Gdzieś w domu wybuchł pożar. Może zakonnicy, którzy tu mieszkali, zajęci byli gaszeniem. A może wpadli na nowy pomysł i zaczęli potajemnie w budynku palić na stosie swoje ofiary.

Odepchnął od siebie obraz, który podsunęła mu wyobraźnia.

Z krzyków wychwytał pojedyncze słowa, choć musiały dochodzić z daleka. Z góry. Były dość głośne. Przekleństwa na kogoś, że opuścił swój posterunek i nie bronił wejścia przed intruzami. A potem padł rozkaz, by przynieść więcej wody, i to szybko. Delacroix rozpoznał głos ojca Emanuele, bardziej nerwowy niż zwykle.

Nic więcej pułkownik nie usłyszał. Od głównego wejścia zbliżał się ku niemu von Orven. Jego twarz była napięta i nieszczęśliwa. Trzymał przed sobą pistolet i celował w Delacroix. A więc to by było na tyle.

Podporucznik nacisnął spust, jeszcze zanim Delacroix miał czas zareagować. Kula przeleciała tak blisko, że chyba go musnęła. Za plecami usłyszał łomot upadku.

Delacroix odwrócił się. Młody mężczyzna w habicie leżał nieruchomo na ziemi, spod ciała wystawał muszkiet, który trzymał zabity.

Pułkownik odetchnął głęboko i skinał głową von Orvenowi, a ten odpowiedział skinieniem i zaczął na nowo ładować broń. Twarz miał ponurą i zamkniętą w sobie.

Ale przynajmniej lojalność podporucznika nie budziła już wątpliwości.

## Rozdział 93

Podporucznik Asko von Orven nie miał absolutnie pojęcia, w jaki sposób wypowiada się ze swego ostatniego czynu. Cieszył się, że jako żołnierz nauczył się reagować bez namysłu i zadawania sobie pytań o moralność i inne ważne kwestie. I tak zareagował również i tym razem. Bóg wie, że młodemu oficerowi się to nie podobało.

Wyraz twarzy pułkownika zdumiał go jednak. Sposób, w jaki ten człowiek na niego patrzył na krótko przed strzałem Asko, nie wskazywał na choćby cień zaufania czy koleżeństwa. Delacroix wyglądał tak niebezpiecznie, dziko i zdecydowanie, że wydawało się nie do pojęcia, jak mógł nie dostrzec mnicha, który wyszedł zza drzwi za jego plecami.

Prawdopodobnie uwagę miał czymś zajęta. A nie powinno tak być. Podjęli się niebezpiecznego przedsięwzięcia. Sprytna pułapka z czarnym prochem przy bramie już to udowodniła, podobnie jak wartownik, który najwyraźniej tylko czekał, by intruz odwrócił się do niego plecami.

Gdyby obaj weszli do budynku tą samą drogą, wartownik mógłby ich z łatwością zastrzelić. Asko przekradł się jednak do bocznego wejścia i bez większych problemów wszedł do środka. Nikt go nie zatrzymał. Być może informacja, że schronienie Bractwa nie miało tymczasowo pełnej obsady, rzeczywiście się zgadzała. Von Orvenowi jakoś nie wydało się podejrzane, że feyon mógł o tym wiedzieć. Ale któż wie jakimi środkami dysponowały te istoty. Może graf potrafił zajrzeć w ludzkie myśli?

A później plątać ludziom w głowie i ich niszczyć. Graf Arpad wymazał pamięć tego mnicha. Si wyznał to zupełnie dobrowolnie. Straszny czyn, by pobożnego, choć być może sprowadzonego na złą drogę człowieka cofnąć do stanu umysłu małego dziecka. Dla Asko było to równe z morderstwem. Ten czyn zdawał mu się całkowicie usprawiedliwiać istnienie instytucji, której działalność trzymała takie stworzenia w szachu.

Jednak środki, jakie stosował zakon, wydawały się bardziej niż wątpliwe. Mimo wszystko podporucznikowi ciężko było uwierzyć w bezwzględność chrześcijańskich braci, o której próbowano go przekonać. Niemniej pułapka przy bramie i próba zastrzelenia Delacroix od tyłu nadawały takim wypowiedziom pewnej wiarygodności. A porwanie młodej damy, która nic nie zrobiła, by



ściągnąć na siebie gniew zakonników, przekraczało wszelkie granice. Nawet jeśli nie była w pełni człowiekiem - a o tym Asko wolał nawet nie myśleć.

Otwierali ostrożnie jedne drzwi po drugich i podczas gdy Delacroix szukał drogi do piwnicy, von Orven ubezpieczał jego działania, wypatrując napastników. Szczęśliwym trafem nikt jednak się nie pojawił.

Zapach dymu i płonącego drewna stawał się coraz intensywniejszy i Asko zastanawiał się, co się mogło stać. Wkrótce przed budynkiem zbierze się tłum ludzi, którzy będą chcieli zobaczyć pożar albo przybędą z pomocą. Delacroix i von Orven wywalczyli sobie drogę do budynku, używając broni. Ich strzały słyhać było pewnie na mile stąd. I pewnie oficerów obciąży się winą za ten pożar. W żaden sposób nie będą mogli udowodnić, że to nie oni go wywołali. To miejsce uchodziło za święte. Asko miał nadzieję, że wychodząc stąd - z Corrisande Jarrencourt albo bez niej - nie natrafi na wzburzony tłum katolików chcących go zlinczować.

Teraz jednak liczyło się, by działać szybko. Zdumiewające, że nikt jeszcze nie próbował opuścić budynku. Gdyby podporucznik miał wybór, już dawno byłby daleko.

- Tutaj - powiedział Delacroix. - Zejdę na dół i sprawdzę. Proszę, niech pan zostanie tutaj i pilnuje drzwi.

Zniknął na schodach, a Asko dostrzegł, że w piwnicy paliło się światło. Może już znaleźli dziewczynę i będą mogli zniknąć, zanim wywiąże się walka z duchownymi albo wzburzonym tłumem. Asko wolałby uniknąć konfrontacji. A tego, w jakim stanie może być Corrisande, nie chciał sobie nawet wyobrazić. Wściekle skarcił się w duchu za tę myśl.

Nie mógłby poślubić kogoś, w kogo żyłach płynęła feyońska krew. Nie mógłby. Jego wstręt do wszystkiego, co naruszało logikę praw fizyki, był po prostu zbyt wielki. Wciąż mu powtarzano, że Corrisande była człowiekiem, jednakże błąd w jej pochodzeniu przetrwał stulecia, a Asko w żadnym wypadku nie dopuściłby do tego, by ów błąd przekazać dalej swoim dzieciom. Swojej rodzinie też nie mógłby tego zrobić. Sprawa była zbyt okropna i w jakiś sposób niewłaściwa.

A jednak jego serce się buntowało. Wiedzę o tym, kim była Miss Jarrencourt, pojął rozumem. Jednak serce nie wiedziało już tak

dobrze, co powinien o tym sądzić. Przypominał sobie błękitne oczy dziewczyny i to, jak unosiła je ku niemu, słodkie i pełne zaufania. A potem znów przypomniał sobie, jak patrzyła na niego, gdy się od niej odsunął, widział ból i strach w tych samych oczach. A potem ten gest, te słowa, jakie znalazła, by uwolnić go od przyrzeczenia. Chciałby umieć sobie radzić z moralnymi wartościami, w które wierzył, z takim spokojem ducha, z jakim podchodził do nich Delacroix. Ale nie mógł.

Odepchnął te myśli. Musi się bardziej skoncentrować.

Usłyszał pospieszne kroki dochodzące z dołu. To musiał być Delacroix. Ale Asko nie zamierzał ryzykować.

Natychmiast opuścił broń, gdy tylko potężny mężczyzna pojawił się w progu.

- Nie ma jej tam. Ale była na dole. - Trzymał zakrwawiony kawałek koronki, który wyraźnie pochodził z halki jakiejś damy. - Na podłodze są ślady krwi.

Delacroix odetchnął głęboko, a potem dodał rzeczowo:

- Mnisi musieli ją zabrać gdzie indziej. Może na górę. Dopiero teraz je dostrzegli, sporadyczne krople krwi na korytarzu i stopniach.

- Niech pan tu zostanie - rozkazał pułkownik - tak na wypadek, gdyby ktoś schodził. Idę na górę.

Dym zgęstniał, a dało się także wyraźnie odczuć żar ognia.

Delacroix zaczął wbiegać po schodach. Asko widział go, jak znika w dymie. Spojrzał w górę, dym wydobywał się już zza belek pod sufitem. Nie mogli tu zostać zbyt długo. To by było zbyt niebezpieczne. Z zewnątrz dało się słyszeć bicie dzwonów. Prawdopodobnie z kościoła, wzywano pomoc. Straż pożarna będzie potrzebowała trochę czasu, by tu dotrzeć, a żandarmeria też nie była bliżej. Budynek znajdował się zbyt daleko na przedmieściach. I całe szczęście. Asko nie miał ochoty, by go aresztowano za podpalenie. Trudno byłoby wyjaśnić całą tę sprawę. Misja specjalna, w której brał udział, dotyczyła hotelu, a nie przedmieścia.

Usłyszał kaszlącego pułkownika, jeszcze zanim go zobaczył. Jego spocona twarz była czarna od sadzy i błyszczały w niej tylko żółte oczy.

- Cholera! Nie dałem rady przejść. Pierwsze piętro stoi w płomieniach. Ale w budynku są jeszcze jacyś ludzie. Słyszałem, jak ktoś krzyczał. Jakiś mężczyzna. - Pobiegł wzdłuż korytarza. - Spróbuję tylnymi schodami!

- Niech pan poczeka! Nie! To nie ma sensu! Cały dom wkrótce się zawali! - zawołał za nim Asko, próbując powstrzymać go przed tym szaleństwem. Pułkownik zdążył już jednak zniknąć w dymie.

Asko spojrział z powątpiewaniem na dymiący sufit. Pojawiały się w nim pęknięcia i słychać było głośnie trzaski. Brzmiało to prawie jak strzały z karabinu. Gorąco rozsadzało drewno. Tkaniny i stare drewno - nic nie paliło się lepiej. Pospiesznie ruszył w stronę głównego wyjścia. Tu również zastawiono pułapkę. Sprytna aranżacja ze sznurków i naładowanego śrutem garłacza. Ktokolwiek próbowałby tędy wejść, wywołałby strzał, który by go zabił.

Zaskakujące, ale mnisi nie przewidzieli, że ktoś może dostać się do budynku bocznym wejściem albo też po prostu ominie pułapkę. Może Asko miał nieprawdopodobne szczęście. Mimo wszystko nie będzie tamtędy wracał, by to sprawdzić.

Sięgnął po nóż i przeciął sznurki. Garłacz może się przydać w dotarciu do koni. Na krótkim dystansie była to imponująca broń o dużym rozrzucie. Mimo to von Orven zostawił ją tam, gdzie się znajdowała. Zbyt nieporęczna w walce wręcz. Otworzył drzwi i wyjrzał. Na podwórzu nie było nikogo, za to od ulicy usłyszał podniecone głosy. Większość należała do kobiet, wystraszonych i zatroskanych. Oczywiście. Zakonnice z klasztoru próbują pomóc. Boże Wszechmocny! Teraz będzie musiał zmierzyć się z tuzinami pobożnych kobiet.

Dostrzegł beczułkę z czarnym prochem. Płomienie się rozprzestrzeniały, a wraz z nimi rosły szanse na to, że jakaś iskra wywoła wybuch.

Podporucznik wybiegł z budynku, potykając się o próg. Błotnisty śnieg zamienił podwórze w ślizgawkę. Von Orvenowi udało się jednak dotrzeć do bramy, zanim któraś ze zbliżających się pomocnic wspięła się przez pogiete drzwi. Odciał sznur, którym beczułka przytwierdzona była do bramy, po czym złapał ją. Co z nią zrobić?

A później go usłyszał. Potok. To musiał być Eisbach, jeden z wielu strumieni przepływających przez Monachium. Okrążał tę część miasta. Zmieniono jego bieg, by przepływał przez Angielskie Ogrody, wielki park kilka mil na północ stąd. Architekt projektujący ogrody chciał mieć romantyczny dziki potok i małe jezioro. Tak więc w parku było jedno i drugie.

Asko podbiegł do rwącej strugi i wrzucił do niej beczkę. Uderzyła z głośnym pluskiem o fale i znikła w mokrej ciemności. To niebezpieczeństwo było już zażegnane.

Pośliznął się nagle tak, że wylądował niemal w potoku razem z prochem. Udało mu się odzyskać równowagę, ale upuścił przy tym pistolet, broń wylądowała w kałuży. Podniósł ją. Mokra. Kto wie czy będzie się nadawała do strzału.

Odwrócił się w stronę budynku. Pierwsze i drugie piętro paliły się jasnym płomieniem. Szyby pękały od gorąca. Ogień rzucał na otoczenie nierzeczywiste, migoczące światło, tańczył z wdziękiem wokół czarnych cieni. Dym przeszkadzał młodzieńcowi oddychać. On i pułkownik muszą stąd zniknąć, i to szybko. Nic tu już nie dziająca. Z całym tym suchym drewnem, jakie Asko widział wcześniej, dom spłonie jak hubka.

Tymczasem kobiety zaczęły się już gromadzić na podwórzu. Niosły wiadra. Chciałby mieć teraz na sobie mundur. Jeśli nosiło się oficerski mundur, można było występować wobec cywili z pozycji władzy. Ale von Orven wolał nie włąmywać się do klasztoru jako bawarski oficer królewski. Na taką hańbę jego mundur nie zasługiwał.

Zakonnice patrzyły na niego wystraszone, nie były pewne, jaką rolę tu odgrywał.

- Niech się siostry cofną - zażądał swym najlepszym oficerskim tonem. - Tutaj już siostry nic nie dziająca. Już próbowaliśmy. Dom w każdej chwili może się zawalić.

Gdzie się podziewał Delacroix? Asko miał nadzieję, że ten dziki, stanowczy mężczyzna nie zabił się, próbując uwolnić dziewczynę. Z tego, co wiedział, pułkownik bardziej kierował się sercem niż rozumem. Kto by pomyślał, że mężczyzna, który miał romans z kobietą powszechnie określaną jako bogini, może zakochać się w słodkiej, miłej dziewczynie. Ale Corrisande była kimś więcej. Najwyraźniej otaczała ją mnóstwo tajemnic. Nie zrozumiał aluzji dotyczących jej ojca. I nie musiał ich rozumieć. Najlepiej, żeby w ogóle nic o tym nie słyszał.

Jednak uleganie uczuciom jak Delacroix, który pozwalał, by kierowały nim pragnienia zamiast chłodnej kalkulacji, nie było w tym momencie stosowne. Ten mężczyzna nawet w połowie nie był tak oschły i wyrachowany, jak się mogło wydawać.

A oto i on. Potykając się i kaszłąc, wyszedł z budynku. Jego płaszcz dymił, a na plecach niósł bezwładną postać. Znalazł ją.

Gdy jednak zrzucił ciężar na ziemię, Asko poznał, że pułkownik wyniósł mnicha. Jakiegoś starego człowieka. Mężczyzna rzeził boleśnie, próbując złapać oddech, a tam, gdzie wcześniej miał włosy, wszystko było spalone razem ze skórą, nawet na twarzy miał otwarte poparzenia. Wyglądał potwornie.

Kilka kobiet zbliżyło się, by im pomóc. Rozmawiały między sobą szybko i nerwowo.

Delacroix zgasił płomień na swoim płaszczu. A potem złapał starca za habit i pociągnął w górę.

- Gdzie ona jest? Co jej zrobiliście? - Potrząsał bezbronną postacią. Asko odciągnął jego ręce od starca, zanim pojawili się gapie, którzy by go po prostu zlinczowali.

- Niech go pan zostawi w spokoju! Jest stary i niedołężny! - krzyknął i usłyszał nieprzyjemne komentarze stojących wokół kobiet.

Jednak między atakami kaszlu, które zdawały się go rozrywać, i rozpaczliwymi próbami złapania powietrza starzec zaczął mówić:

- Zamordował go - wyszeptał. - Giuseppe go zamordował. - A potem jakby się zapadł. W łunie bijącej od domu mogli zobaczyć, że nie żyje. Delacroix aż prychnął z wściekłości i frustracji, wyglądał niemal tak, jakby przemocą chciał przywrócić go do życia. Jego ręce jeszcze raz wbiły się w tłące resztki habitu i wściekle potrząsnęły zwiotczonym ciałem.

- Gdzie ona jest? - wysyczał nad zwłokami. Tym razem Asko postanowił się nie wtrącać. Nie dlatego, że bał się Delacroix, ale Brytyjczyk wyglądał niemal nieludzko. Nawet zakonnice się cofnęły, a niektóre z nich zawołały przeoryszkę, jakby autorytet ksieni mógł zapobiec temu, co się działo. Inne modliły się, ich głosy były wysokie i pełne strachu. Asko dobrze je rozumiał. Pułkownik wyglądał jak szatan we własnej osobie, olbrzymi, z twarzą czerwoną od gorąca, z czarnymi plamami sadzy, płaszcz mu dymił, a żółte oczy iskrzyły z wściekłości.

Jedna z zakonnice wskazała na dach. Na drugim końcu budynku płomień przebijały się już przez strop, lizały dachówki, sprawiając, że łamały się belki. Towarzyszyły temu trzaski jak wystrzały.

Corrisande.

Asko i Delacroix widzieli, jak balansowała na dymiących, kruchych dachówkach niczym tancerka w burzy. Przy każdym kroku bosych stóp zdawało się, że dziewczyna zaraz straci równowagę i spadnie, ale wciąż nieugięcie balansowała wbrew zdrowemu rozsądkowi. Kilka razy ześliznęła się trochę, ale udało jej się za coś złapać, zanim spadła. Silny, lodowaty wiatr sprawiał, że rozczochrane włosy opadały jej na twarz. Podarta suknia wydeła się jak żagiel, szarpiąc delikatną postacią. Ale wciąż jeszcze Corrisande utrzymywała się na dymiącym dachu. Nie była tam sama. Potężny mnich, z którym oficerowie walczyli w hotelowym korytarzu, podążał za nią. Nie potrafił się zwinnie wspinać, jednak stanowczość popychała go do działania. Wykrzykiwał coś po włosku. Jego pełen nienawiści głos przebijał się nawet przez hałas pożaru. Asko nie rozumiał, co krzyczał zakonnik, ale Delacroix najwyraźniej tak, bo i on zaczął z całych sił wrzeszczeć w tym samym języku. Żadna z postaci na dachu zdawała się go nie dostrzegać. Wszystko, na czym skupiały się ich oczy i uszy, dotyczyło dachu. Byli całkowicie zajęci tym, by nie spaść. Ścigana i ścigający.

Było za późno, by wydostać ją z pożaru. Płomienie ogarnęły już niemal cały dach i najpóźniej za kilka minut budynek musiał się zawalić.

- Drabina! - ryknął Delacroix. - Potrzebuję drabiny! - krzyczał zakonnikom w twarz, a one w panice uciekały przed nim przez zniszczoną bramę.

Nie było żadnej drabiny. I nie było czasu na to, by jakiejś szukać. Można było już tylko patrzeć.

Nie tylko. Delacroix wycelował w mnicha. Wystrzelił dwa razy. I przestrzelił. Mężczyzna, akurat gdy padły strzały, obsunął się nieco. Mnich miał cholerne szczęście. Przekleństwa Delacroix rzucone w wielu językach niosły się nad podwórzem i przekonały ostatnią zakonnicę, że ten potwór musiał przybywać prosto z piekła.

Dziewczyna znajdowała się dokładnie między płomieniami a swoim prześladowcą. Budynek był zbyt wysoki, by z niego zeskoczyć. Corrisande nie miała wielkiego wyboru. Mogła skoczyć w ciemność, dać się złapać temu mężczyźnie albo rzucić się w płomienie.

Asko zaczął się po cichu modlić. Modlił się za kobietę, która nie była człowiekiem. Bóg ją osądzi. Podporucznik nie chciał o tym rozmyślać.

I wtedy Corrisande pośliznęła się, jeszcze zanim się na coś zdecydowała. Ześlizgiwała się w dół po dachówkach i krzyczała, a Delacroix odrzucił nienaładowaną broń i popędził, próbując dotrzeć do miejsca, gdzie mogła spaść, jakby uważał, że uda się ją złapać.

Ale nie spadła. Jej ręce znalazły coś, czego mogła się chwycić i teraz kołysała się połową ciała za krawędzią dachu. Jej nogi zwisały swobodnie, a tym, co zostało z jej sukni, szarpał wiatr.

Potężny mnich dosięgnął dziewczyny z łatwością.

- Corrisande! - krzyknął Delacroix, jednak zdawało się, że słyszy go tylko zakonnik, który wyszczerzył na niego zęby, pochylił się nad kobietą i nałożył jej coś na nadgarstek. Asko nie widział dokładnie, co to było, ale zakonnik użył tego, by podciągnąć brutalnie dziewczynę, szarpiąc ją za ramię i chwytając rozwiane włosy. Przyciągnął ją, zmusił, by ruszyli skrajem dachu na drugi koniec budynku, w płomienie.

Asko zaprzepaścił moment, w którym mógł zastrzelić mnicha. Teraz zasłaniała go postać dziewczyny. Mimo wszystko podporucznik chciał spróbować. Corrisande była zbyt mała i zbyt drobna, by całkowicie zasłonić niedźwiedziowatego zakonnika. Asko starannie wycelował. Jej głos pobrzmiwał mu w głowie: „Człowieka spotkać może los gorszy od śmierci”. I: „Gdyby to pan był przy mnie w tamtej chwili, oczekiwałabym od pana takiej samej przysługi”. Gdyby nie trafił w mnicha, tylko w nią, może byłoby to ratunkiem dla Corrisande. Lecz myśl ta wcale go nie uspokoiła, choć już wiedział, kim była dziewczyna.

Nacisnął spust, ale rozległ się spodziewany huk. Pistolet był zbyt mokry i woda zamoczyła proch. Asko zaczął ładować go na nowo, ale wiedział już, że na próżno. Mimo że robił to równie szybko jak Delacroix.

Spadli, nim był gotów.

Potężny mnich stracił równowagę. Nie docenił trudności, jaką było balansowanie na skraju płonącego dachu, i pociągnął za sobą dziewczynę, próbującą się przed tym bronić. Zdawali się spadać w nieskończoność. Tym razem to mnich krzyczał. Dziewczyna była cicha.

Plusk zdradził, że wpadli do potoku, a nie na twardą ziemię. Równocześnie z Delacroix Asko rzucił się do przodu. Biegli przez oświetlone pożarem podwórze, przeskakując po drodze przez spadające płonące gonty. Dach przełamał się i runął. Iskry sypały się jak diabelskie sztuczne ognie.

Dotarli do potoku i Asko przytrzymał potężnego Brytyjczyka obiema rękami, aby nie skoczył do wody. Przez chwilę zastanawiał się, czy go nie powalić. Ale to nie było konieczne.

Płonący dom nieregularnie oświetlał ciemne fale strumienia, którego nurt porwał już obie ofiary i poniósł w noc. Za płonącym budynkiem potok ginał w podziemnym tunelu. Czarne fale bulgotały głośno.

Delacroix padł na kolana. Kaszłąc, starał się złapać oddech. Nie próbował już skoczyć do wody.

- Dokąd płynie ten potok? - zapytał bezbarwnym głosem. A potem dodał: - Gdzie wypływa spod ziemi?

- Kimkolwiek jesteś, teraz nie możesz już jej zbrukać - zabrzmiało za jego plecami. Dostojna i władcza kobieta w czarnym habicie stała nieopodal, jej krótkie szare włosy upchnięte były niedbale pod nocnym czepkiem. Trzymała przed sobą krucyfiks, jakby mogło ją to uchronić przed mrocznym wrogiem.

Asko stanął pomiędzy pułkownikiem a zakonnica, tak dla pewności. Anglik nie zaatakował jednak, wpatrywał się w nią tylko ślepy, nic nierozumiejącym spojrzeniem.

- Wypływa znów na powierzchnię w parku - powiedział Asko. - Mogę pana tam zaprowadzić. Ale obawiam się... - nie zdołał wymówić tych słów. Woda płynęła podziemnym systemem rur, długim co najmniej na milę. O tej porze roku kanały te wypełniała po brzegi woda. Nie było w nich powietrza, by oddychać.

Odwrócił się do zakonnicy.

- Wielebna matko - rzekł cicho - ona ma na imię Corrisande. Niech się pani za nią modli.

Kobieta skinęła głową.

Delacroix jednak szybko zerwał się na równe nogi i pobiegł do bramy.

- No dalej! - krzyknął. - Nie mamy czasu do stracenia. Asko ruszył za nim.



## Rozdział 94

Do świtu było już niedaleko. Delacroix przyjmował nadejście dnia z taką samą nadzieją co trwogą. Im więcej czasu mężczyźni tracą, tym mniejsze szanse, że znajdą Corrisande. Jednak w świetle dnia przynajmniej będą mogli widzieć i nie przejadą po prostu w ciemności obok dziewczyny.

Przebiecie się przez grupę zakonnic miało w sobie coś z biegu przez podwórze pełne kur. Na widok Delacroix niemal zagdakały się na śmierć. Von Orven biegł za nim i przez całą drogę do koni przeproszał damy za pułkownika. W innych okolicznościach Delacroix pewnie uważałby to za śmieszne.

Nikt nie dobrał się do wierzchowców, czego skrycie się obawiali. Gapie jak zaczarowani przyglądali się pożarowi, śmierci zakonnika i losowi ludzi na dachu. Konie były jednak bardzo nerwowe. Ciągnęły za wodze i wywracały oczami. Koń von Gorenczy'ego próbował go kopnąć i chybił tylko o włos. Ogień wprawiał zwierzęta w przerażenie. A poza tym miały za sobą uciążliwą jazdę na zimnie. Tak się nie obchodzi z końmi. Ale wyboru nie było.

Delacroix musi znaleźć dziewczynę. Nie miał już prawie żadnej nadziei, że zastanie ją jeszcze przy życiu. Ale przynajmniej musi spróbować. Inaczej nie potrafił. Starał się nie myśleć, jak małe miał szanse. Jak małe szanse miała Corrisande. Nie mógł się teraz poddać. Gdyby przybył choć trochę wcześniej, gdyby tylko podążył za nią, gdy zostawiła grupę oficerów z magiem na korytarzu. Ale gdybanie na nic się nie zda. Żołądek Delacroix skrzył się w twardy węzeł. Pułkownik zaciskał zęby tak bardzo, że aż bolały.

Podporucznik von Orven znów jechał na przedzie. Swą nędzną latarnię kierował to w jedną, to w drugą stronę. Płonący budynek pozostał za nimi, światło barwiło nocne niebo na ciemnoczerwony kolor. Monachijskie schronienie Bractwa pochłaniał ogień. Nikt się z niego nie wydostał. Mnisi zginęli tak jak heretycy, na których od stuleci polowali: na ogromnym stosie.

W budynku Delacroix nie znalazł Corrisande, musiał zawrócić. Wśród dymu i płomieni dojrzał starego człowieka próbującego wyczołgać się w bezpieczne miejsce. Mnich wciąż ścisnął w dłoni nóż z zimnego żelaza. W kółko powtarzał to samo zdanie. Giuseppe zamordował ojca.

Delacroix nie wiedział, kim był Giuseppe, pewnie tym olbrzymem na dachu. A ojcem musiał być Emanuele. Jednego mnicha pułkownik i von Orven zastrzelili na parterze. Starego Delacroix sam wyniósł z płomieni. Maga w ogóle nie widział. Może zginął w ogniu.

Zastanawiał się, jak mogło dojść do pożaru. I w jaki sposób Corrisande udało się dostać na dach. „Ona po prostu świetnie się wspina” - powiedziała Marie - Jeannette. Delacroix był pewien, że nie wspomniała o wszystkim.

Ale teraz to nie miało znaczenia. Delacroix jej nie pomógł. Nie mógł się pozbyć wspomnienia Corrisande spadającej w ciemność. Spadała jak lalka, spokojna i niema, przykuta do nadgarstka swojego prześladowcy. Bez nadziei na ucieczkę.

Była tak blisko. Tak cholernie blisko. A jednak Delacroix nie mógł jej pomóc. Nie był nawet pewien, czy go zauważyła. Prawdopodobnie nie miało to już teraz żadnego znaczenia, ale pragnął, by wiedziała, że przybył na ratunek.

Domy, które Delacroix mijał z von Orvenem, były jeszcze ciemne. Stały w pewnej odległości od siebie, nie tak ciasno jak w centrum miasta. W niektórych oknach pojawili się ludzie z niepokojem wyglądający na zewnątrz. Pożar w mieście zawsze stanowił zagrożenie. Ogień mógł się rozprzestrzenić nawet na całą dzielnicę.

Ale pożar nie był problemem Delacroix. Tym powinni zająć się miejscowi. Pułkownik nie mógł pomóc, nawet gdyby chciał.

Mężczyźni znów usłyszeli potok i skierowali konie w stronę, skąd dobiegał szum wody. Tunel otwierał się i Delacroix zobaczył coś w rodzaju wodnego skrzyżowania. Dwie mniejsze strugi rozdzielały się i płynęły na prawo i lewo, gdzie znów ginęły w murowanych tunelach. Wydawały się zbyt wąskie, by przecisnąć się przez nie człowiek. A już na pewno nie dwoje ludzi. Skutych ze sobą.

Podporucznik uniósł latarnię.

- Lewy kanał zaopatruje w wodę koszary - powiedział. - Prawy prowadzi do łaźni. Ale nie sądzę, by...

- Nie. Za wąski. A dokąd prowadzi główna odnoga?

- Do Angielskich Ogrodów. To sztucznie założony park rozrywki. Dość duży. I ma jezioro. Potok płynie do niego pod ziemią. Może tam ją znajdziemy.

Było jasne, że von Orven nie oczekuje, iż znajdą dziewczynę żywą. Ale młody podporucznik nigdy nie pojął, jak silna i odważna była Corrisande. Dla niego była tylko małą, śliczną, miłą dziewczyną.

- Niech pan wraca do hotelu - zarządził pułkownik. - Nic więcej nie może pan tu zrobić. Ja muszę spróbować ją znaleźć. Pan nie. Może pozostali będą pana potrzebować. I... - zamilkł na chwilę - dziękuję panu, podporuczniku. Zdaję sobie świetnie sprawę, ile odwagi i wewnętrznej walki kosztowały pana decyzje, jakie podjął pan dziś w nocy. Nigdy tego nie zapomnę.

Młody oficer zsalutował. Następnie przekazał Delacroix latarnię.

- Niech pan ją przywiezie - powiedział tylko. Nie dodał już „żywą”. Odjechał. Delacroix spał konia i ruszył dalej na północ wzdłuż potoku. Na wschodzie mógł dostrzec pierwsze, szare znaki zbliżającego się świtu. Jechał powoli, starając się trzymać jak najbliżej brzegu potoku, który pędził obok niego, szybki i wzburzony. W ciemności nie mógł zbyt wiele dostrzec, ale przynajmniej widział, że woda nie wyrzuciła żadnych ludzi na brzeg, nie zauważył też ciał, które przepływałyby obok niego z nurtem.

Wiosenna odwilż sprawiła, że mały potok stał się niebezpieczny. Delacroix nie wątpił, że nie byłoby łatwo wydostać się z rwącego nurtu na brzeg. Prąd był znacznie szybszy niż Delacroix, który wypatrywał w ciemności przepływających ciał.

Niczego nie widział. Czasami, gdy jakaś szczególnie wysoka fala przepływała obok niego, miał wrażenie, że dostrzega Corrisande pod jej powierzchnią. Ale później fala załamywała się, a następna wznosiła albo gubiła w nurcie. Dlatego nie próbował wskoczyć do lodowatej wody, by sprawdzić, czy to rzeczywiście była dziewczyna. Zresztą w słabym świetle niewiele widział.

Ale nie był pewien. Może już dawno skuta para przepłynęła obok, a Delacroix nawet jej nie zauważył. A może Corrisande płynęła przy dnie u boku swego dręczyciela. Może też w ogóle nie wypłynęli z tunelu, może utknęli i pozostaną tam, aż ich ciała rozłożą się w wodzie. W takim wypadku Delacroix nigdy nie znajdzie dziewczyny.

To bolało. Wyobrażenia podsunęła pułkownikowi obraz: szczury wodne i ryby obgryzające w ciemności martwe ciała. Zaklął i gwałtownie odrzucił tę myśl.

Jechał dalej, przeszukując wzrokiem oba brzegi potoku. Gdzie ona była?

Nie podążyli za nią dostatecznie szybko. Powinni byli znacznie wcześniej dotrzeć do koni, ale obojętniające uczucie straty, gniew i wyrzuty, jakie czynił sobie Delacroix, sparaliżowały go, gdy zobaczył, jak potok ginie w murowanym tunelu. Ponuro przypomniał sobie, jak jakaś kobieta mówiła do niego: „Teraz nie możesz już jej zbrukać”. Sybilla, Kasandra przepowiadająca Delacroix stratę. Uznała go za mordercę, za podpalacza, może nawet za demona. I prawdopodobnie myślała, że Bractwo było przyjaznym zakonem, skupiającym pobożnych i uczynnych mnichów.

Mężczyzna zmuszał się, by jechać powoli. Szarzało już, a poranne światło nadawało światu nierzeczywiste kształty. Mimo to było jeszcze zbyt ciemno, by dobrze widział. Śnieg zaczął topnieć, ale i tak otoczenie wciąż wydawało się białe. Przy brzegu rosły pokryte pąkami drzewa i krzaki i co jakiś czas Delacroix musiał się zatrzymać, by zajrzeć pod gałęzie i sprawdzić, czy ktoś nie leży w wodzie. W takich miejscach ciała mogły o coś zahaczyć.

Był wczesny poranek. Lodowato zimny. Gruby wełniany płaszcz nie wystarczał już Delacroix, by utrzymać ciepło. Mroźny wiatr przenikał przez ciężki materiał. Pułkownikowi rzadko było zimno, ale dzisiaj marzył. W parku nie zastał nikogo.

Pułkownik znał niemiecki na tyle, by rozumieć znaczenie słowa Eisbach. Pewnie nazwa przyjęła się z powodu temperatury. Zapewne potok nie był o wiele cieplejszy niż stopniały lód. Jak długo można przeżyć w takim chłodziu, zanim stanie serce? Sekundy? Minuty? Jak długo Delacroix jechał już wzdłuż nurtu? Dziesięć minut? Pół godziny?

Nie miał żadnych szans. Nie. Corrisande nie miała żadnych szans. A jednak nie mógł się poddać. Wciąż wracał do sceny na korytarzu przed pokojem Steinberga. Nagły, nieoczekiwany uśmiech głęboko wzruszył Delacroix i ogrzał jego serce. Dlaczego się uśmiechnęła? Nie wiedział. Właściwie nie było ku temu żadnego powodu. Czerpał jednak z tego uśmiechu siłę, upór i wolę, by działać dalej, by dalej walczyć, by ratować ten przeklęty świat, może nawet dla tej dziewczyny.

Był wstrząśnięty, gdy nagle ruszyła do płonącej postaci, która kiedyś była Mrs Parslow. Z początku nie rozumiał, co dziewczyna robi. A później dotarło do niego, że robi to dla nich wszystkich. Gdy

Delacroix pojął ogrom jej ofiary, niemal oszalał z bólu i wściekłości. Do cholery, to nie było jej zadanie, by za niego umierać.

Potok skręcał w prawo, do małego jeziora. Na środku znajdowała się wysepka. Wokół jeziora biegła spacerowa ścieżka. Delacroix wjechał na nią. Jezioro wydawało się płytkie. W lecie prawdopodobnie mieszkało tu wodne ptactwo. Piękne miejsce na spacer. Minął wyspę z bezlistnymi wierzby. I wtedy zobaczył. Na drugim brzegu jeziora leżały dwa wyrzucone przez wodę ciała. Nie ruszały się.

Przebył galopem tę krótką drogę na drugą stronę jeziora. Zeskoczył z konia, przywiązał wodze do parkowej ławki w pobliżu. Delacroix będzie jeszcze potrzebował tej klaczy.

Brzeg był łagodny i płaski, pułkownik dotarł nad wodę bez problemu. Ziemia zrobiła się śliska od śniegu, ale nie było niebezpiecznie. Zresztą nawet gdyby było, Delacroix i tak by tego nie zauważył.

Mnich leżał bliżej. Unosił się na gładkiej tafli brzuchem w dół, tak samo jak dziewczyna. Ich twarze znajdowały się pod wodą. Tak samo ręka zakonnika z kajdankami wciąż przykutymi do szczupłego nadgarstka Corrisande. Jej włosy unosiły się na falach jak wodorosty. Podarta suknia przykleiła się do drobnego ciała. Na białym karku dziewczyny migotały kryształki lodu.

Delacroix nie mógł do niej sięgnąć, jeżeli nie wyciągnie najpierw potężnego mnicha. Niełatwe zadanie. Mnich był nieporęczny i ciężki, i zdecydowanie martwy. Delacroix ślizgał się na śniegu, a nie miał zamiaru wpaść do wody.

Przetoczył martwe ciało na brzeg. Otwarte oczy były ciemne i pozbawione życia, twarz zamarła w pełnym nienawiści grymasie. Delacroix pociągnął za przerzuconą przez ciało rękę, wyczuł łańcuch, później nadgarstek dziewczyny. Chwycił go i znów pociągnął. Przetoczył Corrisande przez ciało mnicha i położył na śniegu obok jej prześladowcy. Ich ręce wciąż były skute ze sobą.

Miała zamknięte oczy. Jej suknia była rozdarta i odsłaniała dekolt. Pierś zsiniała dziewczynie z zimna.

Delacroix pochylił się, ale Corrisande pozostała nieruchoma. Nie oddychała.

Nie oddychała!

- Corrisande! - krzyknął i potrząsnął ją mocno za ramiona. - Nie rób mi tego! Proszę!

Dotknął jej lodowatej twarzy, jej szyi, tętnicy. Ani śladu życia. Delacroix chciałby mieć teraz zdolność wyczuwania pulsu, jaką miały wampiry. Pochylił się nad dziewczyną, nad jej sercem, i przyłożył ucho do zimnych piersi.

Serce biło. Biło powoli i cicho, ale biło.

- Corrisande!

Nie reagowała. I nie oddychała. Jej twarz nabierała powoli sinawego odcienia. Umierała. Nie mogła oddychać. To więcej niż cud, że jej serce jeszcze biło.

- Corrisande! Do diabła! Niech pani oddycha! - Już raz jej tak rozkazywał. Wtedy pomogło.

Wyciągnął z kieszeni pęk wytrychów i próbował otworzyć kajdanki. Były ze zwykłej stali, a nie z zimnego żelaza. Ręce mu drżały. Zimno. To pewnie przez to cholerne zimno, dlatego drżał.

Zdawało się, że minęło dziesięć lat, nim Delacroix poradził sobie z zamkiem, i przez cały ten czas mówił do dziewczyny, krzyczał jej imię.

Gdy tylko uwolnił Corrisande od kajdanek łączących ją z prześladownicą, uniósł dziewczynę ze śniegu. Zwisła w ramionach Delacroix, martwe ciało, nic więcej.

Przycisnął ją plecami do swego ciała, obejmując jedną ręką. Jej głowa opadła na pierś. Mokre włosy powiewały na lodowatym wietrze. Delacroix drugą ręką otworzył jej usta. Nereida, powiedział Si. Nereidy były stworzeniami wodnymi. Wodne stworzenia żyły w zimnych oceanach. Delacroix modlił się, by dziewczyna nie była tak ludzka, jak wyglądała.

Uderzył ją w plecy otwartą prawą dłonią, a lewą przyciągnął mocno do siebie. Raz, drugi, trzeci i znów. A później pochylił dziewczynę, obejmując lewą ręką w talii. Jej głowa opadła, ciało zgięło się wpół i zawisło bezwładnie.

Jeszcze raz uderzył ją w plecy. I nagle Corrisande zaczęła kaszleć i się krztusić. Wypluwała wodę. Najpierw Delacroix pomyślał, że to woda, którą połknęła, ale zaraz pojął, że dziewczyna opróżniała płuca. Walczyła o powietrze, jednak jej płuca wciąż jeszcze były pełne wody.

Znów ją uderzył, a ona zakaszłała, rżąc boleśnie, z jej ust i nosa popłynęła woda. Trwało to długo. Oddech Corrisande nie wracał. Tak jak dzień wcześniej, gdy ją poparzył, jej krtani zamknęła się, odcinając dostęp powietrza.

- Niech pani oddycha, Corrisande! Przecież pamięta pani, jak to robić! To proste. To łatwiejsze niż oddychanie wodą.

Może to nieprawda. Może było trudniej oddychać suchym powietrzem. Delacroix tego nie wiedział.

Wziął ją na ręce, chwycił mocno i obrócił ku sobie. Oczy dziewczyny były na wpół otwarte, ale patrzyły w pustkę. Nie widziała Delacroix. Oddychała, bulgocząc. Była zimna jak lód.

Posadził ją na chwilę, zdjął płaszcz i otulił jak dziecko. Chusteczką wytarł jej usta i nos. A potem znów ją uniósł jak szmacianą lalkę.

- Wracamy do domu - powiedział i ruszył z dziewczyną na rękach do konia. - Niech pani nie zasypia. Niech pani do mnie mówi. Niech pani coś powie! No dalej. Cokolwiek! Niech pani mówi! Niech pani to dla mnie zrobi!

Prawie dotarł już do wierzchowca, gdy usłyszał jej szept:

- Zimn...

- Tak, jest zimno. Pojedziemy teraz do domu i tam znów będzie ciepło. Marie - Jeannette przygotuje dla pani dużo pięknych termoforów. Ale najpierw musimy wrócić do domu.

Nie odpowiedziała i Delacroix nie był pewien, czy go słyszała. Przerzucił ją sobie przez ramię, gdy dosiadał konia. Potem posadził Corrisande przed sobą, chwycił jej prawe udo i przerzucił nogę na drugą stronę. Tak było łatwiej ją utrzymać. Łatwiej niż w pozycji dla dam. Ubranie miała tak podarte, że pułkownik dotykał lodowatej skóry jej ud.

Opierała się bezwolna i nieruchoma o jego pierś. Przytrzymał ją prawą ręką. Corrisande była tak potwornie zimna. Jak tak zimna wciąż pozostawała przy życiu? Zmusił konia, by ruszył. Nie mógł jechać szybko, bo dziewczyna wyśliznęłaby mu się z ramion.

- Niech pani do mnie mówi, Corrisande! Niech pani nie zasypia! Chcę, żeby pani nie zasypiała. Niech się pani weźmie w garść!

Ale dziewczyna nic nie mówiła. I nagle Delacroix wystraszył się, że mogła umrzeć w jego ramionach.

- Corrisande! No dalej! Niech pani do mnie mówi. Niech pani coś powie!

Jej głowa kiwała się na jego piersiach. Jedną ręką przytrzymał dziewczynę, drugą trzymał wodze. Nie mógł sprawdzić, jak Corrisande się czuje.

Wciąż jednak słyszał jej oddech, powolny i bolesny. Jej ciało trzęsło się z zimna. Delacroix też czuł chłód, ale z pewnością nie taki jak ona. Pragnął ogrzać dziewczynę, przysuwając ją bliżej, ale sam nie miał już dość ciepła. Szczekała zębami.

To nieważne. Dopóki Corrisande drży, żyje.

Znów zasnęła w ramionach Delacroix. Zwalczył narastającą panikę.

Powoli wstawał świt i pułkownik mógł już widzieć drogę. Najchętniej przeszedłby w galop, ale zmuszał się do spokoju. Zemdlała tylko, wmawiał sobie. Tylko to. Nie mogła teraz umrzeć, nie po tym wszystkim, co przeżyła.

- Corrisande! Niech się pani obudzi! No już! Musi pani walczyć! Jej głowa poruszyła się na jego piersi.

- Oto moja dziewczynka! Pięknie pani walczy. Niech pani pomyśli o ciepłym łóżku, które na panią czeka. Niech pani wytrzyma!

Próbowała coś powiedzieć, ale słowa okazały się niewyraźne i niezrozumiałe.

- Jest pan tu...

- Oczywiście, że tu jestem. Szukałem pani. Wolałbym być szybszy. Wolałbym oszczędzić pani tego wszystkiego. Moja biedna mała nimfo.

I nagle wyraźnie usłyszał, jak mówi:

- Jestem niczym.

Znał te słowa. Wiedział, gdzie je usłyszała.

- Jesteś moim życiem - odpowiedział. Sennie osunęła się w jego ramiona.



## Rozdział 95

Niebo zaczęło się barwić na czerwono. Słońce wjeździe już niedługo. Delacroix mógł bez latarni wypatrzeć ścieżkę w parku. Nie miał zresztą wyboru, nie miałby jak jej trzymać. Zostawił lampę nad jeziorem.

Pierwsze ptaki zaczęły śpiewać i wydawały się nieszczęśliwe z powodu nagłego nawrotu zimy w porze, kiedy powinna panować już wiosna. Kroki konia tłumił mokry śnieg, który zamienił spacerowe ścieżki w kałuże. Kopyta zwierzęcia wyrzucały z każdym krokiem mokre błoto, opryskujące buty i nogawki jeźdźca, jak też nogi dziewczyny w podartych pończochach.

Pułkownik wiedział dość dobrze, dokąd musi się kierować. Nieszczególnie znał Monachium, ale na tyle, by się nie zgubić. Rezydencja króla i śródmieście znajdowały się na południowym zachodzie. Niezbyt długa droga, czy też nie byłaby zbyt długa, gdyby Delacroix nie miał przy sobie zmarzniętej dziewczyny balansującej między życiem i śmiercią. Liczyła się każda minuta.

Mówił do Corrisande nieustannie, choć nie dostrzegał żadnych oznak przytomności. Próbował ignorować myśl, że dziewczyna umrze w jego ramionach. To się nie stanie, przyrzekał sobie. Nie dopuści do tego. Zawiezie ją do domu.

- Corrisande, proszę się obudzić! Otworzyć oczy! Niech pani do mnie mówi! Niech pani mi powie, dlaczego spłonęło schronienie Bractwa?

Wciąż zadawał jej pytania. Nie reagowała. Czasem stęknęła i wymruczała coś, czego nie mógł zrozumieć. Ale to nie było ważne.

Jej oddech był teraz regularniejszy i już tak nie świszczął. Znów wdychała powietrze. Delacroix nie mógł pojąć, jak dziewczyna oddychała wodą. Jej strażnik się utopił, ale ona oddychała wodą. Zastanawiał się, czy wiedziała, że to potrafi, i pojął, że w żadnym razie nie mogła. Prawdopodobnie zaczęła wdychać wodę, gdy w tunelu nie zdołała utrzymać w płucach powietrza.

- Lampa... wywró... - wymruczała.

- Ktoś rzucił w panią lampą? Lampą naftową?

- Ja...

- Pani rzuciła lampą?

Znów nie odpowiedziała. I nagle, kilka minut później:

- Dwie.

- Dwie lampy? Kto rzucił jeszcze jedną?

Corrisande milczała, a Delacroix pojął, że to ona rzuciła dwie lampy. Lampy naftowe były niebezpieczne. W domu pełnym drewna, papierów i tkanin dwie takie lampy mogły wzniecić ogień, nad którym szybko traciło się kontrolę. Zdziwił się, że Bractwo wciąż miało takie przestarzałe wyposażenie. Ale pewnie mnisi woleli wydawać środki na stację telegraficzną i - jak zawsze - na jeszcze droższe zimne żelazo. Dziewczyna spaliła schronienie Bractwa. Musiała się wymknąć strażnikom, bo w przeciwnym wypadku nie dotarłaby na dach. Ten wielki mnich, który prawdopodobnie zamordował ojca Emanuele, miał niewłaściwe priorytety. Powinien był walczyć z ogniem. Zamiast tego ścigał dziewczynę. Ponieważ ojciec Emanuele był już martwy, a młodego mnicha zastrzelił bawarski oficer, pozostawał tylko ten starzec do walki z pożarem. Z dwoma źródłami ognia.

- Dobrze pani zrobiła - powiedział Delacroix. - Populacja feyonów na tej ziemi z pewnością przyzna pani order. Graf Arpad będzie zachwycony. Ale może lepiej zachowamy to dla siebie i nikomu nie powiemy. To będzie nasza mała tajemnica. Mam nadzieję, że teraz w tym miejscu Bawarczycy wybudują coś ładniejszego. Może coś pożyteczniejszego, jakiś szpital albo szkołę dla takich pomysłowych dziewczyn jak pani.

Znów nie odpowiedziała.

Opuścili park. Wąska brukowana uliczka wiodła między budynkami; znów znaleźli się w mieście. Kamienie brukowe były oblodzone. Końskie kopyta ślizgały się na nierównym gruncie.

- Jesteśmy już w mieście. Już prawie w domu. Niech pani wytrzyma jeszcze tylko trochę. Niech pani ze mną rozmawia. Jeszcze tylko kilka minut.

To było kłamstwo. Wąska uliczka biegła między zabudowaniami uniwersytetu i kończyła się obszernym placem z niemal identycznymi domami po obu stronach. Delacroix dotarł do Ludwigstrasse, głównej drogi na północ, jeśli wyjeżdżało się z rezydencji. Teraz musiał tylko kierować się na południe.

Nie był już sam. We wczesnych godzinach poranka na ulicy pojawili się robotnicy i rzemieślnicy, zapewne w drodze do pracy. Zastanawiał się, czy nie zatrzymać się przy którymś z nich i nie zapytać o jakieś miejsce, gdzie mogliby się ogrzać czy dostać koc. Ale

to było bez sensu. Nikt tu przecież nie mieszkał, stały tu jedynie pełne przepychu publiczne budynki. Delacroix znał uniwersytet, królewską bibliotekę, ministerstwo wojny i co poniektóre koszary. Tutaj nie znajdzie pomocy.

Dlatego jechał dalej, ignorując zaciekawione spojrzenia przechodniów. On i Corrisande wyglądali zapewne dziwnie. Ciemnowłosa, ubrudzony sadzą mężczyzna trzymający nieprzytomną, owiniętą w męski płaszcz kobietę. Zwisaly z niej strzępki ubrań, a podarta bielizna odsłaniała jej nagie nogi. Z dziurawych pończoch wystawały palce - sine z zimna.

Byli już niedaleko. Pułkownik minął dworskie ogrody i jechał teraz węższą Schwabinger Strasse. Za muzeum skręcił w prawo.

- Już prawie jesteśmy, moja dziewczynko - powiedział. - Już prawie jesteśmy w domu.

- Tak zimno - wyszeptała.

- Zaraz będzie pani cieplej. Przyrzekam. Już prawie jesteśmy na miejscu.

Wjechał na tylne podwórze hotelu i krzyknął na stajennego, po czym ześliznął się z konia, pociągając Corrisande za sobą. Znów straciła przytomność. Jakiś pracownik hotelu pojawił się w tylnych drzwiach i patrzył z niedowierzaniem, jak Delacroix zarzucił sobie dziewczynę na ramię. Była lekka jak piórko, a pułkownik nie miał chwili do stracenia.

- Niech pan się zajmie moim koniem! - rozkazał i wbiegł tylnymi drzwiami do hotelu. Mężczyzna patrzył za nim. Prawdopodobnie chciał go zatrzymać; nie rozpoznał w nim gościa. Goście zazwyczaj tak nie wyglądali, zachlapani błotem, czarni od sadzy, mokrzy i w nadpalonym ubraniu. I goście prawdopodobnie nie zarzucali sobie nieprzytomnych kobiet w podartym ubraniu na ramię. A już na pewno nie o tej porze. Ale nikt nie zatrzymał Delacroix. Prawdopodobnie ze strachu.

Pułkownik wbiegł na tylne schody, dysząc pod ciężarem nieprzytomnej dziewczyny. Aż tak lekka nie była; wnoszenie jej trzy piętra w górę, i to w pośpiechu, stanowiło nie lada wysiłek. Wejście dla służby na trzecim piętrze okazało się zamknięte na klucz. Delacroix nie wysiłał się, by wyciągnąć pęk wytrychów, kopnął z całej siły, a drzwi odskoczyły i uderzyły o ścianę. Pobiegnął korytarzem.

- Marie - Jeannette! Tutaj! Szybko! - huknął swoim najlepszym rozkazującym tonem, jakiego posłuchałby każdy żołnierz. Drzwi jego pokoju otworzyły się ostrożnie i wyjrzał z nich von Gorenczy z bronią gotową do strzału. - To ja. Przyślijcie do mnie Marie - Jeannette!

Zsunął Corrisande z ramienia i przytrzymał ją na rękach. Zawisła zwiotczała. Jej głowa opadła.

Marie - Jeannette wyłoniła się z pokoju, a za nią ukazali się graf Arpad i podporucznik von Orven.

- Czy ona jest... - zapytała bojaźliwie Marie - Jeannette. - Czy ona...

- Żyje - powiedział Si. - Idź i pomóż!

Dziewczyna ruszyła biegiem i otworzyła drzwi do apartamentów Corrisande.

- To niemożliwe - powiedział podporucznik von Orven. Delacroix nic na to nie odrzekł, tylko wszedł do salonu.

- Przynieś mi nożyczki. I koce. Szybko!

- Nożyczki? Syknął na pokojówkę:

- Po prostu rób, co mówię! Wybiegła.

Delacroix położył Corrisande na sofie i wydobył dziewczynę ze swego płaszcza. Sprawdził jej oddech, choć wierzył feyonowi. Żyła. Wampir wyczuł to na odległość.

Nie dbając o delikatność, kilka razy uderzył ją otwartą dłonią w policzek i przypomniał sobie, że trzy dni temu już raz tak zrobił, i to na tej samej sofie.

Otworzyła odrobinę oczy.

- Jesteśmy na miejscu, Corrisande. Zaraz będzie pani ciepło.

Pokojówka przyniosła nożyczki, a Delacroix wydał następne polecenia.

- Teraz przynieś koce. Najlepiej te z łóżka Mrs Parslow. Rozłóż je tutaj przy nas na podłodze. Gdy już to skończysz, przynieś termofory. Tyle, ile tylko uda ci się dostać w hotelu.

Odwrócił Corrisande na brzuch, dbając przy tym, by miała dość miejsca do oddychania. Zaczął przecinać wiązania jej sukni, gorsetu i bielizny.

- Sir! - Marie - Jeannette stała zaniepokojona i najwyraźniej trochę wstrząśnięta. - Sir, nie może pan przecież...

- Nie martw się tym - fuknął na nią. - Rób, co ci powiedziałem, do cholery!

Pokojówka wydała piskliwy, wystraszony jęk i wybiegła. Delacroix nie chciał jej wystraszyć, ale to nie miało znaczenia.

Ubranie Corrisande było już rozcięte, pułkownik ściągnął je z pleców i znów ją obrócił. Patrzyła na niego. Jej oczy były na wpół otwarte, a twarz miała lekko zmieszany, wystraszony wyraz. Potrzebowała chwili, by zrozumieć, co Delacroix robi. Powoli poruszyła ręką, by go powstrzymać. Słaby, bezowocny protest.

- Nie - wyszeptała.

Rozbierał ją dalej, zrzucając podarte strzępki ubrania na podłogę.

- Zaufaj mi, dziewczyno. Niech mi pani po prostu zaufa. Chcę tylko, żeby było pani ciepło. Nic pani nie zrobię. Niech się pani nie broni! Niech pani oszczędza siły.

Przestała protestować, patrzyła tylko na niego spod przymkniętych powiek. Delacroix w życiu tak szybko nie rozebrał żadnej kobiety. Jeszcze tylko pończochy i już leżała przed nim, drobna, całkowicie naga i bardzo biała. Jej lodowata skóra miała niemal niebieski odcień.

Ujął jej twarz i palcami sprawdził głowę. Kości czaszki wydawały się nienaruszone. Na policzku miała wielkiego siniaka. Ktoś musiał ją mocno uderzyć. Oraz zadrapania, ale te Corrisande miała już poprzedniego wieczoru. I lekkie zadrapanie na ustach. To zrobił jej Delacroix osobiście.

Jego ręce powędrowały dalej. W dotyku dziewczyna była jak lód. Znów zadawał sobie pytanie, jak mogła to przeżyć. Ale przeżyła. Obojętnie jak. Zadrapania na szyi mówiły mu, że ktoś trzymał tam nóż. Nie były głębokie, ale Delacroix musiał zagryźć zęby, by nie warknąć z wściekłości. Na wpół zaleczone krwiaki na ramionach to znów jego dzieło, jednak ciemne pierścienie tuż poniżej były nowe. Przesunął rękoma po ramionach Corrisande. Nie wyczuł złamań. Jej ręce były podrapane, ale niezbyt głęboko i nawet oparzenia nie wyglądały już tak źle. Te również zadał jej Delacroix.

- Rozłóż koce za mną, na podłodze - rozkazał, nie podnosząc oczu, gdy usłyszał hałasującą Marie - Jeannette za plecami. - I przynieś mi ręcznik do wytarcia jej włosów.

Zauważył małe, powierzchowne nacięcia na jednej z jej piersi. Czubek noża. Poczul gotującą się w nim, narastającą wściekłość i zmusił się, by zachować spokój. To tylko zadrapania, nic groźnego.

Jego ręce przesuwały się dalej. Rozum próbował usunąć informacje o jej ciele, które nie były potrzebne z medycznego punktu widzenia. Wymagało to pewnej koncentracji. Delacroix poruszał się szybko, z upartym, klinicznym dystansem. Prawdopodobnie żadnych złamanych żeber. Kości biodrowe nietknięte. Nogi w porządku, nie licząc kilku siniaków oraz stłuczonego kolana. Stopy wyglądały gorzej. Zadrapano i pokaleczone, ale kości wydawały się całe.

Obrócił ją na bok. Krwiak nad nerkami. Pięść albo kopniak, wywnioskował. Musiało bardzo boleć.

Ale mogło być gorzej. Nawet znacznie gorzej. Na szczęście Corrisande nie miała żadnych złamanych kości, żadnych otwartych ran. Nic, co nie mogłoby się szybko zagoić.

Podniósł ją z sofy, obrócił i położył na kocach. Ułożył jej ręce wzdłuż ciała. Następnie okrył ją wełnianymi kocami i zawiązał jak w kokon.

Znow ją podniósł i zaniósł do sypialni. Tam położył dziewczynę na łóżku i usiadł obok. Marie - Jeannette podała mu dwa ręczniki.

- Pójdę teraz przynieść termofory - powiedziała i cofnęła się w pośpiechu.

- Dobra robota - pochwalił Delacroix, ale pokojówki już nie było. Owinął jednym z ręczników mokre włosy Corrisande i pocierał nim jej głowę, licząc, że dzięki temu będą trochę bardziej suche. Gdy ręcznik zrobił się mokry, owinął ją drugim, uniósł trochę jej ramiona, po czym oparł jej głowę na poduszce.

Corrisande spojrzała na niego, tym razem najwyraźniej w pełni świadoma. Jej niebieskie oczy były szeroko otwarte.

- Nie śpi pani - szepnął Delacroix i końcami palców bardzo ostrożnie pogłaskał jej zimny policzek.

- Nie - odpowiedziała.

## Rozdział 96

Jesteś moim życiem" - powiedział, i tego się trzymała. Gdy spadała z dachu, Corrisande była pewna, że to jej koniec. Ale podczas upadku dostrzegła na podwórzu Delacroix. Ogień oświetlał go na czerwono. Widziała go tylko przez moment i wiedziała, że to jej ostateczne pożegnanie z tym mężczyzną. Potem uderzyła w czarną wodę.

Nie wiedziała, że woda może być tak twarda. Uderzenie wycisnęło jej powietrze z płuc. Woda była lodowata, mroziła skórę, zaciskała się na bijącym sercu Corrisande. Spadli z mnichem jak kamienie aż na samo dno potoku, a potem porwał ich nurt. Zapanował nad nimi, pociągnął dalej. Wokół Corrisande zamknęła się całkowita czerń. Dziewczyna próbowała się wynurzyć. Oboje próbowali, ale ich głowy obijały się tylko o sufit tunelu. W rurze nie było powietrza. Corrisande wstrzymała oddech, ale nie na długo. Gdy jej płuca zaczęły palić i krzyczeć o powietrze, poddała się. Wzięła wdech w nadziei, że szybko się utopi. Jej płuca wypełniły się lodowatą wodą, a ból był tak straszny, że była pewna, iż rozerwie jej klatkę piersiową.

Ale nie umarła. Potrzebowała chwili, by zauważyć, że wciąż jeszcze oddycha. Nie wiedziała, jak to możliwe, ale mogła to robić, a z czasem ustąpił też ból w piersiach. Corrisande pozwoliła się nieść wodzie.

Kajdanki ciągnęły ją za nadgarstek, nurt szarpał dziewczynę i mnicha z różną prędkością. Po jakimś czasie również ten ból minął. Corrisande nie czuła już niczego, nawet zimna. Zastanawiała się, czy umarła. Może tak postrzegało się świat, gdy się było nieżywym. Po prostu przechodziło się bez odczuć, jak znieczulona, niezdolna do ruchu, bez bólu. Jej myśli zwolniły, umysł zdawał się zamykać w sobie, aż nie pozostało nic oprócz życzenia, by opaść na dno i tam pozostać, rozpuścić się w wodzie i wspomnienia oddać falom. Chciała zmienić się w nurt, w zimną królową mórz. Ostatnim wspomnieniem, które wypłukał z niej nurt, był widok targanego gniewem i rozpaczą Delacroix w blasku pożaru. A później również ten obraz odpłynął.

Czas mijał, ale nie pojmowała już jego upływu. Godziny czy lata w wodzie nie miały znaczenia. I nagle znów nie mogła oddychać. Zabrano jej wodę, tę łagodną, czułą wodę, kraina Corrisande nagle zniknęła. A potem usłyszała głos, z bardzo, bardzo daleka. Znała ten

głos, знаła mężczyznę, który mówił. I nie rozumiała, dlaczego ją tak zamęcza, zadaje ból. Dlaczego chciał ją zabić?

Lodowate zimno było jak tortura i wnikało w Corrisande, wgrzyzało się w skórę i sięgało aż do kości. Jej świadomość wracała i odchodziła jak fale, i chciała znów się zanurzyć, wrócić do wabiącej ciemności, zatracić w niej ból, który ją dręczył, gdy była przytomna. Jego głęboki, szorstki głos stał się dla Corrisande kotwicą. Samo brzmienie nakazało jej się bronić - wbrew jej życzeniu, by się poddać i zdać na los wieczności. Chciała słyszeć ten głos. Czasami próbowała odpowiedzieć, ale nie była pewna, czy jej słowa, odbijające bezładne myśli, miały jakiś sens.

„Jesteś moim życiem” - powiedział, i to zrozumiała, potraktowała jak swoje zobowiązanie. Musiała się zmusić, by znów wdychać twarde, suche powietrze, które z takim zimnem i bólem wdzierało się w jej piersi. Wszystko było zimne. Nawet ręka, którą ją objął, nawet ciało, o które się opierała. Godzinami jechali na koniu, jak jej się wydawało, godzinami i dniami przez przenikliwy chłód i ból. A Corrisande trzymała się głosu mężczyzny, jakby był jedynym ciepłem we wszechświecie.

Jej dusza wciąż toczyła się na falach nierzeczywistości, unosiła w strefie pomiędzy życiem i kuszącą ciemnością. Corrisande zanurzała się w otchłań, by potem od nowa przedzierać się na zimno. Jakże cudownie by było wszystko rzucić. Ale głos wciąż wzywał ją do siebie, z powrotem, bez litości i zrozumienia.

Pierwszy raz świadomość wróciła dziewczynie, gdy Delacroix zaczął ją rozbierać. Poczucie przyzwoitości wpojone przez wychowanie tkwiło zbyt głęboko, by je zignorować. Corrisande czuła się strasznie niezręcznie, gdy pułkownik zdejmował z niej jeden po drugim mokre strzępy ubrań. Jej ciało i umysł opanował palący wstyd.

Ale Delacroix prosił, by mu zaufała. Zrobiła to. Pozwoliła mu na wszystko. Jego ręce były tak ciepłe, gdy przesuwały się po jej ciele. Potrzebowała kilku sekund, by zrozumieć, że sprawdzał tylko, czy Corrisande ma jakieś obrażenia, nic więcej. Dotykał jej tak niezwykle dokładnie. Jej ciało się budziło. Jej rozum zaczął odbierać i przetwarzać wrażenia. Jej świadomość uczepiła się tu i teraz. Czarna otchłań straciła moc przyciągania.

Mężczyzna pogłaskał Corrisande po policzku.



- Nie śpi pani - powiedział, a jego żółte oczy patrzyły na nią z ulgą i przyjaźnią. Wyglądał okropnie. Włosy miał nadpalone, na skroni bąble od oparzenia i zaczerwienienia wokół, a twarz brudną od sadzy. Czerń dymu i popiołu zmieszała się z jego czarnym zarostem.

- Nie. - Chwycił ją z taką siłą, że nie mogła się nawet poruszyć. Ale to nic. Był tam, by ją uwolnić, gdy chciała, by ją uwolniono. Był tam, by ją ogrzać. Po prostu tam był.

- Dobrze. - Odwrócił ją ostrożnie na brzuch, uważając na jej głowę i układając ją tak, by mogła swobodnie oddychać. - Natrę panią, by panią rozgrzać. Proszę się rozluźnić. Proszę się nie bać. I proszę mi od razu powiedzieć, jeśli sprawię pani ból.

Swoją potężną, silną ręką zaczął dość mocno pocierać jej ramiona i barki i masować ją przez kilka warstw szorstkiej wełny. Corrisande czuła, jak w miejscach, gdzie jej dotykał, znów budziło się w niej życie. Czuła mrowienie, swędzenie, jakby zdrętwiała - to było uczucie gdzieś poza bólem i łaskotaniem. Skupiła się, by nie narzekać, bo wiedziała, że Delacroix od razu by przestał.

A nie chciała, by przestał. Leżała więc całkiem cicho, przyjmując dotyk jego silnych rąk i ciesząc się ciepłem płynącym przez jej ciało. Znów płynęło w niej życie, wola życia, a także tęsknota, by obudzić się w ramionach tego mężczyzny. Zamknęła oczy. Nie przestawał.

- Corrisande! Nie śpi pani?

- Nie śpię - odpowiedziała.

Jego ręce przesuwaly się w dół po jej plecach i po ramionach wzdłuż ciała. Skuliła się, gdy Delacroix dotknął jednego z jej siniaków.

- Proszę mi wybaczyć! - w jego głosie słychać było skrucę.

Dotknął jej talii, zatrzymał się na moment, a potem jego dłonie zsunęły się niżej, a Corrisande drgnęła, tym razem ze skrepowania tym nazbyt intymnym dotykiem.

- Niech się pani nie boi - powtórzył spokojnie Delacroix. - Proszę się rozluźnić. Jest pani ze mną całkiem bezpieczna. Chcę panią tylko rozgrzać.

Wychodziło mu to wyjątkowo dobrze. Jej skóra, całe jej ciało zdawało się budzić do życia, dziewczyna czuła płynące przez nie ciepło. Delacroix zaczął rozcierać jej uda po zewnętrznej, a potem po wewnętrznej stronie, na tyle, na ile pozwalały owijające ją koce.

Corrisande ukryła silnie zarumienioną twarz w poduszkach i wgrzyła się w nie bezsilnie. Ręce mężczyzny były już pod jej kolanami, a później przy łydkach i kostkach.

A potem znów był u wezgłowia, usiadł obok i obrócił Corrisande na plecy jak lalkę.

Rozległo się pukanie do drzwi. Marie - Jeannette przyniosła kosz i położyła na łóżku dwa termofory i gorący kamień, wszystko owinięte w gruby materiał.

- Spróbuj zdobyć trochę gorącej herbaty z koniakiem - nakazał jej pułkownik. - I powiedz innym, że twoja pani żyje i że jak na te okoliczności, czuje się dość dobrze. Nie ma żadnych poważnych obrażeń. Zostanę tu jeszcze trochę, do czasu, kiedy będą mnie potrzebować. Wtedy zastąpię ich na warcie.

Pokojówka skinęła głową, dygnęła i znikła. Gorące dłonie Delacroix ujęły twarz Corrisande i przez chwilę tak pozostały.

- Czuje się pani na tyle dobrze, abyśmy mogli porozmawiać? - zapytał, a ona potaknęła.

Wielkie łapy znów znalazły się na jej ramionach i wędrowały dalej, ponownie starając się ją rozgrzać i osuszyć. Teraz to Delacroix patrzył w bok skrzepowany, gdy jego dłonie dotarły do piersi dziewczyny.

- Proszę się nie bać - powiedział, nie patrząc jej w oczy.

- Nie boję się pana, pułkowniku Delacroix - odparła. Teraz oboje spoglądali sobie w oczy. Mężczyzna głaskał jej piersi. Wyczuła przez koce, jak gorące były jego dłonie. Zamknęła oczy, niezdolna obserwować, jak jej dotyka.

- Dobrze - powiedział rzeczowo. - Nie powinna pani się mnie bać. Ale jak dotąd nie traktowałem pani dobrze. Chciałbym, aby pani wiedziała, że może mi ufać.

- Ufam panu, pułkowniku. - Koncentrowała się na tym, by panować nad oddechem. - Jestem... całkowicie w pańskich rękach.

Znieruchomiał, a Corrisande spojrzała na niego. Jego ręce przesunęły się dalej, ku jej talii. Na twarzy mężczyzny zagościł krzywy uśmiech. Delacroix zdawał się trochę zakłopotany, co wyglądało dość niezwykle. Odwrócił się do Corrisande plecami, by zacząć rozcierać jej nogi.

- Dobrze - odezwał się znów. - Corrisande... Miss Jarrencourt, nie powinna pani w żadnym wypadku pozostawać w Monachium. Mrs

Parslow nie żyje i nawet jeśli w tej chwili nie oczekuję żadnego bezpośredniego zagrożenia ze strony Bractwa, to po wszystkim, co się stało, nie powinna pani pozostawać tutaj sama. - Nacierał ją mocno, jego ręce powędrowały z brzucha ku jej udom. Mówił rzeczowo i zwięźle. - Chcę, by pojechała pani z nami. Zabiorę panią do Anglii. Chciałbym, aby została pani pod moją opieką.

Corrisande zrozumiała sugestię. Chciał, by została jego kochanką. To właśnie sugerują zazwyczaj mężczyźni, mówiąc, że chcą się zaopiekować damą.

Poczuła przypływ mieszanych uczuć. Pokusę, by ulec temu mężczyźnie, którego dotyk wyzwał w Corrisande tyle głębokich doznań. Ale nie była taką dziewczyną. Nie była kurtyzaną. Delacroix jednak o tym nie wiedział, prawda? Nagle jego silny dotyk zmienił się, nie był już tym, czym powinien.

- Nie będę pańską kochanką, pułkowniku - odparła Corrisande rzeczowo. Ręce Delacroix zatrzymały się, a potem znów zaczęły poruszać, pocierając mocno jej nogi, z góry w dół.

- Nie chcę, aby była pani moją kochanką, Corrisande. Chcę, by pani za mnie wyszła. Dzisiaj. Będzie o wiele prościej przekraczać granice tej niemieckiej mozaiki, jeśli będzie pani podróżować jako moja żona, a nie jako młoda dziewczyna, która z niewyjaśnionych powodów włóczy się z grupą żołnierzy. Możemy uzyskać specjalne zezwolenie, by wziąć ślub jeszcze dziś po południu, zanim wyjedziemy. A specjalne zezwolenie może wystawić brytyjski szef misji dyplomatycznej. Jest mi winien przysługę. Przy ambasadzie jest też anglikański duchowny. Przeprowadzi ceremonię. Coś takiego można szybko zaaranżować.

Milczał przez chwilę. Jego ręce dotarły do stóp Corrisande. Odwinął je z koca i zaczął starannie i ostrożnie masować. Właśnie jej się oświadczył. Cóż, to nie zabrzmiało jak prośba, raczej jak rozkaz, by Corrisande za niego wyszła. Miał już gotowe plany, a teraz poinformował ją o szczegółach. Nie rozumiała, co się dzieje.

- Chce się pan ze mną ożenić ze względu na kontrole graniczne?  
- zapytała zdezorientowana. Tak wiele słów, tak wiele nowych spraw i tak wiele ukrytych znaczeń, że nie była w stanie ich ogarnąć. Nie pojmowała. Kręciło jej się w głowie.

- Chcę się z panią ożenić, bo nie mogę już bez pani żyć. I chcę to zrobić dzisiaj, bo to by wszystko znacznie uprościło. - Trzymał jej

stopę. - Słodkie. Naprawdę są malutkie. Jak właściwie daje pani radę na nich chodzić?

Nawet w najśmielszych snach Corrisande nie wyobrażała sobie, że mężczyzna, który poprosi ją o rękę, będzie przy tym odwrócony plecami i będzie robił uwagi na temat jej bosych stóp. Na które z pytań miała mu teraz odpowiedzieć? Była zmieszana. I zdenerwowana.

Delacroix delikatnie rozcierał jej stopę. Jego głos brzmiał oziębło i niemal bezosobowo, gdy zaczął mówić dalej:

- Absolutnie zrozumieć, jeśli nie będzie pani chciała wyjść za mnie. W tym przypadku oferuję pani ochronę i przyjaźń, bez dodatkowych warunków i podtekstów. Zrozumieć, jeśli nie może mnie pani kochać i jeśli myśl o poślubieniu mnie nie przypada pani do gustu. Ma pani dobre powody, by się mnie bać. Zachowywałem się wobec pani obrzydliwie, a to, co się pani przytrafiło, było moją winą. Tak mi przykro.

Znów owinął jej stopy kocem, przyłożył do nich gorący kamień i ponownie usiadł przy łóżku, zwrócony do Corrisande. Jej myśli kłębiły się, słowa, całe zdania i uczucia przelatywały jej przez głowę, płynęły z serca, i nie było w nich ani rozsądku, ani żadnej jasności. Nie wiedziała, co powinna zrobić albo powiedzieć.

- Bardzo panią skrzywdzili? - zapytał Delacroix zupełnie bez związku i położył ciepłą rękę na policzku Corrisande. Ten przyjazny gest przełamał jej opanowanie. Zalały ją wspomnienia tej strasznej nocy. Przełknęła ślinę raz, drugi, po czym pękła jak szkło. Owładnęły nią fale przerażenia i zgrozy. Łzy płynęły jej po policzkach, pociągała nosem i złapała płytki, urywany oddech. Nagle zaczęła drżeć.

Delacroix spojrział na nią zatroskany i wystraszony, niemal niepewny. Nie chciał jej doprowadzać do płaczu. W końcu uniósł Corrisande za ramiona i przytulił, głaszcząc jej plecy.

- Już dobrze - powiedział zachrypniętym głosem. - Już po wszystkim. Niech pani to z siebie wyrzuci. - Trzymał ją mocno w uścisku i kołysał. - Niech mi to pani opowie.

Corrisande dyszała i szlochała. Poczwała jego usta na czole, tylko przez sekundę.

- No dalej - zachęcił. - Nic na świecie nie może być tak złe, by nie mogła mi się pani z tego zwierzyć.

Nie umiała znaleźć słów. Opuściły ją, jakby potworności, które przeżyła, uczyniły Corrisande niezdolną do mówienia, jakby na świecie brakowało określeń, by opisać to, co jej się przytrafiło. Więc tylko płakała w zniszczony ogień surdut. Drżała w ramionach Delacroix. Trzymał ją mocno, głaszcząc jej plecy.

- Próbował mnie oślepić - wyszeptała. - Próbował wykluć mi oczy. Trzymał mnie, odgiął do tyłu i w ogóle nie mogłam się ruszyć. A on chciał mi wydłubać nożem oczy. I czerpał z tego taką przyjemność. Każdy ból, jaki mi zadawał, sprawiał mu przyjemność. Tak dużo przyjemności. Powiedział, że jestem niczym. Byłam niczym, dla niego i reszty mnichów byłam niczym, zupełnie niczym, po prostu czymś, co trzeba zniszczyć, wytepić i wypłenić, brudnym robactwem, którego nikt nie chce i nikt nie żałuje, i po którym w świecie ludzi nie pozostanie nawet puste miejsce. Po prostu zupełnie nic.

Jego usta były tuż przy jej uchu, gdy szeptał do niej. Corrisande czuła na skórze muśnięcia jego warg.

- Nie jesteś niczym, moja mała nimfo. Jesteś odważną i cudowną młodą kobietą. Tyłu ludziom uratowała pani życie. Wszyscy byśmy za panią tęsknili. Ja bym za panią tęsknił. Bardziej niż tęsknił, że się tak wyrażę. Myślałem, że panią straciłem.

- Powinnam być martwa - wyszlochała ze zważaniem. - To nienaturalne, że wciąż żyję. Woda w jakiś sposób mnie przemieniła i nie wiem w co. Tak się bałam. A on wykląłby mi oczy, gdyby nie piasek Steinberga. Trafił nas i nagle byłam silna, ale tylko przez chwilę. I... i myślałam, że pan nie przybędzie.

Nie była w stanie mówić dalej. Wiedziała, że Delacroix nie pojął jej pogmatwanych słów, nie umiała jednak jasno opowiedzieć, co się stało. Myśli przychodziły nieuporządkowane.

Ale Delacroix zdawał się ją mimo wszystko rozumieć. Nawet ten strach, o którym Corrisande wspomniała na końcu.

- Ale przybyłem, Corrisande. A ten człowiek pani nie oślepił. I woda pani nie zabrała. I nie powinna pani być martwa, bo ja chcę, żeby pani żyła. - Odsunął jej głowę od swego ramienia i całując, zbierał łzy z jej policzków, a potem z oczu. A potem znów położył ją na poduszkach i delikatnie głaskał po policzku swą wielką dłonią. - Teraz jest pani bezpieczna. Przy mnie jest pani całkowicie bezpieczna.

Ci ludzie nic już nie mogą pani zrobić. Już ich nie ma. Zabiła ich własna mordercza zawziętość.

Kciukiem otarł jej kolejne łzy. Jego twarz była napięta, pełna bolesnego współczucia, ale też poczucia winy. Czuł się winny, obarczał się odpowiedzialnością za wszystko, co się Corrisande przytrafiło. Starła się nad sobą zapanować. Jej przepona ścisnęła się, gdy próbowała powstrzymać szloch, jakby miała czkawkę. Delacroix położył gorącą dłoń poniżej piersi, na jej brzuchu. Powoli Corrisande się uspokoiła. Koniuszkami palców drugiej ręki pogłaskał ją po twarzy, ścierając ostatnie łzy. Długo nic nie mówił.

- Lepiej już? - zapytał w końcu.

- Proszę mi wybaczyć - wyszeptała dziewczyna czerwona ze wstydu. - Łzawe sceny nie są w moim stylu. Histeria budzi we mnie wstręt. Przez dwadzieścia lat nie płakałam tyle, co przez ostatnie trzy dni.

Wyszczrzył zęby rozbawiony. Twarz mu się rozjaśniła. Uśmiech w jego oczach ogrzewał Corrisande równie mocno jak jego ręce.

- Corrisande, ma pani wszelkie powody być roztrzęsioną. Została pani zaatakowana przez potwory i głupców, do których muszę zaliczyć też siebie. Była pani więziona przez szaleńca, porwali panią i męczyli fanatycy. Jeśli po tym wszystkim czuje pani potrzebę, by płakać, to niech pani płacze. Przez miesiące będą panią jeszcze prześladować koszmary. Nie potrafię tego cofnąć. Chciałbym, ale to niemożliwe. Nie mogę też sprawić, by nie miała pani koszmarów, ale mogę być przy pani, gdy się pojawiają. I mogę wziąć panią w ramiona i trzymać. Jeśli pani tego chce. Jeśli zostanie pani moją żoną. Milczała przez chwilę. Znów udało mu się zręcznie wrócić do tematu. Wciągnęła głęboko powietrze.

- Nie może pan naprawdę chcieć mnie poślubić, pułkowniku Delacroix. Nie jestem człowiekiem - powiedziała rzeczowo, unikając jego spojrzenia.

- Dla mnie jest pani dostatecznie ludzka, mała nimfo. Jestem szczęśliwy, że jest pani tym, kim jest, bo w przeciwnym razie byłaby już pani martwa - to w ogóle nie brzmiało romantycznie, raczej trochę bezdusznie.

- Przybyłam do Monachium, by znaleźć bogatego idiotę, którego mogłabym skłonić do małżeństwa - podjęła Corrisande i tym razem

spojrzała Delacroix w oczy. Uśmiechał się. Wciąż jeszcze się uśmiechał.

- Jestem dość zamożny - odpowiedział. - Mój ojciec posiada małe przedsiębiorstwo żeglugowe. A to, że jestem idiotą, udowodniłem już wcześniej. Dostanie pani zatem to, po co tu przybyła.

- Ale jestem kryminalistką - zaprotestowała. - I przecież w ogóle mnie pan nie zna! Jestem złodziejką i włamywaczką. A przynajmniej byłam wcześniej.

- To cudownie pasuje, moje małe kochanie. - Teraz Delacroix uśmiechał się już szeroko. - Zawsze byłem zdania, że małżonkowie powinni mieć ze sobą coś wspólnego. A co takiego pani kradnie?

- Zazwyczaj klejnoty. - Corrisande zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Cóż, ponieważ jestem zamożnym idiotą, mogę oszczędzić pani tych ceregieli i po prostu dać pani klejnoty w prezencie. Wtedy nie będzie już pani musiała się włamywać.

Rozmowa wyraźnie go bawiła, ale dziewczynie nie było wcale do śmiechu.

- I rzucam nożem - powiedziała wyzywająco.

- Dobrze! Ja też. Latem za moim dworkiem na wsi możemy sobie urządzać zawody. To całkiem śliczny dworek, wie pani? Świetnie się nada do tego, by rzucać tam nożami.

- Nie powinien pan śmiać się ze mnie, pułkowniku. To niebezpieczne wiedzieć, kim jestem. Mój ojciec... - przerwała i zamilkła.

- Tak - trochę spoważniał - wiem. Pani ojciec jest nieco problematyczny, moja mała księżniczko. Ale zapewne rozsądny? W końcu wychował panią na cudowną, odważną, przyzwoitą i bardzo pomysłową młodą damę. Może moglibyśmy zawrzeć z nim układ? Ja zostawię w spokoju jego, a on mnie. Myśli pani, że da się to zaaranżować?

Zastanowiła się nad tym, wyobraziła sobie minę ojca, gdy się dowie, za jakiego rodzaju mężczyznę wyszła Corrisande. Miała głęboką nadzieję, że Eliza nie zdążyła poinformować zwierzchnika o miłości córki. Ale nie mogła być tego pewna.

- Być może - odparła. - Kocha mnie na swój sposób, wie pan? Nawet jeśli jest dość nietypowym ojcem. Starał się mnie trzymać daleko od siebie. Jednak...

- Dobrze. A więc załatwione. - Nagle Delacroix zmienił ton i bardzo spoważniał. - Corrisande. Powiedziałem pani, że nie musi pani za mnie wyjść, jeśli tego nie chce. Moja propozycja przyjaźni jest wciąż aktualna. Ale jeśli zdecyduje się pani, by mnie poślubić, proszę zrobić to z właściwych powodów. Jeśli nie może mnie pani kochać, to jest powód, by zapomnieć o ślubie. Jeśli nie chce być pani razem ze mną, ponieważ za bardzo panią zraniłem, to też jest powód, by zrezygnować z małżeństwa. A jeśli jest pani beznadziejnie i po uszy zakochana w podporuczniku von Orvenie, to też dobry powód. Wszystko inne można jakoś załatwić.

- Nie jestem zakochana w podporuczniku von Orvenie - odpowiedziała Corrisande.

- To dobrze. Nie pasowalibyście do siebie - głos Delacroix zabrzmiał lekko opryskliwie.

- Ja... - nie było łatwo znaleźć właściwych słów. - Kocham pana - powiedziała i uciekła spojrzeniem. Policzki ją paliły. - Bardziej, niż potrafię to wyrazić. Opuściłam przytulną ciemność wody tylko dlatego, że chciałam słyszeć pański głos i czuć pańskie ramiona. Ale nie chcę, by zenił się pan ze mną z litości, jakby to była jakaś pokuta, albo dlatego, że czuje się pan winny wobec mnie. Tego bym nie zniosła. Jeśli pragnie się pan ze mną ożenić, to też chciałabym, aby stało się tak z właściwych powodów. Przykro mi, ale mniej nie potrafię zaakceptować. Już nie. Nie mam sił ani cierpliwości, by zadowolić się czymś mniej. Uprzejma tolerancja albo wspólne życie a la convenance już mi nie wystarczą.

Nagle poczuła gwałtowny strach, że posunęła się za daleko. Bursztynowe oczy mężczyzny błyszczały. Twarz przybrała szorstki, poważny wyraz. Corrisande nie potrafiła nic wyczytać z miny Delacroix. Ale przynajmniej nie wyglądał na rozzłoszczonego.

Znów ujął jej twarz w dłonie.

- Corrisande. Kocham panią całym sercem, rozumem i całym moim ciałem. Chcę mieć panią dla siebie i zatrzymać. I chcę, by przez całe życie była pani wobec mnie taka szczerą jak przed chwilą. Czy to pani wystarcza?



Próbowała wyswobodzić się z ciasnego kokonu i uwolnić rękę. Było za gorąco. Delacroix owinął Corrisande tak ciasno, że prawie nie mogła się poruszać.

- Co też pani robi, moja kochana? Chcę, żeby było pani ciepło. Niech pani zostanie pod kocem.

- Jest mi ciepło - powiedziała. - Jest mi naprawdę bardzo ciepło, pułkownika Delacroix.

- Philip - poprawił ją. - Nazywam się Philip Fairchild. Delacroix to mój pseudonim, gdy działam poza krajem.

Corrisande udało się uwolnić rękę i wyciągnęła ją teraz ku jego twarzy. Na policzkach miał zarost, kłujący i szorstki. Pogłaskała go i dotknęła ust mężczyzny. Rozchyliła je lekko palcami. Nie poruszył się. Potem sięgnęła do jego krótkich czarnych loków.

- Miło mi pana poznać, Mr Fairchild - powiedziała i pociągnęła jego głowę ku sobie. Nie powstrzymał jej, zaczął ją całować. Najpierw delikatnie i ostrożnie, a później z rosnącą namiętnością. Jego język dotknął warg Corrisande i w końcu zdobył jej usta. Jego ręka pieściła nagie ramię, głaskała kark, szyję, przesuwając się wszędzie tam, gdzie dziewczyna nie była przykryta kocem. Czula jego namiętność, słyszała przyspieszony oddech. W wełnianym kokonie było jej gorąco, niemal nie do zniesienia. Czula się żywa, bardziej żywa niż kiedykolwiek dotąd. I pragnęła tego mężczyzny. Całowała go, w jej pieszczocie była tęsknota i zdumienie, że to takie proste. Nagle Corrisande dokładnie wiedziała, co robi i czego chce. Rękę wciąż zaciskała w jego włosach. Jednodniowy zarost drapał jej policzki. Philip Fairchild wydał jej się tak niewypowiedzianie męski.

Po jakimś czasie sięgnął po jej nadgarstek i łagodnie odsunął rękę z głowy. Uwalniał się od Corrisande. Jego twarz była tuż nad jej, wyglądał dziko, drapieżnie i odrobinę niebezpiecznie. Jego oczy były na wpół zamknięte.

- Budzisz we mnie całe stado wilków, moja kochana - powiedział i brzmiało to tak, jakby brakowało mu tchu. Z początku Corrisande nie zrozumiała, ale potem pojęła dziwne wyznanie. - Lepiej już pójdę i dam ci spać. Musisz być wyczerpana. A ja też potrzebuję jasnych myśli i sił na podróż. Jest jeszcze tak wiele do zrobienia i zespół musi...

- Zostań - poprosiła - Philipie. - To imię brzmiało obco w jej ustach. Wypowiedzenie go było zgodą na oświadczenia.

Wypowiedzenie jego imienia było jak czuła pieśczoła. - Proszę, zostań. Nie zostawiaj mnie samej.

Mężczyzna zamknął oczy i wciągnął głęboko powietrze. Corrisande pragnęła znów potargać jego włosy i przyciągnąć go do siebie, ale wciąż trzymał jej nadgarstek w potężnej dłoni.

- Nie wiesz, o co mnie prosisz, moja mała - powiedział aż nazbyt lekko.

Spojrzała mu w twarz. W niektórych miejscach sadza się starła. Pewnie była teraz na skórze Corrisande. Przyglądał jej się z zatrwającą intensywnością.

- To prawda - odpowiedziała po prostu. - Rzeczywiście niezbyt wiem, o co cię proszę. Moja wiedza o... na pewne tematy jest czysto teoretycznej natury i zapewne nadzwyczaj powierzchowna. Eliza, niech Bóg ma ją w opiece, uważała za strategicznie korzystniejsze, by utrzymywać mnie w niewiedzy, jeśli chodzi o pewne... szczegóły. Chciałabym móc ją zapytać...

Teraz wyglądał na trochę poirytowanego. A potem na jego twarzy pojawił się uśmiech lekkiego rozbawienia.

- Małeńka, naprawdę nie będziemy potrzebować tej doświadczonej damy. Jestem pewien, że potrafię wyjaśnić ci wszystko, co konieczne. Zrobię to... chętnie... i z radością. Ze wszystkimi szczegółami. I będziemy mieli całą masę okazji, by to przećwiczyć, przyrzekam. To będzie pod każdym względem czysta przyjemność. Ale nie teraz. Jesteś nadmiernie pobudzona i zmieszana. Gdy człowiekowi udaje się przeżyć poważne niebezpieczeństwo, często odczuwa szczególny rodzaj fizycznego uniesienia. Dałem ci słowo, że możesz mi ufać. Byłbym łajdakiem, gdybym wykorzystał teraz sytuację.

Wstał ostrożnie, odwracając się plecami do Corrisande. Jej także ciężko było na niego patrzeć. Podeszedł do drzwi.

- Prześpij się trochę, moja mała nimfo. Ja...

- Philipie! - przerwała mu, zebrawszy się na odwagę. - Jestem złodziejką i włamywaczką. Lubię łajdaków!

Już nie protestował. Zamiast tego zaczął się rozbierać. Odpiął kołnierzyk, zrzucił surdut, rozpiął guziki koszuli. Corrisande patrzyła na niego z rozpalonymi policzkami, wstydząc się głęboko swojej impertynencji. Dobrze wychowane młode damy z pewnością tak nie

robiły. Miała nadzieję, że nie rozczarowała go swoim zachowaniem. Nie wyglądał na rozczarowanego.

Rozebrał się szybko. Wydawało się, że potrzebował tylko chwili, by górna część jego ciała była naga. Corrisande przyglądała się jego muskularnej sylwetce. Na piersiach miał trochę czarnych włosów, które cienką linią ciągnęły się w dół. Dziewczyna nigdy nie zastanawiała się nad tym, w jakich jeszcze miejscach mężczyznom rosną włosy. Na jednym ramieniu miał opatrunek. Zupełnie zapomniała, że był ranny. Nie wspomniał słowem o bólu, jaki musiał odczuwać.

Buty z łoskotem spadły na podłogę. Philip zdjął spodnie. Chwilę później stał już przed Corrisande nagi. Całkowicie i zatrważająco nagi. Uśmiechał się, ale jej spojrzenie wcale nie spoczywało na jego twarzy. Przyglądała się trochę zaniepokojona jego męskości. Pomyślała, że Fairchild naprawdę jest potężnym mężczyzną, a ona bardzo drobną kobietą. Zarumieniła się strasznie, spróbowała patrzeć gdzie indziej i natrafiła na jego spojrzenie. Uśmiechnął się szeroko.

- Lekcja numer jeden - przyklęknął przy niej na łóżku - to nazywamy erekcją. - Przerwał na chwilę, szukając ponownie jej spojrzenia. - To oznacza, że cię kocham i że cię pragnę.

Odwijał Corrisande z koców jak jakąś pralinę. Przez chwilę bez ruchu przyglądał się jej ciału.

- Jesteś taka piękna - powiedział. Położył się obok niej, objął z ręką na jej pośladku, by blisko, całkiem blisko przyciągnąć ją do swych bioder. Corrisande czuła dotyk jego skóry, równie gorącej jak jej. Czuła jego erekcję na brzuchu. Z bliska spojrzął jej w twarz. - Teraz boisz się swojej własnej odwagi, prawda? - zapytał miło rozbawiony.

- Nie - skłamała.

- Kłamczucha! - krzyknął trochę ochryple, szczerząc zęby, podczas gdy jego ręce poruszały się po jej ciele. - Nie musisz się bać. Dałaś radę złym potworom i podłym szaleńcom. Odrobina namiętności wymaga tylko trochę odwagi.

„Odrobina namiętności” niezbyt dobrze to oddawała. Philip pocałował Corrisande jeszcze raz w usta, a potem jego wargi zaczęły zwiedzać ciało dziewczyny. Dotarł do jej piersi. Był delikatny. Prawie. Corrisande zdążyła jeszcze poczuć jego zęby, a potem zalała

ją i porwała rzeka uczuć, a dziewczyna, drżąc, próbowała złapać powietrze. Jego ręka, pieszcząc, powędrowała w dół.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- O nie - wydyszał Fairchild ochryple.

- Odejdź, Marie - Jeannette. Nie teraz! - głos Corrisande był nie do poznania, szorstki i zduszony.

Twarz mężczyzny uniosła się nad jej twarzą. Śmiał się.

- No popatrz! - Oddychał nie mniej gwałtownie niż Corrisande. - Już się zbiegają wilki.

Pieścił ją językiem. Ręką głaskał wewnętrzną stronę jej ud.

- A teraz wypuścimy je do lasu na polowanie.

Oboje zignorowali głos Cerise Denglot po drugiej stronie drzwi:

- Naprawdę, Delacroix, jesteś po prostu impossible!

## Epilog

Pastor Arnold Smythe - Jenkins był rozgniewany. W tej historii wyczuwał coś potwornie niewłaściwego. Ślub udzielany na specjalne zezwolenie, które wystawił ambasador, wydawał się wystarczająco nieortodoksyjny, zaś niechrześcijański pośpiech, z jakim odbyła się ta ceremonia, był zupełnie niestosowny i niegodny powagi takiego zdarzenia.

Choćby to, że para zawierała świąty związek małżeński w hotelowym pokoju, wydawało się bardzo dziwne. Bóg był oczywiście wszechobecny, ale przecież kościół to kościół. A hotelowy pokój z pewnością nie przypomina nawet kościoła. I to zaciemniony pokój z zasuniętymi zasłonami, choć ledwie dochodziło południe! Pastor powinien był odmówić już na samym początku. I zrobiłby tak, gdyby Jego Ekscelencja ambasador osobiście nie naciskał na niego w tej sprawie. Niefortunne okoliczności. Oczywiście pastor nie mógł odmówić takiej prośbie. Jednak było to dla niego nieprzyjemne. Czuł się, jakby brał udział w spisku związanym z obrzydliwym przestępstwem.

Rozejrzał się jeszcze raz.

- Zebraliśmy się tutaj... - zaczął, a później pozwolił się już nieść rutynie, podczas gdy jego niechęć nadała głosowi kwaśny ton.

I ta panna młoda. Wyglądała o wiele za młodo. Oczywiście widywał już młodziutki narzeczone, ale nigdy bez rodziców. Miss Jarrencourt była tu bez opieki ze strony ojca czy matki. Nie było nawet przyzwoitki. Jediną damą, która mogłaby nadać ceremonii trochę godności, była śpiewaczka operowa. A o śpiewaczkach operowych lepiej nie mówić. Wiadomo, jak się prowadzą. Obecność tej damy bynajmniej nie przyczyniała się do moralnej poprawności ślubu.

Powinien był bez ogródek odmówić. No ale ambasador i to specjalne zezwolenie... Jednak mimo wszystko wydarzenie to było niewłaściwe, dziwaczne. W kącie pokoju stała sterta bagaży. Panna młoda wystąpiła w stroju podróznym. Wyglądała, jakby wdała się wcześniej w bijatykę. Zadrapania i siniaki szpeciły jej piękną młodą twarz, a pastor Smythe - Jenkins zauważył też oparzenia na ręce. Włosów dziewczyny nie zdobiły żadne kwiaty, nie nosiła też żadnej szczególnej biżuterii, nie miała nawet welonu. Sprawiała wrażenie pobudzonej i zarazem wyczerpanej, zaś spojrzenia, jakie rzucała panu

młodemu, były tak intymne, że aż nieprzyzwoite - nie do pomyślenia, by młoda dziewczyna obdarzała nimi mężczyznę, który nie był jeszcze jej małżonkiem. Tak nie wypadało. Pastor nie wątpił, że panna młoda zdążyła już stracić cnotę.

Spojrzenie na pana młodego jeszcze bardziej go w tym upewniło. Ten barczysty mężczyzna był przerażający w swej niesamowitej intensywności i dzikości. Jego lewe ramię zwisało na temblaku, jednak zdawało mu się to w ogóle nie przeszkadzać. Patrzył na swą przyszłą małżonkę z głodnym pożądaniem, które w przypadku prawdziwego dżentelmena byłoby zupełnie nie na miejscu. Jego namiętność była aż nazbyt widoczna. Dosłownie pożerał dziewczynę spojrzeniem swych wilczych oczu. Zachowanie pana młodego było bardziej niż niestosowne dla religijnej ceremonii. Jednak tego mężczyzny prawdopodobnie nie należało drażnić. Smythe - Jenkins wyczuwał to instynktownie.

Jako wielbiciel opery rozpoznał francuską śpiewaczkę. Siedziała nadąsana w fotelu. Na początku ceremonii zaproponowała, nie, tak właściwie to zażądała, by wnieść do pokoju fortepian, aby mogła ubarwić tę okoliczność pieśnią miłosną. To szlachetne żądanie wywołało u pana młodego zupełnie niestosowny dziki napad śmiechu, zaś panna młoda uprzejmie podziękowała za propozycję. Aż nazbyt chętnie przyjęłaby ten dar, by rozkoszować się boskim głosem mademoiselle Denglot, dodała jednak, że spóźnią się z mężem na pociąg, jeśli będą czekać, aż pracownicy hotelu wniosą na piętro fortepian z sali balowej. Wyraziła głęboki żal, że nie będzie miała niezrównanej przyjemności, by wysłuchać najpiękniejszego sopranu świata, miała jednak nadzieję, że mademoiselle Denglot znajdzie czas na wizytę w Londynie i zaprezentuje się na wieczorku muzycznym w domu małżonków. Wtedy pan młody znów parsknął śmiechem. Mademoiselle Denglot rozsiadła się w fotelu i całkowicie go zignorowała.

Druhna była po prostu katastrofą. Nie była nawet damą, lecz chyba służącą. Wycięcie w jej sukni odsłaniało jeszcze więcej niż dekolt śpiewaczki, zaś jej równie nieprzyzwoite co obfite krągłości ukazane były z taką hojnością, że pastor się rumienił. Ta osoba stała przy pannie młodej, naprzeciw niego właściwie, więc musiał nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymać się przed zerkaniami w jej dekolt. Gdy tylko jego oczy tam zbłądziły, od razu mylił słowa.

Jego niezdolność, by po prostu ignorować fizyczne atrybuty tej rozwiązłej kobiety, wprawiała pastora w niepewność pomieszana ze złością. Do jeszcze większej wściekłości doprowadzał go porozumiewawczy uśmiech, jakim obdarzała go pokojówka przy tych okazjach.

Ale to wcale nie było najgorsze. Bezspornie najgorszy był družba, mężczyzna, który zastępował nieobecnego ojca panny młodej. Nie był nawet człowiekiem! Z przyjaznym i lekko kpiącym uśmiechem na nienaturalnie regularnej twarzy doprowadził pannę młodą do prowizorycznego ołtarza na stole. Gdy dotarli do pana młodego, potwór ten pocałował rękę dziewczyny z tak pożądlwym podziwem, że wykraczało to poza wszelkie akceptowalne normy. Jakby nie było tego dość, ujął w szczupłe, szponiaste dłonie twarz panny młodej i w skupieniu pocałował ją w czoło. W tym momencie wkroczył pan młody i zapewnił owo stworzenie, że otoczy pannę młodą stosowną i dostateczną troską i że dalsza pomoc nie będzie potrzebna, i w ogóle, że bardzo dziękuje. A teraz ta nienaturalna istota stała za śpiewaczką i pieściła jej plecy w sposób, który w najmniejszym stopniu nie był stosowny przy takiej okazji, ani przy żadnej innej poza intymnymi chwilami dwojga małżonków.

Świadek rzucał się w oczy już swoim barwnym strojem. Istnieje naprawdę wiele sposobów na to, co można zrobić z materiałem w szkocką kratę. Najlepiej zakopać go gdzieś głęboko w szkockich bagnach. Jako część ubioru rzadko, a właściwie nigdy nie dodawał godności osobie, która go nosiła. W tym przypadku małemu i krępemu mężczyźnie, trzymającemu kurczowo cylindryczny przedmiot, któremu Szkot poświęcał znacznie więcej uwagi niż uroczystości ślubnej. W oczywisty sposób nie słuchał tego, co mówiono, i nie miał nawet obrączek.

No i właśnie kiedy przyszło do wymiany obrączek, państwo młodzi ściągnęli swoje sygnety i próbowali je wymienić. Robiąc to, zaczęli chichotać i żartować, sprawdzając, na który palec pasowałby pierścień. Smythe - Jenkins wyraźnie usłyszał nawet, jak pan młody wyszeptał do ucha swej oblubienicy:

- Jest dla ciebie trochę za duży, ale teraz nie będzie już bolało.

Po kilku niezręcznych próbach włożyli w końcu z powrotem na palce własne pierścienie. W pokoju przebywali jeszcze dwaj inni mężczyźni, bawarscy oficerowie. Jeden pilnował okna, a drugi drzwi i

Smythe - Jenkins dostrzegł, że obaj byli uzbrojeni. Uwagę jednego rozpraszały kształty służącej, szwoleżer przyglądał się jej krągłościom z pewnego rodzaju optymistycznym rozmarzeniem. Drugi niemal cały czas odwracał się do wszystkiego plecami. Zachowanie obu było wysoce niekonwencjonalne.

- ...oświadczam, że jesteście mężem i żoną - zakończył pastor i zrobił nad nowożeńcami znak krzyża. Ceremonia dobiegła końca, a małżonkowie się pocałowali. Jeśli wziąć pod uwagę, z jakim pośpiechem przebiegał ślub, to trzeba przyznać, że ten pocałunek trwał zdecydowanie zbyt długo. Potężny pan młody musiał pochylić się nad swą małą wybranką, to jednak nie przeszkadzało pocałować jej w sposób wysoce niemoralny. Zaś sposób, w jaki młoda małżonka zareagowała na tę pieszczotę, był definitywnie szokujący. Po prostu szkoda słów.

Pastor Smythe - Jenkins starał się na to nie patrzeć, jego wzrok prześliznął się po dekolcie drużny, a potem z przerażeniem w głąb pokoju, gdzie stała śpiewaczka i jej nienaturalny towarzysz. Ci ostatni całowali się z taką żarliwością, że graniczyło to niemal z pogańską adoracją.

Pastor spakował swoje rzeczy i skinął obecnym na pożegnanie. Chętnie pogratulowałby młodej parze, ta jednak całkowicie zajęta była sobą. Podążył więc w milczeniu ku drzwiom. Jeden z uzbrojonych oficerów odsunął się na bok, by go przepuścić, lecz nagle przed kapłanem pojawił się mroczny feyon i obdarzył go uprzejmym uśmiechem oraz dodającym otuchy spojrzeniem zza ciemnych okularów.

Smythe - Jenkins wyszedł na korytarz. Cóż za podniosła uroczystość. I jaka zachwycająca młoda para. Wspaniałe, przyzwoite towarzystwo. Pastor był szczęśliwy, że mógł pomóc. Tacy mili ludzie. I szarmanccy. Zwłaszcza ten drużba.



Glosariusz:

Si [wym.: Szi] - mityczne stworzenie/stworzenia (jęz. irlandzki;  
inna pisownia: Sidhe)

Dworzec Augsburgski - dzisiaj: Dworzec Główny (Hauptbahnhof)

a la mode - modny

haut ton - high society, wyższe sfery

tres degoutant - w bardzo złym stylu, odpychający

Na Daoine - maithe [wym.: na Dinima] - Dobrzy ludzie (Si)

miraculeux - cudowny, zadziwiający, wspaniały

n'est - ce pas - nieprawdaż? Prawda?

je suis desolee - bardzo mi przykro

de trop - przeszkadzający, zbędny, stojący na drodze

au revoir, ma belle - do widzenia, moja piękna

incroyable - niesamowite, niesłychane, niewiarygodne

s'il vous plait - proszę

alors - a więc

derange - skołowany, rozstrojony

vraiment - naprawdę, doprawdy

air d'innocence - atmosfera niewinności

certainement - oczywiście, oczywisty

cocotte - niemoralna kobieta, kokota, prostytutka

Burke's Peerage - angielski almanach rodów szlacheckich

actualiter - faktyczny, rzeczywisty (łacina)

absolument - absolutnie

mes affaires - moje sprawy/romanse

passé - przeszłe, minione

pas du tout - wcale, w ogóle nie, zupełnie nie

contenance - panowanie nad sobą, opanowanie

la filie mal gardee - źle strzeżona dziewczyna; również tytuł  
znanego baletu z XVIII wieku („Córka źle strzeżona")

nam mysterium iam operatur iniquitatis - ukryte zło zawsze działa  
(łacina) [Albowiem już działa tajemnica bezbożności (tłum.: Biblia  
Tysiąclecia, 2 List do Tesaloniczan 2:7)]

mon amour - mój najdroższy, mój ukochany

un moment - chwila, chwileczkę

divide et impera - dziel i rządź (łacina)

vous etes un idiot - jest pan idiotą

garłacz - broń śrutowa dużego kalibru, z rozszerzoną lufą

a la convenance - małżeństwo z rozsądku, małżeństwo zawierane  
ze względów towarzyskich i społecznych  
impossible - niemożliwe, niemożliwy